

*Jeden z najlepszych kryminałów, jakie czytałem w tym roku.
Przemyślana i mroczna łamigłówka. Doskonała rozrywka!*

WOJCIECH CHMIELARZ

RUTH WARE

ŚMIERĆ PANI WESTAWAY

KAŻDA RODZINA MA SWOJE MROczne TAJEMNICE



ŚMIERĆ PANI WESTAWAY

RUTH WARE

ŚMIERĆ PANI WESTAWAY

Przełożyła
ANNA TOMCZYK



Tytuł oryginału: *The Death of Mrs. Westaway*

Copyright © Ruth Ware 2019

First published by Harvill Secker 2019. Harvill Secker is part of the Penguin Random House group companies.

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2021

Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2021

Redaktor inicjujący: Adrian Tomczyk

Redaktor prowadzący: Szymon Langowski

Marketing i promocja: Greta Kaczmarek

Redakcja: Karolina Borowiec-Pieniak

Korekta: Anna Nowak, Joanna Pawłowska

Projekt typograficzny i łamanie: Stanisław Tuchołka | panbook.pl

Projekt okładki: Dan Mogford

Ilustracje na okładce: © Getty, Shutterstock

Adaptacja okładki: Magda Bloch

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-66736-01-6

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

Mojej mamie. Zawsze.

Uwaga do czytelników

Początek tej powieści toczy się we współczesnym Brighton, ale czytelnicy znający to miasto zauważą pewną nieścisłość – nadal stojące Zachodnie Molo. Mam nadzieję, że mieszkańcom Brighton spodoba się wskrzeszenie, choć tylko w literackiej fikcji, tego lubianego i charakterystycznego obiektu.

Jedna sroczka smutek wróży,
Dwie radości pełne dni,
Trzy to dziewczę urodziwe,
Cztery – chłopiec ci się śni,
Pięć da srebra cały dzbanek,
Sześć przyniesie złota moc,
Siedem tajemnicę kryje
w najstraszniejszą ciemną noc.

29 listopada 1994

Wróciły sroki. Dziwnie mi, jak pomyślę, że ich nienawidziłam, kiedy przyjechałam do tego domu po raz pierwszy. Pamiętam, jak taksówka przywiozła mnie tu z dworca i zobaczyłam je siedzące w rzędki wzdłuż muru ogrodu jak teraz, czyszczące sobie piórka.

Dzisiaj jedna przysiadła na oszronionej gałęzi cisu, dokładnie naprzeciw mojego okna, i przypomniałam sobie, co mawiała moja mama, gdy byłam małą. Wyszeptałam pod nosem *Dzień dobry, pani* Sroko, żeby uniknąć pecha.

Liczyłam je podczas ubierania się, drżąc przy oknie. Jedna na cisie. Druga na wiatrowskazie na altanie. I trzecia na murze zielowego ogródka. Trzy to dziewczę urodziwe.

Wyglądały niczym wróżba i przeszedł mnie przelotny dreszcz. Życzyłam sobie, zastanawiałam się, wyczekiwałam...

Ale nie, na zmarzniętym trawniku było ich więcej. Cztery, pięć... sześć... I jedna skakała po płytkach tarasu, dziobiąc lód na okryciach stołu i krzesel.

Siedem. Siedem tajemnicę kryje w najstraszniejszą ciemną noc. Cóż, zgadza się, ale już niedługo. Niedługo będę musiała o niej opowiedzieć. Nie mam wyboru.

Byłam już prawie ubrana, kiedy coś zaszeleściło w liściach rododendronów. Przez chwilę nie widziałam dlaczego, ale po chwili gałęzie się rozstały i cicho wyslizgnął się z nich lis, pobiegł przez wyściełany liśćmi trawnik, a jego złotoruda sierść zaskakująco zalśniła na tle przygaszonych szronem zimowych kolorów.

W okolicach domu moich rodziców występują dość często, ale tutaj rzadko widuje się jakiegos w biały dzień, nie mówiąc już o na tyle śmiałym, by przebiegł po dużym, odsłoniętym trawniku przed domem. Widziałam pomordowane króliki oraz podarte worki, z których lisy wygrzebywały śmieci, jednak prawie nigdy nie były takie bezczelne. Ten musiał być albo bardzo odważny, albo bardzo zdesperowany, skoro zakradał się na widoku, tuż przed domem. Przyjrzałam mu się uważniej i pomyślałam, że może chodzić o ten drugi powód, bo był młody i strasznie chudy.

Sroki w pierwszej chwili go nie zauważyły, ale potem ta jedna na tarasie, czujniejsza od pozostałych, zarejestrowała zbliżającą się do nich sylwetkę drapieżnika i zerwała się z oszronionych płytek jak rakieta, z alarmującym

krzykiem, tym samym dając głośne i wyraźne ostrzeżenie w ten cichy poranek. Po tym lis nie miał już szans. Pozostałe ptaki zrywały się po kolei do lotu, aż została tylko jedna, ta na cisie, bezpieczna poza zasięgiem lisa, a on niczym stopiona strużka złota prześlizgnął się dalej po trawie, przygięty do ziemi, pozostawiając na gałęzi samotną srokę, która wykrzykiwała swoje zwycięstwo.

Jedna. Jedna sroczka smutek wróży. Ale to niemożliwe. Już nigdy nie poczuję smutku, niezależnie od wszystkiego, mimo tej burzy, której się spodziewam. Gdy tak siedzę w salonie, pisząc to, czuję ją – moją tajemnicę – wypalającą mnie od środka z tak silną radością, że chyba czasem musi być widoczna przez skórę.

Zmienię ten wierszyk. Jedna sroczka radość wróży. Jedna sroczka miłość wróży. Jedna sroczka przyszłość wróży.

Rozdział 1

Dziewczyna na wietrze bardziej się pochylała, niż szła. Ponuro ścisnęła pod pachą mokry pakunek z rybą z frytkami, chociaż wichura szarpała papier, usiłując rozwinąć paczkę i rozrzucić jej zawartość po nadmorskim bulwarze, żeby przywłaszczyły ją sobie mewy.

Kiedy przeszła przez ulicę z dłonią zaciśniętą w kieszeni na zgniecionej notatce, zerknęła przez ramię, wypatrując za sobą ciemnej postaci na długim, nieoświetlonym odcinku chodnika, ale nikogo tam nie było. W każdym razie nikogo nie zobaczyła.

Rzadko się zdarzało, by bulwar wyglądał na zupełnie opustoszały. Bary i kluby były otwarte do późna w nocy, a pijani mieszkańcy i turyści wylewali się z nich na żwirową plażę aż do świtu. Jednak tego wieczoru nawet najtwardsi imprezowicze nie zdecydowali się na wyjście i teraz, w ten deszczowy wtorek, pięć minut przed dwudziestą drugą, Hal miała całą promenadę dla siebie, a błyskające światło na molu pozostawało jedynym znakiem życia, jeśli nie liczyć mew nawołujących się i krążących ponad ciemnymi, niespokojnymi wodami kanału.

Krótkie, czarne włosy Hal wpadały jej do oczu, okulary miała zamglone, a usta spękane od soli niesionej morskim wiatrem. Jednak wepchnęła paczkę głębiej pod pachę i skręciła z bulwaru na jedną z wąskich uliczek między wysokimi, białymi domami, gdzie wiatr uderzył ją z taką siłą, że zachwiała się i prawie potknęła. Deszcz nie ustępował; wręcz przeciwnie, z dała od wiatru, gdy skręciła znowu w uliczkę Marine View Villas, zdawał się raczej padać bardziej równomiernie.

Nazwa ulicy kłamała. Zamiast willi z widokiem na morze stał tam niewielki rząd dość zniszczonych szeregowych domów, których farba łuszczyła się pod wpływem nieustannego działania słonego powietrza. Nie było widoku ani na morze, ani na nic innego. Może dawniej, kiedy

stawiano te zabudowania. Ale od tamtej pory wyrosły wyższe, potężniejsze budynki, położone bliżej morza, i z okien Marine View Villas dostrzec można było wyłącznie ceglane ściany i łupkowe dachy – nawet z mieszkania Hal na poddaszu. Teraz jedyną zaletą życia ponad trzema piętrami wąskich, skrzypiących schodów był brak konieczności słuchania tupiących nad głową sąsiadów.

Jednak tego wieczoru sąsiadów najwyraźniej nie było w domu – i to już od jakiegoś czasu, jeśli wnosić po tym, że drzwi zahaczyły o stos reklamowych przesyłek na korytarzu. Hal musiała je mocno pchnąć, aż w końcu się poddały, a ona potknęła się w chłodzie i ciemności i po omacku wcisnęła włącznik światła. Nic się nie wydarzyło. Albo poszły korki, albo żarówka się przepaliła.

Zgarnęła ulotki w słabym świetle wpadającym z ulicy, starając się w ciemności odłożyć listy do innych mieszkańców, a potem zaczęła się wspinać do swojego mieszkania na poddaszu.

Na klatce schodowej nie było okien i kiedy minęła pierwsze piętro, panowała tam niemal zupełna ciemność. Ale Hal znała te schody na pamięć – poczynając od pękniętej deski na półpiętrze, kończąc na luźnym kawałku dywanu, który odstawał na samej górze, więc wspinała się po stopniach ostrożnie, marząc o kolacji i łóżku. Nie była już nawet pewna, czy jest jeszcze głodna, ale ryba z frytkami kosztowała pięć i pół funta, a liczba tych wszystkich rachunków, które ze sobą niosła, jasno wskazywała, że nie mogła sobie pozwolić na to, by pięć i pół funta trafiło do kosza.

Na samej górze pochyliła głowę, żeby nie nakapało na nią z okna dachowego, otworzyła drzwi wejściowe i w końcu znalazła się u siebie.

Jej mieszkanie było małe, składało się tylko z sypialni otwartej na dość szeroką przestrzeń, która służyła za kuchnię, salon i wszystko inne. Też było zniszczone, z łuszczącą się farbą i sfatygowanym dywanem oraz drewnianymi oknami, które jęczały i grzechotały, kiedy wiało od morza. Ale był to dom Hal przez całe jej dwadzieścia jeden lat życia i niezależnie od tego, jaka była zmarznięta i zmęczona, gdy przekraczała jego próg, zawsze poprawiał jej się humor.

Zatrzymała się w drzwiach, żeby zetrzeć słone krople z okularów, otarła je o wystrzępione kolano dzinsów, a potem rzuciła papier z rybą i frytkami na stolik kawowy.

Było bardzo zimno. Trzęsąc się, uklękła przed piecykiem gazowym, przytrzymała gałkę, aż się rozpalili, i wtedy ciepło zaczęło powracać do jej zgrabiących, czerwonych dłoni. Potem rozwinęła wilgotną, ochlapaną deszczem papierową torbę, wdychając ostry zapach soli i octu, który wypełnił małe pomieszczenie.

Nadziała zwiotczałą, ciepłą frytkę na drewniany widelec i zaczęła segregować pocztę, odkładając do recyklingu ulotki z jedzeniem na wynos, a rachunki w stosik. Frytki były słone i ostre, a panierowana ryba nadal gorąca, ale Hal zaczęła odczuwać lekki dyskomfort żołądka, gdy kupka rachunków rosła coraz większa. Nie chodziło tylko o jej rozmiary, dziewczynę martwiły te oznaczone hasłem „OSTATECZNE WEZWANIE DO ZAPŁATY” – odsunęła rybę na bok, bo nagle poczuła mdłości.

Musiata zapłacić czynsz – to nie podlegało żadnym negocjacjom. I prąd też znajdował się wysoko na liście. Bez lodówki czy światła to maleńkie mieszkanko niezbyt nadawałoby się do życia. Jeśli chodzi o gaz... Cóż, kalendarz pokazywał listopad. Bez ogrzewania byłoby niekomfortowo, ale jakoś by przeżyła.

Właściwie to przewróciło jej się w żołądku dopiero na widok listu, który różnił się od oficjalnych rachunków. Tania koperta najwyraźniej została dostarczona osobiście, a z przodu widniał odręczny napis: „Harriet Westerway, mieszkanie na górze”.

Nie było żadnego adresu nadawcy, ale Hal go nie potrzebowała. Przeczuwała, że wie, od kogo przyszedł.

Przełknęła frytkę, bo miała wrażenie, że utknęła jej w gardle, i ukryła tę kopertę na samym spodzie stosu rachunków, z narastającą chęcią schowania głowy w piasek. Gorąco pragnęła mieć możliwość przekazania tego całego problemu komuś starszemu, mądrzejszemu i silniejszemu, kto sobie z nim poradzi.

Ale nikogo takiego nie było. Od pewnego czasu. A poza tym Hal niestrudzenie i z uporem pielęgnowała w sobie odwagę. Może i była niska, drobna, blada oraz młoda – ale nie była już dzieckiem, za które często brali ją inni ludzie. Przestała być tym dzieckiem przed ponad trzema laty.

Odwaga zmusiła ją, żeby z powrotem sięgnąć po kopertę. Przygryzła wargę i rozerwała papier.

W środku znajdowała się tylko jedna kartka, a na niej zaledwie parę wydrukowanych zdań.

Szkoda, że cię nie zastaliśmy. Chcielibyśmy porozmawiać o twojej sytuacji finansowej. Będziemy dzwonić.

Hal skrzywiła się w żołądku i zaczęła szukać w kieszeni kartki, która pojawiła się u niej dziś po południu w pracy. Obie były takie same, jeśli pominąć zagniecenia oraz plamę z herbaty, którą wylała na pierwszą przy otwieraniu.

Ta wiadomość nie była dla Hal niczym nowym. Ignorowała podobne telefony i SMS-y od kilku miesięcy.

Jednak to przekaz kryjący się za tymi notkami sprawiał, że ręce jej się trzęsły, kiedy delikatnie układała je na stoliku kawowym, jedną obok drugiej.

Hal przywykła do czytania między wierszami, potrafiła zauważyć, że równie ważne jak to, co ludzie mówią, jest to, czego *nie* mówią.

To była na swój sposób jej praca. Ale tutaj niewypowiedziane słowa w ogóle nie wymagały rozszyfrowania.

Wiemy, gdzie pracujesz, sugerowały.

Wiemy, gdzie mieszkasz.

I wrócimy.

Reszta poczty to były po prostu śmieci, więc Hal wrzuciła je do kosza na papiery, a potem usiadła ciężko na kanapie. Chwilę opierała głowę na rękach – starała się nie myśleć o swoim niestabilnym saldzie bankowym. Usłyszała głos matki, zupełnie jakby ta stała za nią, prawiąc jej kazanie na temat powtórek do egzaminów. „Hal, wiem, że jesteś zdenerwowana, ale musisz coś jeść! Jesteś za chuda!”

„Wiem” – odpowiedziała w myślach. Zawsze tak się działo, kiedy się czymś martwiła lub niepokoiła – najpierw traciła apetyt. Ale nie mogła sobie pozwolić na chorobę. Jeśli nie będzie w stanie pracować, nikt jej nie zapłaci. A przede wszystkim nie mogła sobie pozwolić na to, żeby zmarnować posiłek, nawet taki, który stygł i robił się coraz bardziej rozmiękły.

Ignorując ból gardła, zmusiła się do sięgnięcia po kolejną frytkę. Właśnie unosiła ją do ust, kiedy zauważyła coś w koszu do segregacji. Jakiś list w sztywnej białej kopercie, ręcznie zaadresowanej i wepchniętej do śmietnika razem z ulotkami restauracji z jedzeniem na wynos.

Hal włożyła tę frytkę do ust, oblizała palce z soli, a potem pochyliła się do kosza, żeby wyjąć kopertę spomiędzy starych papierów i puszek po zupie.

„Panna Harriet Westaway” – głosił napis. „Mieszkanie 3c, Marine View Villas, Brighton”. Na adresie widniało trochę plam z tłuszczu oraz pozostałości śmieci z kosza.

Musiała ją tu wrzucić przypadkiem razem z pustymi kopertami. No cóż, to przynajmniej nie mógł być rachunek. List wyglądał bardziej na zaproszenie ślubne – chociaż mało prawdopodobne, że okazałby się właśnie tym. Hal nie mogła skojarzyć nikogo, kto brałby ślub.

Wsunęła kciuk w szparę z boku koperty i rozerwała ją.

Wyjęła z niej kartkę, która nie była zaproszeniem, tylko listem napisanym na grubym, drogim papierze, na górze znajdowała się nazwa kancelarii prawniczej. Żołądek Hal na chwilę zwinął się w supeł, bo otworzyło się przed nią morze przerażających możliwości. Czy ktoś pozywał ją za coś, co powiedziała podczas czytania? Albo – o Boże – coś z umową najmu. Pan Khan, właściciel, był po siedemdziesiątce i wyprzedał wszystkie pozostałe lokale jeden po drugim. Zatrzymał ten, w którym mieszkała Hal, głównie dlatego, że jej żałował i lubił jej matkę, była tego prawie pewna, ale to zawieszenie nie mogło trwać wiecznie. Pewnego dnia będzie potrzebował pieniędzy na dom opieki albo pokona go cukrzyca i jego dzieci będą musiały dokonać sprzedaży. Nieważne, że ściany łuszczyły się od wilgoci, a prąd wysiadał, jeśli włączyło się jednocześnie suszarkę do włosów i toster. Był to dom – jedyny dom, jaki znała. Gdyby ją wyrzucił, szanse, że znalazłaby inne miejsce w takiej cenie, nie były nikłe, były po prostu zerowe.

Albo może... Ale nie. Niemożliwe, żeby *on* poszedł do prawnika.

Drżały jej palce, kiedy rozkładała kartkę, kiedy jednak zerknęła na dane kontaktowe pod podpisem, zauważyła z ulgą, że nie była to kancelaria z Brighton. Adres prowadził do Penzance w Kornwalii.

Czyli nic związanego z mieszkaniem – dzięki Bogu. I zupełnie nieprawdopodobne, by był to niezadowolony klient, tak daleko od domu. Szczerze mówiąc, nie znała zupełnie nikogo w Penzance.

Przełknęła kolejną frytkę, rozłożyła list na stoliku kawowym, poprawiła okulary na nosie i zaczęła czytać.

Szanowna Pani Westaway!

Piszę zgodnie z wolą mojej klientki, a Pani babci, Hester Mary Westaway zamieszkałej w St. Piran, w posiadłości Trepassen.

Pani Westaway zmarła 22 listopada w swoim domu. Przypuszczam, że ta wiadomość może być dla Pani szokiem, proszę przyjąć moje szczere wyrazy współczucia.

Jako notariusz i wykonawca testamentu pani Westaway mam obowiązek skontaktować się z jej spadkobiercami. Z uwagi na znaczne rozmiary posiadłości konieczne będzie wystąpienie o uwierzytelnienie testamentu oraz wycenę nieruchomości na rzecz zobowiązań podatkowych od spadku, a jego wydatkowanie nie może nastąpić przed tymi czynnościami. Jednak gdyby w międzyczasie mogła mi Pani dostarczyć kopie dwóch dokumentów potwierdzających Pani tożsamość i miejsce zamieszkania (w załączniku lista dopuszczalnych rodzajów dokumentów), będę mógł rozpocząć pracę nad niezbędną dokumentacją.

Zgodnie z życzeniem Pani zmarłej babci mam poinformować spadkobierców o szczegółach jej pogrzebu. Odbędzie się on 1 grudnia o godzinie 16.00 w kościele w St. Piran. Są tu bardzo ograniczone możliwości zakwaterowania, dlatego członkowie rodziny zostali zaproszeni na nocleg w domu Trepassen, gdzie również odbędzie się stypa.

Proszę napisać do gosposi Pani zmarłej babci, jeśli będzie Pani chciała skorzystać z oferty noclegu, a ona zapewni Pani dostępny pokój.

Proszę jeszcze raz przyjąć moje wyrazy współczucia oraz zapewnienie, że zajmę się tą sprawą z najwyższą troską.

Z poważaniem

Robert Treswick

Treswick, Nantes & Dean

Penzance

Frytka wypadła z palców na udo Hal, ale ona ani drgnęła. Siedziała tylko i w kółko czytała krótki list, a potem sięgnęła po listę dopuszczalnych rodzajów dokumentów, jakby to miało coś rozjaśnić.

„Znaczne rozmiary posiadłości... spadkobiercy...” Hal zaburczała w brzuchu, niemal nieświadomie podniosła frytkę i zjadła ją, próbując pojąć sens słów, które widziała przed sobą.

Bo to *nie* miało sensu. Ani trochę. Dziadkowie Hal nie żyli od ponad dwudziestu lat.

Rozdział 2

Hal nie była pewna, jak długo tak siedziała, łamiąc sobie głowę nad tym listem, przenosząc wzrok ze złożonej białej kartki na okno wyszukiwarki w telefonie i z powrotem. Ale kiedy podniosła głowę, zobaczyła zegar na mikrofalówce wskazujący pięć minut przed północą, więc przeciągnęła się, dopiero sobie uświadamiając, że gazowy piecyk przez cały ten czas pracował. Wstała i go wyłączyła, nasłuchując pyknięcia chłodzących się elementów, a w myślach dodała kolejne pięćdziesiąt pensów do rachunku za gaz, który już przed nią leżał. I wtedy jej wzrok padł na stojące na kominku zdjęcie.

Było tam, odkąd pamiętała – przynajmniej dziesięć lat – ale teraz podniosła je i przyjrzała mu się na nowo. Widniała na nim dziewczynka dziewięcio- lub dziesięcioletnia oraz kobieta, stały na plaży w Brighton. Śmiały się, mrużąc oczy na porywistym wietrze, który w identyczny sposób komicznie zawiewał ich długie, ciemne włosy do góry. Kobieta obejmowała dziewczynkę ramieniem, a w ich relacji widać było taką swobodę i zaufanie, że Hal poczuła, jak jej serce ściska ból, do którego już prawie zdążyła się przyzwyczaić przez ostatnie trzy lata, a który jednak nigdy nie znikał.

Tą dziewczynką była Hal – a jednak nią nie była. To nie ta sama dziewczyna, która stała teraz przed kominkiem z ostrzyżonymi na chłopaka włosami, kolczykami w uszach i tatuażami na plecach, wyglądającymi znad wycięcia banalnej koszulki.

Dziewczynka na zdjęciu nie miała potrzeby naznaczać swojej skóry wspomnieniami, ponieważ wszystko, co chciała pamiętać, było tuż koło niej. Nie ubierała się na czarno, bo nie miała niczego do oplakiwania. Nie chodziła ze spuszczoną głową i podniesionym kołnierzem w drodze do

domu, bo nie miała się przed czym ukrywać. Było jej ciepło, była porządnie nakarmiona, a przede wszystkim kochana.

Ryba z frytkami wystygła, Hal zawinęła ją w papier i wepchnęła do kosza w rogu pokoju. Miała wysuszone od soli usta, a za gardło ścisnął ją żal i nagle wydało jej się, że pocieszyłby ją kubek gorącej herbaty przed snem. Zaparzy sobie herbatę, a resztką wody z czajnika napełni termofor, rozgrzeje nim pościel i łatwiej zaśnie.

Czajnik zaszumiał, a Hal zaczęła szperać w szafce nad nim w poszukiwaniu pudełka z herbatą. Jedną jej ręką trafiła na coś innego, zupełnie jakby tego właśnie szukała. Nie na lekkie kartonowe pudełko, ale szklaną butelkę wypełnioną do połowy. Nie musiała jej wyjmować, żeby wiedzieć, co to takiego, ale i tak ją wystawiła, ważąc w dłoni i czując, jak gęsty płyn chlupocze, przelewa się w środku. Wódka.

Ostatnio rzadko piła – nie lubiła za bardzo tej osoby, którą się stawiała z kieliszkiem w dłoni – ale potem kątem oka dostrzegła dwa listy leżące na stoliku kawowym i szybkim ruchem odkręciła zakrętkę, po czym nalała sobie sporą porcję do kubka, w którym chciała parzyć herbatę.

Czajnik zabulgotał, gdy podniosła kubek do ust, wdychając drażniący, trochę zalatujący benzyną zapach i przyglądając się, jak menisk drży w słabym świetle rzucanym przez uliczną latarnię. Przez chwilę wyobraziła sobie ten ostry smak w ustach – ogniste pieczenie, a po nim odrobinę uzależniającą przyjemność. Ale nagle przewróciło jej się w żołądku. Wylała zawartość kubka do zlewu, opłukała go i zaparzyła sobie herbatę.

Niosąc ją do sypialni, zorientowała się ze znużeniem, że zapomniała o termoforze. Ale to nie miało znaczenia. Czuła zbyt wielkie zmęczenie, by się tym przejąć, a herbatą była ciepła i dobra. Hal w ubraniu skuliła się w łóżku, popijając herbatę i wpatrując się w świecący ekran telefonu.

Był to zrzut z Obrazów Google, widniała na nim ręcznie malowana kartka pocztowa może z lat 30. XX wieku, a na niej wiejski dom. Miał długi fronton z kremowego kamienia, okna w stylu georgiańskim, spowijał go bluszcz. Z dachu krytego łupkami wystawał tuzin lub więcej kominów, każdy z innej parafii. Z tyłu rozciągała się pozostała część domu, wyglądała na zbudowaną z czerwonej cegły i w innym stylu. Budynek okalał opadający ze wzgórza trawnik, a pod obrazkiem znajdował się odręczny napis: „Przed odjazdem do Penzance zjedliśmy bardzo dobry podwieczorek w domu Trepassen”.

To był dom Trepassen. *To* był dom Trepassen. Nie skromny parterowy domek czy wiktoriańska szeregówka z pretensjonalną nazwą. Tylko autentyczna wiejska posiadłość.

Gdyby miała udział, choćby najmniejszy, w takim miejscu, wystarczyłby jej to na znacznie więcej niż opłacenie rachunków. Hal mogłaby odzyskać zabezpieczenie, które straciła po śmierci matki. Nawet sto funtów pozwoliłoby jej odetchnąć swobodniej, niż mogła w ostatnich miesiącach.

Zegar na górze ekranu pokazywał wpół do pierwszej i Hal wiedziała, że powinna iść spać, ale nie odłożyła telefonu.

Zamiast tego siedziała na łóżku w okularach zaparowanych od herbaty, szukała, przewijała i czuła, jak rozlewa się w niej dziwna mieszanka emocji, ogrzewając ją bardziej niż sama herbata.

Przejęcie? Tak.

Obawa – też, całkiem spora.

Ale przede wszystkim coś, czego nie odważyła się czuć od wielu lat. Nadzieja.

Rozdział 3

Następnego dnia Hal późno się obudziła. Słońce było już wysoko na niebie, jego promienie wpadały skośnie przez zasłony w sypialni, a ona leżała nieruchomo, czuła w żołądku kamień składający się z przejęcia i strachu, więc spróbowała sobie przypomnieć, skąd się wzięła.

Kiedy jej się to udało, poczuła się, jakby dostała pięścią w brzuch.

Strach wywoływał ten stos rachunków na stoliku kawowym – i gorsze od rachunków te dwa listy, dostarczone osobiście...

Ale przejęcie...

Cały poprzedni wieczór spędziła na wybijaniu tego sobie z głowy. Nie miała żadnej gwarancji, że Hester Westaway rzeczywiście posiadała ten ogromny, rozległy budynek z pocztówki, nawet jeśli faktycznie tam mieszkała. W tych czasach ludzie po prostu nie mieli takich domów. Zmarła tam, ale to nie znaczyło, że do niej należał. Najprawdopodobniej był to teraz dom spokojnej starości.

„Ale ta gosposia” – szeptał jej głos w tyle głowy. „I to zdanie o czekającym na ciebie pokoju. Chyba nie napisaliby tak o domu spokojnej starości?”

– To bez znaczenia – odezwała się i ją samą zaskoczył dźwięk własnego głosu w cichym mieszkaniu.

Wstała, wygładziła dłonią pogniecione ubranie, a następnie sięgnęła po okulary. Umieściła je na nosie i przyjrzała się surowo swojemu odbiciu w lustrze.

To bez znaczenia, czy Hester Westaway posiadała pokój, skrzydło budynku czy domek w ogrodzie, czy cały ten pieprzony budynek. Najwyraźniej zaszła tu jakaś pomyłka. Ona nie była babcią Hal. Te pieniądze należały do kogoś innego, i tyle.

Jutro odpisze i wyjaśni to Treswickowi.

Ale dzisiaj... Hal zerknęła na zegarek i pokręciła głową. Dzisiaj ledwo zdąży wziąć prysznic. Było dwadzieścia po jedenastej, już prawie spóźniła się do pracy.

Stała pod prysznicem, gorąca woda uderzała w jej głowę, wywołując myśli na wszelkie inne tematy, kiedy tamten głos szepnął jej znowu, przebijając się przez szum:

„A jeśli to prawda? W końcu to do ciebie napisali. Mają twoje nazwisko i adres”.

Tylko że to nie była prawda, nie ma tu nic więcej do dopowiedzenia. Jedyni dziadkowie Hal zmarli wiele lat wcześniej, przed jej narodzinami. A jej babcia nie miała na imię Hester, tylko... Marion?

„Może Marion to było jej drugie imię. Przecież ludzie tak robią. Jednego imienia używają na co dzień, a innego w dokumentach. Co, jeśli...”

Zamknij się, powiedziała sobie w duchu Hal. Po prostu się zamknij. Wiesz, że to nieprawda. Próbujesz się przekonać, bo *chcesz*, żeby to była prawda.

Ten głos nadal jednak męczył ją w głowie i w końcu, bardziej starając się przekonać samą siebie, Hal wyłączyła prysznic, okręciła się ręcznikiem i poszła do sypialni. Wyjęła spod łóżka ciężkie drewniane pudełko – skrzywiła się w odpowiedzi na zgrzyt kółek na drewnianym parkiecie i miała nadzieję, że sąsiedzi z dołu nie postanowili sobie tego dnia dłużej pospać.

W środku znajdowało się składowisko ważnych dokumentów: ubezpieczenie, umowa najmu mieszkania, rachunki, paszport... Hal przeczesywała kolejne warstwy, czując się jak archeolog własnej historii. Licencja telewizyjna; rachunek za ten raz, kiedy pękła rura na strychu; dalej dane niosące wyłącznie ból – akt zgonu matki, kopia testamentu, policyjne sprawozdanie, nigdy więcej nieużywane prawo jazdy. Pod tym wszystkim leżał welon złożony w równy kwadrat – cienki, czarny tiul, wysadzany na brzegach drobinkami czarnych kamieni.

Odkładając go na bok, Hal poczuła gułę w gardle. Odgoniła gorzkie wspomnienia i sięgnęła po starsze rzeczy pod spodem – dokumenty, które matka zdecydowała się zachować, uporządkowane staranniej od tych chaotycznie upchniętych przez córkę. Leżała tam koperta ze świadectwami Hal, program szkolnej akademii, w której wystąpiła, oraz zdjęcie, na którym nieśmiało pozowała z dawnym chłopakiem.

I w końcu znalazła plastikową teczkę podpisaną starannym pismem matki: „Ważne – akty urodzenia”, a w niej dwa czerwono-kremowe dokumenty, wypisane ręcznie i opatrzone na górze przesadnie ozdobnym herbem z koroną. „Poświadczony odpis aktu urodzenia” – przeczytała na górze kartki. Najpierw Hal: „Harriet Margarida Westaway, urodzona 25 maja 1995 roku, matka: Margarida Westaway; zawód: studentka”.

Miejsce dla „ojca” pozostawiono puste, okienko przekreślono stanowczo, jak gdyby chcąc kogoś powstrzymać przed dodawaniem własnych teorii.

I dalej, pod spodem, starszy, bardziej pomarszczony dokument: „Margarida Westaway”. Jej matka. Hal przeskoczyła wzrokiem do rubryki „rodzice” – „ojciec: William Howard Rainer Westaway; zawód: księgowy” a pod nim „matka: Marion Rainer Westaway; nazwisko panieńskie: Brown”. Przy babci nie podano żadnego zawodu.

A więc tak.

Nie zdawała sobie nawet sprawy, jak mocno się łudziła, dopóki w tym momencie nie zeszło z niej powietrze. Niepewne nadzieje na spłatę długu i zabezpieczenie finansowe skurczyły się jak przekłuty balonik.

„Pokażna posiadłość...” – szeptał kusząco głos w jej uchu. „Spadkobiercy testamentu... członkowie rodziny...”

„Jest jeszcze twój ojciec” – szepnął znowu głośno podczas ubierania się. „Wiesz przecież, że masz inną babcię”. Hal z goryczą pokręciła głową na tę myśl. Jeśli podświadomość potrafi człowieka oszukać, jej właśnie to zrobiła.

Przez lata snuła fantazje o swoim ojcu, opowiadając coraz bardziej złożone historie koleżankom w szkole, aby ukryć własną niewiedzę i gniew na matkę za to, że tak mało jej o nim powiedziała. Był pilotem, który spadł do morza po wypadku samolotu. Tajniakiem, którego przełożeni zmusili do powrotu do prawdziwego życia. Celebrytą, którego nazwiska nie można ujawnić, bo ścigałyby ich tabloidy i zniszczyłyby mu życie.

W końcu, kiedy te plotki dosięgły uszu nauczycieli, ktoś powiadomił matkę Hal, a ona wzięła córkę na bok i delikatnie wyznała jej prawdę.

Ojciec Hal był przygodą na jedną noc – mężczyzną, którego jej matka poznała w klubie w Brighton, a po raz pierwszy i ostatni przespała się z nim tego samego wieczoru. Miał hiszpański akcent i to wszystko, co matka Hal o nim wiedziała.

– Nie wiedziałaś nawet, jak miał na *imię*? – spytała z niedowierzaniem Hal, a jej matka przygryzła wargę i pokręciła głową. Jej policzki oblały się szkarłatem. Hal jeszcze nigdy nie widziała jej tak zawstydzonej.

Powiedziała, że bardzo jej przykro. Nie chciała, żeby Hal dowiedziała się w ten sposób, ale *musiała* jej to uświadomić, by powstrzymać ją od opowiadania tych... Matka tu przerwała, zbyt delikatna, żeby użyć tego słowa, które miała na końcu języka, ale nawet w wieku siedmiu lat Hal była na tyle spostrzegawcza i wnikliwa, by się domyślić, czego mama nie wypowiedziała na głos.

Tych kłamstw. Prawda przedstawiała się tak, że jej ojciec nie był nikim wyjątkowym. Co robił, gdzie teraz mieszkał – nie miała pojęcia i prawdopodobnie nigdy się nie dowie. Możliwe, że wrócił do Hiszpanii lub Meksyku, czy skąd tam pochodził. Ale jednej rzeczy była pewna – nie mógł się nazywać Westaway.

Nie wiedziała, skąd się wzięła ta pomyłka, ale nie stąd. Jednak to była pomyłka. Gdzieś splątały się tropy. Może istniała jakaś inna Harriet Westaway, w innym mieście, której zgodnie z prawem należały się te pieniądze. A może stało się tak, jak w tych programach o łowcach spadkobierców, kiedy umiera ktoś bez prawdziwej rodziny i jego pieniądze przepadłyby, gdyby prawnicy nie wysłędzili jakiegoś krewnego, choćby dalekiego, by zgarnąć tę sumę.

Niezależnie od tego, jak wyglądała prawda, te pieniądze do niej nie należały i nie mogła się po nie zgłosić. A głos w jej głowie miał na to żadnej odpowiedzi.

Hal w pośpiechu wepchnęła dokumenty z powrotem pod łóżko i ubrała się. Najwyraźniej zaginęła jej szczotka do włosów, ale przeczesała się, jak tylko dała radę, palcami i rzuciła na siebie okiem w lustrze przy drzwiach wyjściowych. Twarz miała jeszcze bledszą i wymizerowaną niż zwykle, a oklapłe, wilgotne kosmyki czarnych włosów sprawiały, że przypominała statystkę z *Olivera Twista*. Pomógłby jej jakiś makijaż, ale to nie było zbyttnio w jej stylu.

Jednak kiedy włożyła płaszcz, nadal wilgotny po poprzednim wieczorze, głos w głowie pisał jej jeszcze ostatnią uwagę. „Wiesz, możesz się zgłosić po te pieniądze. Niewielu by się na to zdecydowało, ale jeśli komuś może się coś takiego udać, to właśnie tobie”.

Zamknij się, rzuciła w duchu Hal, zgrzytając zębami. Zamknij. Się.

Ale nie powiedziała tak dlatego, że w to nie wierzyła.

Powiedziała tak, bo to była prawda.

1 grudnia 1994

Dzisiaj jest pierwszy dzień adwentu i atmosfera powinna sprzyjać nowym początkom oraz odliczaniu do doniosłych wydarzeń, ale zamiast tego obudziłam się przepełniona jakimś nieokreślonym strachem.

Od ponad tygodnia nie wróżyłam z kart. Nie czułam potrzeby, ale dzisiaj, kiedy usiadłam przy biurku koło okna, z puchową kołdrą na ramionach, poczułam, jak świerzbią mnie palce, i pomyślałam, że tasowanie może mnie uspokoić. Ale dopiero kiedy spędziłam pewien czas na układaniu, tasowaniu i różnych rozdaniach – wszystkich niewłaściwych – zrozumiałam, co muszę zrobić.

Nie miałam w pokoju świeczek, więc zabrałam jedną z dużego mosiężnego świecznika na kominku w jadalni, a do tego pudełko zapalek z kominka. Włożyłam zapalki do kieszeni, ale świeca była zbyt długa, więc wsunęłam ją do rękawa swojego kardiganu, na wypadek gdyby ktoś mnie zobaczył na schodach i spytał, co robię.

W swoim pokoju na górze rozłożyłam wszystko na stole – karty, świeczkę i pustą filiżankę. Stopiłam świecę trochę u podstawy i przytwierdziłam ją do filiżanki, żeby stabilnie stała, po czym ją zapaliłam i trzy razy przesunęłam kartami tarota przez płomień.

Kiedy skończyłam, zdmuchnęłam świeczkę i po prostu usiadłam, wyglądając przez okno na zaśnieżony trawnik i ważąc karty w dłoni. Wydawały się... inne. Lżejsze. Jakby wszystkie wątpliwości oraz złe przeczucia się wypaliły. I wiedziałam, co zrobić. Rozłożyłam Wielkie Arkana grzbietem do góry na biurku, wybrałam trzy karty i ułożyłam je przed sobą w wachlarzu. Przeszłość. Teraźniejszość. Przyszłość. W głowie kłębiły mi się pytania, ale spróbowałam oczyścić umysł – żeby skupić się tylko na jednej rzeczy, nie na pytaniu, tylko na odpowiedzi rozwijającej się w głębi mojego ciała.

Potem odwróciłam karty.

Pierwsza, ta wskazująca przeszłość, pokazała prosto Kochanków – na co się uśmiechnęłam. Częstym błędem w tarocie bywa najbardziej oczywiste odczytanie karty, ale tutaj jakoś wydawało się ono właściwe. W mojej talii na tej karcie widnieją spleceni nagi mężczyzna i kobieta, w otoczeniu kwiatów, jego dłoń spoczywa na jej piersi, a oboje są skąpani w świetle spływającym z góry. Uwielbiam

tę kartę – lubię jej się przyglądać i ją wyciągać – ale słowa, które przynosi, nie zawsze są pozytywne: żądza, pokusa, bezbronność. Jednak w tym przypadku, po oczyszczeniu ogniem, widziałam tylko najprostsze znaczenie – zakochanych mężczyznę i kobietę.

Kolejną kartą, którą odwróciłam, był Głupiec – ale do góry nogami. Nie spodziewałam się tego. Nowe początki, nowe życie – i tym podobne, tak. Ale odwrócony? Naiwność. Głupota. Brak przezorności. Poczulałam, jak mój uśmiech błędnie, odsunęłam tę kartę od siebie i sięgnęłam po trzecią i najważniejszą – przyszłość.

To była znowu odwrócona karta i poczułam, że trochę mnie ścisną w żołądku, po raz pierwszy żałowałam, że zaczęłam to czytanie, a przynajmniej mogłam nie robić tego teraz, dzisiaj. Znam swoją talię zbyt dobrze, nie musiałam obracać obrazka prosto, a mimo wszystko przyglądałam mu się świeżym okiem, widząc go jakby od nowa, do góry nogami. Sprawiedliwość. Kobieta siedząca na tronie z poważną miną, jakby świadoma swojej odpowiedzialności. W lewej dłoni waga, a w prawej miecz, gotowy wymierzyć sprawiedliwość lub okazać łaskę.

Spędziłam długi czas na przyglądaniu się kobiecie na tronie, próbując zrozumieć, co chce mi przekazać, i nadal, kiedy piszę te słowa, nie wiem. Miałam nadzieję, że pisanie w dzienniku rozjaśni mi, co próbowały mi powiedzieć te karty, a tymczasem mam tylko mętlik w głowie. Nieszczerość? Czy to może być prawda? A może źle to odczytuję? Siedząc tutaj, przeszukuję wszystkie inne, głębsze, subtelniejsze znaczenia: gotowość, by dać się oszukać; pułapki widzenia świata czarno-białym; błędne założenia – i żadne z nich mnie nie uspokaja.

Myślałam o tej ostatniej karcie przez cały dzień – o przyszłości. I nadal nie rozumiem. Żałuję, że nie mam nikogo, z kim mogłabym o tym porozmawiać, omówić to. Ale wiem już, co Maud myśli na temat tarota. Stek bzdur – powiedziała, kiedy zaproponowałam, że jej postawię. A kiedy w końcu uległa, to z prychnięciem i cyniczną miną. Widziałam myśli wypisane na jej twarzy, kiedy obróciłam wybrane przez nią karty i spytałam, na jakie pytanie szuka odpowiedzi.

– Skoro jesteś taką zajebistą jasnowidzką, to chyba powinnaś wiedzieć? – odparła i stuknęła w kartę palcem, a ja pokręciłam głową, próbując ukryć zniecierpliwienie. Wyjaśniłam jej, że tarot to nie są żadne imprezowe sztuczki ani tani mentalizm uprawiany w telewizji przez głupich magików w sobotnie wieczory: odgadywanie drugich imion dzwoniących osób albo grawerów na zegarkach. To coś większego, głębszego, bardziej prawdziwego.

Po tamtym czytaniu oczyściłam talię. Było mi przykro – nie tylko dlatego, że dotykała moich kart, lecz także dlatego, że zrobiła to pełna pogardy. Ale teraz, wspominając tamten dzień, zdałam sobie z czegoś sprawę. Kiedy Maud obróciła kartę przyszłości, powiedziałam jej coś innego, coś, o czym powinnam pamiętać dzisiaj, i coś, co daje mi pocieszenie. To było: karty nie przepowiadają przyszłości.

Mogą nam tylko pokazać, co wyniknie z danej sytuacji, w oparciu o energię, którą wkładamy w odczytanie. Innego dnia, w innym nastroju, przy innym układzie energii to samo pytanie może otrzymać zupełnie inną odpowiedź.

Mamy wolną wolę. Odpowiedź, którą dają karty, potrafi nas zawrócić z obranej ścieżki. Muszę tylko zrozumieć, co takiego one chcą mi powiedzieć.

Rozdział 4

Było już prawie południe, kiedy Hal pędziła wzdłuż wybrzeża, otulając się kurtką przed przenikliwym wiatrem. Był ostry jak nóż, sprawiał, że pierzchły jej twarz i palce, szczypał ją w skórę na kolanach tam, gdzie miała rozdarte džinsy.

Kiedy wcisnęła przycisk przy przejściu dla pieszych, znowu poczuła te motylki w brzuchu. Podniecenie. Obawa. Nadzieja...

Nie. Nie nadzieja. Nie było sensu żywić nadziei. Dokumenty w pudełku matki położyły jej kres. Nie ma mowy, żeby to była prawda. Gdyby zgłosiła się po te pieniądze, to byłoby... Cóż, nie ma sensu unikać prawdy na temat tego, co rozważała. To byłoby oszustwo. Tak po prostu. Przystępstwo.

„Jeśli komukolwiek mogłoby się udać, to tobie”.

Nie mogła się opędzić od tej zdradzieckiej myśli, kiedy przechodziła na drugą stronę ulicy, ale pokręciła głową, próbując ją zignorować. Lecz to było trudne. Bo jeśli ktokolwiek ma takie umiejętności, żeby pojawić się w obcym domu i twierdzić, że zupełnie obca kobieta jest jego babcią, to jest to Hal.

Hal specjalizowała się w zimnym odczycie, była jedną z lepszych. W małej budce przy Zachodnim Molu w Brighton wróżyła, czytała karty i przepowiadała przyszłość. Jednak najlepsza była w tarocie, a ludzie zjeżdżali na jej czytania nawet z Hastings czy z Londynu i wielu z nich jeździło jeszcze wiele razy – po czym wracali do domu i opowiadali przyjaciółom o tajemnicach, które przepowiedziała im Hal, nieznanych do tej pory faktach i poczynionych przez nią przewidywaniach.

Starala się nie myśleć o nich jak o głupcach – ale nimi byli. Nie ci turyści czy dziewczyny na wieczorach panieńskich, które przychodziły pochichotać i chciały tylko zadawać pytania o rozmiar fiuta pana młodego oraz to, jakie są szanse, że pójdzie na całość podczas nocy poślubnej.

Piszczwały i wzdychały, kiedy Hal powtarzała swoje oklepane zwroty – Głupiec na nowy początek, Cesarzowa na kobiecość i płodność, Diabeł na seksualność, Kochankowie na pożądanie i przywiązanie. Czasami wciskała im karty potrzebne, by udzielić satysfakcjonującej odpowiedzi, ponagляjąc je do zadawania pytań i unikając tym samym zniechęcających układów, pełnych Małych Arkanów lub atutów w stylu Śmierci lub Papieża. Ostatecznie jednak tak naprawdę nie miało znaczenia, co pokazały – Hal dopasowywała obrazy do tego, co te kobiety chciały usłyszeć. Przy tym na tyle marszczyła brwi i kręciła głową, że wywoływała pełne podziwu westchnienia, a na koniec dodawała otuchy pannie młodej, poklepując ją po dłoni, gdy ta wyciągała ostateczne wnioski (zawsze wyglądały tak samo: szczęście i miłość, choć mogą nastać trudne chwile – nawet w przypadku najmniej obiecujących par).

Jeśli o nie chodzi, to Hal nie przeszkadzało, że je oszukuje. Nie to co innych. Stałych klientów. Tych, którzy wierzyli, którzy uzbierali piętnaście czy dwadzieścia funtów i przychodzili znowu, oczekując odpowiedzi, których Hal nie mogła im dać, nie dlatego, że nie wiedziała, czego oczekiwali – lecz dlatego, że nie mogła się zdobyć na okłamywanie ich.

Oni też byli najłatwiejsi. Ci, którzy się umawiali – podawali jej prawdziwe nazwiska oraz numery telefonów, więc mogła ich wyszukać w Google oraz na Facebooku. Nawet klienci wchodzący prosto z ulicy zdradzali wiele informacji – Hal potrafiła odgadnąć ich wiek oraz status materialny; zauważała eleganckie, lecz znoszone buty sugerujące kryzys finansowy lub nową torebkę od projektanta, która świadczyła o czymś przeciwnym. W przyćmionym świetle swojej budki nadal wyraźnie dostrzegała biały ślad po niedawno zdjętej obrączce lub drżące dłonie kogoś, komu zabrakło porannego drinka.

Czasem nawet nie zdawała sobie na początku sprawy, *skąd* wie – i wtedy czuła się tak, jakby karty naprawdę do niej przemówiły.

– Widzę, że spotkało panią rozczarowanie – mówiła. – Czy to miało związek z... dzieckiem? – A kobiecie oczy zachodziły łzami, kiwała głową i nim zdołała się powstrzymać, roztaczała opowieść o poronieniu, martwym urodzeniu, bezpłodności. I dopiero później Hal myślała: „skąd ja to wiedziałam?”. Wtedy przypominała sobie, że kiedy po nią wyszła, ta kobieta patrzyła przez okno w poczekalni na inną kobietę, spacerującą z niemowlakiem w chuście i maluchem z buzią ubrudzoną watą cukrową. Ten zbolwały wyraz twarzy, on dotarł do Hal dopiero wtedy.

Potem czuła się nieswojo i czasami nawet oddawała pieniądze, tłumacząc klientom, że karty powiedziały jej, iż zapłata przyniosłaby im pecha. Najwyraźniej to tylko zwiększało ich zapał i sprawiało, że tym chętniej wracali z kolejnymi banknotami w dłoni.

Jednak zazwyczaj Hal lubiła swoją pracę. Lubiła hałaśliwe, pijane dziewczyny z wieczorów panieńskich. Lubiła nawet kawalerów, którzy przychodzili rozwrzeszczani i sceptyczni, rzucając dwuznacznymi żarcikami na temat głaskania ich szklanych kulek. Czuła też, że w jakiś niewielki sposób pomaga niektórym bardziej bezradnym klientom – nie mówiła im tylko tego, co chcieli usłyszeć; mówiła im też to, co powinni wiedzieć. Że prawdy nie odnajdą na dnie butelki. Że narkotyki to nie rozwiązanie. Że lepiej zostawić tego mężczyznę, który odpowiada za siniaki wystające zza dekoltu bluzki.

Była tańsza od terapeuty i postępowwała bardziej etycznie od wielu magików, którzy wtykali ludziom swoje wizytówki pod drzwi, obiecując, że wyleczą nieuleczalne choroby kryształami, albo proponując kontakt z nieżyjącymi ukochanymi i dziećmi – oczywiście nie za darmo...

Hal nigdy nie składała takich obietnic. Kręciła głową, kiedy klienci pytali, czy może się skontaktować z Davidem, Fabien lub malutką Corą. Nie siedziała w branży seansów spirytystycznych, żerujących na smutku dostrzegalnym gołym okiem.

– Karty nie przepowiadają przyszłości – powtarzała w kółko, zabezpieczając się przez tym, że wszystko nieuniknienie potoczy się inaczej, ale mówiąc im też to, co musieli wiedzieć: że nie ma pewnych odpowiedzi. – Pokazują tylko, co może się wydarzyć, na podstawie energii, którą przyniosła dziś pani ze sobą na czytanie. Są przewodnikami, który wskaże drogę do działania, nie więzieniem.

Szczerze mówiąc, niezależnie od tego, jak bardzo ich przekonywała, ludzie lubili tarota za to, że dawał im iluzję kontroli, iluzję sił sterujących ich życiem, ochronę przed bezsensowną przypadkowością losu. Ale lubili też Hal, bo była dobra w swojej pracy. Potrafiła snuć historie z obrazów, które odsłaniali przed nią klienci, umiała słuchać o ich bólu, wątpliwościach i nadziejach, a przede wszystkim znała się na *odczytywaniu* ludzi.

Zawsze była nieśmiała, małomówna przy obcych, źle się czuła w swoim hałaśliwym gimnazjum, ale przez te wszystkie lata spędzone na chłodnym wycofaniu i obserwacji innych nie zdawała sobie sprawy, że doprowadza

do perfekcji swoją odrębność i zdobywa umiejętności, które pewnego dnia dadzą jej pracę. Przyglądała się różnym wcieleniom, jakie prezentowali ludzie, oznakom wskazującym, że się denerwują, że mają na coś nadzieję albo próbują uciec przed prawdą. Odkrywała, że najważniejsze informacje kryją się w tym, czego ludzie *nie mówią*, i nauczyła się odczytywać te sekrety ukrywane na widoku – w gestach, w ubraniach oraz grymasach przebiegających przez ich twarze, kiedy myśleli, że nikt ich nie obserwuje.

W przeciwieństwie do większości swoich klientów Hal nie wierzyła, że karty w jej kieszeni mają jakąkolwiek mistyczną siłę, tylko ona sama potrafiła odkrywać to, czego ludzie nie przyznają nawet przed sobą.

Ale teraz, kiedy szybko przemierzała molo, wdychając zapach ryby z frytkami niesiony przez morski wiatr, przyprawiający ją o burczenie w brzuchu, przyłapała się na tym, że się zastanawia. Gdyby wierzyła... *gdyby* wierzyła... co powiedziałyby karty o domu Trepassen... o kobiecie, która nie była jej babcią... o stojącym przed nią wyborze? Nie miała pojęcia.

Rozdział 5

– Cześć, słodziaku!

– Cześć, Reg – odparła Hal. Przesunęła pięćdziesięciopensówkę po ladzie budki Rega. – Poproszę kubek herbaty.

– No pewnie. Zimno dzisiaj jak w psiarni. Już. Proszę bardzo. Kubeczek rosie... – mruknął do siebie, wrzucając torebkę herbaty do spękanego białego kubka. – Kubeczek... rosie dla mojej ulubionej papużki.

Papużki – dziewczuszki.

Reg nie pochodził z Brighton, tylko z Londynu i ubarwiał rozmowę hojną dawką slangowych rymowanek w taki sposób, że Hal nigdy nie była pewna, czy są prawdziwe. Reg na pewno mówił cockneyem – a przynajmniej tak twierdził, bo urodził się przy dźwiękach Bow Bells i dorastał, biegając po ulicach dzielnicy East End. Ale w jego zachowaniu było coś z pantomimy i Hal przypuszczała, że wszystko to składało się na tak lubianą przez turystów paplaninę. Przebieraniec gadający cockneyem, sprzedający tartaletki z melasą i kubki herbaty Rosie Lee.

Teraz przyglądał się warnikowi ze zmarszczonymi brwiami.

– Cholerny warnik znowu się wygłupia. Chyba mu kabel nie styka. Znajdziesz dziesięć minut, Hal?

– Nie bardzo. – Zerknęła na zegarek. – Miałam otworzyć o dwunastej.

– A tam, nie przejmuj się tym. Po twojej stronie nikogo jeszcze nie ma, widziałbym, gdyby przechodzili. A Chalky na razie się nie zjawił, więc nie musisz się nim przejmować. Wejź do środka i sobie siądź.

Otworzył drzwi budki i skinął na Hal. Pochyliła się i weszła.

Chalky to pan White, menadżer mola. Hal miała własną działalność i do pewnego stopnia sama ustalała sobie godziny pracy, ale pan White lubił, żeby budki były otwarte przez większość poranka. Mawiał, że nie ma nic bardziej przygnębiającego od mola zamkniętego na cztery spusty.

Zachodnie Molo i tak musiało starać się bardziej niż jego brat bliźniak, Palace, żeby przyciągnąć klientów na deptak, a kiedy przychody spadały, jak zawsze w miesiącach zimowych, pan White zwykł na nowo rozliczać wynajem słabo prosperujących budek. Hal w tej chwili za nic nie mogła sobie pozwolić na to, żeby stracić swoje stoisko.

W kiosku Rega było ciepło i mocno pachniało bekonem z grilla. Specjalnością Rega w zimowe miesiące były kanapki z bekonem oraz herbata, a latem lody Mr Whippy i cola w puszkach.

– To zajmie minutkę – obiecał. – A w ogóle, jak się masz, moja droga kumpelko?

– W porządku – odpowiedziała Hal, chociaż to nie była do końca prawda. Te dwie kartki zapisane na maszynie, leżące na stoliku kawowym w domu przyprawiły ją o mdłości i trochę się obawiała, że kolejną kopertę znajdzie dziś rano po otwarciu budki. Gdyby tylko. Gdyby *tylko* list od pana Treswicka był naprawdę skierowany do niej.

Termos znowu się nagrzał, a Hal przyglądała się, jak Reg wprawnie jedną ręką obsługuje kranik i trzyma kubek, a drugą obraca bekon. Z jakiegoś powodu mówienie do tyłu jego odwróconej głowy było łatwiejsze niż twarzą w twarz. Nie musiała patrzeć na troskę w jego oczach.

– Właściwie to... – zaczęła i przełknęła, a potem zmusiła się, żeby mówić dalej. Ale te słowa, które padły, nie były tymi, które zamierzała powiedzieć. – Właściwie to może będzie lepiej niż w porządku. Wczoraj wieczorem dostałam list z wiadomością, że być może odziedziczę tajemniczy majątek.

– Co takiego? – Reg odwrócił się z kubkiem w rękę, na jego twarzy malowało się zdumienie. – Co ty powiedziałaś?

– Wczoraj wieczorem dostałam list. Od notariusza. Twierdzi, że być może należy mi się „pokaźny zapis”.

– Jaja sobie ze mnie robisz? – Brwi Rega uniosły się niemal na wysokość nieistniejącej linii jego włosów. Hal pokręciła głową, a widząc, że mówi poważnie, Reg zrobił to samo i podał jej herbatę.

– Uważaj, kochana. Wszędzie są oszuści. Moja druga połówka dostała kiedyś taki, w którym pisali, że wygrała jakąś wenezuelską loterię czy inne bzdury. Nie przekazuj żadnych pieniędzy. Nie żebym musiał ci o tym mówić. – Mrugnął do niej. – Ty sobie nie dajesz dmuchać w kaszę.

- Nie wydaje mi się, żeby to było oszustwo - odparła szczerze Hal. - Jeśli już, to jakaś pomyłka. Myślę, że mogli mnie pomylić z kimś innym.

- Myślisz, że to tak jak u tych poszukiwaczy: ktoś umarł, a oni próbują namierzyć dawno zaginionych krewnych? - Znowu się zmarszczył, ale tym razem nie ze zmartwienia, bardziej jakby rozwiązywał zagadkę.

- Może - odpowiedziała Hal. Wzruszyła ramionami i ostrożnie napiła się parzącej herbaty. Była gorąca i gorzka, ale dobra. Zimna, lepka wizja listów na stoliku kawowym zaczęła ustępować i wróciły do niej jakieś dawne wspomnienia - tego, jak to było budzić się rano i nie przejmować się każdym rachunkiem, nie myśleć o tym, z czego zapłacić kolejny czynsz, nie obawiać się pukania do drzwi. Boże, co ona by dała, żeby odzyskać takie poczucie bezpieczeństwa...

Poczuła, że coś w niej wzbiera - rodzaj żelaznego postanowienia...

- No cóż - odezwał się w końcu Reg. - Nikt nie potrzebuje czegoś takiego bardziej niż ty, skarbie. Bierz każde pieniądze, jakie ci zaproponują, i zwiewaj, taka moja rada. Bierz kasę i zwiewaj.

Rozdział 6

– Do widzenia – powiedziała Hal, a trzy wstawione dziewczyny wytoczyły się przez drzwi z piskami i śmiechem, po czym ruszyły wzdłuż mola do barów i klubów. – Niech los wam sprzyja – dodała jak zawsze, ale one już nie usłyszały. Zerknęła na zegarek i zorientowała się, że jest już po dwudziestej pierwszej, a molo niedługo będzie się zamykać.

Była zmęczona – właściwie wykończona – i wcześniej tego wieczoru, kiedy czas jej się dłużył, a na molu nie było żadnych gości, przyszło jej do głowy, żeby dać sobie spokój, zgasić neon i wracać do domu. Na szczęście została. Po całym dniu prawie bez klientów koło dziewiętnastej zrobił się mały tłok – dwie koleżanki z pracy przyszły spytać, co powinny zrobić z zastraszającym je szefem, a potem trzy pijane dziewczyny chcące się pośmiać o dwudziestej. Nie zarobiła dużo, ale przy odrobinie szczęścia wystarczy na czynsz w budce za ten tydzień, co i tak było powyżej oczekiwań poza sezonem.

Westchnęła, wyłączyła maleńki grzejnik pod stopami i wstała, żeby zgasić niewielką, podświetlaną reklamę na kiosku.

„Madame Margarida” – obwieszczają ozdobne, kaligrafowane litery. Mimo że ta nazwa tak naprawdę nie pasowała do Hal, bo przywoływała jakąś osobowość w stylu Gypsy Rose Lee, nie miała serca jej zmieniać.

„Specjalizuje się w TAROCIE, czytaniu w myślach i z dłoni” – głosiły mniejsze litery poniżej, chociaż szczerze mówiąc, Hal tak naprawdę nie lubiła wróżenia z ręki. Może to z powodu fizycznego kontaktu, lepkiej wilgoci cudzych spoconych dłoni w jej rękach. A może ze względu na brak rekwizytów; mimo własnego sceptycyzmu uwielbiała bowiem karty tarota jako przedmioty – precyzyjnie narysowane obrazy, ich miękką delikatność.

Teraz jednak, kiedy przekreśliła wyłącznik w budce i na zewnątrz zgasło światło, usłyszała stukanie w szybę. Ścisnęło ją w żołądku i na chwilę zastygła, wstrzymała nawet oddech.

– Czekam tutaj – odezwał się napastliwy kobiecy głos. – Czy pani nie chce klientów?

Hal westchnęła, poczuła, jak schodzi z niej napięcie, i otworzyła drzwi.

– Przepraszam. – Użyła tego spokojnego, profesjonalnego głosu, który w jakiś sposób odnajdywała w sobie, kiedy sięgała po karty. Był trochę pogodny, trochę poważny, niższy od jej własnego, chociaż teraz trudniej niż zwykle było go wydobyć, bo serce nadal jej waliło po nagłym napadzie strachu. – Mogła pani wcześniej zapukać.

– Jakby była pani prawdziwą jasnovidzką, toby pani wiedziała – odparła kobieta z gorzkim triumfem, a Hal powstrzymała kolejne westchnięcie. To będzie jedna z tych.

Zawsze ją zaskakiwało, dlaczego jej budka przyciąga tylu sceptyków. Przecież nikomu nie kazała tu przychodzić. Nie składała żadnych obietnic – nie udawała, że coś leczy, ani nie doradzała żadnych niebezpiecznych zachowań – nie twierdziła nawet, że jej czytania służą czemuś innemu niż odrobina rozrywki. Czy nie było innych ludzi do demaskowania? A jednak przychodzili, zakładali ręce na piersi i zaciskali usta, nie dawali się prowadzić, ponuro cieszyli się każdą porażką, nawet jeśli desperacko pragnęli uwierzyć.

Nie mogła sobie jednak pozwolić na odmówienie klientce.

– Proszę wejść i usiąść, na dworze jest zimno – zaprosiła ją.

Kobieta przysunęła sobie krzesło, ale się nie odezwała. Usiadła tylko, otulona szczelnie płaszczem w jodełkę, z zaciśniętymi spękanyimi ustami i zmrużonymi oczyma.

Hal usiadła przy stole, przysunęła sobie pudełko z kartami tarota i zaczęła wyćwiczony wstęp, którego zawsze używała, kiedy wchodzili do niej z ulicy nowi klienci; kilka ogólnych stwierdzeń dobranych tak, by zachwycić słuchacza własną przenikliwością, odrobina przechwałek, a wszystko to wymieszane z historią tarota w pigułce, w sam raz dla ludzi, którzy niewiele o tym wiedzą i potrzebują kontekstu, by zrozumieć, co się zaraz wydarzy.

Wypowiedziała zaledwie kilka zdań, kiedy kobieta jej przerwała.

– Nie wygląda pani na jasnovidzkę.

Zmierzyła Hal z góry na dół, zauważając postrzępione dzinsy, tunel w kształcie rogu w prawym uchu, tatuaże wystające spod koszulki.

– Myślałam, że będzie miała pani kostium i welon z cholernymi kamyczkami. Jak należy. Napisane jest „Madame Margarida”, a pani nie wygląda na żadną *madame*. Bardziej na dwudziestoletniego chłopaka.

Hal tylko się uśmiechnęła i pokręciła głową, ale te słowa wybiły ją z rytmu i kiedy powróciła do swojej małej przemowy, jej myśli popłynęły do welonu w domu w szufladzie pod łóżkiem, cienkiej czarnej gazy z brzegami obszytymi czarnymi kamyczkami. Potykała się na dobrze znanych sformułowaniach i z ulgą dotarła do końca pogadanki.

W końcu skończyła i dodała jak zawsze:

– Proszę mi powiedzieć, o co chciałby dziś pani zapytać karty?

– Nie powinna pani tego wiedzieć? – odwarknęła kobieta.

– Wyczuwam w pani wiele pytań – odparła Hal, starając się nie okazać zniecierpliwienia. – Ale czasu jest niewiele.

„I chcę iść do domu” – pomyślała, lecz nie powiedziała tego na głos. Zapadła cisza. Wiatr wył w podporach mola, a w oddali Hal słyszała uderzenia o falochron.

– Mam przed sobą wybór – odezwała się w końcu kobieta. Głos miała pełen żalu, jakby ktoś wydusił z niej te słowa. Zawierciła się na krześle, aż zdrzął płomień świecy.

– Tak – odparła ostrożnie Hal; to nie było do końca pytanie. – Wyczuwam, że ma pani przed sobą dwie drogi, które wiją się i zwracają, a pani nie widzi, dokąd prowadzą. Chce pani wiedzieć, którą wybrać.

Innymi słowy, wybór. To było dość żałosne, ale musiało wystarczyć, biorąc pod uwagę, jak mało miała danych. Kobieta pokiwała żałośnie głową.

– Potasuję karty – odezwała się Hal. Otworzyła lakierowane metalowe pudełko, w którym trzymała swoje karty do pracy, i szybko je przetasowała, a potem rozłożyła na stole w szerokim wachlarzu. – A teraz proszę zatrzymać to pytanie, z którym pani do mnie dzisiaj przyszła, i wskazać mi kartę, która do pani przemówi.

Kobieta miała zaciśnięte szczęki, a Hal wyczuwała w niej ogromny zamęt. Cokolwiek przyprowadziło ją tu dzisiejszej nocy, nie było zwykłym pytaniem; przyszła tu wbrew własnej woli, zwróciła się ku czemuś, w co wierzyła wbrew sobie. Kiedy się pochyliła, zza zapiętego kardiganu

wyrzał krzyżyk, a ona nerwowo wskazała kartę, jakby spodziewając się jakiejś pułapki.

– Ta? – upewniła się Hal, wysuwając ją z talii, a kobieta skinęła głową.

Hal położyła ją grzbietem do góry pośrodku stołu i dyskretnie zerknęła na zegarek ustawiony za plecami klientki. Zwykle rozkładała Krzyż Celtyki, ale nie da rady spędzić z tą kobietą pół godziny, kiedy jest zmęczona, zmarznięta i burczy jej w brzuchu. Rozkład z trzech kart to wszystko, co może z siebie dać.

– Ta karta. – Hal dotknęła kartonika wybranego przez kobietę. – Reprezentuje obecną sytuację, problem, o który przyszła dziś pani zapytać. Proszę wybrać jeszcze jedną.

Kobieta wskazała palcem drugą, a Hal położyła ją obok pierwszej, znów grzbietem do góry.

– Ta karta reprezentuje stojące przed panią przeszkody. Teraz proszę wybrać ostatnią.

Kobieta się zawahała i wskazała pierwszą kartę z talii, po lewej stronie wachlarza. Tę ludzie wybierali rzadko; w dość równo rozłożonej talii zwykle sięgali po środkowe, po te najbliższe ich, a nieliczni, ci najbardziej podatni na sugestię, sugerowali się ukrytym wskazaniem „ostatniej” i wybierali kartę po prawej stronie wachlarza, z samego dołu talii.

Hal była zaskoczona, bo to bardzo nietypowe wybrać pierwszą. Pomyślała, że powinna się domyślić. To była osoba przewrotna i przekorna, taka, która robi dokładnie odwrotnie, niż wszyscy się spodziewają.

– Ta ostatnia karta reprezentuje poradę, której udzielają pani karty – wyjaśniła.

Odwróciła pierwszą kartę, a wtedy z przeciwnego końca stołu usłyszała zdławiony dźwięk, dłoń kobiety powędrowała do twarzy, zakryła usta i zdusiła jakieś imię. Hal podniosła wzrok i dostrzegła, że kobieta ma udręczone spojrzenie, szeroko otwarte oczy zaszyły łzami, i nagle zrozumiała. Zrozumiała, dlaczego ta kobieta tu przyszła i co dla niej oznacza obraz widniejący na karcie.

Młody mężczyzna wyruszający z plecakiem w stronę promieni słonecznych był przystojny, uśmiechał się, odwracał ciemną twarz do słońca, a tylko brzeg klifu pod jego stopami sugerował głębsze, mroczniejsze znaczenie tej karty – zapalczywość, naiwność, impulsywność.

- To jest Głupiec - oznajmiła łagodnie Hal, a kiedy kobieta wydała z siebie cichy, urywany szloch i pokiwała głową, niemal wbrew sobie zaczęła objaśniać dalej: - Ale w tarocie nie chodzi o proste znaczenia. Ten Głupiec, choć może symbolizować głupotę, nie zawsze ją oznacza. Czasem ta karta mówi o nowych początkach, czasem o robieniu rzeczy bez zastanowienia się nad tym, jaka ścieżka się kryje za nimi, bez namysłu nad przyszłością.

Kobieta znowu chrapliwie, dławiąco zaszlochała. Powiedziała coś, co brzmiało jak:

- Jego przyszłość! - Tak pełnym gorzkiego niedowierzania tonem, że Hal nie potrafiła się powstrzymać, wyciągnęła do niej dłoń.

- Proszę... Proszę mi wybaczyć... ale czy pytanie dotyczy pani syna?

Kobieta w odpowiedzi się rozplakała, poważnie załamana, a wśród szlochów pokiwała głową i Hal usłyszała wyrzucane słowa - nazwy narkotyków, znane w Brighton kliniki terapeutyczne, wymiana igieł, pieniądze kradzione z torebek, cenne rodowe pamiątki sprzedawane i oddawane pod zastaw, nieprzespane noce w oczekiwaniu na telefon, który nie dzwonił. Historia ukryta pomiędzy udręczonymi szlochami była dość zwyczajna - desperacka walka, by ocalić syna, który nie chciał być ratowany.

Wcześniej powiedziała o wyborze i Hal czuła, jaki to wybór. Teraz żałowała, że w ogóle otworzyła jej drzwi.

Pełna przeczuc odwróciła drugą kartę. To było Koło Fortuny, do góry nogami.

- Druga karta reprezentuje przeciwności stojące przed panią i pani synem. To Koło Fortuny, koło życia. Symbolizuje szczęście i odnowę oraz krąg życia i pokazuje, że doszła pani z synem do przełomowego punktu...

- Kobieta przelotnie zerknęła jej w oczy i niechętnie skinęła głową. - Ale tutaj jest odwrócone, tak nazywamy karty leżące w ten sposób, do góry nogami. Odwrócone Koło Fortuny reprezentuje pecha. To jest przeszkoda, która pojawiła się w pani życiu. Są tu negatywne siły poza pani kontrolą, ale niekoniecznie całkowicie zewnętrzne. Wynikają one z wyborów, których dokonaliśmy w przeszłości, z pani wyborów i oczywiście wyborów pani syna.

- Jego wyborów - powiedziała gorzko kobieta. - Jego wyborów, nie moich. Był dobrym dzieckiem, dopóki nie zaczął się zadawać z tymi

chłopakami w szkole i nie zajął się dilerką. Co miałam robić? Stać obok i patrzeć, jak zetraca się w deprawacji?

Jej oczy przypominały puste dziury w czaszce, czekała na odpowiedź Hal i przygryzła spękaną skórę na ustach. Szarpała ją zębami, aż ukazała się kropelka krwi. Hal pokręciła głową. Nagle bardzo zapragnęła mieć już to za sobą.

- Ostatnia karta reprezentuje możliwy bieg wydarzeń, ale... - Głodne spojrzenie kobiety skłoniło ją do tego, by zaraz pospiesznie dodała: - Należy jednak pamiętać, że to nie jest recepta. Karty nie przewidują przyszłości, nie wskazują zero-jedynkowych rozwiązań. Mówią po prostu, co może danego dnia stanowić rozwiązanie pani problemu. W niektórych sytuacjach trudno o jednoznaczny wynik; czasem możemy tylko pokierować działaniami w taki sposób, by wyrządzić jak najmniej krzywdy.

Odwróciła kartę, a w przygaszonym, drżącym świetle swoją poważną twarz ukazała Papieżyca. Na zewnątrz zerwał się wiatr i Hal usłyszała krzyk mew w oddali.

- Co to znaczy? - spytała kobieta. Cały jej sceptycyzm zniknął, zastąpiła go desperacka chęć otrzymania odpowiedzi. Wpatrywała się w postać na karcie, siedzącą na tronie, z rękoma rozłożonymi w geście błogosławieństwa. - Kim ona jest, jakąś niebiańską boginią?

- W pewnym sensie - odparła powoli Hal. - Niektórzy nazywają ją Persefoną, inni mówią, że to Artemida, bogini polowań. Niektórzy nadają jej jeszcze starsze imiona. Francuzi nazywają ją *la papesse*.

- Ale co ona *znaczy*? - spytała znowu klientka, bardziej nagle. Zaciśnęła palce na nadgarstku Hal niczym szpony, boleśnie mocno, i dziewczyna musiała walczyć z odruchem odsunięcia się.

- Oznacza intuicję - odparła krótko. Wyplątała się z uścisku pod pozorem ułożenia kart w stos, z Papieżycą na wierzchu. - Symbolizuje nieznaną, zarówno to, co nieznaną wewnątrz nas, jak i w przyszłości. Oznacza, że życie się zmienia, a przyszłość jest zawsze niepewna, niezależnie od tego, ile informacji uda się nam zgromadzić.

- Więc co powinnam zrobić? - krzyknęła kobieta. - Nie mogę w kółko przechodzić tego samego, ale co będzie ze mnie za matka, jeśli go wyrzucę?

- Myślę... - Hal przełknęła ślinę i urwała. Nie cierpiała tej części. Nienawidziła, kiedy przychodzili, prosząc ją o odpowiedzi, których nie

mogła im dać. Namysliła się i zaczęła od nowa. – Wie pani co, to bardzo nietypowy układ. – Odwróciła pozostałe karty i rozłożyła je, pokazując proporcje Wielkich i Małych Arkanów; to, że większość talii składa się z kart z liczbami. – Te karty, te ponumerowane, z kolorami... nazywamy je Małymi Arkanami. Oczywiście mają swoje znaczenia, są jednak bardziej... jakby zmienne. Bardziej otwarte na interpretację. Ale pozostałe... – Dotknęła kart wybranych przez klientkę oraz reszty atutów, rozsianych po stosie. – Te symboliczne karty nazywamy Wielkimi Arkanami lub atutami. To statystycznie bardzo nietypowe, żeby otrzymać układ w pełni złożony z atutów, tak jak pani. Po prostu nie ma ich tak wiele w talii. I zmierzam do tego, że w tarocie te karty reprezentują silne wpływy losu, przełomowe punkty w naszym życiu, a kiedy otrzymuje się ich wiele w czytaniu, to znaczy, że sytuacja jest w dużej mierze poza pani wpływem i rozegra się tak, jak zażyczy sobie tego los.

Kobieta nic nie odpowiedziała, przyglądała się tylko Hal tak wygłodniałym wzrokiem, że Hal prawie się jej bała. Jej twarz była zacieniona przy świetle świecy, oczodoły zapadnięte.

– Ostatecznie – dodała łagodnie Hal – musi pani sama zdecydować, co przekazują pani karty, ale ja mam przeczucie, że Papieżyca podpowiada pani, by słuchać własnej intuicji. Zna już pani odpowiedź. Znajduje się ona w pani sercu.

Klientka odsunęła się od Hal i pokiwała głową, bardzo powoli, po czym przygryzła białe, spękane usta.

Wstała, rzuciła na stół pomięty zwitek banknotów i odwróciła się na pięcie. Drzwi kiosku trzasnęły za nią, wpuszczając powiew wiatru, a Hal sięgnęła po pieniądze, wyprostowała je i pokręciła głową, kiedy zobaczyła, ile dostała.

– Proszę zaczekać! – zawołała. – Podbiegła do drzwi i otworzyła je z całą siłą pod wiatr. Wyślizgnęły jej się z palców i uderzyły o bok budki tak mocno, że aż się skrzywiła w obawie o delikatną wiktoriańską szybę, ale zerknęła tylko, czy nic im nie jest, bo nie miała czasu na więcej. Kobieta już zniknęła w oddali.

Zaczęła biec, stopy ślizgały jej się po mokrych deskach.

– *Proszę zaczekać!*

Wiatr się wzmógł, a deszcz wymieszany ze słoną wodą szczypał ją w oczy, kiedy dobiegła do wejścia na molo, gdzie podświetlony znak nad nim rzucał długie, migoczące cienie.

- Chwileczkę, proszę zaczekać! - zawołała w wilgotną ciemność, wypatrując w deszczu ciemnej postaci. - To o wiele za dużo!

Dyszała, ale teraz próbowała uspokoić oddech, nasłuchując dźwięków szybkich kroków w ciemności, nic jednak nie usłyszała pośród ryku morza i bębnienia deszczu.

Promenada była pusta, a kobieta zniknęła w ciemności, jakby sama była deszczem.

Zanim Hal się poddała, była przemoczona i trzęsa się, a banknoty, które nadal ścisnęła w dłoni, szybko rozmiękały w deszczu kapiącym z daszku. Ta kobieta zostawiła sześćdziesiąt funtów. To niedorzeczna kwota - ponad cztery razy więcej, niż Hal zwykle brała za piętnastominutowe czytanie. I za co, za kilka prostych domysłów i powiedzenie jej, żeby wsłuchała się w siebie?

Kręcąc głową, wepchnęła pieniądze do kieszeni. Wciąż się trzęsała. Odwróciła się, by wrócić do budki i ją zamknąć. Kiedy mijała zadaszone wejście, odruchowo wyciągnęła dłoń, żeby poklepać plastikowego psa przewodnika z otworem w głowie do wrzucania drobnych na jakiś cel charytatywny, tak jak robiły to od zawsze setki dzieci. Hal zawsze głaśniała go jako małą dziewczynka, za każdym razem w drodze do mamy. Czasami, jeśli miały trochę więcej pieniędzy, mama pozwalała jej wrzucić funta do otworu na górze. Był to zwyczaj, który próbowała utrzymać, choć ostatnio funty skurczyły się do pięćdziesięciopensówek, a czasem nawet pensów.

Tego wieczoru, z tymi dwoma anonimowymi listami świeżo w pamięci, nie zamierzała niczego wrzucić, ale teraz, przechodząc pod wysoką, wygiętą w łuk bramą, zawahała się i odwróciła.

Pies stał cierpliwie pod niedostateczną ochroną daszku, razem z dwoma innymi pojemnikami na datki, chociaż tamte nie były tak popularne wśród dzieci. Jednym z nich był statek na dźwigu na Royal National Lifeboat Institute, a drugim ogromny łód w wafelku z napisem: „Wspieraj organizację wybraną przez Zachodnie Molo! W tym miesiącu przekazujemy donacje dla:” i miejsce na aktualny cel.

Teraz Hal schyliła się, żeby spojrzeć na mokry kawałek papieru, który tam wsunięto. Litery były trudne do odczytania, bo za plastik dostały się deszcz lub woda morska i atrament się rozpuścił, ale Hal zdołała je przeczytać. „The Lighthouse Project - resocjalizacja narkomanii w Brighton i Hove”. Wymacała w kieszeni garść mokrych banknotów,

które zostawiła jej klientka, i pomyślała o stosie wezwań do zapłaty na stoliku kawowym oraz liściku wsuniętym pod drzwi kiosku.

Dłoń jej drżała, kiedy policzyła banknoty, a potem jeden po drugim wsunęła przez otwór w plastikowym lodzie; próbowała nie myśleć o butach, które mogła za nie kupić, rachunkach, które mogłaby opłacić, oraz ciepłych obiadach, na które by wystarczyły.

W końcu ostatni banknot wpadł przez otwór. Kiedy się oddaliła, wafelek rozświetlił się; jego jasny, pastelowy blask rzucał za nią długi cień w wieczornej ulewie.

Rozdział 7

Hal drżała w drodze powrotnej do swojej budki. Żałowała, że nie zabrała płaszcza w ten pościg na oślep za klientką. Teraz była przemoczona do suchej nitki i będzie musiała iść do domu pieszo, w zimnych, mokrych ciuchach, dodatkowo zmarnuje jeszcze więcej pieniędzy na gaz, próbując się ogrzać przed spaniem.

Szła ostrożnie, omijając połamane deski i czując pod stopami śliskie od deszczu drewno. W blasku niewielu palących się nadal świateł błyszcząły kałuże. Nie było jeszcze dwudziestej drugiej, ale na molu już prawie wszystko się pozamykało – sala balowa, budka z herbatą Rega, nawet stoiska z watą cukrową miały opuszczone wewnętrzne rolety. „W środku nie przechowuje się gotówki” – głosił znak, chociaż gdyby Hal nie widziała go wcześniej setki razy, byłoby jej trudno go odczytać, bo pojedyncze snopy światła tańczyły na porywistym wietrze i rzucały na wszystko szalone, chwiejne cienie. Molo nie zamykało się na zimę – robiono tak kiedyś, ale teraz działało przez cały rok, podobnie jak jego brat bliźniak po drugiej stronie plaży – a jednak koniec sezonu sprawiał, że czuło się coś jak zbliżający się schyłek, a Hal westchnęła na myśl o nadchodzących długich, zimowych dniach. Teraz jednak zastanawiała się, czy stać ją, żeby dalej tak pracować. A jeśli nie, to jaki ma wybór?

Kiedy wróciła do kiosku, drzwi były zamknięte, choć nie pamiętała, żeby je za sobą zatrzasnęła. Położyła dłoń na zardzewiałej od soli gałce, przekreśliła ją i wślizgnęła się do ciemnej budki, czując ulgę, kiedy wiatr ustał i otuliły ją resztki ciepła z elektrycznego grzejnika.

– Cześć, skarbie – odezwał się jakiś głos, a na stole włączyła się lampka z czerwonym abażurem.

Hal poczuła, jak krew odplywa jej z twarzy, i serce zaczęło łomotać jej w uszach z takim dźwiękiem, jaki wydają fale rozbijające się na plaży.

Mężczyzna stojący w świetle lampki był bardzo wysoki, postawny i łysy, uśmiechał się, choć nie w przyjemny sposób. Uśmiechał się tak, jak osoba, która lubi straszyć ludzi – a Hal się bała.

– Co... – wykrztusiła, ale głos ją zawiódł. – Co pan tutaj robi?

– Może przyszedłem na czytanie – odparł uprzejmie mężczyzna, jednak jego ręka spoczywała w kieszeni płaszcza i gładziła tam coś w taki sposób, który Hal się nie spodobał. Trochę seplenił, jego słowa gwizdały przez szparę pomiędzy przednimi zębami.

– Już zamknięte – zdołała wydusić, starając się mówić pewnym tonem.

– Ooo, nie bądź taka – odpowiedział z wyrzutem. – Chyba nie odmówisz czytania dawnemu przyjacielowi swojej mamy, co?

Poczuła, że rośnie jej w żołądku jakiś zimny głąz.

– Co pan wie o mojej matce?

– Wypytywałem o ciebie tu i ówdzie. Z przyjacielskiej ciekawości.

– Proszę, żeby pan wyszedł – odparła Hal. W budce znajdował się przycisk alarmowy, ale po przeciwnej stronie, tam, gdzie stał mężczyzna, a poza tym nie wiadomo było, czy strażnik ochrony mola jest w swoim biurze.

Mężczyzna pokręcił głową, a ona poczuła, jak panika wzbiera w niej i ją dławi.

– Powiedziałam: wynoś się!

– No, no – odparł, kręcąc głową. Uśmiech na chwilę zniknął, chociaż nadal było go widać w jego oczach, jakby mężczyzna był rozbawiony strachem, który w niej dostrzegał, oraz tym, jak próbowała go ukryć. Światło lampy odbijało się od jego łysej głowy. – Co by powiedziała twoja mama, gdyby wiedziała, że jej mała dziewczynka w taki sposób traktuje jej dawnego przyjaciela?

– Nie jestem małą dziewczynką – wycedziła przez zaciśnięte zęby. Założyła ręce na piersi, próbując powstrzymać drżenie dłoni. – I w ogóle nie wierzę, że znał pan moją matkę. Czego pan chce?

– Myślę, że wiesz, czego chcemy. Nie powiesz chyba, że nie próbowaliśmy załatwić tego po dobroci. Pan Smith osobiście napisał ten list, o tak. Nie robi tak dla wszystkich swoich klientów.

– Czego pan chce? – powtórzyła lodowato Hal, ale to właściwie nie było pytanie. Wiedziała. Podobnie jak wiedziała, co oznaczał ten list. Mężczyzna znowu pokręcił głową.

– Proszę, panno Westaway. Nie bawmy się w gierki. Przecież znałaś warunki, wiedziałaś, na co się piszesz.

– Spłaciłam te pieniądze trzy-, czterokrotnie. – Hal usłyszała, że jej ton jest już na skraju desperacji. – Boże drogi, proszę. Wie pan, że to zrobiłam. Dałam wam ponad dwa tysiące funtów. A przecież pożyczyłam tylko pięćset.

– Warunki to warunki. Zgodziłaś się na procent. Skoro ci się nie podobał, nie trzeba było się na niego zgadzać.

– Nie miałam wyboru!

Ale mężczyzna znów się tylko uśmiechnął i pokiwał głową.

– Nieładnie, nieładnie. Zawsze mamy wybór, panno Westaway. Wybrałaś pożyczkę od pana Smitha, a on chce ją z powrotem. To nie jest nierozsądny facet. Twój dług wynosi w tej chwili... – Udał, że sprawdza na kartce, którą trzymał w dłoni, chociaż Hal była pewna, że to na pokaz. – Trzy tysiące osiemset dwadzieścia pięć funtów. Ale pan Smith grzecznie zgodził się przyjąć trzy tysiące w gotówce jako ostateczną zapłatę i będziemy kwita.

– Nie mam trzech tysięcy funtów! – Hal poczuła, że podnosi głos, i przełknęła, zmuszając się, żeby przejść od krzyku do jakiegoś rozsądniejszego poziomu.

Powoli.

Usłyszała w głowie głos matki, łagodny i kojący. Pamiętała, jak matka pokazywała jej, jak radzić sobie z trudnymi klientami. „Spraw, by poczuli, że to ty kontrolujesz sytuację, nie oni. Nie pozwól, żeby tylko oni stawiali żądania – pamiętaj, że to ty prowadzisz to czytanie. Ty zadajesz pytania. Ty nadajesz tempo”.

Gdyby tylko to było czytanie. Gdyby tylko ten mężczyzna siedział po drugiej stronie stołu, a między nimi leżały karty... ale tak nie było. Musi sobie poradzić z taką sytuacją, w jakiej się znalazła.

Da radę.

– Proszę posłuchać – odezwała się bardziej rozsądnie. Wzięła drżący wdech, zrezygnowała z defensywnej postawy, zdjęła ręce z piersi i rozprostowała dłonie, żeby zademonstrować szczerą. Zmusiła się nawet do uśmiechu, chociaż wydawał jej się bardziej zastygłym grymasem. – Proszę posłuchać, chcę z tym skończyć podobnie jak pan, a właściwie bardziej. Ale nie mam trzech tysięcy ani żadnego sposobu, by je zdobyć. Równie dobrze mógłby pan zażądać ode mnie księżycy.

Spróbujmy więc coś wypracować, może mogę zaproponować pana szefowi coś akceptowalnego. Pięćdziesiąt funtów tygodniowo?

Nie mogła przestać myśleć o tym, skąd weźmie takie pieniądze. Pięćdziesiąt funtów tygodniowo to kwota, której po prostu nie miała o tej porze roku. Ale może pan Khan pozwoli odroczyć płatność czynszu o miesiąc, a na Boże Narodzenie zawsze był trochę większy ruch w interesie, dzięki firmowym imprezom i wieczornym zakupom. Tak czy inaczej, znajdzie te pieniądze.

– Proszę. – Podeszła do stołu i podniosła lakierowane pudełko z dziennym utargiem, które trzymała na boku. Dłonie tak jej drżały, że niemal nie była w stanie otworzyć kłódki, ale kiedy w końcu się udało i kiedy wyjęła banknoty, zmusiła się, żeby spojrzeć na niego spod rzęs i uśmiechnąć się uśmiechem małej dziewczynki, nieśmiałej i błagającej. Przemawiającej do jego lepszej części, o ile taką miał. – Proszę, tu jest... dwadzieścia... trzydzieści... prawie czterdzieści funtów. Proszę je wziąć na początek.

Nieważne, że jakoś będzie musiała zapłacić Chalky'emu White'owi za wynajęcie kiosku. Nieważne rachunki, czynsz oraz to, że nie miała w domu jedzenia. Wszystko, żeby tylko pozbyć się go z jej budki i kupić sobie trochę czasu.

Ale mężczyzna pokręcił głową.

– Słuchaj, musisz to zrozumieć, gdyby to ode mnie zależało, to bardzo chętnie. Niczego nie lubię bardziej od pomagania młodym dziewczynom takim jak ty, które zostały same na świecie. – Oceniał wzrokiem wnętrze małego kiosku. – Ale to nie zależy ode mnie. A pan Smith uważa, że był już bardzo hojny, a ty nadużyłaś jego hojności. Pan Smith chce swoje pieniądze. I tyle.

– Albo? – spytała Hal, nagle zmęczona tym wszystkim. Schowała banknoty do kieszeni i w środku, bardzo głęboko, poczuła, jak rozpała się w niej złość; jej pewne ciepło zaczęło zastępować chłodny strach. – Co zrobi? Zabierze moją własność? Nie mam nic do zaoferowania. Możecie sprzedać wszystko, co posiadam, i nie uzbiera się trzech tysięcy. Pójdziemy do sądu? Niczego nie podpisałam, nie macie niczego prócz słowa przeciwko słowu. A może zgłosi to na policję? W sumie... – Przerwała, jakby ten pomysł dopiero co przyszedł jej do głowy. – Tak, to jest jakiś pomysł. Może *powinien*. Pewnie zainteresuje ich, w jaki sposób udziela pożyczek.

To zmiotło uśmiech z twarzy mężczyzny. Nachylił się tak blisko Hal, że czuła jego ślinę chlapiącą na jej czoło, kiedy wyrzucał z siebie słowa. Zmusiła się, żeby nie odskoczyć.

- No, to już jest, panno Westaway, bardzo, *bardzo* głupia sugestia. Pan Smith ma wielu przyjaciół w policji i sądzę, że byłoby im przykro, że opowiadasz takie rzeczy o jednym z ich kumpli. Twierdzisz, że niczego nie podpisałaś? No więc zgadnij, co to oznacza, przemądrzała panienko. Zero cholernych dowodów. Nie masz niczego, z czym mogłabyś pójść na policję, tylko twoje słowo przeciw mojemu. Dam ci tydzień na zebranie tej kasy i nie chcę słyszeć więcej pierdolenia, że nie masz jak tego zrobić. Sprzedasz coś, okradniesz coś, staniesz na rogu i za dwadzieścia funtów będziesz robić lody napalonym biznesmenom na tylnych siedzeniach ich aut, *to mnie, kurwa, nie obchodzi*. Chcę mieć te pieniądze do końca tygodnia. Uważasz, że teraz niczego nie masz? No to możesz mieć jeszcze mniej, kochana. *Dużo* mniej.

Po tym odwrócił się i jak gdyby nigdy nic zmiotł na ziemię przedmioty z półki za stołem. Hal się wzdrygnęła, kiedy wszystko się roztrzaskało: szklana kula na drewnianym stojaku, rzeźbione figurki, gliniane naczynie, które dawno temu zrobiła mamie na Boże Narodzenie, książki i kubki oraz porcelanowa waza na patyczki Kau Cim... Wszystko spadło, rozbijając się jedno po drugim o biurko i podłogę.

- Ups - rzucił cynicznie mężczyzna, a sepleniące „s” sprawiło, że zabrzmiało to jeszcze bardziej sarkastycznie. Odwrócił się i uśmiechnął się do niej szeroko, ukazując szparę między zębami. - Przepraszam. Jestem trochę niezdarzy. Zdarzyło mi się kiedyś połamać komuś kości. *Wiele* kości. Wczoraj wybiłem też trzy zęby. Przypadkiem. No, ale przecież wypadki chodzą po ludziach.

Hal zauważyła, że się trzęsie. Chciała uciec z budki, walić pięściami do drzwi biura ochroniarza, wpłynąć pod ociekające deski promenady i czekać, aż ten facet odejdzie, ale nie mogła - nie chciała - się poddać. Nie zamierzała okazywać mu strachu.

- Pójdę już - powiedział. Przecisnął się za nią do drzwi, a po drodze jedną dłonią zwyczajnie przechylił stół tak, że karty tarota pofrunęły w powietrze, a kubek z herbatą Hal, ten pozostały z rana, rozbił się o podłogę. Zimna herbata opryskała twarz Hal tak gwałtownie, że dziewczyna się skrzywiła.

W drzwiach mężczyzna zatrzymał się i podniósł kołnierz, żeby osłonić się przed deszczem.

– Do widzenia, panno Westaway. – Z tym świszczącym, gwizdzącym „sss”. – Do zobaczenia w przyszłym tygodniu.

A potem już go nie było, zatrzasnął za sobą drzwi.

Hal przez dłuższy czas stała jak skamieniała, nasłuchując oddalających się po molu kroków. A potem coś się w niej rozluźniło i drżącymi dłońmi zamknęła zasuwkę na drzwiach budki, po czym stanęła plecami do wejścia, trzęsąc się z ulgi i strachu.

Minął już prawie rok od zaciągnięcia tej pożyczki i teraz sama nie wierzyła, że mogła być taka głupia. Ale wtedy miała poczucie, że została zapędzona w kozi róg – była zima, dochody z mola spadały i spadały, aż w końcu w pewnym okropnym tygodniu zarobiła tylko siedemdziesiąt funtów. Inni sprzedawcy wrzuszali ramionami i mówili jej, że niektóre tygodnie po prostu tak wyglądają – z niewyjaśnionych przyczyn są złe. Ale dla Hal to była katastrofa. Nie miała żadnych oszczędności, do których mogłaby sięgnąć, żadnej dodatkowej pracy. Zalegała z czynszem, z rachunkami, nie miała nawet jak zapłacić za wynajem kiosku. Próbowwała wszystkiego – dała ogłoszenie, że szuka współlokatora, ale nikt nie chciał mieszkania, w którym wynajmująca spała na kanapie w tym samym pokoju. Próbowwała znaleźć pracę za barem, ale nakładało się to z godzinami, w których powinna być na molu, a poza tym w większości miejsc, w których próbowała, po jednym spojrzeniu na jej puste CV kręcono tylko głowami. Nawet w agencji pracy usłyszała cmokanie, kiedy powiedziała, że nie skończyła choćby szkoły średniej. Fakt, że jej matka zmarła dwa tygodnie przed terminem egzaminów, nie miał dla nich żadnego znaczenia.

„Zagadaj z rodziną” – poradził jej ktoś na molu. „Poproś o przysługę znajomego”. Hal nie wiedziała, jak odpowiedzieć, nie miała pojęcia, jak przekazać, że jest zupełnie sama na świecie. Owszem, dorastała w Brighton, miała tu nawet trochę przyjaciół przed śmiercią matki, ale trudno było wytłumaczyć, jak przerażająco szybko jej życie zmieniło się po tamtym wypadku. Pamięta, że przyszła do szkoły dzień po pogrzebie, słuchała, jak koleżanki śmieją się z rachunków za telefony komórkowe, chłopaków, kar za jakieś drobne występki – i czuła się, jakby znalazła się w innym świecie. Ciągle wracał wtedy do niej obraz szyn kolejowych,

których wcześniej zaplanowana trasa rozciągała się przed nią: egzaminy, studia, staże, kariera... a potem coś przełączono i została zepchnięta na zupełnie inny tor. Próbowwała przeżyć, zapłacić rachunki, żyła z dnia na dzień, podczas gdy jej przyjaciele pozostali na dawnej, znajomej ścieżce, na której dalej by była, gdyby nie tamten pędzący samochód.

Nie miała czasu na egzaminy. Rzuciła szkołę, przejęła kiosk i radziła sobie, jak tylko umiała – raz próbowała zapomnieć i obcinała włosy tak, żeby nie widzieć bolesnego odbicia twarzy swojej matki w lustrze oraz piła na umór, o ile mogła sobie pozwolić na alkohol – a nazajutrz chwytła się wspomnień z tak bolesną intensywnością, że tatuowała je sobie na skórze.

Osoba, którą była wtedy, nie była tą dziewczyną, którą powinna być. Dziewczyna, która oddawała kieszonkowe bezdomnym, przepuszczała pensy na molo, a niedziele spędzała na jedzeniu popcornu przy kiepskich filmach – odeszła. Jej miejsce zajął ktoś zahartowany, ktoś, kto musiał się zahartować, żeby przeżyć. Radość i pewność tamtej dziewczyny z plaży została jej odebrana, ale w zamian odnalazła zupełnie inną siłę, o której istnieniu dotąd właściwie nie widziała – chłodną, silną determinację, sprawiającą, że wstawała w mroźne poranki, żeby iść na molo, nawet jeśli leciało jej z nosa, a oczy miała czerwone od płaczu; jakąś stalową wolę zmuszającą ją do dalszego działania, stawiania kroku za krokiem, nawet jeżeli Hal była zbyt wyczerpana, żeby trwać.

Stała się wtedy inną osobą.

Osobą, która teraz mijała żebraków i odwracała twarz. Telewizor został sprzedany, a zresztą i tak nie miała wolnych niedziel. Była zawsze zmęczona pracą, zawsze głodna, a przede wszystkim... przede wszystkim była samotna.

Kilka miesięcy po pogrzebie zobaczyła grupę dawnych przyjaciół w centrum Brighton – a oni nawet jej nie poznali. Po prostu ją minęli, rozmawiając i śmiejąc się. Odwróciła się na chwilę i otworzyła usta, żeby ich zawołać, ale zrezygnowała. Między nimi wyrosła przepaść, zbyt szeroka, by którekolwiek z nich zbudowało nad nią most. Nie zrozumieliby w ogóle tej osoby, którą się stała.

Więc bez słowa patrzyła, jak odchodzą, a potem, zaledwie parę tygodni później, rozjechali się po uczelniach całego kraju, zajęli się pracą lub podróżami. Teraz już ich nie widywała, nawet z daleka.

Nie wiedziała jednak, jak to wszystko wyjaśnić pracownikowi mola. „Nie” – odparła tylko, a gardło jej się ścisnęło z bólu po stracie i złości na

jego zwyczajne przekonanie, że każdy musi mieć *kogoś*, kto mu pomoże. „Nie, nie mogę tego zrobić”.

Nie pamiętała już teraz dokładnie, skąd się wzięła ta propozycja, ale ostatecznie dowiedziała się o kimś, kto udziela pożyczek bez zastawu. Procent był wysoki, ale pożyczkodawca przyjmował małe spłaty, a nawet pozwalał spóźnić się o tydzień, jeśli nie dawało się rady. Wszystko było nieoficjalne – bez biura, spotkania w dziwnych miejscach, wymiana gotówki w kopertach. Ale wtedy wydawało się to darem nieba i Hal nie zastanawiała się długo.

Dopiero po kilku miesiącach odważyła się spytać, na czym stoi ze spłatą długu.

Odpowiedź wyrwała ją z butów. Pożyczyła pięćset funtów – tak naprawdę prosiła o trzysta, ale mężczyzna uprzejmie zaproponował, żeby wzięła trochę więcej na wyjście na prostą.

Spłacała to w tempie kilku funtów tygodniowo przez około cztery miesiące. A w tamtym momencie jej dług wynosił ponad tysiąc.

Hal wpadła w panikę. Oddała tę część oryginalnej pożyczki, która jej została, i zwiększyła raty do maksymalnej kwoty, na jaką mogła sobie pozwolić. Ale zrobiła to zbyt optymistycznie. Nie dawała rady z nowym planem i po jednym bardzo złym tygodniu na molu opuściła jedną spłatę, a potem po miesiącu kolejną. Dopiero kiedy raty się nagromadziły, a telefony od ludzi pana Smitha zaczęły być coraz bardziej natarczywe, Hal zrozumiała, jak jest. Nie było dla niej ucieczki.

Ostatecznie zrobiła jedyną rzecz, którą mogła. Po prostu przestała płacić. Przestała odbierać telefony od zastrzeżonych numerów. Przestała otwierać drzwi. A zaczęła się oglądać za siebie, kiedy wieczorami wracała sama do domu. Powtarzała sobie, że jedynym jej zbawieniem jest to, iż nie wiedzą, gdzie pracuje. Na molu była ukryta. I – aż do teraz – czuła się przynajmniej bezpiecznie z myślą, że są jakieś granice tego, co mogą zrobić. Nie miała żadnej własności, którą mogliby jej zabrać, i była prawie pewna, że cały ten układ jest raczej szemrany od strony prawnej. Mało prawdopodobne, że pozwoliliby ją do sądu.

Ale teraz wyglądało na to, że ją namierzyli, a ich cierpliwość się wyczerpała.

Kiedy Hal przestała się trząść, nadal tłukły jej się po głowie słowa wypowiedziane przez tamtego mężczyznę. „Połamane kości”. „Połamane zęby”.

Hal nigdy nie myślała o sobie, że jest tchórzliwa – ani próżna – ale na myśl o tym, że ten but ze stalowym czubkiem mógłby po prostu trafić ją w twarz i z chrzęstem załatwić jej nos oraz zęby, nie potrafiła się nie wzdrygnąć.

Więc co jeszcze mogła zrobić? Pożyczenie pieniędzy nie wchodziło w grę. Nie miała kogo poprosić – w każdym razie nikt nie dysponował takimi funduszami. A jeśli chodzi o sprzedawanie usług na rogu ulicy, jak zaproponował ten facet... Hal poczuła, że usta wykrzywiają jej się w grymasie obrzydzenia. Prostyucja w Brighton kwitła, ale ona nie była aż tak zdesperowana. Jeszcze nie teraz. Czyli została jej... kradzież.

„Ma pani przed sobą dwie drogi, które wiją się i zwracają [...]. Chce pani wiedzieć, którą wybrać...”

Hal weszła do budynku i cicho stanęła na korytarzu, nasłuchując. Z góry nie dobiegał żaden dźwięk, a kiedy doszła do najwyższego piętra, zobaczyła zamknięte drzwi do swojego mieszkania, pod nimi nie było widać żadnego światła.

Jednak kiedy przyjrzała się uważniej zamkowi, pomyślała, że zadrapania na okuciu wyglądają jakoś inaczej, jakby ktoś działał tu z wytrychem. A może to tylko jej paranoja? Oczywiście, że okucia zamków mają dziury i zadrapania od nieostrożnych prób otwierania i stukania metalem o metal.

Kiedy wsuwała klucz, serce biło jej szybko. Nie wiedziała, co znajdzie po drugiej stronie, ale kiedy drzwi otworzyły się szeroko i wymacała włącznik światła, od razu pomyślała, że jakimś cudem wszystko pozostało nietknięte. Poczta leżała tam, gdzie ją zostawiła na stole. Laptop też. Nic nie zostało zepsute, niczego nie ukradziono w ramach pobrania częściowej zapłaty.

Serce jej zwolniło i westchnęła, niekoniecznie z ulgą, ale prawie. Zatrzasnęła za sobą drzwi, zamknęła je na zamek i zasuwę, a potem zdjęła kurtkę. Ale dopiero kiedy podeszła do blatu, żeby włączyć czajnik, zauważyła dwie rzeczy.

Po pierwsze, kupkę popiołu w zlewie – popiołu, którego na pewno nie było tam, kiedy wychodziła. Wyglądał, jakby spłonęła tam kartka papieru... może dwie. Przyglądając się bliżej, Hal dojrzała litery na jednym skrawku, który nie rozpadł się jeszcze na kawałki, lśniły srebrno na czarnym tle... „ic ci nie” – odczytała, a poniżej: „e znowu”...

Wiedziała, co to było, nie musiała nawet zerkać za siebie na stolik kawowy, gdzie zostawiła listy od pana Smitha starannie ułożone obok rachunków. Wiedziała, że ich nie będzie, nawet jeszcze zanim się rozejrzała. Ale i tak nie mogła się powstrzymać, żeby nie sprawdzić. Odłożyła na bok stosik ostatecznych wezwań do zapłaty i zaczęła szukać ich desperacko, na wypadek gdyby po prostu zwało je przy otwieraniu drzwi.

To nie miało sensu. Listy zniknęły – a wraz z nimi jakiegokolwiek dowody, które mogłaby pokazać policji.

Drgnęła, kiedy zauważyła, że brakuje czegoś jeszcze. Fotografii na kominku, zdjęcia Hal i matki stojących na plaży w Brighton, z włosami rozwianymi nadmorskim wiatrem.

Podeszła do półki, na której powinno stać, i coś zachrząściło jej pod butami. Zobaczyła je, gdy spojrzała w dół – ramka odwrotno do góry, szkło rozarte w drobny mak pod ciężarem stopy, zdjęcie porysowane i rozdarte, najwyraźniej jakaś pięta rozdeptała połamaną ramkę.

Ręce jej drżały, oczy się szklily. Hal zmusiła się, żeby je podnieść, otoczyła je dłońmi niczym małe, zranione zwierzę, powijmowała odłamki szkła z papieru. Ale nie nadawało się do niczego. Zdjęcie było podarte i zniszczone, a roześmiane twarze matki i córki zniknęły na zawsze.

Nie zamierzała płakać. Nie zgadzała się na to. Ale czuła, jak narasta w niej coś ogromnego, gorzkiego i pełnego dzikiego żalu. Ta niesprawiedliwość zakłuła ją tak mocno, jak kwas w gardle. Chciała wrzeszczeć, krzyczeć, jakie to wszystko niesprawiedliwe.

„Potrzebuję przerwy” – chciała wyszlochać. „Chociaż raz coś mogłoby pójść po mojej myśli”.

Opadła na kolana, ugięła się pod ciężarem tego wszystkiego i na chwilę skuliła się nad połamanymi odłamkami szkła, z opuszczoną głową, przytulając kolana do klatki piersiowej, jakby chciała czuć się tak mała i bezpieczna, jak to tylko możliwe. Jednak bezpieczeństwo już nie istniało, nie miała nikogo, kto mógłby ją przytulić, posprzątać ten bałagan i zaparzyć jej kubek herbaty. Będzie musiała poradzić sobie z tym sama.

Kiedy zaczęła zbierać szkło, ostrożnie zgarniała odpryski rękawem płaszcza. Przypomniała sobie głos Rega, jego pocieszający londyński skrzek. „Jeśli ktoś czegoś takiego potrzebuje, to właśnie ty, skarbie. Bierz każde pieniądze, jakie ci zaproponują, i zwiewaj, taka moja rada. Bierz kasę i zwiewaj”.

Gdyby tylko mogła. Wrzuciła szkło do kosza, a za nimi pofrunęły podarte skrawki fotografii.

„Ma pani przed sobą dwie drogi, które wiją się i zawracają [...], chce pani wiedzieć, którą wybrać...”

Telefon miała w kieszeni. Wyciągnęła go niemal nieświadomie i otworzyła rozkład jazdy pociągów.

Pierwszy grudnia.

Siódma rano.

Z Brighton do Penzance, powrotny.

Kliknęła.

„Jeśli komukolwiek mogłoby się udać, to tobie”.

Skrzywiła się, kiedy na ekranie wyświetliły się ceny biletów. Pieniądze w jej kieszeni nie wystarczą, żeby zapłacić za przejazd. Nawet w jedną stronę. A przekroczyła już debet na karcie. Ale może... *może*, jeśli ta strona nie była połączona z jej bankiem... Wyjęła swoją kartę, wpisała numer i wstrzymała oddech.

Jakimś cudem płatność przeszła.

Mimo wszystko Hal nie wierzyła w to tak do końca, póki w telefonie nie zamigotał e-mail. „Oto wszystko, czego potrzebujesz w podróży do Penzance” – przeczytała, a pod spodem znajdował się numer biletu potwierdzający zakup.

Żołądek jej się ścisnął i podskoczył, jakby płynęła statkiem po niespokojnym morzu i jakaś fala rozbiła się o kadłub.

Czy naprawdę zamierza to zrobić? Ale jaki miała wybór? Czekać tutaj, aż slugusi pana Smitha złożą jej kolejną wizytę?

„Być może odziedziczyć tajemniczy majątek”.

W drodze do sypialni obiecała sobie, że położy się prosto do łóżka. Ale zamiast tego zdjęła zużytą walizkę z góry szafy i zaczęła się pakować. Szampon, dezodorant. To było proste. Trudniej wybrać coś do ubrania. Czerń nie stanowiła problemu – ponad połowa garderoby Hal była czarna albo szara. Jednak nie może się pokazać na pogrzebie obcej osoby w podartych dżinsach i T-shircie, ludzie będą oczekiwać sukienki, a ona miała tylko jedną.

Wyjęła ją z dolnej szuflady, do której wrzuciła ją przed trzema laty, po pogrzebie matki, który odbył się w gorący czerwcowy dzień. Była przyzwoita, ale zdecydowanie zbyt letnia na grudzień, uszyta z taniej,

cienkiej bawełny, z krótkim rękawem. Mogła do niej włożyć rajstopy, ale jej jedyna para miała oczko na górze uda. Rozwinęła je, żeby ocenić zniszczenia. Kiedyś starannie zatrzymała oczko kroplą lakieru do paznokci i teraz mogła mieć tylko nadzieję, że to wystarczy.

Dalej kilka T-shirtów, bluza z kapturem i najmniej dziurawe džinsy. Zapasowy biustonosz. Kilka par majtek. I na koniec jej cenny laptop oraz kilka książek.

Ostatnia rzecz była najtrudniejsza. Dokument tożsamości. Będą od niej oczekiwali dokumentu tożsamości i w liście proszono, żeby go przywiozła. Problem w tym, że Hal nie miała pojęcia, jakie informacje już mieli. Nie ma mowy o akcie urodzenia, ale mogłaby zabrać paszport albo skrócony odpis aktu urodzenia, w których nie znajdowały się informacje na temat jej rodziców. Potwierdzały tylko to, co już znali – nazwisko Hal. Problem w tym, że zawierały również datę urodzenia.

Jeżeli spodziewają się kogoś w wieku trzydziestu pięciu lat, to wszystko skończy się, jak tylko ją zobaczą, nie będą nawet musieli zaglądać do paszportu. Ale Hal uważała, że może wyglądać równie dobrze na piętnaście, co dwadzieścia pięć lat, w skrajnym przypadku na trzydzieści. O ile Hester Westaway nie wyszła za mąż i nie urodziła dzieci w bardzo młodym wieku, to spora szansa, że szukają kobiety w tym przedziale, jednak jeżeli w dokumentach notariusza wpisane jest dziecko urodzone w grudniu 1991 roku, a Hal pokaże paszport z datą urodzenia w maju 1995...

Wyjęła znowu list i przejrzała listę dopuszczanych dokumentów. W przypadku drugiej kolumny, potwierdzenia adresu zamieszkania, nie było problemu. „Rachunek za media” – wyszczególniono w liście. No, to tych miała mnóstwo. I prawnicy nie wyciągną z nich niczego, czego by już nie wiedzieli, poza wysokością jej debetu.

Ale pierwsza kolumna była bardziej problematyczna. Paszport, prawo jazdy lub akt urodzenia. Nie miała prawa jazdy, a paszport byłoby bardzo trudno sfalszować bez dostępu do poważnej gotówki. Czyli pozostawał... akt urodzenia.

Hal znowu przejrzała pudełko pod łóżkiem, szukając koperty, którą wcześniej tam odłożyła. Znalazła ją i spod aktu urodzenia matki wyjęła swój. To był ten pełny... i tak, pod spodem leżał skrócony. „Imię: Harriet Margarida Westaway. Urodzona: 15 maja 1995. Płeć: Kobieta. Miejsce urodzenia: Brighton w West Sussex” – zaświadczał.

O ile nie mają jeszcze żadnej daty urodzenia, będzie łatwo – wystarczy wręczyć im prawdziwe dokumenty.

A jeśli... Hal przyjrzała się papierowi, podnosząc go do światła. Nie był to bardzo skomplikowany dokument – znajdował się na nim znak wodny, ale nie było go widać na pierwszy rzut oka, a atrament wyglądał na zwyczajny. Wystarczy trochę czasu i skaner, a prawdopodobnie dałaby radę wykorzystać oryginał, żeby wyprodukować całkiem przekonującą podrobkę.

Załamania papieru były stare i delikatne, Hal ostrożnie go złożyła i schowała do kieszeni walizki razem z rachunkiem za media.

Zapinała zamek walizki i przerwała... Sięgnęła do szuflady przy łóżku, w której leżało małe metalowe pudełeczko – zużyte i obłażące z farby. Kiedyś trzymano w nim tytoń Golden Virginia, chociaż już dawno straciło oryginalny zapach.

Hal otworzyła je i położyła palce na kartach w środku, dotykając ich wystrzępionych brzegów, czując delikatną miękkość starzejącego się kartonu. Przerzuciła je i obejrzała przeskakujące znajome obrazy, twarze przyglądały jej się oceniająco.

Odruchowo położyła sobie talię w dłoni i bez tasowania przełożyła raz karty z zamkniętymi oczami. Miała w głowie tylko jedno pytanie.

Otworzyła oczy.

Trzymała kartę z młodym człowiekiem stojącym na tle sztormowego krajobrazu, za jego plecami rozciągało się niebo pełne pędzących chmur, a u stóp wzburzone morze. W dłoniach trzymał uniesiony miecz, jakby przymierzał się do ciosu. Paź Mieczy. Akcja. Intelkt. Decyzja.

Hal od razu wiedziała, co by powiedziała, gdyby to było czytanie dla klienta. Miecze są kostiumem umysłu, myśli i analizy, a Paź to karta pełna energii i wyobrażająca podejmowane decyzje. Wzburzone wody wokół – ale on idzie naprzód z uniesionym mieczem. Niezależnie od tego, jakie przed nim stoi wyzwanie, paź jest gotów je podjąć, a do tego jest osobą, z którą należy się liczyć.

Powiedziałyby, że w tarocie nie ma czegoś takiego jak wyraźne zielone światła. Ale ta karta jest im właśnie najbliższa.

Jednak pod przykrywką wyuczonej gadki słyszała głos swojej matki, słowa, które powtarzała jej w kółko. „Nigdy w to nie wierz, Hal. Nigdy nie wierz własnemu gadaniu. Aktor tracący poczucie rzeczywistości, pisarz

wierzący we własne kłamstwa – są zgubieni. To tylko fantazja – nigdy tego nie zapominaj, niezależnie od tego, jak bardzo chciałabyś wierzyć”.

W tym się kryła śliska prawda – efekt potwierdzenia znany tak dobrze naukowcom oraz sceptykom. *Chciała* uwierzyć w przekaz tego pafia. Chciała wierzyć, że daje jej zielone światło, nawet kiedy złożyła talię z powrotem w całość, schowała do pudełka i zamknęła wieczko.

Szczotkując zęby w maleńkiej łazience, przyjrzała się swojemu odbiciu, niewyraźnemu oraz obcemu bez okularów, i powiedziała sobie: nie muszę podejmować decyzji. Mogę się z tym przespać. Nic jeszcze nie jest ostateczne. Ale wracając do sypialni, zabrała ze sobą szczoteczkę. Na chwilę zawahała się przy łóżku, drżąc w chłodnym powiewie wpadającym przez nieszczelne okno, a potem, niemal buńczucznie, wrzuciła szczoteczkę do otwartej walizki, zasunęła zamek z chrypiącym zgrzytem i położyła się do łóżka.

Minęło dużo czasu, zanim odłożyła książkę i zgasła światło, a jeszcze więcej, nim zasnęła. Kiedy już spała, przyśnił jej się młody mężczyzna stojący nad nią z uniesionym mieczem.

Rozdział 8

Matka Hal uczyła ją tarota, więc dziewczynka знаła obrazy z kart, niemal jeszcze zanim nauczyła się chodzić – uśmiechniętą Papieżycę, poważnego Papieża, straszną Wieżę ze spadającymi z niej zaginionymi duszami. A jako małe dziecko dość często towarzyszyła matce w budce na Zachodnim Molu, kiedy nie było szkoły, a mama nie mogła znaleźć nikogo do opieki. Hal siedziała cicho za zasłoną w rogu, czytając książkę, słuchając jej wywodów i właściwie nieświadomie z czasem nauczyła się jej taktyki – naprowadzających pytań, wdzięcznych zawahań. „Brat...” Klient nieznacznie marszczy brew. „Nie, chwileczkę, ktoś *podobny* do brata. Przyjacieli? Jakiś krewny?”

Nauczyła się, do jak dalekiej generalizacji może się posunąć i kiedy się wycofać, jeśli natrafi na koleiny. Obserwowała, jak jej matka przestawiała usiłować wysnuć wniosek, jeśli klient lub klientka uparcie kręcili głową, oraz jak zmieniała taktykę spokojnym: „Ach, no dobrze, to pozostawię panu ten obraz do samodzielnego rozszyfrowania. Może jego znaczenie dotrze później, a może to jest jakaś przestroga na przyszłość”.

Tyle podchwyciła, nawet się nie starając. Ale przeprowadzenie samodzielnego czytania z kart... to już inna sprawa.

Jednak ostatecznie nie miała innego wyboru. Kilka dni przed urodzinami Hal, w gorący letni dzień, jej matka została zabita tuż pod swoim mieszkaniem przez kierowcę, który przekroczył prędkość i uciekł z miejsca wypadku – nigdy go nie odnaleziono. Hal była wstrząśnięta, splukana i pogrążona w żalu.

Stali klienci byli najłatwiejsi. Wielokrotnie obserwowała, jak matka odczytuje dla nich karty, słuchała, jak ujawniają szczegóły dotyczące niewiernych mężów, humorzystycznych szefów, nieszczęśliwych dzieci. Pijani

przechodnie też nie byli źli – przy nich mogła blefować, a poza tym zwykle należeli do turystów, którzy nigdy nie wracają.

Nie, martwiła się rezerwacjami. Tymi osobami, które płaciły za pełną godzinę konsultacji i dzwoniły wcześniej, żeby się upewnić, czy będzie na miejscu.

Dla nich Hal robiła coś, do czego jej matka nigdy się nie uciekała.

To straszne, jak dużo można znaleźć w internecie. Hal nigdy nie używała Facebooka przed śmiercią matki, ale w tych pierwszych, niepewnych dniach założyła fałszywe konto ze zdjęciem niegroźnie wyglądającej blondynki pobranym z Obrazów Google, a swoją nowo powstałą alternatywną osobowość ochrzciła „Lil Smith”.

Imię „Lil” to był świadomy wybór – mogło być skrótem od Lily, Lila, Lillian, Elizabeth oraz tysiąca innych. „Smith” było oczywiste, podobnie jak bezpretensjonalna uroda tej dziewczyny.

To niezwykle, jak chętnie ludzie przyjmują zaproszenie do znajomych od kogoś, z kim się nigdy nie spotkali. Zwykle nawet nie musiała ich wysyłać, ponieważ dzięki niezastrzeżonym ustawieniom prywatności mogła znaleźć szczegóły dotyczące ich rodzin, pracodawców, edukacji oraz miast rodzinnych, a wszystko to nawet bez wychodzenia z domu.

Teraz, kiedy pociąg pędził na zachód, otworzyła swój laptop i ze ściśniętym z nerwów żołądkiem skupiła się na Westawayach.

Pierwszy wynik wyszukiwania był zawiadomieniem o śmierci w czasopiśmie „Penzance Courier”, dotyczącym Hester Mary Westaway, urodzonej 19 września 1930 roku, zmarłej 22 listopada 2016 roku w Clowe’s Court w St. Piran. Krótki nekrolog wyjaśniał, że była wdową po Erasmusie Hardingu Westawayu, z którym miała trzech synów oraz córkę. „Pozostawiła synów: Hardinga, Abła i Ezrę Westawayów, oraz wnuki” – głosiła notka.

Czyżby miała być córką jednego z tych mężczyzn?

Ani Abel, ani Harding nie używali zbyt często Facebooka, ale też nietrudno było ich znaleźć. Dla każdego imienia pojawił się tylko jeden wynik, do tego Harding pomocnie wpisał St. Piran jako swoje rodzinne miasto i oznaczył Abła jako brata. Przewijając jego tablicę, Hal przeglądała zdjęcia ze ślubów oraz chrztów, imprez rodzinnych, pierwszych dni w szkole, i poczuła guł w gardle. Miał żonę, Mitzi Westaway (z domu Parker) oraz trójkę dzieci: Richarda, Katherine i Freddiego, nastolatki w różnym wieku.

Abel był młodszym o ładnych parę lat, miło wyglądającym mężczyzną ze schludną brązową brodą i włosami w ciemnym miodowym odcieniu. Status jego związku nie był widoczny, ale przeglądając zdjęcia profilowe, Hal zauważyła, że na wielu pojawia się przystojny, niebieskooki mężczyzna o imieniu Edward. Jedno pokazywało ich oboje w Paryżu w Walentynki w 2015 roku, a inne idących pod rękę na jakiejś oficjalnej uroczystości. „Czarno-biały bal na rzecz sierot z Filipin” – głosił podpis. Obaj byli w garniturach, a Abel uśmiechał się do towarzysza z niepokojem, ale i z dumą.

Z obu profili biła atmosfera wygodnego dostatku, który zakłuł Hal w serce swego rodzaju tęskną zazdrością. Nie było w tym niczego ostentacyjnego – żadnych jachtów czy rejsów po Karaibach. Ale widniały tam swobodne wspomnienia o wakacjach w Wenecji, nartach w Chamonix-Mont-Blanc, prywatnych szkołach oraz planowaniu podatkowym. Ewolująca selekcja zdjęć profilowych prezentowała dzieci na kucykach, auta z napędem na cztery koła i sprzęt do gry w polo, a wspomnienia dotyczyły jedzenia w restauracjach i rodzinnych spotkań.

Nigdzie śladu Ezry.

Jeśli oceniać po Facebooku, zarówno Abel, jak i Harding byli w takim wieku, że mogli mieć dwudziestoparoletnie dzieci, ale Hal wracała myślami do córki. „Pozostawiła synów”. Co się stało z córką?

Nie było sposobu, by ją odnaleźć, nie znając jej imienia, a ani Harding, ani Abel nie wspominali o siostrze na swoich profilach. Po chwili namysłu Hal – a raczej Lil Smith – zaprosiła do znajomych najstarszego syna Hardinga, Richarda Westawaya. Specjalnie nie zaprosiła Abla. Miał tylko dziewięćdziesięciu trzech znajomych i nie wyglądał na takiego, co przyjmował przypadkowe zaproszenia od tajemniczych dziewczyn. Z Hardingiem było jeszcze gorzej – miał tylko dziewiętnastu znajomych i wyglądało na to, że nie zaglądał na swoje konto przynajmniej od czterech miesięcy. Za to Richard miał 576 znajomych i właśnie oznaczył się na stacji benzynowej koło Exeter.

Hal właśnie otwierała nową kartę, kiedy wyskoczyło powiadomienie – Richard zaakceptował jej zaproszenie. Kliknęła w jego profil i polubiła pierwsze zdjęcie, które zobaczyła – z ubłoconą twarzą wymachiwał na nim jakimś pucharem. „ZNOWU dołożyliśmy St. Barnabus w rugby. Na pozycji łącznika ataku grała chyba dziewczyna z wąsem”. Hal przewróciła oczami i wróciła do poszukiwań przez Google. W księgach wieczystych nie

było żadnych informacji o domu Trepassen, a rejestr Companies House nie wykazał żadnej zarejestrowanej tam firmy. Nie znajdował się też na liście domów opieki ani nie był obiektem gastronomicznym. Nic nie wskazywało na to, by mógł być czymś innym niż tylko prywatnym domem. Pokazał się jednak na Mapach Google i Hal najpierw przełączyła widok na satelitę, a potem na Street View. Ten ostatni nie był pomocny, bo pokazywał tylko wiejską drogę otoczoną długim murem z cegły oraz cisy i rododendrony zasłaniające wszystko, co po drugiej stronie. Hal przekliknęła drogę po kilka kilometrów w obu kierunkach, aż w końcu natrafiła na bramę kutą z żelaza, prowadzącą na podjazd, ale zdjęcie zrobiono z takiego kąta, że nie było na nim w ogóle widać domu, więc przełączyła się na satelitę.

Rozmazany obraz był zbyt mały, by można było na nim dostrzec coś więcej niż dwuspadowy dach oraz ogrodzoną połąc zieleń z punkcikami drzew. Hal widziała tylko, że posiadłość była duża. Bardzo duża. Wyglądała prawie jak dworek. Ci ludzie mieli pieniądze. *Spore* pieniądze.

– Proszę bilety do kontroli. – Głos sponad jej ramienia przerwał rozmyślenia Hal, więc podniosła wzrok i zobaczyła stojącego obok niej w przejściu umundurowanego konduktora. Chwilę szperała w portfelu, po czym podała bilet. – Do domu na weekend? – spytał, wybijając w nim dziurkę, a Hal już miała pokręcić głową, kiedy coś ją powstrzymało.

W końcu kiedyś będzie musiała wejść w tę rolę.

– Nie... jadę na pogrzeb.

– Oj, przykro mi. – Konduktor oddał bilet. – Ktoś bliski?

Hal przeknęła ślinę. Poczula, jak pod jej stopami otwiera się przepaść. „To tylko rola” – powiedziała sobie w myślach. „Niczym się nie różni od tego, co robisz na co dzień”.

Miała wrażenie, że słowa utknęły jej w gardle, ale zmusiła się do odpowiedzi.

– Moja babcia.

Przez chwilę czuła, że to zdanie jest – zgodnie z prawdą – kłamstwem. Ale potem zrobiła minę wyrażającą... nie żałobę, bo to by było zbyt wiele, przecież nie mogła być blisko z tą kobietą. Ale rodzaj uroczystego żalu. I poczuła, jak przechodzi ją jakiś dreszcz – ten sam, który czuła, kiedy zapalała znak na zewnątrz swojej budki i wchodziła w rolę.

– Moje kondolencje – odparł konduktor i poważnie skinął głową, po czym poszedł korytarzem do kolejnego wagonu.

Hal chowała bilet do prawie pustego portfela, kiedy pociąg zanurzył się w tunelu, światła zamigotały i zgasły, a przez sekundę jedynym oświetleniem był blask laptopa Hal oraz iskry sypiące się spod kół na szynach, niczym błyskawice na tle ciemnego muru tunelu.

Ekran jej laptopa lśnił szmaragdową zielenią, ogromną przestrzenią trawy oraz wąską, wijącą się drogą, a Hal nagle poczuła, że zalewa ją jakaś złość.

Jak to możliwe, że jedna rodzina, jedna *osoba* posiadała tak dużo? Teren Trepassen mógł pomieścić nie tylko budynek, w którym mieszkała Hal, ale też całą drogę i kawałek następnej. Sam koszt koszenia tych trawników wynosił pewnie więcej, niż zarabiała w ciągu miesiąca. Ale nie chodziło tylko o to – chodziło o wszystko. O kucyki. O wakacje. O swobodną akceptację tego wszystkiego.

Czy to sprawiedliwe, że niektórzy mają tak dużo, a inni tak mało?

Światła powróciły stroboskopowym miganiem, a wtedy wyskoczyło kolejne powiadomienie na Facebooku. Kolejny status Richarda. Hal kliknęła, a na ekranie pojawiło się zdjęcie – Richard z rodziną na tle ściany wyłożonej drewnem, wszyscy promieniejący dumą. Harding tak mocno ścisnął syna, że ten lekko się zachwiał.

„Richard opublikował wspomnienie” – głosił podpis, a przyglądając się uważniej, Hal przeczytała: „Rozdanie nagród w St. A’s. Mamę rozpierała taka matczyzna duma, aż myślałem, że pęknie. Muszę tylko przypilnować, żeby tata dotrzymał umowy – 500 funtów za to, że nie oblałem matmy – a potem witaj, Ibizo!”

Gdy pociąg wyłonił się z tunelu na światło dzienne, Hal znowu poczuła, jak wywraca jej się w żołądku – ale w tym momencie zrozumiała, że się nie cofnie.

Bo ten żołądek to nie były tylko nerwy. Nie tylko zazdrość. To był też jakiś rodzaj ekscytacji.

Rozdział 9

Była już prawie piętnasta, kiedy pociąg dojechał do Penzance. Hal zatrzymała się na chwilę pod wielkim zegarem wiszącym nad peronem, wokół niej odbijały się echem dźwięki dworca, a ona próbowała postanowić, co dalej.

Nad jej głową widniał napis „Taxi”, więc zarzuciła torbę na ramię i poszła w kierunku wskazanym przez strzałkę na postój przed dworcem. Jednak kilka kroków przed znakiem „Czekaj tutaj” zatrzymała się i zajrzała do portfela.

Po kanapce w pociągu – z pastą jajeczną, najtańszej w menu, za 1,37 funta – zostało jej 37,54 funta. Ale czy to wystarczy, żeby dojechać aż do St. Piran? A jeśli nawet, to jak wróci?

– Czekasz, synu? – spytał jakiś głos za nią, aż podskoczyła. Odwróciła się, ale nikogo nie zauważyła. Dopiero kiedy jakaś twarz wychyliła się z taksówki, zrozumiała, że to był kierowca.

– Och, przepraszam. – Wrzuciła portfel z powrotem do torby i podeszła do taksówki. – Tak, czekam.

– Przepraszam, kochana. – Z bliska zobaczyła, że mężczyzna jest czerwony na twarzy. – Nie zauważyłem, to przez te krótkie włosy.

– Nie ma sprawy – odparła szczerze. Zdarzało się to tak często, że już się nie przejmowała. – Czy może mi pan powiedzieć, ile będzie kosztował przejazd do kościoła w St. Piran? Nie mam przy sobie za dużo gotówki.

Ani nie przy sobie, pomyślała, ale nie powiedziała tego. Taksówkarz odwrócił się i zaczął coś wpisywać na ekranie na desce rozdzielczej – do nawigacji albo telefonu, pomyślała Hal, choć nie była pewna.

– Koło dwudziestu pięciu funtów, skarbie – rzucił w końcu. Hal nabrała powietrza. A więc tak. Jeśli wsiądzie do tej taksówki, będzie zdana na

łaskę losu – nie da rady wrócić, nie polegając na dobrej woli tych, których spotka na końcu tej podróży. Naprawdę się na to zdecyduje?

– Z peronu trzeciego odjeżdża spóźniony pociąg do stacji Londyn Paddington z godziny czternastej czterdzieści dziewięć – rozbrzmiał metaliczny głos dworcowego megafonisty. Przerwał jej myśli, jakby wszechświat po raz kolejny przypominał jej o tym, że nie musi tego robić. Może po prostu odwrócić się na pięcie i złapać pociąg powrotny do domu.

Gdzie pan Smith będzie na nią czekał za sześć dni...

„Jeśli komukolwiek mogłoby się udać, to tobie”.

– Zrozumieliśmy się? – spytał taksówkarz. Jego kornwalijskie grasejowanie sprawiało, że brzmiał mniej opryskliwie od taryfiarza z Brighton. – Powiedziałem: dwadzieścia pięć funtów, może być?

Hal znowu głęboko odetchnęła i obejrzała się na dworzec. Wyrosły jej przed oczyma zdjęcia z Facebooka i Google’a – rozległa połać przestrzeni, wakacje, samochody, ubrania, niczym fotosy z reklam marki Jack Wills...

Pomyślała o obcasie, który rozdeptał ramkę ze zdjęciem jej matki. O potłuczonych ozdobach w kiosku oraz o strachu, który poczuła wtedy, kiedy zapaliła się tamta lampa. Zastanowiła się, ile by dała, żeby mieć zaledwie parę tysięcy funtów z tych pieniędzy – co nawet nie wystarczyłoby na kupno jednego z tych samochodów, może na jedną dziesiątą.

„Oni mają już wszystko. Nie potrzebują więcej pieniędzy”.

Znowu poczuła, że rośnie w niej coś ostrego i twardego, jak gorący ból zmienia się w chłodne, kruche postanowienie.

Jeśli jej się nie uda, będzie zdana na siebie. Więc po prostu będzie musiała dopilnować, żeby jej się udało.

– W porządku.

Kierowca sięgnął do tyłu i otworzyły się boczne drzwi, a Hal wepchnęła do środka walizkę matki i wsiadła za nią z takim uczuciem, jakby robiła krok w przepaść.

– Wygląda na pogrzeb – odezwał się głos z przedniego siedzenia auta, a Hal podskoczyła i podniosła głowę.

– Przepraszam, co pan powiedział?

– Mówiłem, że wygląda na pogrzeb – powtórzył kierowca. – W kościele. Dlatego przyjechałaś? Jakiś krewny?

Hal wyrzała przez okno i popatrzyła w zacinający deszcz, który zaczął padać po ich wyjeździe z Penzance. Trudno było coś zobaczyć przez tę ulewę, ale dostrzegła mały kamienny kościółek umiejscowiony na cyplu, za nim kłębiły się szare chmury, a przed wejściem na cmentarz stała gromadka żałobników w czerni.

- Tak - odpowiedziała niemal szeptem, po czym powtórzyła nieco głośniejszym głosem, bo kierowca przyłożył sobie dłoń do ucha: - Tak, dlatego przyjechałam. - Zawahała się, ale za drugim razem było już łatwiej. - To moja babcia.

- Cóż, moje kondolencje, kochana. - Kierowca zdjął kaszkiet i położył go na siedzeniu obok siebie.

- Ile jestem winna?

- Wystarczy dwadzieścia, skarbie.

Hal skinęła głową i wyłożyła jeden dziesięciofuntowy banknot oraz dwie piątki na małą tackę między nimi, po czym się zawahała. Czy było ją stać na napiwek? Spojrzała na monety, które zostały jej w portfelu, policzyła je cicho, zastanawiając się, jak dotrze z kościoła do domu. Ale stąd widziała elektroniczny wyświetlacz, na którym widniała suma: dwadzieścia dwa funty i pięćdziesiąt centów. Cholera. Policzył jej mniej. Z poczuciem winy położyła na tacce kolejnego funta.

- Serdecznie dziękuję - odezwał się kierowca i zgarnął drobne. - Uważaj na tym deszczu, kochana, w taki dzień można się zaziębić na śmierć.

Z jakiegoś powodu wzdrygnęła się na te słowa, ale tylko skinęła głową, otworzyła drzwi i wysiadła na strugi deszczu.

Kiedy auto odjechało, rozpryskując kałuże na mokrej drodze, Hal przystanęła na chwilę, zbierając się w sobie. Deszcz zachlapał jej szkła okularów, więc w końcu je zdjęła, żeby popatrzeć przez ulewę na starodawną, zadaszoną cmentarną bramę oraz małe, szare kościółki przycupnięte na szczycie klifu. Niski kamienny mur otaczał cmentarz, a za nim Hal dostrzegła ciemną rozpadlinę w ziemi - wszystko było zbyt rozmazane, żeby mieć pewność, ale wnosząc po kształcie, była prawie pewna, że to musi być wykopany grób czekający na trumnę kobiety, którą zamierzała okraść.

Przez chwilę Hal miała niemal obezwładniającą chęć, żeby odwrócić się i uciec - bez względu na to, że znajdowała się ponad trzydzieści kilometrów od najbliższego dworca kolejowego, bez względu na to, że nie

miała żadnych pieniędzy, a jej tani czarny płaszcz i buty w ogóle nie nadawały się na rześisty deszcz.

Ale kiedy stała, wahając się w ulewie, jakaś dłoń poklepała ją po ramieniu, więc odwróciła się gwałtownie i ujrzała niskiego mężczyznę ze schludną siwą brodą, zerkającego na nią zza zamglonych od deszczu okularów.

- Dzień dobry - przywitał się dziwnym tonem łączącym rezerwę i pewność. - Mogę w czymś pomóc? Nazywam się Treswick. Czy przyjechała pani na pogrzeb?

Hal pospiesznie nałożyła z powrotem okulary; w ogóle jej nie pomogły w rozpoznaniu jego twarzy. Jednak nazwisko Treswick brzmiało znajomo i Hal zaczęła gorączkowo przeszukiwać swój wewnętrzny rejestr nazwisk, próbując połączyć postać przed sobą z jakimś członkiem rodziny. Aż nagle, jednocześnie z ulgą i obawą, przypomniała sobie.

- Pan Treswick, to pan do mnie pisał! - Wyciągnęła do niego dłoń. - Jestem Hal... To znaczy Harriet Westaway. - Przynajmniej w takim ujęciu to nie było kłamstwo. W każdym razie nie do końca.

Nastąpiła chwila ciszy. Hal czuła, jak żołądek zaciska jej się z nerwów. To była chwila prawdy - cóż, jedna z wielu. Jeśli prawdziwa Harriet Westaway miała trzydzieści pięć lat albo była blondynką, albo mierzyła metr osiemdziesiąt, to wszystko się skończy, nim jeszcze się zaczęło. Będzie mogła się pożegnać nawet z wejściem do tego kościoła, a co dopiero ze spadkiem. Wróci do Brighton tym samym pociągiem, z lepszym portfelem i poważnie zranioną dumą.

Pan Treswick początkowo się nie odzywał, kręcił tylko głową, a Hal czuła, jak wykręca jej żołądek. O Boże, to koniec. To koniec.

Ale potem, nim zdołała wymyślić, co powiedzieć, przyjął jej wyciągniętą dłoń i ścisnął ją pomiędzy dwiema ciepłymi, skórzanymi rękawiczkami.

- No, no, no... - Nadal z niedowierzaniem, jak się zorientowała Hal, kręcił głową. - No coś takiego. Jakże bardzo, bardzo się cieszę, że zdołała pani przyjechać. Nie byłem pewien, czy otrzyma pani mój list na czas, muszę przyznać, że nie było łatwo panią namierzyć... Pani matka... - Nagle chyba zmienił zdanie co do kierunku, w którym powinna toczyć się ta rozmowa, i przerwał, kryjąc zmieszanie zdjęciem okularów i otarciem ich z deszczu. - No cóż. - Podsumował, gdy włożył je z powrotem na nos.

- Teraz to nieważne. Powiem tylko, że o mały włos, a nie udałoby się odnaleźć pani na czas. Ale bardzo się cieszę, że mogła pani przyjechać.

„Pani matka”. W morzu niepewności te słowa wydawały się czymś, czego Hal mogła się uczepić, jedynym faktem, od którego mogła wyjść. A więc było tak, jak myślała, łączącym ją ogniwem była zmarła córka pani Westaway.

Hal nagle wyobraziła sobie, że przedziera się przez rwące, pochłaniające ją błoto i znajduje coś stabilnego, na czym może przez chwilę odpocząć.

- Jasne - odpowiedziała i zmusiła się do uśmiechu, mimo że zęby szczykały jej na zimnie. - T-też się cieszę.

- Ojej, ale się pani trzęsie - zauważył z troską pan Treswick. - Zaprowadzę panią do kościoła. To naprawdę paskudny dzień, a obawiam się, że w St. Piran nie mają żadnego ogrzewania, więc jest tam niewiele lepiej niż na zewnątrz. Ale przynajmniej będzie pani sucho. Czy...

Przerwał, kiedy doszli do bramy, otworzył ją i odsunął się, żeby przepuścić Hal.

- Czy...? - powtórzyła, gdy stali przez chwilę pod daszkiem. Pan Treswick znowu wytarł sobie okulary. Jak zauważyła Hal, daremnie, bo mieli przed sobą jeszcze spory kawałek cmentarza do przejścia.

- Czy spotkała pani swoich wujów? - spytał nieśmiało, a Hal mimo chłodnej aury poczuła nagłą falę ciepła wokół serca. Wujów. **Wujów**. Miała wujów.

„Wcale nie masz” - powiedziała sobie surowo, próbując ostudzić emocje. „To nie są twoi krewni”. Ale nie mogła myśleć w ten sposób. Jeśli ma jej się powieść, to nie może tylko udawać, musi uwierzyć.

Ale co powinna powiedzieć? Jak może odpowiedzieć na to pytanie? Dłuższy czas stała, próbując coś wymyślić, aż nagle zdała sobie sprawę, że gapi się na pana Treswicka, a niski mężczyzna przygląda jej się zaskoczony.

- Nie - zaprzeczyła w końcu. Nad tym przynajmniej nie musiała się zastanawiać. Bez sensu udawać, że znała ludzi stojących tuż obok, skoro odkryją jej kłamstwo, kiedy tylko zobaczą pana Treswicka. - Nie, nigdy ich nie poznałam. Szczerze mówiąc... - Przygryzła usta, zastanawiając się, czy to dobry trop, ale na pewno lepiej mówić prawdę, gdy to tylko możliwe. - Szczerze mówiąc, **w ogóle** nie wiedziałam, że mam jakichś wujów, dopóki

pan do mnie nie napisał. Moja mama nigdy o nich nie wspominała – dokończyła w pośpiechu.

Pan Treswick nie odpowiedział, znowu tylko pokręcił głową, chociaż Hal nie była pewna, czy oznaczało to pełne rezygnacji zrozumienie, czy skonsternowane zaprzeczenie.

– Idziemy? – spytał, zerkając na stalowoszare niebo nad nimi. – Nie wydaje mi się, żeby deszcz miał się choć trochę uspokoić, więc równie dobrze możemy się pospieszyć.

Hal pokiwała głową i wspólnie popędzili przez krótki odcinek pomiędzy bramą a kościołem.

W przedsiönku pan Treswick po raz kolejny wytarł okulary i poprawił pasek swojego przeciwdeszczowego płaszcza, a potem pokierował Hal do środka, jednak gdy miał pójść za nią, przekrzywił głowę jak spaniel i odwrócił się na dźwięk silnika samochodu.

– Och, bardzo przepraszam, pani Harriet, wydaje mi się, że to kondukt żałobny. Czy znajdzie sobie pani miejsce sama?

– Oczywiście – odparła Hal, a on zniknął w deszczu i musiała sama wejść do kościoła.

Drzwi były lekko uchylone, jakby miały chronić od wdzierającego się wiatru i deszczu, ale kiedy wślizgnęła się do środka, uderzył ją przede wszystkim nie chłód, ale brak ludzi. Nie było tam więcej niż cztery czy pięć osób rozsianych po kościelnych ławkach.

Zakładała, że grupa żałobników, których widziała z taksówki, to byli spóźnialscy dołączający do tych już zgromadzonych w kościele, ale teraz zorientowała się, że widziała przybycie niemal wszystkich uczestników nabożeństwa.

Były to trzy starsze kobiety w drugim rzędzie, mężczyzna po czterdziestce o wyglądzie księgowego siedzący na tyłach oraz kobieta w stroju pielęgniarce środowiskowej skulona przy wejściu, jak gdyby planowała szybko uciec, jeśli msza będzie się przeciągała.

Hal rozejrzała się, próbując ocenić, gdzie powinna usiąść. Czy na pogrzebach są jakieś zasady? Starła się sobie przypomnieć ceremonię pogrzebową swojej matki w krematorium w Brighton, ale miała w pamięci tylko maleńką kapliczkę pełną ludzi z mola i sąsiadów, wdzięcznych klientów, starych przyjaciół oraz osób, których nawet nie знаła, lecz na których wpłynęła jej matka. Stali z tyłu, przyciśnięci do ściany, robiąc miejsce kolejnym żałobnikom; widziała, jak Sam z kiosku z rybą

i frytkami ustępuje miejsca starszej sąsiadce z Marine View Villas. Ktoś trzymał miejsce dla Hal z przodu, ale jeśli chodzi o resztę, to nie była pewna, kto gdzie siedział ani jaką zastosowano hierarchię.

Jednak niezależnie od tego, jak wyglądały zasady, na pewno każdy, kto nigdy nie poznał zmarłej, liczył się bardzo mało.

W końcu wybrała miejsce na tyłach, ale nie tak rzucające się w oczy jak to zajmowane przez księgowego i pielęgniarkę – trzy lub cztery rzędy przed nimi, po prawej. Na okularach nadal miała smugi obsychających kropel deszczu, więc zdjęła je i wytarła, nasłuchując przy tym szurania stóp, bębnienia deszczu o dach oraz pokastywania kobiety na przedzie. Próbowwała się nie trząść.

Hal miała tylko dwa okrycia wierzchnie – tę znoszoną skórzaną kurtkę, którą nosiła na co dzień, oraz za duży na nią, ciemny przeciwdeszczowy trencz, należący wcześniej do jej matki. Skórzana kurtka była wprawdzie czarna, ale nie wydawała się odpowiednia na pogrzeb, więc włożyła trencz. Wydawał się dość ciepły do pociągu, po długim czasie przechowywania stracił jednak swoją wodoodporną warstwę i materiał przesiąkł na wylot w czasie krótkiego biegu do taksówki. Teraz Hal siedziała w zimnym kościele i czuła, jak woda deszczowa dosięga jej skóry. Spojrzała na swoje dłonie złożone na udach – miały niebieskawy odcień, musiała je wcisnąć do kieszeni cienkiego płaszcza, żeby palce przestały jej drżeć z zimna. Na dnie jednej kieszeni poczuła, jak coś okrągłego i szorstkiego ociera się o jej odrętwiałą skórę – uśmiechnęła się, kiedy to wyjęła. Rękawiczki. W końcu coś ciepłego. Poczuła się, jakby dostała prezent od matki.

Właśnie je wkładała, kiedy załwały ją dźwięki gry niewidocznego organisty, drzwi kaplicy otworzyły się na oścież i wpuściły podmuch wiatru, który sprawił, że cienkie kartki z rozpiską porządku nabożeństwa pofrunęły wzdłuż nawy.

Najpierw wszedł ksiądz lub wikary – Hal nie była pewna – a za nim czterech mężczyzn w czarnych garniturach niosących wąską trumnę z ciemnego drewna.

Hal od razu poznała, że po lewej stronie idzie pan Treswick. Jego płaszcz się rozchylił, ukazując pod spodem czarny garnitur i krawat. Było mu trochę trudno w tym miejscu, bo był niższy od pozostałych trzech mężczyzn i musiał podnosić swój róg niewygodnie wysoko, żeby nadrobić tę różnicę.

Z przodu po prawej szedł łysiejący mężczyzna po pięćdziesiątce i Hal pomyślała, że to musi być Harding Westaway. Przyjrzała się uważnie jego okrągłej twarzy z obfitym podbródkiem oraz rzadkim, jasnym włosom, próbując je sobie utrwalić w pamięci. Wyglądał na mężczyznę, który nawet po obfitym posiłku zawsze miał ochotę na więcej, podjadał orzechy, ser i owoce, a potem narzekał na ciąglą niestrawność. Sprawiał wrażenie jednocześnie zadowolonego z siebie, jak i niepewnego. Dziwne połączenie. Gdy mu się przyglądała, przecesał włosy z lekkim zakłopotaniem, jakby czuł jej oceniający wzrok.

Po jego lewej szedł mężczyzna z brodą i włosami ciemnymi blond przechodzącymi w siwiznę na skroniach. Był na tyle podobny do Abła Westaway, że Hal zidentyfikowała ostatniego niosącego jako trzeciego syna, Ezrę.

Był najmłodszy w tej grupie, a podczas gdy jego bracia mieli jasną karnację, on był ciemny i opalony. Był także jedyną osobą w całym kościele, która nie miała wypisanego na twarzy ostrożnego smutku – a nawet, kiedy zrównał się z Hal, wysłał jej wykrzywiony uśmiech Kota z Cheshire, który nią aż wstrząsnął, tak bardzo był nieodpowiedni w tym miejscu i czasie.

Zakłopotana odwróciła się, udając, że tego nie widziała, i stanęła twarzą do ołtarza. Czowała, jak płoną jej policzki.

Nie chodziło tylko o uśmiech – chociaż sam w sobie był dość okropny. Było w nim jednak coś... coś *zalotnego* – w uśmiechu oraz błysku w oku, którym prawie do niej mrugnął. „On nie wie, że jest twoim wujem” – powiedziała sobie. „On nie ma pojęcia, kim jesteś”.

„Bo wcale nie jest twoim wujem” – odpowiedziało jej oschle sumienie.

Tak jakby w jej głowie walczyły dwa sprzeczne głosy. Przycisnęła sobie dłoń w rękawiczce do czoła i poczuła, jak zimny deszcz wsiąkł w wełnę. Wiedziała, że jeśli się nie pozbiera, to nie dotrwa nawet do stypy, zostanie zdemaskowana jako oszustka, jeszcze zanim wyjdą z kościoła.

Niosący minęli ją powoli, ustawili wąską trumnę z przodu kościoła i z szacunkiem zasiedli w ławach z przodu, a za nimi podążyła garstka krewnych sunących z tyłu.

I tak zaczęła się msza.

Rozdział 10

Godzinę później się skończyła – prawie. Niewielkie zgromadzenie wyszło na ulewny deszcz, wszyscy stanęli wokół grobu, podczas gdy trumnę opuszczono do nagiej ziemi, a ksiądz podniósł głos, by zaintonować błogosławieństwa wśród gwizdów wiatru znad morza.

Już prawie zmierzchało, a temperatura spadła jeszcze bardziej – Hal niekontrolowanie trzęsła się w swoim cienkim płaszczu, ale mimo wszystko była wdzięczna za ten wiatr i deszcz. Pod osłoną pogody nikt nie mógł powiedzieć, że wygląda inaczej niż na znękaną i pogrążoną w bólu. Oczy zachodziły jej prawdziwymi łzami, kiedy mrugała, żeby pozbyć się kropeł spływających jej z włosów. Nikt nie oczekiwałby od niej płaczu – wiedziała o tym – ale kolejnym testem miała być stypa w domu Trepassen i Hal wiedziała, że tam już nie uniknie badawczych spojrzeń. Z ulgą przyjęła to, że przez parę minut nie musiała myśleć o swoim wyrazie twarzy lub o defensywnej mowie ciała – tutaj, skulona nad grobem na wietrze smagającym twarz żałobników, mogła się osłonić ramionami i winna temu była wyłącznie pogoda.

W końcu ksiądz wypowiedział swoje ostatnie słowa i Harding sypnął garść piaszczystej ziemi z przykrytego pojemnika ustawionego z boku grobu. Bardziej chlupnęła, niż zadudniła na wieku drewnianej trumny, po czym Harding podał wiadro bratu, Ablowi, który też rzucił swoją garść i pokręcił przy tym głową, chociaż Hal nie umiała określić, co to oznaczało. Kolejka zatoczyła koło, garść po garści, a potem kilka kwiatów oklapłych od wilgoci poleciało do grobu w ślad za ziemią. Ostatni w kolejce był Ezra. Rzucił kilka grudek niemal beztróska, a potem odwrócił się do Hal stojącej w jego cieniu, tuż przy jego ramieniu, usiłującej zniknąć wszystkim z oczu.

Nic nie powiedział, tylko podał jej wiaderko, a Hal je przyjęła. Wtedy uderzyło ją, że zamierza zrobić coś fundamentalnie złego – niemal bluźnierczego – poprzez ten symboliczny akt grzebania kobiety, z którą nie miała żadnego związku. Ale oczy całej rodziny skierowały się na nią, więc nie miała wyjścia.

Ziemia była już wtedy posklejana deszczem, więc musiała ściągnąć rękawiczkę i pogrzebać w tym błocie paznokciami.

Rzuciła garść na trumnę z dziwnym poczuciem ostateczności i oddała wiaderko celebransowi.

– Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz – powiedział ksiądz, przekrzykując hałas wiatru i fal. – Ale Pan cię wskrzesi w dniu ostatecznym. Żyj w pokoju.

Hal ukradkiem wytarła ubłoconą dłoń o swój płaszcz i próbowała go nie słuchać, ale nie przestawały jej nachodzić wspomnienia – pomyślała o miłym wikarym celebrującym kremację jej matki i jego nic nieznaczących słowach pocieszenia oraz obietnicach, w które nie potrafiła uwierzyć. Czowała ziarniste błoto pod paznokciami i przypomniała sobie, jakie to było uczucie, dotykać prochów swojej matki, które chrzęściły jej w dłoni, kiedy rozrzucała je innego grudniowego dnia przed trzema laty. Poszła wtedy na plażę w Brighton, w taki wietrzny dzień jak ten, tylko suchy; poszła brzegiem morza, stawiając boscie stopy na zimnych kamieniach, przystanąła pośród wodorostów pokrytych pianą i patrzyła, jak proch wypada jej spomiędzy palców i wysypuje się do morza.

Teraz patrzyła w świeżą, mokrą jamę grobu i czuła, że serce znów ścisną jej ból utraty, jak gdyby naruszyła starą, na wpół zagojoną ranę. Czy naprawdę warto to sobie robić – przechodzić przez to jeszcze raz, przez ponure rytuały żałoby i wspomnień – żeby zyskać może tylko brzydką lampę i kolekcję kartek pocztowych?

„Ma pani przed sobą dwie drogi, które wiją się i kręcą...”

Zauważyła, że wbija sobie paznokcie w dłonie, i pomyślała o Paziu Mieczu wyruszającym na spotkanie ze wzburzonymi morzami, z uniesionym orężem i determinacją wypisaną na twarzy.

Tak naprawdę nie było już dwóch dróg. Wybrała jedną i odrzuciła inne możliwości, tak jakby nigdy nie istniały. Nie istniała żadna droga powrotu, nie było sensu rozważać na nowo tej decyzji. Dokonała wyboru, którego potrzebowała, by przeżyć, a teraz mogła tylko iść naprzód – pograżać się głębiej w oszustwie. Dosłownie nie było jej stać na porażkę.

W końcu wypowiedziano ostatnie słowa, ksiądz zaczął zbierać swoje rzeczy, a reszta rodziny rozproszyła się w kierunku samochodów, z uniesionymi kołnierzami osłaniającymi ich przed przejmującym wiatrem i deszczem.

Hal poczuła w żołądku łaskotanie strachu. Musiała coś powiedzieć – i to szybko. Musiała poprosić kogoś o podwiezienie, ale myśl, że miałyby ni stąd, ni zowąd podejść do zupełnie obcych ludzi, nagle wydała jej się najbardziej przerażająca ze wszystkiego. Nie chodziło tylko o strach przed tym, że ją nakryją. Tylko coś bardziej banalnego, niemal dziecinnego. Kogo powinna poprosić? *I jak?*

– Ja... – odezwała się, ale jej gardło okazało się zdrętwiałe i zachrypnięte. – Czy... mogłabym...

Nikt się nie odwrócił. Harding był z przodu, otoczony trojgiem nastoletnich dzieci i z kobietą u boku; to musiała być Mitzi. Hal rozpoznała Richarda z Facebooka, grzebał już w telefonie, idąc za ojcem na parking. Abel i Ezra szli z tyłu, pogrążeni w rozmowie. Kiedy im się przyglądała, Abel objął brata ramieniem i ścisnął go mocno, jakby pocieszająco, ale Ezra wyrwał mu się odrobinę nerwowo.

Reszta już się rozproszyła między samochodami zaparkowanymi pod ociekającymi cisami.

Niebezpiecznie zbliżała się do tego, że zostanie sama na tym opuszczonym cmentarzu. W gardle wezbrała jej panika.

– Przepraszam bardzo – wychrypiała znowu, trochę głośniejsze, a wtedy, podobnie jak wcześniej, poczuła czyjaś dłoń na ramieniu i odwróciła się gwałtownie, by ujrzeć stojącego obok pana Treswicka z wyciągniętym parasolem.

– Pani Harriet. Czy zechce pani pojechać ze mną do Trepassen?

– Tak, och tak. – Hal poczuła, że słowa wysypują się z niej niemal bełkotliwie. – Bardzo panu dziękuję, nie byłam pewna...

– Obawiam się, że w autach pogrzebowych nie znajdzie się nic wolnego, wszystkie miejsca w oficjalnym karawanie są zajęte, ale jeśli nie ma pani nic przeciwko, żeby pojechać moim prywatnym samochodem...

– A-a-leż skąd – odparła Hal. Zęby dzwoniły jej z zimna i przelknęła ślinę, próbując się opanować, by jej podziękowania nie zabrzmiały tak rozpaczliwie. – Dziękuję, panie Treswick, jestem bardzo wdzięczna.

– Nie ma za co. Proszę potrzymać parasol, tylko uwaga, żeby się nie wygiął na zewnątrz. Obawiam się, że te nadmorskie wiatry są bardzo

nieprzewidywalne. A ja poniosę pani walizkę.

– Oj, nie – zaprotestowała Hal. – Proszę! – Ale było już za późno. – Jakimś sposobem w jej dłoni znalazł się parasol, a ten niewysoki mężczyzna zdążył zręcznie zabrać jej walizkę z miejsca, w którym ją postawiła na żwirowej ścieżce, i teraz poprowadził Hal w deszczu do samochodu zaparkowanego na poboczu, tam, gdzie wysiadła wcześniej z taksówki.

W środku swojego volvo pan Treswick rozkręcił maksymalnie ogrzewanie i kiedy auto wyjeżdżało na drogę, rozchlapując kałuże w koleinach, Hal poczuła, że chłód zaczyna częściowo opuszczać jej palce. Wcześniej na cmentarzu pomyślała sobie, że już nigdy nie poczuje ciepła – jak gdyby zimno przeniknęło ją do szpiku kości. Teraz gorące powietrze buchające z otworów nawiewu na desce rozdzielczej sprawiło, że palce zaczęły ją boleć i szczytać w reakcji na nagłe ocieplenie, chociaż chłód wewnątrz niej wydawał się nieprzenikniony.

– Do Trepassen jest jakieś sześć kilometrów – zagał pan Treswick, kiedy powoli wyjeżdżali na główną drogę, a wycieraczki chodziły na boki jak szalone. Zatrzymali się na skrzyżowaniu, a on wpatrywał się w mrok po obu stronach drogi, próbując bez powodzenia zobaczyć, czy nie nadjeżdża jakiś samochód, aż w końcu, z poczuciem, że szafuje życiem ich obojga, wcisnął pedał gazu i samochód przetoczył się przez skrzyżowanie, po czym nabrał prędkości.

– Mam nadzieję, że pani Warren czeka na nas z herbatą. Zostaje pani na noc?

– Ja... – Hal uderzyło poczucie winy. Nie dała rady odpisać, nie było czasu, a poza tym nie miała pojęcia, co robi, jeśli oferta noclegu zostanie cofnięta. – Tak, bardzo bym chciała, ale obawiam się, że nie zdążyłam dać znać pani Warren, że przyjeżdżam. Pański list dotarł dopiero dwa dni temu, nie sądziłam, że odpowiedź zdąży dojść na czas...

– Och, przykro mi. Powinienem był załączyć numer telefonu – przeprosił pan Treswick. – Ale to nie szkodzi, pani Warren na pewno znajdzie jakiś pokój. Powinienem tylko panią ostrzec... – Zerknął z powątpiewaniem na mokry płaszcz Hal i jej przemoczone ubranie pod spodem. – Niestety w Trepassen nie ma centralnego ogrzewania, pani Westaway nie zebrała się nigdy, żeby je zamontować. Ale jest za to wiele

kominków, termoforów i tak dalej. Będzie pani... – Zawahał się. – No cóż, *dość* wygodnie.

– Dziękuję – odparła potulnie Hal, choć coś w jego tonie sprawiło, że powątpiewała w te słowa.

– Muszę przyznać – pan Treswick zmienił bieg, bo zaczęli się wspinać na wzgórze – że byłem nieco zaskoczony, kiedy odkryłem, że Maud miała dziecko.

Maud. Więc tak miała na imię nieżyjąca córka. M. Westaway – tak jak jej matka. Czy to stąd wynikła pomyłka? Hal poczuła w duchu falę wdzięczności, że nie zabrała swojego pełnego aktu urodzenia, a następnie tknęło ją coś jeszcze, jakiś niepokój. Co pan Treswick miał na myśli, dlaczego był zaskoczony, że Maud miała dziecko? Czy powinna o czymś wiedzieć? Czy może o to zapytać, czy niewiedza ją zdradzi?

– Ja... Co ma pan na myśli? – spytała w końcu.

– Och. – Pan Treswick się zaśmiał. – Jako młoda kobieta była bardzo uparta. Zawsze się zarzekała, że nigdy nie wyjdzie za mąż, nigdy nie będzie miała dzieci. Pamiętam, jak kiedyś jej powiedziałem, musiała mieć wtedy jakieś dwanaście lat, że może zmieni zdanie, kiedy dorośnie, a ona się roześmiała i odpowiedziała, że jestem starym głupkiem. Zawsze była bezpośrednia, ta twoja mama. Powiedziała mi, że dzieci to tylko kłódki do patriarchalnych kajdanek małżeństwa. Użyła właśnie takiego określenia, dość dobrze to pamiętam. Pomyślałem wtedy, że to naprawdę nietypowy dobór słów, zwłaszcza w wydaniu dziecka w tym wieku. Byłem więc odrobinę zaskoczony, kiedy się dowiedziałem, że w rzeczywistości miała dziecko. I to w dość młodym wieku, jak rozumiem?

– Miała... miała osiemnaście lat – odpowiedziała cicho Hal. – Kiedy mnie urodziła.

Osiemnaście. Kiedy była dzieckiem, wydawało jej się to całkiem rozsądnym wiekiem – dorosłym. Teraz, kiedy sama miała dwadzieścia jeden, nie potrafiła sobie wyobrazić, przez co przeszła jej matka, jak jej było trudno, gdy tak młodo urodziła córkę i musiała sama się o nią zatroszczyć.

Ale ledwo wymówiła te słowa, zdała sobie sprawę ze swojego błędu i poczuła, jak zalewa ją dzika furia, że wyrwało jej się coś takiego. Cholera. *Cholera*. Co za głupi błąd, amatorszczyzna.

To była pierwsza zasada zimnego odczytu – należy być tak enigmatycznym, jak się da, starać się nie podawać konkretnych

informacji, chyba że można się wycofać lub przekręcić ich znaczenie, jeżeli popełniło się dużą pomyłkę. Zawsze: „Widzę imię jakiegoś mężczyzny... to imię zawiera literę f”, a nie: „Mam wiadomość od twojego kuzyna Freda”. Jeżeli trzeba odgadnąć jakiś konkret, niech będzie statystycznie prawdopodobny: „Widzę niebieski samochód...?” Nigdy zielony.

Hal właśnie popełniła dwa poważne błędy w mniej niż pięciu słowach. Podała konkretną, niepotrzebną informację, a w dodatku statystycznie mało prawdopodobną. Ile kobiet rodziło dzieci w wieku osiemnastu lat? Dwa procent? Mniej? Nie miała pojęcia.

Jednak nawet pomijając to wszystko, nie miała dość informacji na temat życia tej kobiety, by ryzykować takimi przypuszczeniami. Co, jeśli Maud byłaby teraz po pięćdziesiątce i podstawowa matematyka podpowiedziałyby panu Treswickowi, że to pokrewieństwo było niemożliwe? A jeśli nadal mieszkała w domu w wieku osiemnastu lat? Czujność Hal została uśpiona fałszywym zapewnieniem Treswicka: „...i to w dość młodym wieku, jak rozumiem?” – strzępkim informacji, który zdawał się tak pięknie współbrzmieć z prawdziwym życiem Hal. Ale dość młody wiek można różnie rozumieć. W dzisiejszych czasach dwudziestopięcioletnia matka też jest „dość młoda”. Po prostu popełniła błąd – i to poważny.

Hal zerknęła nerwowo w bok, żeby sprawdzić, czy Treswick zaczął marszczyć brwi, dodając w głowie liczby. Ale wyglądał, jakby nie zauważył jej pomyłki. Szczerze mówiąc, wydawało się, że prawie zignorował jej uwagę. Jego myśli krążyły innymi ścieżkami.

– Patriarchalne kajdany małżeństwa – powtórzył z chichotem. – Ten tekst zawsze będzie mi przypominał pani matkę. Chociaż oczywiście... – Zerknął na nią bystrym spojrzeniem rudzika. – Jak rozumiem, nigdy nie wyszła za mąż?

– N-nie – odparła Hal. Mimo że było jej zimno na wskroś, czuła, że ma gorące policzki, skórę spieczoną podmuchem ciepłego nawiewu. Co za głupota. Od tego momentu nie będzie udzielać żadnych informacji, tylko potwierdzać to, co powiedzą jej inni.

Chociaż może... Skręcili, opony zaszumiały na mokrej nawierzchni, a Hal przycisnęła policzek do zimnego okna i spróbowała to przemyśleć. Może nie była taka głupia, zdradzając wiek swojej matki. Bardzo możliwe – a wręcz prawdopodobne – że w którymś momencie zostanie przyłapaną.

Może lepiej już teraz dobrowolnie udzielić prawdziwych odpowiedzi, na wypadek gdyby do tego doszło – będzie wtedy mogła przedstawić całe zajście jako nieporozumienie, szczęśliwie wykryte, a nie jako bezwzględne kłamstwo. Jeśli teraz zacznie kłamać, potem nie będzie miała już drogi ucieczki. Zostanie oskarżona o oszustwo.

Maud Westaway. Gdyby tylko знаła to imię wcześniej, mogłaby je wyszukać w internecie po drodze, dowiedzieć się czegoś o tej kobiecie, która miała być jej matką. Jak wyglądała? Ile miała lat? I co się z nią stało?

Teraz było za późno. Nie mogła wyciągnąć telefonu i zacząć jej wyszukiwać przy Treswicku. Ale myśl, że mogłaby się uzbroić w jakieś podstawowe dane przed rozmową z rzekomymi „wujami”, była kusząca. Nie może sobie znowu pozwolić na potknięcie. Czy da radę się jakoś wymknąć, kiedy przyjadą do domu? Może gdyby poprosiła o czas na przebranie się w coś suchego...?

Milczała przez resztę podróży, podobnie jak Treswick, chociaż zerkał na nią raz po raz, podczas gdy volvo pokonywało długie wiejskie odległości. Dopiero kiedy samochód zaczął zwalniać, Hal się wyprostowała, a Treswick rzucił, zagłuszając odgłos pracujących wycieraczek:

– No, i jesteście. – Wskazał na lewo, gdzie błysk lamp podświetlał krople deszczu na złoto. – Dom Trepassen. O, brama jest otwarta. Bardzo dobrze. Muszę przyznać, że nie miałem ochoty walczyć z zasuwą w taką pogodę.

Powoli skręcili w ogromną bramę z kutego żelaza i zaczęli się piąć długim, zwirowym podjazdem.

Daleko z przodu stał długi, niski budynek i kiedy go objeżdżali, Hal z zaskoczeniem zorientowała się, że go rozpoznaje. Przypomniała sobie ten obraz – wysokie okna, rozciągająca się połać trawnika – i oto ukazał się on jej oczom niczym za sprawą jakiejś magicznej sztuczki.

Otworzyła usta ze zdumienia i przez chwilę nie umiała tego wyjaśnić – zrozumiała to dopiero po chwili, z niewielkim ukłuciem rozczarowania. Oczywiście. To ta pocztówka, którą znalazła w internecie. „Zjedliśmy bardzo dobry podwieczorek w domu Trepassen”. Tamto zdjęcie zostało zrobione z nieco innego kąta, z dalszej części trawnika, a to niespodziewane wspomnienie nie było niczym innym jak dopasowaniem perspektywy. Ale nawet kiedy rozpoznała tamten obraz, dostrzegła też, że zaszły w nim zmiany – bluszcz oraz dzikie wino, które na oryginalnej pocztówce pięły się ozdobnymi ścieżkami, teraz panoszyły się po przedniej ścianie budynku i wyglądały, jakby chciały zdusić okna

w wykuszach oraz kolumny podpierające ganek. Farba nie miała już koloru dziewiczej bieli, jak na zdjęciu, tylko pękała i łuszczyła się, a trawniki były przerośnięte i spomiędzy desek tarasu wystawały chwasty.

Nadzieje Hal zaczęły nieco gasnąć, podobnie jak pewność tego, co robi, którą czuła w pociągu. Gdzie te kucyki, pamiątki z zagranicznych wakacji, drogie garnitury? Jeśli były tu jakieś pieniądze, to od długiego, długiego czasu nikt ich nie wydawał.

Minęli zagajnik cisów i deszcz ustał na chwilę, kiedy jechali pod osłoną gęstych gałęzi – wtedy bez ostrzeżenia z drzewa runęło na nich jakieś czarno-białe kłębowisko, a Treswick zszedł z trasy i zarył oponą w jeden z granitowych głazów znaczących brzegi podjazdu.

– Cholera jasna! – Nerwowo wrócił na trasę i kilka ostatnich metrów do domu przejechał już wolniej, podczas gdy deszcz znów powrócił, bo wyjechali spod osłony zagajnika.

– Co to było? – spytała Hal, oglądając się przez ramię. – Mewa?

– Nie, sroka. W tym domu jest ich plaga, dosłownie plaga. Potrafią być zaskakująco agresywne. – Przejechał przez łuk ze sklepieniem i zatrzymał się na żwirowym parkingu dla pojazdów, na prawo od głównego wejścia. Tam zgasił silnik i wytarł drżące dłonie w spodnie. – Takie jest podobno pochodzenie tej nazwy. *Piasenn* po kornwalijsku oznacza srokę. A *tre* gospodarstwo lub farmę. Mówi się więc, że Trepassen to przekształcenie Tre Piasenn – czyli Farmy Srok. Nie mam pojęcia, czy to prawda, ale z pewnością pasuje do takiej nazwy. Według innej teorii ma związek z kornwalijskim określeniem przeszłości: *passyen*. Sam nie wiem. Obawiam się, że nie jestem specjalistą od kornwalijskiego. – Wygladził włosy i odpiął swój pas. Po raz pierwszy, odkąd Hal go poznała, wyglądał na mocno wstrząśniętego. – Nie... Niezbyt *przepadam* za ptakami, to jakaś taka fobia. Chciałbym się jej pozbyć, ale nie jestem w stanie. A te tutejsze sroki... – Mimowolnie się wzdygnął. – No cóż, jak już wspomniałem, jest ich naprawdę sporo i w ogóle się nie boją. Przynajmniej... – Sięgnął po parasolkę i uśmiechnął się niewesoło. – Przynajmniej nie ma takiego zagrożenia, żeby wywróżyły komuś smutek.

– Smutek? – spytała zaskoczona Hal.

– No tak, nie zna pani tej rymowanki? „Jedna srocza smutek wróży, dwie radości pełne dni...” i tak dalej? Chociaż radość wydaje się równie nieprawdopodobna. Nigdy nie widziałem tu mniej niż sześć srok w jednej grupce naraz.

- Tak - przyznała powoli Hal. - Tak, znam ten wierszyk. - Jej dłoń powędrowała do ramienia i dotknęła skóry pod cienkim płaszczem, a potem opadła. - A przynajmniej... Znam pierwsze cztery wersy. Jest aż sześć?

- Och, tak - potwierdził pan Treswick i zmarszczył brwi. - Jak to było... „Jedna sroczka smutek wróży, dwie radości pełne dni, trzy to dziewczę urodziwe, cztery, chłopiec ci się śni”. I jak to szło dalej... „Pięć da srebra cały dzbanek”... Wydaje mi się, że sześć to złoto. Tak, „sześć przyniesie złota moc”.

Sześć to złoto, pomyślała Hal. Przygryzła usta. Gdyby była przesądna, mogłaby to uznać za znak. Ale nie była.

Lata pracy z kartami nie sprawiły, że zaczęła bardziej w to wszystko wierzyć - wręcz przeciwnie, jeśli już. Jest wielu wróżbitów, którzy wierzą, spotkała takich. Ale Hal wiedziała, ponieważ przyglądała się temu osobiście i z bliska, że znaki są tworzone przez ludzi, którzy szukają schematów i odpowiedzi - w sobie oraz na swój temat - a tak naprawdę nic nie znaczą.

Teraz Treswick je pokazał, zobaczyła sroki kryjące się w cisowych zaroślach. Dwie chodziły po ziemi, wydziobując jagody. Cztery siedziały na gałęziach. A ostatnia, ta, która zaatakowała wcześniej ich samochód, siedziała w deszczu na dachu ganku, przyglądając im się złowrogo.

- A co oznacza siedem? - spytała lekko. - Jeszcze więcej złota?

- Nie - zaprzeczył ze śmiechem Treswick. - Oj, nie. - Wsiadł z samochodu i obszedł go pospiesznie dookoła z rozłożonym parasolem. Mówił, przebijając się przez dźwięk deszczu bębniącego o jego materiał. - Siódmy to ostatni wers tej rymowanki. Siedem srok „tajemnicę kryje w najstraszniejszą ciemną noc”.

Może to wina deszczu, a może wiatru, który zawiał w dolinie. Hal jednak mimowolnie drżała, kiedy wyjęła walizkę z bagażnika i razem z Treswickiem, pod osłoną jego parasola, weszła na ganek domu Trepassen.

4 grudnia 1994

Rano znowu wymiotowałam, zbiegłam w koszuli nocnej po stromych schodach i potruchtałam długim korytarzem do toalety, po czym uklęknęłam na zimnych płytkach podłogowych, by pozbyć się pozostałości wczorajszego obiadu.

Potem umyłam zęby i chuchnęłam sobie w dłonie, by mieć pewność, że mój oddech nie zdradzi mnie żadnym kwaśnym zapachem. Kiedy otworzyłam drzwi na korytarz, Maud stała na zewnątrz z ramionami skrzyżowanymi na starej, złachanej koszulce The Smith, którą nosi zamiast porządnej piżamy.

Nic nie powiedziała, ale jej mina mi się nie spodobała. Było to połączenie troski i czegoś jeszcze, nie jestem pewna czego. Myślę, że to mogła być... litość? Na samą myśl się wściekłam.

Opierała się o ścianę, blokując mi przejście, i w ogóle się nie poruszyła, gdy wyszłam i zamknęłam za sobą drzwi łazienki.

- Przepraszam. - Odrzuciłam włosy z twarzy, próbując wyglądać beztrosko. - Długo czekasz?

- Tak - odparła beznamiętnie. - Wystarczająco długo. Dobrze się czujesz?

- Oczywiście. - Przepchnęłam się koło niej, zmuszając ją, żeby cofnęła się do ściany. - Dlaczego miałbym się czuć źle? - zawołałam przez ramię.

Wzruszyła ramionami, ale wiedziałam, o co jej chodzi. Wiedziałam dokładnie, o co jej chodzi. Pomyślałam o jej minie, o tym, jak jej czarne oczy bez wyrazu śledziły mnie, kiedy wracałam na strych. Teraz, kiedy siedzę tu na łóżku i piszę na kolanie, obserwując sroki szybujące nisko nad zaśnieżonym ogrodem, zastanawiam się... na ile mogę jej zaufać?

Rozdział 11

Treswick ruszył przodem przez boczne wejście do przedsionka z kopułowym sklepieniem wyłożonym płytkami z czerwonej terakoty. Hal poszła za nim i pokręciła głową, gdy szum deszczu zastąpiło głucho bębnienie wody skapującej z jej płaszcza i parasola Treswicka.

– Pani Warren! – zawołał, a jego głos poniósł się długim korytarzem. – Och, pani Warren! To ja, Treswick.

Odpowiedziała im cisza, a potem Hal usłyszała, jakby z bardzo daleka, *stuk-stuk, stuk-stuk* obcasów na kafelkach, a po każdej parze kroków rozlegało się obco brzmiące *brzdęk*. Odwróciła głowę i przez szybę w drzwiach po swojej lewej dostrzegła starszą panią ubraną na czarno, która trochę szła, a trochę kuśtykała wzdłuż korytarza.

– To jest pani Warren? – szepnęła do Treswicka, nim zdążyła wymyślić jakieś lepsze pytanie. – Ale ona wygląda...

– Ma co najmniej osiemdziesiąt lat – wyszeptał Treswick. – Ale nie chciała nawet słuchać o emeryturze, dopóki pani babcia żyła.

– Czy to ty, Bobby?

Miała wyraźnie kornwalijski akcent i głos zachrypnięty jak kruk. Treswick się skrzywił i Hal mimo zdenerwowania z lekkim zaskoczeniem dojrzała u niego czerwony rumieniec na policzku pokrytym siwym kilkundniowym zarostem. Zdjął płaszczy i odkaslnął.

– Tu Robert Treswick, pani Warren! – zawołał w głąb korytarza, ale ona pokręciła głową.

– Mów głośniej, chłopcze, nie słyszę cię. Wy, młodzi, wszyscy jesteście tacy sami. Bla, bla, bla.

Kiedy podeszła bliżej, Hal dostrzegła, że opiera się na lasce, i to żelazne okucie uderzające o płytki wydawało właśnie ten *brzdęk*, który wcześniej

usłyszała. Nadawał on jej krokom dziwny, nierówny rytm: *stuk-stuk... brzdęk, stuk-stuk... brzdęk*.

Po kilku chwilach kobieta w końcu dotarła do drzwi i przystanęła, trując się z laską, aż w końcu Treswick zerwał się i otworzył drzwi, a ona przekuściwała na zewnątrz.

– Więc. – Zignorowała Treswicka i jej zaskakująco ciemne, bystre oczy skierowały się w stronę Hal. Było w nich coś, czego Hal nie potrafiła zinterpretować, ale nie było to nic ciepłego. Wręcz przeciwnie. Jakiś rodzaj... może domysłów? W jej głosie nie było cienia uśmiechu, kiedy powiedziała: – A więc to ty jesteś tą dziewczyną. No, no.

– Ja... – Hal przełknęła ślinę. Miała gardło wysuszone na wiór i nagle zdała sobie sprawę ze swojej obronnej postawy. Ramiona założone na piersi, włosy opadające na twarz.

„Pomyśl o swoich klientach” – usłyszała w głowie głos matki. „Pomyśl o tym, co chcą zobaczyć, kiedy do ciebie przychodzą”. Żałowała, że nie wyjęła wielkiego kolczyka z kolcem, ale teraz było już za późno. Zmusiła się do uśmiechu, starając się, by jej twarz była tak otwarta i niegroźna, jak to tylko możliwe.

– Tak, to ja.

Wyciągnęła dłoń, ale starsza pani odwróciła się, jakby jej nie dojrzała, więc została zmuszona do jej opuszczenia.

– Nie powiedzieli mi, że przyjedziesz – rzuciła pani Warren przez ramię. – Ale na wszelki wypadek przewietrzyłam pokój. Zechcesz się przebrać.

To nie była prośba, tylko rozkaz, więc Hal potulnie pokiwała głową.

– Proszę za mną – rzuciła pani Warren. – Hal zerknęła na Treswicka i uniosła jedną brew w niemym zapytaniu. Uśmiechnął się oschle i machnął ręką w stronę schodów, ale pani Warren nie czekała, aż Hal się z nią zgodzi, tylko już zaczęła się z bólem wspinać na wysokie schody, stopień po stopniu, ściskając poręcze artretycznymi knykciami.

– Będziesz musiała spać na strychu – oznajmiła, a Hal pospieszyła za nią, jej walizka obijała się o stopnie. Każdy z nich miał mosiężny pręt schodowy, ale w szczelinach wokół nich utkwili tyle kurzu, że prawie nie było ich widać, podobnie jak wzoru na wykładzinie pod nimi.

– Oczywiście – odpowiedziała zdyszana Hal, gdy dotarły do piętra i pani Warren ruszyła na kolejne, tym razem wyłożone bardziej praktycznym bieżnikiem, który wydawał się twardy i nierówny pod stopami. – To żaden problem.

– Nie ma co narzekać – zauważyła ponuro pani Warren, jak gdyby Hal to zrobiła. – Nikt mnie nie ostrzegł, więc będziesz musiała się z tym pogodzić.

– Nie ma sprawy – odpowiedziała Hal. Zdusiła w sobie ukłucie niechęci wobec zachowania pani Warren i znowu się uśmiechnęła, z nadzieją, że da się wyczuć ten uśmiech w jej głosie. – Naprawdę. Ani myślę narzekać. Jestem bardzo wdzięczna, że w ogóle dostanę pokój.

Doszły do piętra, które wyglądało na najwyższe. Dalej nie było już żadnych schodów – tylko wyłożony kafelkami korytarz z długim rzędem czegoś, co wyglądało na sypialnie wychodzące na obie strony. W którejś z nich musiało być otwarte okno, bo czuć było przeciąg, na tyle silny, że kiedy Hal stanęła, wokół jej kostek zawirował kurz.

– Tutaj jest toaleta – rzuciła krótko pani Warren i skinęła głową na drzwi znajdujące się na samym końcu wykafelkowanego holu. – A łazienka piętro niżej.

Łazienka? W tym całym domu jest chyba więcej niż jedna łazienka?

Ale pani Warren otworzyła już jedne z drzwi, które Hal wzięła za wejście do sypialni, a ich oczom ukazała się wąska klatka schodowa osadzona w ścianie. Przycisnęła włącznik światła, a goła żarówka na samej górze zamigotała i oświetliła wąskie stopnie, tym razem z surowego drewna, bez dywanu, nawet bez kawałka wykładziny, tylko z cienkim paskiem linoleum na szczycie. Starsza pani zaczęła się wspinać, a jej okuta metalem laska dudniła przy tym o drewno.

Hal czekała na dole, udając, że musi złapać oddech.

Coś jej się nie podobało w tej klatce schodowej – może to, że była taka wąska; może brak naturalnego światła, bo nie było tam okien, nawet żadnego świetlika; a może sposób, w jaki wydawała się odcięta od reszty domu, bo drzwi na dole ukrywały w ogóle jej istnienie. Ale przełknęła ślinę i otworzyła drzwi najszerzej, jak się dało, a potem ruszyła za panią Warren na ostatnie piętro.

– Czy tu kiedyś spała służba? – spytała i usłyszała, jak jej głos odbija się echem w zamkniętej przestrzeni.

– Nie – odparła krótko pani Warren, nie odwracając głowy. Hal poczuła się spławiona, ale kiedy dotarły na górę, a pani Warren zatrzymała się i spojrzała na nią, wydawało się, że nieco złagodniała. – Już nie. Podczas przebudowy przenieśli pokoje dla służby nad kuchnię – wyjaśniła. – Oczywiście teraz wszystkie są pozamykane, tylko ja zostałam i śpię na dole

obok pokoju pani Westaway, na wypadek gdyby potrzebowała mnie w nocy.

- Rozumiem - odpowiedziała pokornie Hal. Zadrżała. Jeszcze nigdy nigdzie nie czuła się tak nie na miejscu, w tym ubłoconym, mokrym płaszczu, rajstopach z oczkiem, czarnej, krótkiej fryzurze schnącej po deszczu w strąki. - Miała szczęście, że na panią trafiła.

- Miała - przyznała pani Warren. Zaciśnęła usta w wąską linię wyrażającą dezaprobatę. - Bóg świadkiem, że rodzina niezbyt się o nią troszczyła, chociaż widzę, że wszyscy się ochoczo zjechali, żeby jak sroki rozdziobać to, co zostało.

- Ja... Ja nie... - zaczęła z irytacją Hal, ale przerwała, kiedy pani Warren odwróciła się i pokuśtykała krótkim, nieoświetlonym korytarzem w stronę zamkniętych drzwi i sięgnęła sękatą dłonią do klamki.

Co mogła powiedzieć? W końcu to była prawda, przynajmniej w jej przypadku. Zamknęła usta i czekała, aż pani Warren, z laską pod pachą, upora się ze sztywną gałką.

- Wilgoć - rzuciła krótko starsza pani przez ramię, ciągnąc za klamkę. - Futryny puchną.

- Mogę... - zaczęła Hal, ale było już za późno. Kiedy się odezwała, drzwi nagle ustąpiły i piętro załała powódź zimnego światła.

Pani Warren odsunęła się i przepuściła Hal przodem. W środku znajdował się wąski, mały pokój, dotkliwie nagi, z metalową ramą łóżka w jednym rogu i szafką umywalkową w drugim oraz zakratowanym okienkiem wychodzącym na ogród. Nie było tam żadnego dywanu, tylko gołe deski oraz małeńka pleciana makatka nad łóżkiem. Nie było tam też kaloryfera, tylko niewielki kominek z węglem i przygotowaną rozpałką.

Widok prętów w oknie sprawił, że Hal dziwnie ścisnął się żołądek, chociaż nie umiała powiedzieć dlaczego. Może dlatego, że wydawały się nedorzeczne w takim miejscu, na strychu. Na parterze mogłyby się przydać do ochrony przed intruzami. Ale tutaj mogło być tylko jedno wyjaśnienie - te kraty nie służyły do tego, żeby zatrzymać kogoś z zewnątrz, tylko *w środku*. Tylko że... to nie był pokój dziecięcy, gdzie kraty przydałyby się do zabezpieczenia okna przed wdrapującym się małuchem. Był to pokój służącej, oddalony od reszty domu, zupełnie niepraktyczny dla małego dziecka.

Jaki człowiek musi powstrzymywać swoje służące przed ucieczką?

- No i proszę - rzuciła z irytacją pani Warren. - Na kominku leżą zapalki, ale mamy mało węgla, więc nie myśl sobie, że możesz zaszaleć z ogniem. Nie mamy pieniędzy do spalania. Zostawię cię, żebyś się rozpakowała.

- Dź-dziękuję - odparła Hal. Ten mały pokój był przejmująco zimny i zęby jej dzwoniły, chociaż starała się zaciskać szczęki, by to powstrzymać. - Kiedy powinnam zejść na dół?

Gospodyni odwróciła się, nim Hal zdążyła spytać o coś więcej, i zaczęła schodzić po wąskich schodach. Hal odczekała, aż usłyszała eleganckie stuknięcie zamykanych drzwi, po czym opadła na małe łóżko i zaczęła się rozglądać wkoło.

Pokój miał zaledwie parę metrów kwadratowych, a zakratowane okno sprawiało, że przypominał więzienną celę, nawet przy otwartych drzwiach. Był także niezwykle zimny. Kiedy powietrze wokół się uspokoiło, Hal zauważyła, że jeśli mocno chuchnie, to może zobaczyć swój oddech. Na łóżku leżała miętowozielona pikowana narzuta, Hal ściągnęła ją z materaca i narzuciła sobie na ramiona. Delikatna satynowa tkanina rozciągała jej się pod palcami tak, że dziewczyna obawiała się, czy materiał nie rozpadnie jej się w rękach, ale było jej zbyt zimno, by siedzieć tam bez jakiegokolwiek ocieplacza.

Pomyślała o rozpaleniu kominka, ale to się wydawało bez sensu, skoro będzie musiała zejść na dół na spotkanie z rodziną. A poza tym truchlała na samą myśl, że miałyby poprosić pełną dezaprobaty panią Warren o kolejne wiaderko węgla, zwłaszcza gdy przypomniawszy sobie jej zaciśnięte usta i ponure spojrzenie.

Zastanawiała się, czy pani Warren tak bardzo nie lubiła *całej* rodziny, czy tylko jej. Może to wina jej niespodziewanego przybycia - chociaż nie wydawała się szczególnie zaskoczona. Może chodzi o ubłocone ubranie i buty. Albo może... może coś podejrzewała? W jej reakcji na widok Hal było coś, czego Hal nie potrafiła do końca określić, jakiś rodzaj czujnej... kalkulacji. Nagle pomyślała, że to spojrzenie przypomina wzrok dziecka, które zobaczyło kota wśród stada gołębi i czeka na rzeź. Co znaczyło?

Hal znowu zadrżała, mimo narzuty, a potem, przypominając sobie swoje postanowienie z podróży, wyjęła telefon z torby i otworzyła wyszukiwarkę. Gdy wpisywała słowa do okienka, palce miała zeszywniałe i oporne - nie tylko z zimna - i wstrzymała się na kilka chwil, nim dotknęła przycisku wyszukiwania.

„Maud Westaway St. Piran zaginiona nie żyje”.

Potem wcisnęła enter.

Małeńka ikonka furkotała przez jakiś czas – na tyle długo, że Hal z powątpiewaniem zerknęła na kreski zasięgu w prawym górnym rogu ekranu. Dwie na trzy. Nie za dobrze... Ale chyba powinno wystarczyć, żeby złapać chociaż trochę internetu?

W końcu na ekranie wyświetliły się wyniki i Hal ścisnął się żołądek, bo na samym szczycie listy znajdował się artykuł, którego się spodziewała. Był to link do gazety opisującej śmierć jej matki.

„~~Maud~~ Westaway St. ~~Piran~~ zaginiona nie żyje” – głosił wyróżniony na szaro tekst pod linkiem, wyjaśniający, że nie spełnił wszystkich warunków wyszukiwania, ale tak czy inaczej stanowił najlepszy wynik.

Nie kliknęła w niego. Nie musiała. Nie było tam informacji, których potrzebowała, tylko drastyczne szczegóły i tekst o ponurym wydźwięku. „Samozwańcza wróżka”, jak zapamiętała Hal, oraz „znana lokalna postać w charakterystycznym stroju”, jak gdyby jej matka znajdowała się o krok od przymusowego pobytu w ośrodku zamkniętym, a nie była radosną, rozsądną kobietą, która zarabiała na siebie i dziecko najlepiej, jak potrafiła.

Chociaż „Wielka strata dla społeczności mola” – to akurat była prawda.

Hal nadal pamiętała, jak zebrali się wokół niej, kiedy powróciła do budki mamy, na twarzach mieli wypisane nieme współczucie. Okazało się, że potem przez długie miesiące zawsze ktoś po cichu zostawiał jej kubek gorącej herbaty przed kioskiem, a resztę za rybę z frytkami jakoś zawsze wydawano na jej korzyść. Teraz zamrugła, przewijając linki o wypadku, oczy zachodziły jej mgłą, kiedy próbowała rozczytać teksty innych artykułów. Kliknęła w kilka z nich, ale żaden z nich nie był przydatny. W St. Piran zaginał pies rasy west highland white terrier, a poza tym wyskoczyła masa bezsensownych treści, takich jak strony z imionami dla dzieci oraz informacja turystyczna w St. Piran.

W końcu wyłączyła ekran, okryła sobie ramiona narzutą i po prostu siedziała, wyglądając przez małe, zakratowane okna na skąpany w deszczu ogród.

Kimkolwiek była Maud Westaway, cokolwiek jej się stało, najwyraźniej przepadła bez śladu.

Rozdział 12

Hal poderwała się na dźwięk opon na żwirowym podjeździe za oknem, który przerwał jej zamyślenie. Satynowa narzuta ześlizgnęła jej się z ramion; złapała ją odruchowo, drżąc od nagłego podmuchu zimnego powietrza, a potem odrzuciła ją i podeszła do okna zobaczyć, kto to przyjechał.

Nie widziała twarzy ludzi na dole, którzy pospiesznie ruszyli w kierunku głównego wejścia, tylko czubki ich głów i parasole, ale zobaczyła zaparkowane samochody – w skład pogrzebowego karawanu wchodziły dwie długie, czarne limuzyny, lśniące niczym rekiny.

Przyjechała rodzina. Prawdziwy test dopiero miał się zacząć.

Nagle zrobiło jej się niedobrze z nerwów, zakręciło jej się w głowie z napięcia. To już. Spotkanie w cztery oczy z jej rzekomymi krewnymi. Naprawdę zdoła to zrobić?

Żyła z oszukiwania ludzi – potrafiła to przed sobą przyznać w przepływie przejrzystej szczerości. Ale tym razem było inaczej. Nie chodziło tylko o wmawianie podatnym osobom tego, co chciały usłyszeć lub co już wiedziały. To było *przestępstwo*.

– Do diabła z herbatą. – Usłyszała słowa niosące się w górę klatki schodowej, kiedy zeszła na drugie piętro. – Chciałbym brandy... Albo whiskey, jeśli inaczej się nie da, pani Warren.

Hal nie usłyszała żadnej odpowiedzi od gospodyni, ale padła jakaś uwaga od jednego z pozostałych, a po niej nastąpił wybuch śmiechu, po czym ktoś z dzieci Hardinga zaczęło narzekać na to, że musi schować telefon.

To już. *Chwila prawdy*. Te słowa przysły jej do głowy nieproszone, zaśmiała się z nich krótko. Prawdy? Nie. Kłamstwa. Chwila kłamstwa.

Przygotowywała się na to całe życie.

„Jeśli komukolwiek mogłoby się udać, to tobie, Hal”.

Rozciągnęła palce, czując się jak bokser przed walką – chociaż nie, to nie do końca pasowało, bo ten test miał dotyczyć umysłowej, nie fizycznej sprawności. Może bardziej jak mistrz przed pojedynkiem szachowym. Patrzyła na siebie jakby z góry, jej dłoń zawisała nad pionem, gotowa wykonać pierwszy ruch.

Miała poczucie, że opuszcza ją teraz zimno, twarz wydawała się zarumieniona i gorąca z przejęcia, a kiedy pokonywała kolejne piętro schodów, serce biło jej mocno pod czarną sukienką.

– Zobaczymy, czy uda się dostać dla ciebie jakąś gorącą czekoladę, kochanie – odezwał się kobiecy głos. Nie była to pani Warren, bo miał inny akcent, raczej dystyngowany. Możliwe, że to Mitzi. – To makabryczne sterczenie nad grobem to już była przesada, Harding. Kitty przemarzła. Gdzie tu są, u diabła, kaloryfery?

– Nie ma, Mit, doskonale o tym wiesz. Ale przypuszczam, że w salonie pali się w kominku.

Zakręciła na schodach i zobaczyła ich wszystkich – Harding wyplątywał się ze swojej kurtki marki Barbour, Abel stukał w telefon w rogu korytarza, nadal w płaszczu przeciwdeszczowym, Mitzi zdejmowała z dzieci kolejne warstwy ubrań.

Żadne z nich nie spojrzało do góry, kiedy zaczęła pokonywać ostatnie piętro – Ezra podniósł głowę dopiero wtedy, kiedy nadepnęła na jakąś luźną deskę.

– Dzień doooobry – wycedził, a Hal poczuła, że się rumieni. Wszystkie głowy obróciły się w jej stronę, na niektórych twarzach malowała się ciekawość, na innych szczerze zdumienie. – Chyba widziałem cię na pogrzebie?

– Tak – potwierdziła Hal. Przełknęła ślinę. Gardło miała wysuszone i bolesne, jakby utknął jej tam jakiś cierń i wbijał się głębiej. – Tak, mam na imię Hal, to skrót od Harriet. Harriet Westaway.

Ich twarze się nie poruszyły, dopóki za ramieniem Hardinga nie rozległo się suche odkaszlnięcie.

– Harriet jest... córką Maud.

To odezwał się Treswick, a jego cichy głos wszedł w gwar na korytarzu niczym nóż w masło.

Jej imię nie znaczyło dosłownie nic dla młodszych członków tej grupy ani dla Mitzi, która kontynuowała, zupełnie jakby prawnik się nie

odezwał. Zaganiała dzieci do pokoju na końcu korytarza i po drodze głośno narzekała na zapach wilgoci.

Ale na trzech braciach słowa Treswicka wywarły taki efekt, jakby przeklął albo rozbił pustą porcelanową wazę stojącą u podnóża schodów. Harding wymacał za sobą krzesło i nagle usiadł, jakby stracił zaufanie do swoich nóg. Abel jęknął głośno i sięgnął dłonią kołnierzyka. Tylko Ezra się nie poruszył. Stał nieruchomo, tylko poblądł na twarzy.

– Ona miała... ona miała dziecko? – Pierwszy odezwał się Harding, niewyraźnie, jakby wyduszał z siebie słowa. – Dlaczego o tym nie wiedzieliśmy?

– Nikt nie wiedział – wyjaśnił Treswick. – Poza, jak się okazało, waszą nieboszczką matką. Może wasza siostra jej powiedziała, nie jestem pewien.

Abel kręcił głową.

– Miała *dziecko* – powtórzył po bracie, jednak z zupełnie inną emfazą, jak gdyby nie wierzył tym słowom lub rzeczywistości, która za nimi stała.

– Ona miała *dziecko*? Ale... ale to nie ma żadnego sensu.

Hal poczuła, że wywraca jej się w żołądku, i mocno chwyciła się poręczy, czując, jak spocone dłonie ślizgają się po wypolerowanym drewnie.

– To nie ma żadnego sensu – powtórzył Abel. – Ona nie była... Ona nie...

– W każdym razie – przerwał mu Treswick – to jest Harriet.

Hal weszła krok dalej do korytarza, czując, że serce wali jej mocno i szybko w piersi. Myślała o roli, którą miała do odegrania. „To naturalne, że jesteś zdenerwowana” – powiedziała sobie. „Po raz pierwszy w życiu spotykasz swoją rodzinę. Możesz wykorzystać ten strach – obróć go na swoją korzyść”.

– Nie wiedziałam, że mam jakiegoś wuja – odezwała się, nie próbując ukryć drżenia głosu, kiedy wyciągnęła dłoń do Hardinga. – A co dopiero trzech.

A on przyjął jej dłoń, objął grubymi, ciepłymi palcami jej – zimne – i potrząsnął jej ręką mocno obiema swoimi, jak gdyby ten uścisk miał w jakiś sposób przypieczętować łączącą ich więź.

– No, no, no – powiedział. – Bardzo się cieszę, że mogę cię poznać, Harriet.

Za to Abel przyciągnął ją do siebie i przytulił, wciskając jej okulary w swój mokry płaszcz przeciwdeszczowy tak mocno, że czuła jego serce

bijące pod jej policzkiem.

– Witaj w domu – powiedział tylko, a głos mu się trząsł z bolesną serdecznością. – Och, Harriet. Witaj w *domu*.

5 grudnia 1994

Maud wie. Przyszła do mojego pokoju wczoraj wieczorem po tym, jak położyłam się spać. Już wcześniej się tego spodziewałam – poznałam to po jej minie i po tym, jak mnie obserwowała przy obiedzie, kiedy przesuwałam widelcem po talerzu stygnącego dorsza i zwiędłe brokuły, czując, że w gardle znowu zbiera mi się na mdłości.

Już wtedy, po tym, jak na mnie spojrziała, odsunęła swój talerz i wstała, poznałam, że zgadła.

– Siadaj – warknęła jej matka. – Od tego stołu nie wstaje się bez pytania o pozwolenie.

Maud rzuciła jej spojrzenie bliskie nienawiści, ale usiadła z powrotem.

– Czy mogę wstać od stołu? – spytała, wypluwając każde pojedyncze słowo tak, jakby to były zbląkane ości z dorsza ułożone wzdłuż brzegu jej talerza.

Jej matka popatrzyła na nią i zobaczyłam, że jej twarz wykrzywia jakiś skurcz – pragnienie sprzeciwu połączone z wiedzą, że któregoś dnia popchnie Maud zbyt daleko i jeśli Maud jej się wtedy przeciwstawi, to już nic nie będzie mogła zrobić.

– Możesz – oznajmiła w końcu, przeciągając to słowo. Ale kiedy Maud wstała, dodała: – Kiedy skończysz jeść rybę.

– Nie mogę jej zjeść – stwierdziła Maud. Rzuciła swoją serwetkę na stół. – Maggie też nie może. Popatrz tylko, to jest obrzydliwe. Samie ości i jakieś białe gówno bez smaku.

Zobaczyłam, że czubek nosa mojej ciotki bieleje, jak zawsze, kiedy była wściekła.

– Nie będziesz komentować jedzenia w tym domu w taki sposób – wycedziła.

– Nie będę też na jego temat kłamać. Bóg świadkiem, że w tym domu i tak już nie brakuje kłamstw.

– Co to ma znaczyć?

Jej matka teraz wstała i popatrzyły sobie w oczy, takie podobne, a jednak tak inne – Maud jest gorąca tam, gdzie jej matka jest zimna, zaangażowana, gdy jej matka jest opanowana – ale gorycz i złość na ich twarzach sprawiały, że były do siebie niezwykle podobne; nigdy dotąd nie dostrzegłam tego tak wyraźnie.

– Dobrze wiesz, co to znaczy.

Po tym Maud podniosła palcami wiotki kawałek dorsza i wepchnęła go do ust. Wydawało mi się, że słyszałam trzaskające ości, kiedy go przeżuwała, i poczułam, jak wszystko podjeżdża mi do gardła, aż spociłam się z wysiłku, by to powstrzymać.

– Zadowolona? – spytała Maud, chociaż ledwo dało się ją zrozumieć przez ten zapychający kęs.

Następnie, nie czekając na odpowiedź, obróciła się na pięcie i wyszła. Tak mocno zatrasnęła za sobą drzwi jadalni, że na stole zadrżała porcelana.

Pochyliłam głowę nad talerzem i próbując opanować drżenie dłoni, nadziałam sobie na widelec ziemniaka. Włożyłam go do ust, a oczy zaszyły mi łzami.

Nie patrz na mnie, pomyślałam rozpaczliwie, wiedząc, że błada wściekłość mojej ciotki może zostać przekierowana na każdego, kto będzie miał dość pecha, by przyciągnąć jej uwagę. Nie patrz na mnie.

Nie popatrzyła. Zamiast tego usłyszałam skrzypnięcie nóg jej krzesła na parkiecie oraz trzaśnięcie drzwiami po drugiej stronie pomieszczenia, a kiedy podnosiłam wzrok, byłam szczęśliwie całkiem sama.

Maud przyszła do mojego pokoju dużo później. Siedziałam na łóżku w szlafroku, z butelką gorącej wody w nogach, układałam swoje karty. Usłyszałam kroki na schodach i najpierw ścisnęło mnie w żołądku, bo nie byłam pewna, kto to, ale potem rozległo się stukanie do drewnianych drzwi i już poznałam.

– Maud?

– Tak, to ja – odpowiedziała cicho i zrozumiałam, że nie chce, by ktoś ją usłyszał. – Mogę wejść?

– Tak – odszepnęłam. – Gałka klamki się przekreśliła, a ona wkroczyła do mojego pokoju, pochylając głowę w niskim, strychowym wejściu. Była owinięta wielkim swetrem, stopy miała bose. – Boże, nie zamarzasz? – spytałam, a ona pokiwała głową, zgrzytając zębami. Bez słowa przesunęłam się na wąskim łóżku, poklepałam poduszkę obok siebie, a ona usiadła i swoje stopy, zimne jak sople, wsunęła pod moje nogi.

– Nienawidzę jej – powiedziała tylko. – Tak bardzo jej nienawidzę. Jak ty tu wytrzymujesz?

Nie mam innego wyjścia, pomyślałam, ale wiedziałam, że mam dokładnie tyle samo możliwości co Maud, może nawet więcej.

– Zachowuje się, jakby to były lata pięćdziesiąte – ciągnęła gorzko Maud. – Żadnej telewizji, ty i ja zamknięte tu jak jakieś pieprzone zakonnice, pani Warren haruje w kuchni... Czy ona zdaje sobie sprawę, że ludzie już nie żyją w ten sposób? Inni ludzie w naszym wieku chodzą na imprezy, upijają się, pieprzą... Nie przeskadza ci, że siedzimy tu zamknięte w powojennej krainie fantazji mojej matki?

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Nie chciałam jej mówić, że nigdy nie chciałam się upijać ani chodzić na imprezy. Że nigdy tego nie robiłam – nawet kiedy

mogłam.

– Może ja tu lepiej pasuję – odparłam w końcu. – Moja mama zawsze mówiła, że jestem staroświecką dziewczynką.

– Opowiedz mi o swojej mamie – powiedziała cicho, a ja poczułam, że w gardle rośnie mi gęstwa, bo pomyślałam o mamie tak, jak zawsze ją widzę w swojej głowie. Jak kopie w ogródku, z tatą u boku, nuci Paula Simona, okopuje cebule albo sadi bulwy. Próbowalam nie myśleć o tych kilku ostatnich, koszmarnych miesiącach: o mamie wydającej ostatnie tchnienie pod respiratorem oraz o zawale serca taty kilka tygodni później.

– Co tu dużo opowiadać? – odparłam, starając się nie zabrzmieć tak gorzko, jak się czułam. – Nie żyje. Oboje nie żyją. I tyle.

Nadal zapiera mi dech w piersi na myśl o tym, jakie to niesprawiedliwe – ale jest w tym też coś słusznego, jak ostatnio zrozumiałam. Byłam dzieckiem dwojga bez reszty zakochanych w sobie ludzi. Ich przeznaczenie to bycie razem – za życia i po śmierci. Żałuję tylko, że ta śmierć nadeszła tak szybko.

– Chciałabym zrozumieć... – odezwała się bardzo cicho Maud. – Chciałabym zrozumieć, jak to musi być nie... nie nienawidzić swojej matki.

Tym razem to nie chłód jej stóp, tylko jad w głosie przyprowadził mnie o dreszcz.

Moja ciotka nie jest kobietą łatwą w pożyciu – wiem o tym; wiedziałam o tym, jeszcze zanim tu zamieszkałam. Sam fakt, że zdołała się pokłócić z moim ojcem, powiedział mi wszystko, co powinnam wiedzieć. On był najłagodniejszym mężczyzną, jakiego można sobie wyobrazić. Ale nic nie przygotowało mnie na rzeczywistość, którą tu zastałam.

– Chciałabym stąd uciec – szepnęła zjadliwie do swoich kolan Maud. – Jego wypuściła.

Nie powiedziała kogo – nie musiała. Oboje wiedzieliśmy, o kogo chodzi. O Ezrę, który wyjechał do szkoły z internatem. On zdołał uciec.

– Myślisz, że dlatego, że jest chłopakiem? – spytałam.

Maud wzruszyła ramionami, próbując wyglądać bez troski, ale nie dałam się oszukać. Miała wilgotne policzki od płaczu po kolacji.

– Dziewczyn nie warto edukować – odpowiedziała z gorzkim śmiechem. – A w każdym razie nie warto płacić za ich edukację. Ale niezależnie od tego, co ona sobie myśli, ja jestem od niego dwa razy mądrzejsza. Ja już będę w Oxfordzie, a on dalej będzie powtarzał klasę w jakiejś gównianej podstawówce w Surrey. Udowodnię jej to tego lata. Te egzaminy będą dla mnie biletem na wyjazd stąd.

Nie powiedziałam na głos tego, co pomyślałam. Czyli – a co ze mną? Jeśli Maud wyjedzie, to co ja zrobię? Zostanę tu nadal uwięziona, sama, z nią?

– Kiedyś nienawidziłam tego pokoju – powiedziała miękko Maud. – Zamykała nas tu za karę, kiedy byliśmy dziećmi. Ale teraz... Nie wiem, wydaje mi się, że można tu uciec od reszty domu.

Zapadła długa cisza. Próbowałam to sobie wyobrazić – wyobrazić sobie, że można mieć matkę, która tak postępuje, i jaki to ma wpływ na dziecko, które musi przez coś takiego przechodzić. Ale wyobrażenia mnie zawiodła.

– Czy mogę tu dziś spać? – spytała, a ja skinęłam głową.

Zwinęła się w kłębek, a ja zgasiałam światła. Położyłam się na boku, plecami do niej, leżałyśmy w ciemności, czując ciepło naszych kręgosłupów. Materac przesuwał się i trzeszczał, kiedy któraś z nas się poruszała.

Już prawie spałam, kiedy się odezwała, tak cichym szeptem, że na początku nie byłam pewna, czy mówi, czy wzdycha przez sen.

– Maggie, co ty teraz zrobisz?

Nie odpowiedziałam. Po prostu leżałam, patrząc w ciemność i czując, że serce wali mi w piersi po jej słowach.

Ona wie.

Rozdział 13

Kolejne pół godziny zapamiętała jako nieprzerwany ciąg pytań i uników, trudniejszych, niż Hal kiedykolwiek sobie wyobrażała, ale jednocześnie dziwnie emocjonujących.

Kiedy tak brnęła przez tę rozmowę, usiłując rozpaczliwie zapamiętać, co komu powiedziała, zauważyła, że porzuca już analogię do szachów, a powraca do wyobrażenia siebie jako bokserki zabezpieczającej sobie knykcie, zanim wgramoli się na ring, żeby robić uniki, uskakiwać od pytań i przerzucać dziwne zapytania na swojego przeciwnika.

A jednak nie był to pojedynek jeden na jednego. Układ z pojedynczym przeciwnikiem mniej wykraczałby poza jej strefę komfortu. Była do tego przyzwyczajona – chociaż i tak bardzo odbiegało to od kontrolowanego otoczenia jej małego kiosku. Tymczasem cały ten bezładny rozgardiasz był czymś zupełnie innym – pomieszane głosy przerywające jeden drugiemu, ponaglanie do odpowiedzi, nim w ogóle zdążyła poradzić sobie z poprzednim pytaniem, wtrącanie się z anegdotami i wspomnieniami. Było to tak dalekie od tego, do czego przywykła, że czuła się skołowana i niemal ogłuszona.

Całe jej życie rodzinne ograniczało się do jednego – jej oraz jej matki. Były ze sobą związane i niezależne. Dorastając, Hal nigdy nie odczuwała, że czegoś jej brakuje, tylko czasami marzyły jej się duże, rodzinne wakacje, takie jak miały inne dzieci ze szkoły; niezliczone szeregi braci, sióstr i kuzynów, z którymi można się bawić, oraz stosy prezentów na Boże Narodzenie i urodziny, które przynosiły tabuny krewnych.

Teraz – kiedy stłoczyli się wokół niej, przekrzykując się dźwięcznymi głosami, wypytując o jej dorastanie, edukację i obecną sytuację – zauważyła, że zastanawia się, jakim cudem kiedykolwiek mogła zazdrościć innym dzieciom ich wujków i ciotek.

Najtrudniejszy był Harding – jedno bezpośrednio pytanie po drugim, wyszczerkane żołnierskim tonem, jak na przesłuchaniu. Abel miał zupełnie inny styl, lżejszy, przyjaźniejszy; a gdy Hal czasem natrafiła na coś, na co nie potrafiła odpowiedzieć, wtrącał się ze śmiechem i własną anegdotką. Ezra nic nie mówił, ale Hal czuła jego wzrok na sobie, obserwował ją.

W końcu przerwała im Mitzi, ze śmiechem, który w innych okolicznościach Hal uznałaby za drażniący.

– Na Boga, chłopaki! – wepchnęła się w wianuszek czarnych garniturów, pacnęła Abła w ramię i wzięła Hal za rękę. – Dajcie tej biednej dziewczynie chociaż parę minut. Spójrzcie na nią, jaka jest przytłoczona. Napij się herbaty, Hal?

– T-tak – odpowiedziała Hal. – Tak, p-poproszę.

W pracy na molu starała się ukrywać to, że czasem się jąka, i specjalnie mówiła cicho oraz wolno, żeby wydawać się starsza, niż była, a także podkreślać to, iż ma wszystko pod kontrolą, a zadający pytania znajdują się na jej gruncie. Tutaj, jak zauważyła, kiedy Mitzi odciągnęła ją od grupy na bok, jej zakłopotanie stanowiło jej alibi i mogła go użyć na własną korzyść. Nie powinna starać się ukrywać ani swojego zagubienia, ani młodego wieku – wręcz przeciwnie. Kiedy poszła za Mitzi do salonu, przygarbiła plecy, żeby jej już i tak drobna postura wydała się jeszcze mniejsza, pozwoliła też opaść grzywce na twarz, co nadało jej wygląd nieśmiałej nastolatki. Ludzie zwykle nie doceniali Hal. Czasem można z tego uczynić zaletę.

Pozwoliła Mitzi zaprowadzić się na kanapę przy kominku, gdzie siedział jeden z wnuków pani Westaway i stukał w telefon z takim zapałem, że Hal pomyślała, iż musi grać w jakąś grę. To nie był Richard. Jak miał na imię ten drugi... Freddie?

– Rozgość się – powiedziała pogrzipiająco Mitzi, kiedy Hal usiadła. – Na co masz ochotę? Jesteś dość dorosła, żeby wypić kieliszek wina?

„Tak, i to już od ładnych paru lat” – pomyślała Hal, ale nie powiedziała tego na głos. Picie tutaj nie byłoby dobrym pomysłem. Zamiast tego zaśmiała się celowo niepewnie.

– Wolałabym tę herbatę, dziękuję.

– Zaraz przyniosę – odparła Mitzi i energicznie stuknęła syna w głowę. – Freddie, wyłącz to.

Freddie po wyjściu matki nawet nie udawał, że odkłada telefon, ale zerknął na Hal z ukosa.

– Cześć – zagadnęła go. – Jestem Harriet.

– Cześć, Harriet. Co to za tatuaż?

– Tatuaż? – Przez chwilę była zaskoczona, a potem zauważyła, że bawełniana sukienka opadła jej lekko, odsłaniając jedno ramię i czubek skrzydła. – Ach, ten? – Wskazała do tyłu, a on pokiwał głową.

– Wygląda na jakiegoś ptaka.

– To sroka.

– Fajnie – rzucił, nie podnosząc głowy, najwyraźniej zajęty jakimś trudniejszym fragmentem gry. Potem dodał: – Chcę sobie zrobić tatuaż, ale mama mówi, że po jej trupie.

– To nielegalne, dopóki nie skończysz osiemnastu lat – skwitowała krótko. W tym temacie znalazła się przynajmniej na bezpiecznym gruncie.

– Żaden szanujący się tatuażysta by się na to nie zgodził, a lepiej nie chodzić do takich, co by to zrobili. Ile masz lat?

– Dwanaście – odparł smutno. Wyłączył telefon i spojrzał na nią po raz pierwszy. – Mogę go zobaczyć?

– Yyy... – Natychmiast poczuła, że to naruszenie jej prywatności, ale nie wiedziała, co odpowiedzieć. – Yyy... tak. Chyba.

Odwróciła się i poczuła, jak odsuwa jej bawełniany materiał na karku, odkrywając ptaka z głową przechyloną na jedną stronę. Dotknął zimnymi palcami jej skóry; starała się nie wzdrygnąć.

– Fajnie – powtórzył, tym razem z zazdrością. – Wybrałaś go z powodu tego miejsca? Wiesz... tu jest tyle srok.

Machnął dłonią na drzewa za oknem, a Hal się odwróciła. Było zbyt ciemno, żeby zobaczyć coś więcej niż światło z okna połyskujące na mokrych konarach, ale oczyma wyobraźni znów ujrzała rząd srok siedzących na ociekających gałęziach cisu. Pokręciła głową i naciągnęła z powrotem tył sukienki, żeby przykryć ptaka.

– Nie, moja mama m...

Za późno zdała sobie sprawę, że straciła czujność i była już na skraju popełnienia koszmarnego błędu. Tak naprawdę zrobiła sobie ten tatuaż na pamiątkę swojej matki. Magaridy. Jedna sroczka smutek wróży. Wtedy wydawało jej się to odpowiednie. Ale zalał ją zimny strach, kiedy się spostrzegła, że właśnie prawie zdradziła prawdziwe imię swojej matki^[1]. Głupia, *głupia*.

- Ona... nazywała mnie sroczką - dokończyła w końcu po dłuższej przerwie, na tyle długiej, że poczuła, jak pod jej stopami otwiera się przepaść. Jak to bywa z takimi wyjaśnieniami grubymi nićmi sztytymi, było słabe, ale nie zdołała wymyślić niczego lepszego na poczekaniu. W każdym razie chłopiec chyba nie zauważył tej ziejącej paauzy.

- Ona jest siostrą taty? - dopytał. Hal skinęła głową.

- Tak.

- To znaczy chyba powinienem powiedzieć, że *była* siostrą taty. Ona nie żyje, prawda?

- Freddie! - Do pokoju weszła Mitzi z filiżanką herbaty, postawiła ją na stole i delikatnie trzepnęła syna po kolanach. Tak nie... Strasznie cię przepraszam, Harriet. Nastolatki, cóż więcej mogą powiedzieć.

- Nic nie szkodzi - zapewniła ją szczerze Hal. Nie tylko zdradził jej okrucich prawdy, potwierdzając to, co już wcześniej zgadywała, ale dzięki niemu nagle znalazła się tu na bezpiecznym gruncie. Nie zaskakiwały jej te słowa z ust innych ludzi - właściwie wołała taką bezpośredniość jak u tego chłopca niż delikatne *odeszła* albo *zamknęła powieki*. Jej matka nie spała ani nie siedziała w pokoju obok. Nie żyła. Żaden eufemizm nie złagodzi tego faktu. A to przynajmniej była prawda.

- Tak, nie żyje - odpowiedziała Freddiemu. - Zrobiłam sobie ten tatuaż, żeby ją upamiętnić.

- Fajnie - powtórzył chłopiec, na wpół automatycznie. Spojrzał teraz na nią zakłopotany w towarzystwie swojej matki. - Masz jakieś inne?

- Tak - odpowiedziała, ale w tej samej chwili wtrąciła się Mitzi:

- Freddie, na Boga, przestań męczyć biedną Harriet osobistymi pytaniami. To nie jest odpowiednia rozmowa na...

Przerwała, słowo *pogrzeb* nie przeszło jej przez gardło.

Hal się uśmiechnęła, a przynajmniej spróbowała, i sięgnęła po herbatę.

- Naprawdę nie ma sprawy.

Na pytania o tatuaże było jej łatwiej odpowiadać niż na te zadawane przez Abła, Hardinga i Ezrę. Ścisnęło ją w żołądku, kiedy zobaczyła, jak Harding poklepał jednego z braci w ramię, po czym podszedł za żoną do kominka.

- Ogrzewasz się, Harriet? - spytał, kiedy podszedł do niej zgarbionej na kanapie. - Bardzo rozsądnie. Obawiam się, że ten dom jest już bliski rozkładu. Mama nie wierzyła w takie nowoczesne luksusy jak centralne ogrzewanie.

- Czy... Czy od dawna należy do rodziny? - spytała. Przypomniała sobie radę swojej matki dotyczącą prowadzenia czytań: nie pozwalaj *im* zadawać wszystkich pytań, zadawaj też własne. Łatwiej pokierować rozmową, jeśli siedzi się w fotelu kierowcy, a oni będą mile poełchtani, że wykazałaś zainteresowanie. - Moja mama nigdy o nim nie mówiła - dodała szczerze.

- Och, chyba całe wieki - odparł beztrzesko Harding. Zajął miejsce plecami do ognia i zaczął wachlować rąbkiem płaszcza, żeby ciepło dosięgło jego pleców. - Teraz znajdujemy się w najstarszej części budynku, który został wybudowany w osiemnastym wieku, i przez wiele lat było tu dość skromne gospodarstwo. Potem twój praprapradziadek, czyli dziadek mojej matki, dorobił się pod koniec dziewiętnastego wieku na porcelanie, koło St. Austell, i wykorzystał to, by przerobić to miejsce na coś z dużo większym rozmachem. Zachował georgiańską podstawę starego wiejskiego domu i wykorzystał go na pokoje gościnne oraz główne sypialnie, ale dobudował rozległe skrzydła oraz pokoje dla służby, w stylu Arts and Crafts, co zmieniło budynek w dość imponującą posiadłość. Niestety jednak jego syn nie był najlepszym biznesmenem i wspólnik odsunął go od zarządu kopalni. Od tamtej pory zawsze było mało pieniędzy na utrzymanie tego miejsca i dlatego wygląda, jakby zatrzymało się w latach dwudziestych. Trzeba by inwestycji rzędu miliona funtów, żeby przywrócić je do formy, na pewno nie są to pieniądze w zasięgu przeciętnego potencjalnego kupca, chociaż może mogłoby się coś takiego udać jakiejś dużej sieci hoteli. Oczywiście najwięcej wart jest teraz grunt. - Wyrzrał przez okno na skąpane w deszczu połacie trawnika i Hal niemal zobaczyła, jak kalkuluje, wyobraża sobie deweloperskie domki rosnące jak grzyby po deszczu, nasłuchując kasy fiskalnej zgrzytającej wraz z każdym kolejnym wykiełkowanym nasionkiem.

Hal pokiwała głową i napiła się herbaty, zastanawiając się, co powiedzieć. Nadal, mimo ciepła z kominka, miała chłodne dłonie, ale wydawało jej się, że jej policzki płoną. Nagle kichnęła i przeszedł ją dreszcz.

- Na zdrowie - rzucił Abel.

Harding cofnął się o krok i prawie potknął o osłonę paleniska.

- Oj, kochana, mam nadzieję że nie przeziębiałaś się na cmentarzu.

- Wątpię - odparła. - Jestem bardzo odporna. - Ale zepsuła efekt, znowu kichając. Abel wyciągnął pięknie wyprasowaną bawełnianą

chusteczkę i podał ją z troską, ale Hal pokręciła głową.

– Herbatnika, Hal? – spytała Mitzi, a Hal wzięła jednego, bo przypomniała sobie, że nie jadła niczego od rana. Ale kiedy włożyła go do ust, okazał się suchy i zwietrzały, więc nie żałowała, kiedy na drugim końcu pomieszczenia rozległo się pokastywanie i Treswick podniósł głos tak, by przebić się przez tę rozmowę.

– Czy mogę prosić wszystkich o chwilę uwagi?

Harding zerknął na Abla, który wzruszył ramionami, a potem obaj mężczyźni przeszli przez długi pokój i podeszli do prawnika, który stanął przy wielkim pianinie, przeglądając dokumenty. Hal podniosła się z kanapy, ale potem stanęła niepewnie, bo nie wiedziała, czy to wezwanie dotyczy również jej. W końcu Treswick dodał:

– Pani Harriet także.

Odłożył teczkę z dokumentami, podszedł do drzwi, otworzył je na korytarz, aż Hal poczuła powiew zimnego powietrza z zewnątrz, które było mocno odczuwalne w pokoju ogrzanym ciepłem kominka.

– Pani Warren! – zawołał, a jego głos odbił się echem po korytarzu. – Czy ma pani chwilę?

– Czy dzieci też będą potrzebne? – spytała Mitzi, lecz Treswick pokręcił głową.

– Nie, chyba że chcą posłuchać. Tylko pan Ezra mógłby do nas dołączyć... Tak w ogóle, to gdzie on się podział?

– Chyba wyszedł na zewnątrz zapalić – podpowiedział Abel. Zniknął na chwilę i wrócił, prowadząc swojego brata, któremu deszcz zrosił ciemne, kręcone włosy.

– Przepraszam. – Uśmiech Ezry był jakiś krzywy, jak gdyby wydarzyło się coś zabawnego, o czym tylko on wiedział. – Nie wiedziałem, że będzie pan odgrywał rolę Hercules'a Poirota, panie Treswick. Czy zamierza pan ujawnić mordercę mamy?

– Absolutnie nie – odpowiedział Treswick. Jego twarz wyrażała surowe potępienie. Znowu przetasował swoje dokumenty, a potem poprawił knykiem okulary, wyraźnie wzburzony beztroską Ezry. – I nie wydaje mi się to stosowne, biorąc pod uwagę... cóż. Nieważne. – Znowu odkaszlnął, dość sztucznie. Było widać, że zbiera myśli. – W każdym razie dziękuję wszystkim za tę odrobinę państwa czasu. To nie potrwa długo, ale po tym, co uzgodniłem z panią Westaway, wnioskuję, że nie ustalała swojego testamentu z dziećmi. Mam rację?

Harding się zmarszczył.

– Może nie ustalała, ale po śmierci ojca było wyraźne porozumienie, że będzie mieszkała w tym domu do końca życia, po czym przejdzie on...

– Tak, o to mi chodzi – przerwał pospiesznie Treswick. – Nie powinno być żadnych błędnych założeń. Gorąco zachęcam wszystkich swoich klientów, żeby omawiali swoje testamenty ze spadkobiercami, ale oczywiście nie wszyscy się na to decydują i, jak rozumiem, pana matka nie zdradziła nikomu swoich intencji.

W korytarzu rozległ się dźwięk laski i do pokoju weszła pani Warren.

– Co to ma być? – rzuciła dość zdenerwowana. A potem, na widok jednego z dzieci Hardinga dorzucającego węgla do ognia, dodała: – Nie marnuj węgla, młody człowieku.

– Czy ma pani chwilę, pani Warren? Chciałem porozmawiać ze wszystkimi spadkobiercami wymienionymi w testamencie pani Westaway i wydaje się, że najbardziej sprawiedliwie będzie to zrobić przy wszystkich razem.

– Ach. – Twarz pani Warren przybrała taki wyraz, którego Hal nie potrafiła do końca zinterpretować. Było w nim coś... wyczekującego. Ale Hal nie sądziła, by była to chciwość. Bardziej jakiś rodzaj... obawy. Ale to mogła być też radość. Czy pani Warren wiedziała coś, czego nie wiedzieli inni?

Abel wysunął stółek od pianina i gospodyni usiadła, po czym położyła sobie laskę na kolanach. Treswick odchrząknął, podniósł swoją teczkę z wypolerowanej klapy pianina i znowu przetasował dokumenty, zupełnie niepotrzebnie. Każdy centymetr jego sylwetki, począwszy od półbutów na wysoki połysk, kończąc na drucianych oprawkach okularów, zdradzał nerwowość i Hal poczuła łaskotanie na karku. Zobaczył, że zmarszczone czoło Abela tworzy pełną niepokoju bruzdę pomiędzy jego brwiami.

– No dobrze, postaram się krótko. Nie jestem zwolennikiem wiktoriańskiej teatralności podczas publicznych odczytów testamentu, ale coś trzeba powiedzieć, by uczynić te kwestie przejrzystymi, a ostatnią rzeczą, której bym chciał, to czyjeś przywiązanie do błędnych założeń, że...

– Na Boga, wyduś to z siebie, człowieku – przerwał mu niecierpliwie Harding.

– Harding... – Abel pojednawczo położył dłoń na ramieniu brata, ale ten ją strząsnął.

- Nie uspokajaj mnie, Abel. To oczywiste, że on coś kręci, a ja chciałbym już przejść do sedna i dowiedzieć się, o co chodzi. Czy mama zbzikowała i zostawiła wszystko schronisku dla psów w Battersea albo czemuś takiemu?

- Nie do końca - odpowiedział Treswick. Zerknął na Hardinga, potem na Hal i panią Warren, a następnie znowu na Hardinga, ponownie ułożył dokumenty i poprawił sobie okulary na nosie. - W ogóle i w szczególności sprawa wygląda tak: w skład majątku wchodzi trzy tysiące funtów w gotówce i papierach wartościowych, z czego większość zostanie pochłonięta przez podatek spadkowy, oraz ten dom, który zostanie jeszcze wyceniony, jednak stanowi najbardziej znaczącą część spadku i jego wartość na pewno przekroczy milion funtów, w zależności od okoliczności może nawet dwa. Pani Westaway pozostawiła wiele szczegółowych zapisów. Trzydzieści tysięcy funtów dla pani Warren. - Gospodyni sztywno skinęła głową. - I po dziesięć tysięcy dla każdego z wnucząt...

Po tych słowach puls Hal przyspieszył, a policzki się zarumieniły.

Dziesięć tysięcy funtów? *Dziesięć tysięcy funtów?* No, to mogłaby spłacić pana Smitha, zapłacić czynsz, rachunek za gaz... byłoby ją nawet stać na wakacje. Zaczęło się po niej rozchodzić migoczące ciepło, jakby wypięła coś wyjątkowo gorącego i odżywczego. Starła się nie uśmiechnąć. Usiłowała pamiętać, że pozostało jeszcze wiele spraw do ustalenia. Ale te słowa nie przestawały jej rozbrzmiewać w głowie. Dziesięć tysięcy funtów. Dziesięć tysięcy funtów.

To wszystko, co mogła zrobić, żeby ustać nieruchomo w miejscu, podczas gdy każda jej cząstka pragnęła tańczyć z przejęcia. Czy to mogła być prawda?

Ale Treswick mówił dalej:

- Wyłączając z tego jej wnuczkę Harriet.

Och.

To uczucie przypominało przekłuty balonik, zapadający się sobie i zmieniający w smutną kupkę kolorowej gumy szybciej, niż da się to opisać.

Wystarczyło jedno zdanie, było po wszystkim. Wyobraziła sobie, jak dziesięć tysięcy odlatuje niesione nadmorskim wiatrem, banknoty furkoczą nad brzegiem klifu i spadają do Atlantyku.

Skręcało ją na myśl o tym, że musi się pożegnać z tym marzeniem, ale gdy tak przyglądała się oczyma duszy znikającym banknotom, zdała sobie

sprawę, że to był zupełnie absurdalny pomysł – założyć, że uda jej się to przeprowadzić. Wręcz niedorzeczny. Podrobione akty urodzenia, fałszywe daty narodzin. Co ona sobie myślała?

No cóż, to był koniec, ale przynajmniej nie została nakryta. Nie znalazła się w gorszej sytuacji, niż była wcześniej. A jeśli chodzi o to, co zrobi z panem Smithem i jego wysłannikami... Cóż, nie może o tym teraz myśleć. Musi po prostu przez to przejść i wyjechać.

Jednak było to trochę okrutne, że przez chwilę zamachali jej tą obietnicą przed oczami, a potem ją odebrali.

Gdy już zesza z niej adrenalina po tych uniesieniach, zaczęła odczuwać ogromne zmęczenie, więc wyciągnęła rękę, by oprzeć się o krzesło, podczas gdy Treswick odchrząknął, przygotowując się do dalszej przemowy.

– Harriet... – zaczął, odrobinę niezręcznie, po czym znowu przetasował dokumenty, jakby wstrzymywał się z wypowiedzeniem kolejnych słów. – Harriet pani Westaway pozostawiła resztę masy spadkowej po opłaceniu wszystkich podatków.

Zapadła długa cisza.

Harding wybuchnął pierwszy, jego głos przełamał tę ciszę.

– Co?

– Podejrzewałem, że ta informacja może być szokująca – przyznał nieśmiało Treswick. – Dlatego czułem, że muszę przekazać ją państwu oso...

– Do diabła z tym! – krzyknął Harding. – Czy pan oszalał?

– Proszę nie podnosić głosu, panie Westaway. Szkoda, że pańska matka nie uznała za stosowne omówić tego z państwem, póki jeszcze...

– Chcę zobaczyć to sformułowanie – wycedził przez zęby Harding.

– Sformułowanie?

– Testament. Sformułowanie zapisu. Zakwestionujemy go. Mama musiała zwariować. Kiedy datowano to ohydztwo?

– Panie Westaway, testament sporządzono dwa lata temu i obawiam się, że chociaż rozumiem pańskie obawy, to nie ma wątpliwości co do jej zdolności do czynności prawnych. W dniu sporządzenia testamentu poprosiła o wizytę lekarza, jak przypuszczam, by uniknąć tego typu skutecznego kwestionowania.

– W takim razie niedozwolone naciski!

- Nie wydaje mi się, by pani Westaway kiedykolwiek poznała swoją wnuczkę, dlatego nie wiem, jak mogłoby to zostać pozytywnie rozpatrzone w s...

- Proszę mi pokazać ten cholerny testament! - krzyknął Harding i wyszarpnął kartkę, którą wyciągnął do niego Treswick.

Hal trzymała się mocno oparcia krzesła, palce miała zdrętwiałe i białe od uścisku, czuła na sobie wzrok Mitzi, Abła i Ezry, podczas gdy Harding przeglądał długi dokument, a następnie zaczął go odczytywać na głos.

- „Ja, Hester Mary Westaway, będąc w...” Boże, tego są całe strony... O, tutaj. „I mojej wnuczce, Harriet Westaway, której ostatnim znanym miejscem zamieszkania było osiedle Marine View Villas w Brighton, przekazuję resztę masy spadkowej”. Ja pieprzę, Jezu Chryste, to prawda. Mama chyba oszalała.

Wymacał za sobą sofę i usiadł ciężko, przeglądając dokument w tę i w tę, jakby szukał jakiegoś wyjaśnienia, czegoś, co sprawiłoby, że to szaleństwo odpuści. Kiedy podniósł głowę, twarz miał fioletową i nabiegłą krwią.

- Kim w ogóle jest ta dziewczyna? Zupełnie jej nie znamy!

- Harding - odezwał się ostrzegawczo Abel i położył dłoń na ramieniu brata. - Uspokój się, to nie jest czas na...

- A jeśli chodzi o ciebie, Treswick, ty cholerny szarlatanie, jaki miałeś interes w tym, żeby pozwolić mamie sporządzić taki dokument? Powinienem cię pozwać za błąd w sztuce!

- **Harding!** - przerwała mu nagłaco Mitzi. - Abel, panie Treswick, proszę spojrzeć na tę dziewczynę...

- Ona chyba zaraz zemdleje - powiedział jakiś głos po prawej stronie Hal, zabarwiony dość zdystansowanym zainteresowaniem, a ona poczuła, że wszystkie głowy w pokoju zbliżają się do niej, a jednocześnie pomieszczenie zaczęło się rozpadać na kawałki.

Nie poczuła natomiast, jak krzesło wyslizguje jej się z poluzowanego uścisku, a ostrzegawczy krzyk Mitzi dobiegł ją jakby z bardzo daleka.

Nie poczuła nawet uderzenia, kiedy upadła o podłogę.

Zalała ją nicość, niczym wielka, upragniona fala.

[1] Matka Hal, Margarida, mogła używać zdrobnienia „Magpie”, które oznacza również srokę [przyj. tłum.].

Rozdział 14

– Harriet.

Głos w głowie Hal był uporczywy, wydobywał ją z dna, po którym najwyraźniej brodziła przez dłuższy czas.

– *Harriet*. No już, pora się obudzić.

A potem, jakby do kogoś innego:

– Nadal ma wysoką temperaturę. Jej czoło jest rozgrzane jak kaloryfer.

Hal zamrugała, mrużąc oczy w bolesnej jasności.

– Co... jak...? – Gardło miała suche i obolałe.

– Och, dzięki Bogu. Już zaczęliśmy się martwić! – zawołał głos kobiety, a Hal znowu zamrugała i sięgnęła po okulary. Wsunęła je na nos i pokój się wyostrzył. Najpierw zobaczyła twarz Mitzi, a za nią postać jakiegoś mężczyzny, chyba Abła. Wszystko zaczęło do niej wracać: St. Piran. Pogrzeb. Ten dom... i... o Boże... ta scena z Hardingiem.

– Proszę – powiedziała Mitzi. – Coś zaszeleściło i pod nosem Hal pojawiła się szklanka wody. – Napij się trochę. Spałaś całe wieki. Musisz być bardzo odwodniona.

– Ja... Która jest godzina?

– Zbliża się dwudziesta pierwsza. Już się trochę martwiliśmy. Właśnie rozmawialiśmy z Ablem, czy nie powinniśmy cię zabrać na SOR.

– C-co się stało?

Popatrzyła w dół i zobaczyła, że leży na jakiejś kanapie, sukienkę ma podciągniętą na uda, ale dzięki Bogu, nogi przykryto jej kocem. Nie kojarzyła tego pokoju – wyglądał na jakąś bibliotekę, półki w miodowym kolorze sięgały aż wysokiego, usianego pleśnią sufitu, a na nich stały rzędy łuszczących się ksiąg oprawionych w skórę, spowitych pajęczynami.

– Po prostu nagle upadłaś, a kiedy podeszliśmy ci pomóc, okazałaś się cała rozpalona. Całe szczęście, że jesteś chudziną.

– Jak się czujesz, Harriet? – To Abel odezwał się po raz pierwszy, jego lekki tenor był cichy i przepętniony niepokojem. Podeszedł i ukląkł obok kanapy, a potem delikatnie dotknął jej czoła. Hal musiała się wysilić, żeby nie odsunąć się przed jego nieproszonym dotykiem, miał chłodne knykcie. – Chcesz, żebyśmy wezwali lekarza?

– Lekarza? – Hal z trudem podniosła się z poduszek kanapy, wzbijając kłęby pyłu wirujące w złocistym świetle lampki do czytania. Wyobraziła sobie, jak Abel podniósł ją z podłogi, jak sukienka uniosła jej się na biodra, i poczuła, że policzki jej płoną gorączką. – Boże, nie. To znaczy dziękuję... Ale nie wydaję mi się...

– Nie jestem pewien, czy są jakieś szanse na wezwanie jakiegoś lekarza po godzinach – przyznał. Pogłaskał się z namysłem po wąsach. – Ale jeśli jest ci niedobrze, to może powinniśmy spróbować podjechać na SOR.

– Nie potrzebuję lekarza – odparła Hal, starając się zabrzmieć pewnie.

– Nadal jest bardzo rozpalona – podkreśliła Mitzi, odzywając się tak, jakby Hal w ogóle nic nie powiedziała. – Myślisz, że twoja mama miała gdzieś termometr?

– Bóg raczy wiedzieć – odpowiedział Abel. Wstał i otrzepał kolana. – Pewnie w apteczce leży jakiś zabójczy wiktoriański przyrząd z rtęcią w środku. Pójdę sprawdzić.

– O, mógłbyś? Jesteś kochany. W iPhone Richa jest jakaś aplikacja, która niby potrafi mierzyć temperaturę, ale nie wierzę, że to może naprawdę działać.

– Nic mi nie jest! – powiedziała Hal. Postawiła nogi na podłogę, co spotkało się z chórem niezadowolonego cmokania w wykonaniu Abła i Mitzi.

– Kochana. – Abel położył jej dłoń na ramieniu i wcisnął ją z powrotem w kanapę. – Dopiero co zbiełaś jak ściana i upadłaś na podłogę. Na pewno nie jesteś zdrowa. A teraz, czy jeśli zostawię cię tu samą z Mitzi i pójdę poszukać termometru, to obiecujesz, że nie będziesz uciekać?

– Obiecuję – odpowiedziała, tylko na wpół niechętnie. Przeniosła nogi z powrotem na kanapę i położyła się, osłaniając oczy od blasku lampy.

Mitzi zauważyła ten gest i nachyliła się.

– Razi cię światło?

– Odrobinę – przyznała Hal. – Nie masz może czegoś przeciwbólowego? Strasznie boli mnie głowa.

– Nie dziwi mnie to – przyznała Mitzi odrobinę cierpkim tonem, i skierowała lampę w bok, odwracając ją od twarzy Hal. – Naprawdę nieźle walnąłeś o parkiet. Masz ogromnego guza z boku głowy. Szkoda, że nie upadłeś w drugą stronę, trafiłabyś na dywan, chociaż jest taki cienki, że nie jestem pewna, czyby w czymś pomógł. Tak, mam w torebce jakiś paracetamol, ale zostawiłam ją w drugim pokoju. Mogę po nią wyjść?

Hal pokiwała głową, a Mitzi wstała.

– Tylko nie rób żadnych głupstw. Nie chcemy, żebyś znowu zemdląła.

– Nie będę – odpowiedziała słabo Hal. Nie wspomniała, że perspektywa dziesięciu minut spędzonych w samotności, podczas gdy Mitzi będzie szukać torebki, była jeszcze bardziej kusząca niż tabletki przeciwbólowe.

Kiedy za Mitzi zamknęły się drzwi, Hal opuściła głowę z powrotem na kanapę i próbowała myśleć – poskładać w całość to, co się wydarzyło w tej dziwnej, szalonej scenie pomiędzy obwieszczeniem Treswicka a jej omdleniem.

Bo to nie miało sensu. Nic z tego nie miało sensu. Została wymieniona z *imienia i nazwiska* w testamencie tej kobiety. Wymieniona osobiście, wraz z adresem. Ten testament jej dotyczył – co do tego nie było żadnych wątpliwości. Czy to... czy to w ogóle mogła być prawda? Czy *była* zaginioną wnuczką pani Westaway?

Zaświecił się płomyk nadziei, niemal bolesny, tak bardzo go pragnęła.

„Bądź sceptyczna, Hal” – szepnął jej do ucha głos matki. „I bądź podwójnie sceptyczna, kiedy chodzi o coś, w co *chcesz* wierzyć”.

I to był właśnie problem. Mówiła tak sobie nie dlatego, że to było prawdopodobne, lecz dlatego, że *chciała*, żeby tak było. To nie mogła być prawda, niezależnie od tego, jak bardzo pragnęła się co do tego przekonać. Akt urodzenia jej matki w pełni temu zaprzeczał. Niezależnie od pokręconych możliwości w jej wyobraźni Hal nie była w stanie wskazać rzeczywistego powiązania. Jej matka mogła być w jakiś odległy sposób spokrewniona z tą rodziną – Westaway to nie było takie powszechne nazwisko. To jednak niemożliwe, żeby była wnuczką Hester Westaway, chyba żeby pominąć dowody w postaci zarówno aktu urodzenia Hal, jak i jej matki.

Co oznaczało... Hal spróbowała wrócić myślami do tego, co powiedział na cmentarzu Treswick. Czy to możliwe, że ta pomyłka nastąpiła nie po spisaniu testamentu, ale *wcześniej*? Czy Hester Westaway wynajęła kogoś

do namierzenia swojej córki, a on w ten katastrofalny sposób pomylił tropy?

Hal przycisnęła sobie palce do oczu, czując, że gorączka występuje jej rumieńcem na policzki, a głowa pulsuje, jakby miała pęknąć.

– Już jestem – rozległ się głos od strony drzwi. Hal otworzyła oczy i zobaczyła, że przez bibliotekę idzie dziarsko Mitzi z białą paczuszką w dłoni. – Weź dwie. Powinny ci też pomóc na gorączkę. Ach, oto i Abel – dodała, kiedy jeden z regałów się odsunął, a w wejściu stanął jej szwagier z czymś w dłoni. – W samą porę. Czy to jest termometr?

– Tak. – Wyciągnął go przed siebie, a szklana bańka zalśniła srebrem w świetle lampy. – Sam się zdziwiłem, że miałem rację. To *jest* rtęć, więc, na Boga, nie gryź tego, Harriet. Nie chcę mieć na koncie otrucia własnej siostrzenicy.

„Własnej siostrzenicy”. Poczula, że policzki jej się mimowolnie rumienia, kiedy wsunął jej szklaną rurkę pod język, chłodną w porównaniu z ciepłem jej ust, ale nie mogła odpowiedzieć, tylko zamknęła usta i patrzyła, jak Abel odwraca się do Mitzi.

– Edward dzwonił z warsztatu koło Bodmin. Nie zejdzie mu długo. Przykro mu, że nie przyjechał na mszę, ale miał dyżur w szpitalu, a że nigdy nawet nie poznał mamy, to wydawało mi się to zbytnią hipokryzją, prosić go, żeby wziął wolne.

– Mimo wszystko – odparła Mitzi. – To twój mąż.

– Partner, moja droga Mitzi, partner. To różnica, przynajmniej dla działu kadr. W przypadku teściów automatycznie przyznają prawo do urlopu okolicznościowego. Jeśli chodzi o matkę twojego chłopaka, z którą nie utrzymujesz kontaktów, niekoniecznie. Edward jest moim partnerem. – Teraz zwrócił się do Hal. – Jest lekarzem i myślę, że wszyscy będziemy spokojniejsi, kiedy rzuci na ciebie okiem.

Hal pokiwała głową, czując, jak szklany termometr dzwoni jej o zęby. Mitzi i Abel zamilkli, siedzieli wszyscy, nasłuchując podnoszących się i cichnących głosów z sąsiedniego pokoju. Abel z namysłem gładził sobie wąsy jednym palcem.

– Czy Harding się uspokoił? – spytał. Mitzi przewróciła oczyma i wzruszyła ramionami.

– Nie za bardzo. Przepraszam za mojego męża – zwróciła się do Hal. – Zdaję sobie sprawę, że nie była to zbyt budująca scena, ale musisz

przyznać, że szok był ogromny. Chyba jako najstarszy Harding naturalnie założył...

– To zrozumiałe – wtrącił Abel. – Harding spędził całe życie na tym, żeby dowieść swojej wartości przed mamą, a teraz w zamian dostał to, z za grobu. Biedny facet.

– Och, Abel, przestań odgrywać takiego świętoszka! – zareagowała Mitzi. – Masz takie samo prawo do rozczarowania.

Abel westchnął. Poprawił się na wytartym fotelu, przytrzymując materiał spodni na kolanach, żeby się nie rozciagnał.

– Cóż, nie byłbym człowiekiem, gdybym nie przyznał się do pewnego rozgoryczenia. Ale różnica jest taka, moja droga Mitzi, że ja miałem dwadzieścia lat, by się z tym pogodzić. W wyniku potępienia okazywanego przez matkę zrezygnowałem całe lata temu.

– Moja teściowa odcięła Abła od pieniędzy – wyjaśniła Mitzi Hal, z nutką słusznego niedowierzania w głosie.

– Wtedy to był dla mnie spory szok – dodał Abel, nieco znużony. – Ale co zrobić, to była inna epoka.

– To był dziewięćdziesiąty piąty rok! – prychnęła Mitzi. – Poglądy waszej matki już wtedy były przestarzałe, Abel. Nie tłumacz jej z tego. Osobiście, będąc na twoim miejscu, w ogóle nie przyjechałabym na ten pogrzeb. Wiesz, że nie można być *zbyt* uprzejmym...

– No, nieważne – przerwał jej Abel podniesionym głosem. – Nie spodziewałem się dostać ani pensa w spadku, więc nie jest to dla mnie zaskoczeniem.

– Cóż, podziwiam twoją równowagę. Ale nie jesteś zaskoczony z powodu Ezry? Harding zawsze powtarzał, że on był ulubieńcem waszej matki.

Abel wzruszył ramionami.

– Tak, jako mały chłopiec. Ale wiesz, że jako dorosły człowiek odciął się od nas wszystkich, włącznie z mamą. To chyba było po prostu za... Po tym, jak moja siostra, nasza siostra, po tym, jak...

Przerwał, zamilkł, jak gdyby kolejne słowa były zbyt bolesne, żeby wypowiedzieć je na głos. Kiedy mrugnął, Hal dojrzała łzy na jego rzesach. Poczua nagle uderzenie bólu z boku, będącego objawem ogromnego poczucia winy.

– Przepraszam... – Te słowa stłumione termometrem wydobyły się z niej niemal bez jej woli, przerywając ciszę pozostawioną przez Abła, który

teraz uniósł głowę.

– Nie przepraszaj, moja droga. Jeśli to była czyjaś wina, to na pewno nie twoja. – Zasłonił oczy i przeniósł z niej wzrok na pusty kominek pograżony w cieniu. – Ale powiem tyle: chociaż tak bardzo kochałem Maud i rozumiałem, dlaczego musiała zrobić to, co zrobiła, kiedy uciekła, dla nas wszystkich sprawy przybrały zły obrót, zwłaszcza dla Ezry. Dwadzieścia lat spędzonych na rozmyślaniu, czy żyje, czy nie żyje, a może któregoś dnia się skontaktuje. I teraz to, ta **bomba**. Co się z nią **stało**, Harriet?

Hal poczuła, że serce jej zadrżało, jakby jakaś dłoń ścisnęła je i ograniczyła przepływ krwi. Przez chwilę rozważała zasymulowanie kolejnego omdlenia, ale nie było szans, by dała radę tego unikać na dłuższą metę. Czuła, że podczas rozmowy w salonie, kiedy bracia ją przesłuchiwali, zbliżają się do tego, czuła, jak krążą wokół tematu, próbują z niej wydobyć odpowiedzi na ich na wpół wypowiedziane pytania, i ocaliła ją tylko ich angielska powściągliwość – wstrzymywali się z poruszeniem tak osobistej i emocjonalnej kwestii przy pierwszym pytaniu. „Jak zmarła twoja matka?” Trudno o coś takiego spytać i Hal się na tym oparła.

Ale teraz, w tym intymnym kręgu światła rzucanego przez lampę, porzucona na kanapie, przyszpilona kocem, nie miała drogi ucieczki. Ewidentnie, bez względu na to, jak wyglądała prawda, przynajmniej Abel nie wiedział, co się stało z jego siostrą. Będzie musiała mu wyznaczyć **swoją** prawdę – a jeśli nie współgra ona z tym, czego dowiedział się Treswick, to to by było na tyle, tak się skończy to przedstawienie.

Miała przekroczyć granicę – nie tylko w kontekście podejmowanego ryzyka, ale także dlatego, że zamierzała wykorzystać swoją małą tragedię na rzecz czegoś małostkowego i nieszczerego. Jednak nie miała innego wyjścia.

Kiedyś, dawno temu, jakaś nauczycielka w szkole nazwała Hal „małą myszką” – i to określenie było dla niej obraźliwe, chociaż nie do końca wiedziała dlaczego. Teraz już wiedziała. Niezależnie od wyglądu, w środku, w samym wnętrzu, nie była myszką, tylko czymś zupełnie innym: szczurem – małym, ciemnym, nieustępliwym i zawziętym. A teraz czuła się jak osaczony szczur, który walczy o przetrwanie.

Wyjęła z ust termometr i trzymając go w dłoni, zaczerpnęła powietrza.

- Zginęła - powiedziała cicho. - Zaledwie trzy lata temu, kilka dni przed moimi osiemnastymi urodzinami. W wypadku samochodowym. Zginęła na miejscu, a kierowca uciekł. Byłam w szkole. Zadzwonili do mnie...

Przerwała, bo nie była w stanie dokończyć, ale to już było wszystko.

- O Boże - wyszeptał Abel i podniósł dłoń do twarzy.

Po raz pierwszy od przyjazdu Hal zobaczyła tu wyraz prawdziwego żalu - mimo że był to pogrzeb pani Westaway - i przewróciło jej się w żołądku, kiedy nagle zrozumiała, co właśnie zrobiła. Ból Abła był prawdziwy i namacalny. Zemdziło ją, ale nie dlatego, że wykorzystwała śmierć własnej matki - tym krzywdziła wyłącznie siebie - tylko dlatego, że tak swobodnie przeniosła swoją małą tragedię na Abła.

„To są prawdziwi ludzie”. Przyglądała się tępo twarzy Abła oświetlonej lampą. „To nie są zmyślane, bogate prostytutki, których sobie wyobraziłaś w pociągu. To prawdziwi ludzie. To prawdziwy żal. Bawisz się ich życiem”.

Ale nie powinna myśleć w ten sposób. Zaczęła to teraz i nie miała innego wyjścia, jak doprowadzić sprawę do końca. Nie może już wrócić do pana Smitha i jego wyczekujących egzekutorów oraz, przede wszystkim, do rozpaczliwej, codziennej walki, żeby coś zjeść, przeżyć, utrzymać się na powierzchni.

- Och, Abel, kochany - odezwała się Mitzi nieco gardłowym głosem.

- Przepraszam - odparł. Ostonił sobie oczy i intensywnie mrugał. - Myślałem... Naprawdę myślałem, że już się pogodziłem z jej śmiercią, to znaczy nie mieliśmy od niej żadnych wieści, więc oczywiście wszyscy założyliśmy... Ale jak pomyślę, że przez cały czas ona żyła i miała się dobrze... a my nigdy się nie dowiedzieliśmy. Dobry Boże. Biedny Ezra.

Biedny Ezra? Ale Hal nie miała czasu, żeby rozwikłać uwagę Abła, bo odezwała się Mitzi.

- Myślisz, Abel... - zaczęła, a potem przerwała. Kiedy odezwała się znowu, zrobiła to z wahaniem, jakby niepewna tego, co zamierzała powiedzieć. - Myślisz, że to... dlatego?

- Co dlatego?

- Dlatego... ten testament. Myślisz, że może twoja matka zrozumiała, co zrobiła? Że może odepchnęła od siebie twoją siostrę i czuła się... Nie wiem... W jakiś sposób winna?

- W ramach pokuty? - spytał Abel, po czym znowu wzruszył ramionami. - Szczerze? Nie wydaje mi się. Bóg świadkiem, nigdy nie rozumiałem motywacji mojej matki i mimo że mieszkałem z nią przez

prawie dwadzieścia lat, miałem bardzo nikłe pojęcie o jej sposobie myślenia, ale nie wydaje mi się, żeby poczucie winy należało do emocji, które ona w ogóle zauważała, a co dopiero rozumiała. Chciałbym myśleć, że to było coś pozytywnego w rodzaju zadośćuczynienia, ale szczerze mówiąc...

Przerwał, zerknął na Hal, a potem zaśmiał się drżącym śmiechem, jakby chciał zrzucić z siebie ciężar tej rozmowy.

– Co ja robię, tak się rozgadałem. A biedna Harriet dalej ściska ten termometr, jakby od tego zależało jej życie. Zobaczmy, co tu mamy.

Hal mu go podała.

Ale kiedy Abel podniósł termometr do światła, gwizdnął i pokręcił głową.

– Trzydzieści osiem i trzy. Nie ma mowy, żebyś się gdzieś wybierała, młoda damo.

– Trzydzieści osiem i trzy! – krzyknęła Mitzi. – Na Boga. Na pewno *nie możesz* pojechać jutro do domu, Harriet, nawet nie chcę o tym słyszeć. A zresztą... – Zerknęła na Abła, przelotnie, jakby z obawą. – Zresztą i tak powinnaś zostać. Jest wiele do omówienia. W końcu to jest teraz twój dom.

Rozdział 15

„To jest teraz twój dom”.

„To jest teraz twój dom”.

Te słowa przyprawiły Hal o mdłości, kiedy leżała w ciemnościach pokoju na poddaszu, nasłuchując wiatru szumiącego w drzewach na zewnątrz, trzaskania ognia w kominku oraz dalekiego huku morza, i próbowała zrozumieć, co się właśnie wydarzyło.

Nie miała w sobie odwagi na rozmowę z Hardingiem, ale na szczęście Abel i Mitzi przystali na jej propozycję szybkiego pójścia spać. Abel pomógł jej wejść po schodach, rozpałił ogień, a potem taktownie wyszedł, żeby mogła się przebrać w piżamę – kończyny jej drżały ze zmęczenia i od gorączki. Później, gdy Hal już siedziała w łóżku, przysłała do niej Mitzi z miseczką zupy na tacy.

– Obawiam się, że to jest tylko Heinz – powiedziała, stawiając tacę na stoliku, i oceniła jej zawartość. – O kurczę. Już jest zimna. Przysięgam, że była wrząca, kiedy wychodziłam z kuchni.

– W porządku, naprawdę – odparła Hal. Miała ochryply głos i twarz gorącą od kominka, mimo wilgotnego chłodu pościeli. – Nie jestem aż taka głodna.

– No musisz coś zjeść, Bóg świadkiem, że sporo przeszłaś. Edward przyjedzie za parę minut i wpadnie cię obejrzeć przed kolacją.

– Dziękuję – odpowiedziała pokornie Hal.

Piekły ją policzki, nie tylko od gorączki i ciepła z kominka, ale na myśl o tym, co robi tej rodzinie oraz jak mili są dla niej przy tym Mitzi i Abel. W Brighton to wszystko wydawało się inne – tak bardzo inne. Zaryzykowanie wszystkiego, by zwinąć kilkaset funtów od grupki bogatych nieznajomych – to się wydawało całkiem szlachetne, trochę w stylu Robin Hooda.

Ale teraz, na miejscu, w ich domu rodzinnym, stawka wynosiła nie kilkaset ani nawet kilka tysięcy funtów, na które odważyła się mieć nadzieję, tylko jakąś przerażająco ogromną sumę – i jej postępowanie nie wydawało się już ani trochę szlachetne.

Nie ma szans, żeby to jej się udało. Wściekłość w oczach Hardinga wróżyła pozwy, podważanie testamentu i prywatnych detektywów. Ale teraz było już za późno, żeby się z tego wywinąć i uciec. Utknęła tutaj – całkiem dosłownie.

Hal czuła, że przewraca jej się w żołądku, ale pod czujnym spojrzeniem Mitzi nabrała zupy i wmusiła ją w siebie.

Kiedy podnosiła łyżkę po raz drugi, rozległo się pukanie do drzwi. Mitzi wstała i je otworzyła. Na zewnątrz stał Abel – jego ciemnie miodowe włosy były rozwiane i zmierzwione – oraz przystojny, niebieskooki mężczyzna w płaszczu mokrym od deszczu. Miał gęstego, świeżego blond wąsa, ale mimo to Hal poznała go z Facebooka, jeszcze zanim Abel się odezwał.

– Harriet, to jest mój partner, Edward.

– Edward! – Mitzi najpierw ucałowała go w oba policzki, a dopiero potem wprowadziła do małego pokoju. Był wysoki i barczysty, tak że zdawał się wypełniać sobą tę niewielką przestrzeń. – Wejdz i poznaj Harriet.

– Harriet – przywitał się Edward. – Bardzo mi miło. – Miał akcent wskazujący na to, że odebrał drogie wykształcenie, a jego płaszcz wyglądał na dobrze skrojony i zupełnie nowy. Mężczyzna zdjął go i beztrząsco przerzucił przez jedno ramię, zanim usiadł w nogach łóżka Hal. – Cóż, to trochę dziwne okoliczności na poznawanie nowej siostrzenicy, ale bardzo się cieszę. Jestem Edward Ashby.

Wyciągnął dłoń, a Hal przyjęła ją z wahaniem, czując, że jego skóra jest chłodna w porównaniu z jej gorącą ręką.

– Nie będę cię długo trzymał, bo wyobrażam sobie, że chciałabyś już iść spać, ale Abel powiedział, że miałaś mały wypadek, dobrze mówię?

– Zemdlałam – przyznała Hal. – Ale to nic poważnego, przysięgam. – Starła się nie chrypieć. – Zapomniałam o jedzeniu, wiesz, jak to jest.

– Szczerze mówiąc, nie – odparł Edward z uśmiechem. – Mój żołądek jest święty i zwykle zaczynam planować lunch o wpół do dziesiątej rano, ale wierzę ci na słowo. Wygląda na to, że masz trochę gorączki? Jakies bóle głowy?

- Tylko ten guz, gdzie się uderzyłam – skłamała Hal. Tak naprawdę mocno bolała ją głowa, chociaż paracetamol trochę pomógł.

- Mdłości?

- Nie, żadnych. – Przynajmniej to była prawda.

- I jesz, to dobry znak. Cóż, myślę, że wszystko jest w porządku, ale gdyby zrobiło ci się niedobrze, to zjeżdź i powiedz o tym komuś, dobrze?

- Dobrze. – Hal zakaszlała, a potem spróbowała zdusić kaszel dłonią.

- Wzięłaś coś na tę gorączkę?

- Paracetamol.

- Możesz też wziąć ibuprofen, chyba jakiś mam. – Wstał i zaczął się klepać najpierw po kieszeniach garnituru, potem płaszcza, aż w końcu wyciągnął jakieś pigułki. Znajdowały się w nieoznakowanej fiolce, na jedynej etykietce widniał odręczny podpis farmaceuty, którego Hal nie umiała rozczytać, ale Edward odkręcił nakrętkę i wysypał na stolik dwie tabletki.

- Dziękuję. – Nie mogła się doczekać, aż sobie pójdą, próbowała jednak się uśmiechać.

- Weź je – powiedział dość serdecznie Edward. – Poczujesz się wtedy lepiej.

Hal popatrzyła na tabletki. Były białe i bez żadnych oznaczeń. Czy tabletki zwykle nie mają jakichś znaków wskazujących dawkę? Przyszła jej do głowy przelotna, paranoiczna myśl, że to może być wszystko, począwszy od viagry, skończywszy na tabletkach nasennych. Ale to oczywiście było absurdalne.

- Weź pigułki – dodał Abel. – Nie chcemy, żeby w nocy skoczyła ci temperatura.

Hal dość niechętnie włożyła je do ust, wzięła łyk wody i połknęła je. Edward się wtedy uśmiechnął.

- Bardzo dobrze. A teraz zostawię cię z tą zupą. Przykro mi, że spotykamy się w takich okolicznościach, Harriet – powiedział, sięgając po swój płaszcz. Hal nie była pewna, czy chodzi mu o pogrzeb, o jej głowę czy o to wszystko razem. – Ale cóż, śpij dobrze.

- Dobranoc, Harriet – pożegnał się Abel. Ścisnął ją lekko za ramię, na co odrobinę się wzdrygnęła. Uśmiechnęła się, próbując ukryć swoje zakłopotanie.

- Dobranoc, Harriet – powtórzył Edward. A potem mrugnął i wyszedł za Ablem z pokoju.

– Możecie powiedzieć Freddiemu i Kitty, że pora iść spać? – zawołała za nimi Mitzi, a Abel kiwnął głową i odpowiedział coś, czego Hal nie dosłyszała. – Kochany Abel – odezwała się Mitzi, kiedy ich sylwetki zniknęły na wąskiej, ciemnej klatce schodowej prowadzącej w dół na piętro. – To taki dobry człowiek. Straszna szkoda, że nie ma dzieci, za to poświęca się całkowicie pracy.

– Co robi? – spytała ochryple Hal.

– Jest lobbystą na rzecz różnych organizacji charytatywnych dla dzieci. Nawet dość dobrze znanym, jeśli ktoś obraca się akurat w tych kręgach. Ale jest też po prostu jednym z najmiłszych ludzi, jakich kiedykolwiek poznałam. Nie mam pojęcia, po kim to ma ani jakim cudem wyszedł cało z takiego traktowania przez własną matkę, ale cóż. Jestem pewna, że każdy inny człowiek zamknąłby się zgorzkniały w skorupie! Ale zobacz, znowu się roztrajkotałam i cię rozpraszam. – Dotknęła jednym palcem tacy z miską. – Powinnas skończyć tę zupę. Prawie nic nie zjadłaś.

– Chyba jestem zbyt zmęczona, żeby dużo zjeść, przepraszam, M-Mitzi. – Hal potknęła się na imieniu, bo nie była pewna, jak się do niej zwracać. Pani Westaway? Ciociu Mitzi? Uzurpowanie sobie prawa do relacji, których między nimi nie było, wydawało się coraz bardziej niewłaściwe. Na szczęście Mitzi chyba tego nie zauważyła, westchnęła tylko i wstała.

– No to zjedz, ile dasz radę, ale pewnie bardziej potrzebujesz się teraz wyspać. Śpij dobrze, moja droga.

– Dziękuję – odpowiedziała Hal, a przynajmniej próbowała, bo okazało się że gardło jej zdrętwiało, a słowa zostały zduszone i zagubiły się wśród odgłosów kroków Mitzi, która się odwróciła i zeszła po schodach za resztą.

Po jej wyjściu Hal odsunęła od siebie miseczkę zimnej, krzepnącej zupy, zgasiła światło i przyłożyła gorący policzek do poduszki. Ogień przygasł, pozostawiając tylko czerwony blask węgla w małym palenisku, ale w zasłonach był prześwit, światło księżyca prześlizgiwało się przez nagie gałęzie drzew, rysując abstrakcyjne wzory na białych ścianach.

„Moje ściany” – pomyślała Hal. „Moje drzewa”.

„One nie są twoje”.

Te słowa wirowały jej w głowie, mieszając się z jazgotem głosów braci, tysiącami pytań, na które musiała znaleźć odpowiedzi przed jutrem, setkami „dlaczego”, „co, jeśli” i „jak”...

Gdyby tylko, gdyby *tylko* ten spadek był tym, na co liczyła – kilka tysięcy funtów, jak przystało na dawno zaginioną wnuczkę. Wtedy mogłaby się

o nie zapomnieć, zadano by jej co najwyżej parę pytań, jeśli w ogóle, a potem usunęłyby się w cień i powróciła do swojego dawnego życia.

Rzeczywistość ciążyła jej niczym przerażający kamień młyński, ciągnący ją w dół, podczas gdy ona walczyła, by uwolnić się od tego, co zrobiła. Nie będzie tu żadnego szybkiego rozpatrywania roszczeń – nie ma szans, żeby wymknąć się do Brighton i strategicznie „stracić kontakt” z rzekomymi krewnymi. Cokolwiek zrobi, czy uda jej się oszukać Treswicka na dłuższą metę, czy też nie, została przykuta do tego miejsca.

Ale dlaczego pani Westaway zdecydowała się odciąć swoich synów i zostawić wszystko dziewczynie, której nigdy nie spotkała, córce kobiety, której nie widziała od wielu lat?

I dlaczego wolała to zrobić w ten sposób – zaskoczyć tym faktem rodzinę po własnej śmierci? Czy to było tchórzostwo? Nie pokrywało się to z jej portretem malowanym przez jej dzieci – Hal układał się w głowie obraz kobiety, która była niezłomna, nieustępliwa i raczej niebojaźliwa.

Nagle poczuła się niewiarygodnie zmęczona, powieki miała ciężkie z wyczerpania, które znienacka ją zalało.

Zamknęła oczy, leżała nieruchomo w małym łóżku, czując zimno poduszki na policzku i nasłuchując dźwięków domu szykującego się do snu. Wszędzie wokół czuła duszącą obecność Westawayów. O szybę zabębnił znowu deszcz i pomyślała, że usłyszała – chociaż może jej się wydawało – dalekie dźwięki fal rozbijających się o brzeg.

Przyszedł jej do głowy obraz podnoszących się wód, zamykających się nad ich głowami, podczas gdy pani Westaway śmiała się zza grobu. Otworzyła oczy, a nagły przyływ strachu przyprawił ją o łaskotanie skóry i dreszcze.

– Przestań – szepnęła. Kiedy była mała, mama nauczyła ją tej sztuczki: gdy koszmary stawały się zbyt prawdziwe, czasem wystarczyło odezwać się na głos, by przełamać urok, uciszyć głosy we własnej głowie, by zrobić miejsce dla tego realnego świata.

Obraz się wycofał – do jakiejś paranoicznej fantazji, z której przyszedł. Ale jego aura pozostała... Stara, zgorzkniała kobieta przeszła samą siebie i pozostawiła żyjących ich losowi.

W co Hal się wmieszała? I do czego doprowadziła?

Rozdział 16

Kiedy Hal się obudziła, pokój na poddaszu rozświetlało słońce, a ona przez dłuższy czas leżała nieruchomo zdezorientowana, mrugając. Czuła się dziwnie ociężała, musiała pokonać gęsty sen i zmusiła się, żeby usiąść, ziewając, z piaskiem w oczach, próbując sobie przypomnieć, gdzie jest.

Kiedy dotarło do niej jej położenie, poczuła nagły przypływ niepokoju.

Nie znajdowała się bezpiecznie w domu, w mieszkaniu na trzecim piętrze na Marine View Villas, i nie czekała ją droga na molo do pracy – tylko w Kornwalii, w tym dziwnym, zimnym domu. A nawet zanim przypomniała sobie wszystko, już po nieprzyjemnie ściśniętym żołądku poczuła, że ma poważne, poważne kłopoty.

Powoli usiadła, pozwalając, by wydarzenia poprzedniego dnia do niej powróciły. Czuła ból w kończynach, które były ciężkie, bezwładne i niechętnie się jej poddawały. Była zmęczona; nie, to nie było tylko zmęczenie – była wyczerpana, otepiała, jak gdyby senna mgła nadal utrzymywała się w zakątkach jej umysłu.

Kiedy z wysiłkiem zestawiła nogi z łóżka, przypomniała sobie, jak Edward wręczał jej te gładkie, nieoznaczone pigułki oraz jak naciskał, by je wzięła, i zadrżała – nie tylko z zimna. Ale na pewno nie. W końcu był lekarzem. A poza tym jaki to by miało sens?

Bardziej prawdopodobne, że miała po prostu kaca po przeziębieniu złapanym na cmentarzu i dokuczały jej skutki uderzenia się w głowę.

Ostrożnie przyłożyła dłoń do siniaka pod włosami, ale chociaż wydawał się odrobinę wrażliwy, nic nie spuchło. Było jej zimno, ale nie tak jak poprzedniego wieczoru, kiedy dziwnie trzęsła się trochę z zimna, trochę z gorąca. To był po prostu normalny, zimowy, poranny chłód, stopy jej się skurczyły, kiedy przeszła przez zimny, goły parkiet do swojej walizki, gdzie ładował się jej telefon.

Siódma dwadzieścia siedem. Wcześniej, ale nie aż tak. W skrzynce zobaczyła nieprzeczytaną wiadomość z numeru, którego nie poznała. Ktoś z mola?

Wyrzebała okulary, włożyła je, a potem wcisnęła ikonę SMS-a.

„PIĘĆ DNI” – i nic więcej.

Żadnego podpisu. Ale Hal nie musiała się zastanawiać, od kogo to.

Jej lęku nie przyćmiewał już sen. Nagle zupełnie się rozbudziła, skóra jej ścierpła ze strachu, jak gdyby w każdej chwili ów sepleniący mężczyzna w butach z metalowymi czubkami mógł wejść, wyciągnąć ją z tego wąskiego łóżka i uderzyć w twarz. „Połamane zęby... połamane kości”.

Zauważyła, że drży.

„Nie mogą cię tutaj znaleźć. Jesteś tu bezpieczna”.

Te słowa spowolniły bicie jej serca, więc powtórzyła je kilka razy, dopóki jej palce nie uspokoiły się na tyle, żeby była w stanie rozpiąć walizkę.

„Jesteś bezpieczna. Po prostu przetrwaj dzisiejszy dzień. Krok po kroku”.

Krok po kroku. Okej. Ten maleńki pokój był niewiarygodnie zimny, więc gdy wciągała jeansy i T-shirt, z ust leciała jej biała para. Na dnie walizki leżał sweter. Zaplątał się w kłębowisko innych rzeczy, a Hal wyjął go pospiesznie, nie zauważając metalowego pudełka, które utknęło w jego fałdach. Upadło jej z hukiem pod stopy, wieczko odpadło i karty tarota rozsypały się po podłodze niczym jesienne liście w żywych kolorach.

Na wierzchu leżała karta, którą wyciągnęła przed podróżą – Paź Mieczy z przechyloną głową. Wyglądał buntowniczo z obramowania, a jego półuśmiech mógł oznaczać wszystko, począwszy od wyzwania, kończąc na rezygnacji. Hal widziała tę kartę miliony razy i znała każdy jej szczegół – zarówno ptaka u jego stóp, jak i maleńkie rozdarcie w prawym górnym rogu. Ale kiedy podnosiła go razem z innymi, zatrzymała się na chwilę, bo jej uwagę przykuło coś w jego twarzy. Próbowwała określić, co to takiego.

Cokolwiek ją zatrzymało, umknęło jej, więc rzuciła karty na łóżko i trzęsąc się, rozłożyła sweter, po czym wciągnęła go przez głowę.

Znajome ciepło otuliło ją niczym uścisk, a kiedy włożyła skarpetki i wysokie do kolan motocyklowe buty, w dziwny sposób poczuła się uzbrojona, bardziej gotowa spotkać się z resztą rodziny jako ona sama, a nie uzurpatorka, którą stała się poprzedniego dnia.

W końcu przeczesła włosy palcami, wzięła telefon z nocnego stolika i rozejrzała się, by sprawdzić, czy niczego nie zapomniała.

W ostrym, porannym świetle pokój wyglądał jakby inaczej, był może mniej straszny, ale ostrzejszy, przygnębiający, jeszcze mniej przyjemny. Wszystkie szczegóły, które zauważyła poprzedniego dnia, wyraźniej rzuciły się w oczy: metalowa kratka za oknem; pomalowane na czarno, przypominające metal wezglowie łóżka; maleńki kominek, nie większy od pudełka po butach; usiana plamami wilgoci farba na suficie. W świetle dziennym Hal zauważyła, że to, co wzięła za cień na szczycie przesuwne go okna, było w istocie pokaźną luką, bo nie zostało ono porządnie zamknięte. Kiedy podeszła bliżej, poczuła wpadający przez nie powiew powietrza – nic dziwnego, że było tam tak zimno.

Hal wyciągnęła rękę przez kratę i popchnęła ramę, próbując dobrze zamknąć skrzydło, ale wyglądało na to, że się zacięło, a położenie kraty nie pozwalało na zasunięcie okna z żadną większą siłą.

Mimo wszystko wysunęła obie dłonie przez kraty i spróbowała znowu, kucając dla uzyskania lepszego kąta, a wtedy dostrzegła na szybie coś lśniącego. Była to jakaś rysa – a nawet więcej niż jedna. To było pismo.

Hal się wyprostowała i spróbowała odczytać litery. Były ukryte za jedną z krat i trudne do zauważenia, ale gdy przechyliła głowę na bok, nagle nisko padające promienie porannego słońca wpadły w te znaki pod właściwym kątem, oświetlając je tak, że zalśniły, jakby napisano je białym ogniem.

„POMÓŻ MI” – głosiły maleńkie, niewyraźne, drukowane litery.

Hal mocniej zabiło serce. Przez chwilę po prostu stała, wpatrując się w napis i próbując zrozumieć, co to oznacza.

Kto to napisał? Pokojówka? Dziecko? I jak dawno temu?

To nie było wołanie o pomoc. Nie było szans, by ktoś zobaczył tę wiadomość z zewnątrz – ani nawet ze środka, zwłaszcza pod takim kątem. Była raczej ukryta, celowo, za kratami. Hal sama nigdy by jej nie dostrzegła, gdyby nie stanęła właśnie w tym miejscu.

Nie, to było coś... coś innego. Nie tyle pragnienie bycia usłyszanym, ile wyraz refleksji zbyt przerażającej, by trzymać ją w sobie.

Pomyślała o swojej matce – o tym, jak jej powtarzała, żeby zawsze mówić głośno, obezwładniać koszmary we własnej głowie, przypominała sobie, jak często szeptała „przestań” jako mantrę odstraszącą demony. Czy to było to samo? Czy to były znaki wydrapane przez kogoś, kto

próbował zakotwiczyć się w rzeczywistości, odstraszyć szepczące w jego wnętrzu głosy?

POMÓŻ MI.

Mimo swetra Hal nagle zrobiło się zimno – bardzo zimno, poczuła taki chłód, który przychodzi ze środka, a w głowie rozbrzmiał jakiś głos, który w kółko powtarzał te słowa.

POMÓŻ MI.

Oczyrna duszy Hal zobaczyła jakąś dziewczynę, taką jak ona, samą w tym pokoju. Z kratą w oknie i drzwiami zamkniętymi na klucz.

Tylko że... te drzwi nie były zamknięte. Przynajmniej nie dla niej.

A cokolwiek tu się stało, nie było jej zmartwieniem. To nie była jej rodzina ani jej sekret i miała ważniejsze rzeczy na głowie niż jakaś dawno nieżyjąca dziewczyna z upodobaniem do dramatycznych gestów.

Cokolwiek zdarzyło się w tym domu, jakakolwiek by była jego przeszłość, nie miało to znaczenia. Teraz liczyło się tylko przetrwanie dnia bez zdradzenia się i wyciągnięcie jak największej liczby informacji na temat Maud. Jeśli zdobędzie cokolwiek – na przykład datę urodzenia albo chociaż drugie imię, gdyby jakoś wymyśliła przekonujący sposób pozyskania takich informacji – będzie mogła uciec do Brighton i sfalszować akt urodzenia, który przekonałby Treswicka. Odpukać w niemalowane.

Odpukać w niemalowane. Wiedziała, co jej mama by na to powiedziała. Była nawet w stanie dokładnie sobie wyobrazić, jak wściekle potrząsa głową, podczas gdy w kąciu ust czai jej się uśmiech. Nagle Hal zatęskniła za nią tak mocno, że odczuła to jako fizyczny ból w okolicy serca.

„Nigdy w to nie wierz, Hal. Nigdy nie wierz we własne kłamstwa”.

Bo przesady stanowią pułapkę – tego się nauczyła przez te wszystkie lata, wykonując swoją pracę na molu. Pukanie w drewno, zaciskanie kciuków, liczenie srok – to kłamstwa, wszystko kłamstwa. Fałszywe obietnice stworzone po to, by dawać iluzję kontroli i znaczenia w świecie, w którym jedyne przeznaczenie pochodzi od nas samych. „Nie możesz przewidzieć przyszłości, Hal” – przypominała jej raz po raz matka. „Nie możesz wpłynąć na los ani zmienić tego, co jest poza twoją kontrolą. Ale możesz wybrać, co zrobić z tymi kartami, które dostajesz”.

To była prawda, Hal o tym wiedziała. Bolesna, bezkompromisowa prawda. Miała ochotę wykrzyknąć to klientom, tym ciągle do niej wracającym i poszukującym odpowiedzi, których nie była w stanie im

dać. *Nie ma* żadnego głębszego sensu. Czasem rzeczy wydarzają się bez powodu. Los jest okrutny i przypadkowy. Odpukiwanie w niemalowane drewno, amulety na szczęście... nic człowiekowi nie pomoże zobaczyć samochodu, którego się nie spodziewa, albo uniknąć nowotworu, o którym nie ma pojęcia. Wręcz przeciwnie. W tej chwili, kiedy odwraca się głowę, wypatrując drugiej sroki, z nadzieją na odmianę smutku w szczęście – właśnie wtedy odciąga się uwagę od rzeczy, które *można* zmienić, od światła na przejściu, od pędzącego samochodu, od momentu, w którym należało się obejrzeć.

Ludzie przychodzący do jej budki poszukiwali znaczenia i kontroli – ale szukali ich w złym miejscu. Kiedy poddawali się przesądom, rezygnowali z kształtowania własnego przeznaczenia.

No cóż, jeśli Hal czegoś się z tego nauczyła, to nie da się złapać w tę pułapkę. Będzie kształtować swoje życie. Odmieni własny los. Stworzy własne szczęście.

Rozdział 17

Salon, w którym siedzieli poprzedniego wieczoru, był pusty, popiół w kominku wystygł, a na stole stały trzy porzucone szklanki po whiskey. Jednak gdzieś z głębi domu dobiegało buczenie odkurzacza i Hal poszła za tym dźwiękiem wzdłuż wyłożonego kafelkami korytarza, który ozdabiały wypchane drapieżne ptaki zastygłe za zakurczonym szkłem, po czym przeszła przez pokój, w którym nakryto do śniadania. Stały tam pudełka z płatkami, opakowanie margaryny oraz paczka taniego chleba tostowego obok wiekowego tosterka.

Dalej znajdowała się oranżeria pełna winorośli i drzewek pomarańczowych – a przynajmniej kiedyś była ich pełna. Dziś nie zostały żadne drzewka, ale napisy na doniczkach nadal przypominały o ich nazwach: *Cara Cara*, *Valencia*, *Moro*. Pozostało kilka winorośli, ich grube, powykęcane łodygi wystawały z ziemi, ale niemal wszystkie uschły. Liście miały pożółkłe, a kilka kiści winogron przypominających bardziej rodzynki trzymało się łodyg. Jediną pozostałością życia były cienkie pasma trawy, które uparcie tkwiły pomiędzy cegłami podłogi. Było bardzo zimno, skądś zionął przeciąg, który sprawiał, że zwiędłe liście winorośli trzepotały i szeleściły, a kiedy Hal podniosła głowę, zobaczyła, że jedna z szyb w dachu została rozbita – tamtędy wpadał wiatr.

Dźwięk odkurzacza był teraz głośny i dochodził z pokoju po przeciwnej stronie oranżerii, więc Hal przedarła się przez obumarłe winorośle i otworzyła drzwi na przeciwległym końcu pomieszczenia.

Tamten pokój był jakimś rodzajem salonu, bardzo ciemnym i zagraconym na wiktoriańską modłę – z tymi wszystkimi zasłonami z chwostami, małymi stoliczkami i przesadnie wypchanymi kanapami. Na środku pokoju, na dywaniku przed kominkiem, stała pani Warren, laskę odłożyła na bok i z ponurym zacięciem popychała odkurzacza tam

i z powrotem. W pierwszej chwili Hal miała ochotę się wycofać, ale zmieniła zdanie. Nadal potrzebowała informacji na temat Maud, a ta okazja mogła się okazać idealna – cichy antrakt, tylko one dwie... Tak byłoby dużo łatwiej przejąć kontrolę nad rozmową i naprowadzić ją na to, czego chciała się dowiedzieć. A poza tym mogła obrócić wiek oraz lekką głuchotę pani Warren na swoją korzyść – starsze kobiety zwykle uwielbiają wspominać, a przy tym byłoby łatwo ukryć wszelkie ewentualne potknięcia, udając, że pani Warren źle ją usłyszała.

Hal odkasznęła, ale gospodyni nie usłyszała jej wśród dźwięków silnika, więc ostatecznie odchrząknęła i odezwała się na głos.

– Dzień dobry. Dzień dobry, pani Warren.

Starsza pani się odwróciła, odkurzacz nadal pracował, więc go wyłączyła.

– Co ty tutaj robisz? – Miała oskarżycielską minę. Hal mimowolnie odrobinę zadrżała.

– Ja... ja przepraszam, usłyszałam odkurzacz i...

– To jest mój salon, prywatny, rozumiesz?

– Nie wiedziałam. – Poczowała rozdrażnienie, ale jednocześnie zachowywała się asekuracyjnie. – Przepraszam, ale nie mogłam wiedzieć, że...

– **Powinnaś** to wiedzieć – odwarknęła starsza pani. Odstawiła odkurzacz i podniosła laskę. – Przyjeżdżasz, rozbijasz się po całym domu, jakby do ciebie należał...

– Nieprawda! – Hal porzuciła uprzejmość. – Nigdy bym tak nie zrobiła...
Ja po prostu n...

– Pyta się, jasne? Nie chodzi się i nie wsadza nosa w nie swoje sprawy. – Pani Warren przerwała i zacisnęła usta, jakby chciała coś jeszcze powiedzieć, ale się rozmyśliła, zamiast tego rzuciła Hal spojrzenie pełne nieskrywanej wrogości.

– Przecież przeprosiłam – podkreśliła Hal. Defensywnie skrzyżowała ręce na piersi, rozdrażniona tą niesprawiedliwością, a jednocześnie niezdolna do obrony, bo nie mogła sobie pozwolić na zrażenie do siebie kogoś, kogo mogła potrzebować, by wykopać informacje. Poza tym tak naprawdę ta starsza kobieta miała rację. Hal **była** intruzem, niezależnie od tego, jak bardzo udawała, że jest inaczej. – Wróć do drugiego skrzydła. Ja tylko... – Nagle przyszedł jej pomysł. – Ja tylko chciałam spytać, czy nie potrzebuje pani pomocy.

Uśmiechnęła się zadowolona z własnej bystrości, ale uśmiech zbladł, kiedy tylko zobaczyła, że pani Warren prostuje się, choć nie do końca, ze zjadliwą miną.

– *No proszę*, co za łaskawa panienka. Może i się starzeję, ale jeszcze nie zdziecinniałam do reszty i nie potrzebuję pomocy od takich jak *ty* – odpowiedziała. Udało jej się tak wypowiedzieć ostatnie słowa, by zabrzmiały jak obelga. – Śniadanie będzie o ósmej.

Hal wycofała się w milczeniu, zamknęła za sobą drzwi i wróciła do oranżerii, wzburzona tym spotkaniem. Jakim cudem pani Warren zdołała tak osobiście odebrać jej ostatnie słowa?

„No proszę, co za łaskawa panienka”.

Zakłula ją ta aluzja – tym bardziej że była taka nieprawdziwa. Gdyby w drzwiach stanęli Richard albo Kitty, to mogłaby przynajmniej zrozumieć. Ale wychowanie Hal było tak dalekie od luksusów, jak tylko się da. Pomyślała o swoim dzieciństwie, o tym, jak pchała, och, wiekowy, krztuszący się odkurzacz w salonie po powrocie ze szkoły, nim mama wróciła z mola, próbując ją trochę odciążyc, na ile była w stanie. O używanych ubraniach, które jej mama wybierała w sklepach charytatywnych, o chłopięcych butach, które Hal była zmuszona nosić, kiedy nie znalazły się żadne dziewczęce w jej rozmiarze. „Wiesz co?” – mówiła mama, broniąc ich w jej oczach, żeby jej się spodobały. „Myślę, że i tak są fajniejsze. Pasują do ciebie”. A Hal uśmiechała się, kiwała głową, a potem nosiła je z taką dumą, na jaką tylko umiała się zdobyć. „Wolę takie” – tłumaczyła dziewczynkom w szkole. „Są lepsze do biegania, skakania i gry w piłkę.

Ostatecznie okazywało się to prawdą.

Najchętniej odskrzyknęłaby przez drzwi do tamtego salonu: „Niczego o mnie nie wiesz!”.

Powoli przeszła przez oranżerię, zastanawiając się, co ze sobą zrobić, nim zjedą pozostali. Widziała niewyraźnie przez porośniętą zieloną pleśnią szyby, że na zewnątrz trawnik rozciągał się aż nad morze, a dalej rosły smagane wiatrem cisy, te najbardziej oddalone od domu były aż zgięte w pół od nieustającego wiatru znad morza. Sroki przechadzały się po trawniku, a Hal przypomniała sobie ten wierszyk, który poprzedniego dnia wyrecytował jej Treswick. Nie mogła policzyć ptaków za przymgloną szybą, ale musiało być ich co najmniej siedem, może więcej, i nagle wydało się to bardzo odpowiednie – w tym domu pełnym tajemnic.

Cóż, to chyba oczywiste, że nie uzyska żadnych odpowiedzi od pani Warren. Odkurzacznik nadal buczał za drzwiami salonu, ale Hal nie wierzyła już, że potrafiłaby coś wydobyć z gospodyni, nawet gdyby ta się pojawiła. A reszta domu była pogrążona w ciszy. Ale może mogłaby obrócić tę przerwę na swoją korzyść.

Ostrożnie stąpając, otworzyła trzecie drzwi wychodzące z oranżerii. Prowadziły na mały korytarz, który po jednej stronie miał otwartą toaletę, gdzie głucho kapało ze spluczki. Drzwi po drugiej stronie były zamknięte.

Hal obejrzała się za siebie, bo pomyślała o tym, jak pani Warren oskarżyła ją o szwendanie się i węszenie, ale odkurzacznik nadal pracował, więc w przewrotnym przypiływie adrenaliny wyciągnęła rękę i przekręciła gałkę klamki. Wślizgnęła się do środka i zamknęła za sobą drzwi najciszej, jak zdołała.

Był to gabinet – ale najwyraźniej od wielu lat stał nieużywany. Książki pokrywała gruba warstwa kurzu, pajęczyny oplótły podkładkę na biurku, a na blacie stał bakelitowy telefon, taki jaki Hal znała tylko z filmów. Była tam też książka w popękanej skórzanej oprawie, z wytłoczonym wyblakłym, pozłacanym napisem „Dziennik”. Bardzo, bardzo delikatnie Hal otworzyła okładkę. „Kalendarz biurkowy i dziennik 1979” – przeczytała. Był starszy od niej. Kiedy opuściła okładkę, ta cicho stuknęła i wzbiła małą chmurę kurzu.

Czyj to pokój? Był wyjątkowo męski, w taki sposób, którego Hal nie potrafiła do końca określić. Jakoś nie mogła sobie wyobrazić, by używała go pani Westaway. Czy należał do pana Westaway? Co się z nim stało?

Przekartkowała kilka stron dziennika z nadzieją, że natrafi na coś przydatnego – nie liczyła co prawda na „urodziny Maud”, ale może chociaż jakiś strzępek informacji, który mogłaby wykorzystać. Pismo było jednak tak niewyraźne, że trudno było coś odczytać, a te notatki, które odszyfrowała, były zdecydowanie nieprzydatne i zawodowe – „spotkanie CF... telefon do Webbera... 12.30 Woeburn, Barclays”.

Hal zamknęła go delikatnie i przeniosła uwagę na resztę gabinetu. Naprzeciwko biurka stały regały z książkami, ciągnące się aż do sufitu, tak zakurzone i pokryte pajęczynami, jak wszystko inne – wszystkie poza, jak nagle zauważyła Hal, jednym tomem, wciśniętym wysoko po prawej stronie, cienką, niepodpisaną książką z jaskrawożółtym grzbietem.

Pod nią stały drewniane schodki, dzięki którym można było dosięgnąć najwyższych półek, a przyjrawszy się im, Hal dostrzegła w kurzu odciski

stóp – oczywiście nadal przykurzone, ale nie był to ten sam trzydziestoletni kurz, który pokrywał resztę gabinetu.

Hal przechyliła głowę, nasłuchując odkurzacza przesuwającego się w przód i w tył, w przód i w tył, a potem wspięła się na stopnie, by dosięgnąć książki. Starła się stawiać stopy jak najbliższej śladów poprzedniej osoby.

Był to album ze zdjęciami, jak zorientowała się, kiedy tylko zdjęła go z półki. Przy otwarciu grube strony delikatnie zatrzeszczały, a folia przykrywająca zdjęcia odkleiła się z oporem.

Na pierwszej stronie widniała czarno-biała fotka grubego, jasnowłosego dziecka w staroświeckim wózku i maleńkim irlandzkim sweterku; mętnym wzrokiem patrzyło w stronę obiektywu. Za nim był trawnik ciągnący się nad morze, a Hal rozpoznała ten widok z górnego tarasu w Trepassen, na zewnątrz salonu. „Harding, 1965” – brzmiał staranny ołówkowy opis w jednym rogu.

Hal przewróciła strony, czując się jak podróżnik w czasie skradający się przez przeszłość. Był tam mały chłopiec w wieku około dwóch lat na plaży w pobliżu domu; na innym zdjęciu siedział na kolanach sztywnego, elegancko ubranego mężczyzny ze szczeniastym wąsem. Ten chłopiec to prawdopodobnie Harding, ale kim był mężczyzna? Panem Westawayem?

Kolejne zdjęcia, kolorowe ujęcie tego samego małego chłopca, teraz trochę starszego, na niebieskim trzykołowym rowerku. „H, czerwiec 1969” głosił podpis. Następnie Harding w szkolnym mundurku, z koślawymi kolanami w szarych spodenkach, a potem pojawiło się kolejne dziecko, noworodek z czerwoną twarzą. Maud? Hal na sekundę stanęło serce, gdy szukała daty w ołówkowym podpisie pod spodem. Ale nie, tam napisano: „Abel Leonard, urodzony 13 marca 1972 roku”. Na sąsiedniej stronie widniało czarno-białe zdjęcie tego samego dziecka, leżącego na dywaniku przed kominkiem, wymachującego nogami. „A.L., trzy miesiące” – głosił podpis.

Ale nim przewróciła stronę, jakiś dźwięk sprawił, że zamarła. Z korytarza dochodziły jakieś głosy – nie brzmiały jak pani Warren, tylko jak członkowie rodziny. Zbliżali się.

Nie *mogą* jej tu znaleźć, szperającej w rodzinnych dokumentach.

Pospiesznie wcisnęła książkę z powrotem na miejsce i zsunęła się ze schodków, tym razem z mniejszą dbałością o to, gdzie stawia stopy, a potem stanęła na podłodze i wstrzymała oddech, próbując określić, skąd

dochodzą te głosy. Początkowo serce waliło jej zbyt mocno, by mogła coś usłyszeć. Potem usłyszała: „Pani Warren! Czy moglibyśmy dostać jakąś kawę?” – i zdała sobie sprawę, że to z pokoju śniadaniowego.

Szybko wyslizgnęła się z gabinetu, zamknęła za sobą drzwi i pospieszyła małym korytarzem. Ledwo zdążyła – kiedy tylko weszła do oranżerii, otworzyły się drzwi pokoju śniadaniowego i wyjrzała zza nich głowa Hardinga.

– Pani... – przerwał. – Och, Harriet.

– Tak – odparła lekko zdyszana. Zauważyła, że miała na palcach kurz z gabinetu, więc wytarła je ukradkiem o tył dzinsów. – Szukałam sobie właśnie tu zajęcia przed ósmą, pani Warren powiedziała, że wtedy będzie śniadanie.

– No to chodź do środka. – Harding zachowywał się trochę niezręcznie, odkaszlnął, zdjął sobie wymaginowany pyłek kurzu z niebieskiego swetra z golfem, po czym dodał: – Co do wczorajszego wieczoru, Harriet, oczywiście ta wiadomość była szokująca, ale mam nadzieję, że nie...

– Proszę – zdobyła się Harriet. Poczula, że na policzki wstępuje jej zdradziecki rumieniec. – Nie ma potrzeby...

Ale Harding zamierzał wypowiedzieć swoją kwestię, nie zważając na nic, a Hal nie miała innego wyboru, tylko wystać i wytrzymać dość pompatyczne małe przemówienie, które przede wszystkim sprowadzało się do przeprosin za jego uwagi z poprzedniego wieczoru.

– Co nie oznacza, że nadal nie mam wątpliwości co do stanu umysłowego mamy. Ale byłem w błędzie, bardzo w błędzie, sugerując, że to może mieć jakiś związek z tobą, Harriet. Jeśli w ogóle jesteś w to w jakiś sposób zamieszana, to tylko jako niewinny przechodzień. No, to tyle. – Odkaszlnął i otrzepał sobie znowu sweter. – Przejdźmy do przyjemniejszych spraw, mam nadzieję, że czujesz się już lepiej?

– O, och tak – odpowiedziała, chociaż policzki miała nadal rumiane. – Dziękuję. Czuję się zupełnie dobrze. Będę mogła dzisiaj wyjechać.

– Wyjechać dzisiaj? – Harding uniósł brwi. – O tym nie ma mowy, moja droga. Treswick chce spotkania wszystkich spadkobierców w jego biurze w Penzance, a tak czy inaczej jest wiele rzeczy, które musimy tu ustalić.

Na wspomnienie spotkania z prawnikiem Hal poczuła, że przewraca jej się w żołądku, i zrobiło jej się niedobrze, jakby straciła grunt pod nogami. Oczywiście już wcześniej wiedziała, że należy się spodziewać testów i biurokracji, ale jakoś zawsze wyobrażała sobie, że wysyła dokumenty

pocztą z bezpiecznej odległości. Tak jednak było wcześniej – kiedy myślała o spadku rządu co najwyżej kilku tysięcy.

A teraz, kiedy od jej tożsamości zależy przejęcie całego majątku...

Ta perspektywa, że będzie musiała tam pójść osobiście, stać z walącym sercem, podczas gdy ktoś będzie przeglądał jej dokumenty, nie była pocieszająca. Padną też pewnie pytania – te konkretne, których Harding, Abel i Ezra nie zadali, bo byli zbyt uprzejmi, by wypytywać ją podczas stypy ich matki, a ona nie będzie miała czasu na wymyślenie wiarygodnych odpowiedzi ani na dobór odpowiednich sformułowań. Co, jeśli Treswick zrozumie swój błąd, gdy ona będzie się znajdowała w jego gabinecie? Czy wezwie policję?

Otworzyła usta, by odpowiedzieć, ale nim znalazła właściwe słowa, drzwi za nią otworzyły się z łoskotem i stanęła w nich pani Warren uzbrojona w laskę.

– Och, pani Warren – zaczął Harding z pochlebczym uśmiechem. – Właśnie rozmawialiśmy o śniadaniu. To bardzo miłe, że wystawiła pani toster i to wszystko. Gdzie moglibyśmy znaleźć herbatę i kawę?

– Nie ma jeszcze ósmej – rzuciła lodowato pani Warren. Harding zamrugał i Hal widziała, że robi wszystko, by nie dać po sobie poznać irytacji.

– Tak, oczywiście, ale jest za pięć...

– Harding chciał powiedzieć... – rozbrzmiał głos za nimi, a Hal się odwróciła i zobaczyła stojącego w drzwiach Ezrę. Był nieogolony i wyglądał, jakby miał kaca, jego ubrania były wygniecione, a włosy sterczały z jednej strony, ale gdy mu się przyglądała, jego usta wygięły się w możliwie najbardziej uroczy, krzywy uśmiech, który już pamiętała, a który zmieniał cały wyraz jego twarzy. – Harding chciał powiedzieć, że może dałaby się pani namówić, byśmy odjęli pani trochę pracy i przygotowali sobie sami herbatę?

– No cóż – odparła pani Warren. Wolną dłonią wygładziła sobie włosy. – Sama nie wiem, panie Ezro. – Jej kornwalijski akcent zabrzmiał nagle jeszcze bardziej gardłowo. – Kuchnia należy do mnie. Ale zobaczę, co da się zrobić.

Odwróciła się i zniknęła za drzwiami na przeciwległym końcu oranżerii, a Ezra mrugnął do Hal.

– Harriet. Dobrze cię widzieć na nogach. Wczoraj wieczorem dałaś niezły występ.

- Ja... - Hal poczuła, że się rumieni. „Niezły występ”. Oczywiście odnosiło się to do jej omdlenia, ale określenie leżało niebezpiecznie blisko prawdy. - Czuję się już dużo lepiej.

- To niecodzienne widzieć *ciebie* na nogach o tej porze, skoro już o tym mówimy - zauważył gorzko Harding.

- Szczęśliwie dla ciebie oraz twojej porannej herbaty, Harding, wstałem. Jak to szło w tym powiedzeniu? Coś z muchami i miodem?

- Do diabła z muchami, to jest stara, zręczliwa nietoperzyca. Nie mam pojęcia, dlaczego mama tolerowała ją przez te wszystkie lata. Jak widzę, *ona* dostanie swoje trzydzieści tysięcy bez problemu.

- Nie w tym rzecz - odparł Ezra. Jego uśmiech zniknął. Patrzył na Hardinga z niemal otwartą niechęcią. - I mów ciszej, chyba że do końca pobytu chcesz jeść zimną zupę.

- Co masz na myśli? Nie w czym rzecz?

- Chodzi mi o to, że przez jakieś piętnaście lat ona po prostu opiekowała się mamą za głodową stawkę. Myślisz, że dalibyśmy radę zatrudnić tu i ulokować na stałe pielęgniarkę za te pieniądze, które mama płaciła pani Warren? Trzydzieści tysięcy nie wydaje mi się tu wygórowaną kwotą do zapłacenia.

- Zabawne, że pytasz, czy *dalibyśmy* radę zatrudnić opiekunkę - odparł zirytowany Harding. - Nie wiem, jakie możesz mieć o tym pojęcie, biorąc pod uwagę, że nie widzieliśmy cię na tym wybrzeżu przez większą część z tych dwudziestu lat. Abel miał przynajmniej jakąś wymówkę, żeby się odciąć, uciec. Ci z nas, którzy zostali, by dopilnować naszych obowiązków...

- Zawsze był z ciebie świętoszkowaty dupek - rzucił Ezra. Uśmiechnął się ze swojego żartu, ale tym razem w jego minie nie było nic uroczego ani zabawnego, przypominał bardziej wilka odślanającego kły. Hal wstrzymała oddech, niepewna, do czego to zmierza, ale Harding nie odpowiedział. Przewrócił tylko oczyma i odwrócił się od brata w stronę pokoju śniadaniowego. Kiedy podszedł do drzwi, przytrzymał je dla Hal i grzecznie odczekał, dopóki nie przeszła.

W środku Mitzi, Richard i pozostała dwójka dzieci siedzieli już u szczytu długiego stołu. Nigdzie nie było widać Abła i Edwarda.

- Harriet, kochana - przywitała się Mitzi. Tego poranka użyła szminki i jej usta wyglądały niestosownie radośnie na tle przygaszonych,

wyblakłych cieni tego pomieszczenia oraz jasnego porannego słońca. – Jak się dzisiaj czujesz?

– Dobrze, dziękuję, Mitzi. – odparła Hal. Zająła krzesło, które wysunął dla niej Harding, pomiędzy nim a Ezrą, i usiadła. – Nie jestem pewna, co się wczoraj stało. Wydaje mi się, że to było połączenie przeziębienia i braku jedzenia.

– Nie wspominając o szoku – dodała Mitzi. Sięgnęła po musli i z dezaprobatą zacisnęła usta. – Nie wiem, co sobie myślał Treswick, zrzucając na nas całą tę sprawę z testamentem w ten sposób.

– No cóż, kiedyś musiał nam w końcu powiedzieć – zauważył Ezra. Wyglądał, jakby przeszedł mu błysk wściekłości na Hardinga; jego uśmiech wrócił na swoje miejsce i był teraz bardziej przekonujący. – Pewnie uważał, że lepiej zerwać plaster za jednym pociągnięciem, że tak powiem. Mieć to już za sobą.

– Powinien był nas przygotować – upierała się Mitzi. – Zwłaszcza biednego Hardinga.

– Dlaczego biednego Hardinga? – spytał Ezra. Uśmiechnął się przez stół do Mitzi. – Wiesz, my się czujemy podobnie zlekceważeni. Czy to za duży szok, że został potraktowany tak samo jak my, prostaczkowie?

– Ezra – odpowiedziała Mitzi tonem osoby, której cierpliwość została właśnie wystawiona na próbę. – Nie było cię tutaj, ale Harding z pewnością został wprowadzony w poczucie, że może się spodziewać...

– Szkoda, że zdążyliście już wpłacić zaliczkę na nowego land rovera – zauważył współczująco Ezra.

– No proszę, proszę – wtrącił Harding w tej samej chwili, kiedy Mitzi warknęła:

– Ezra, świadomie prowokujesz.

Mężczyzna tylko się zaśmiał, odrzucił głowę tak, że Hal zobaczyła zarys jego nieogolonej szczęki oraz zagłębienie obojczyka nad rozpiętą pod szyją koszulą.

Potem wstał, upuścił swoją serwetkę i przeciągnął się tak, aż koszula wyszła mu ze spodni.

– Pieprzyć to – rzucił lakonicznie, pochylił się przez stół i sięgnął po tost, który Richard smarował masłem na swoim talerzu. – Nie zniósę takiej dawki hipokryzji przy śniadaniu. Wychodzę.

– Dokąd? – dopytała Mitzi, ale Ezra wydawał się nie dosłyszeć pytania. Wziął wielki kęs tostów Richarda, rzucił skórki na stół, po czym wyszedł na

korytarz.

– On jest niemożliwy! – wybuchła Mitzi, kiedy zatrzęsnęły się za nim drzwi. – Harding, puścisz mu to płazem?

– Do cholery, Mitzi. Co twoim zdaniem powiniennem zrobić? – Jej mąż odsunął od siebie talerz. – Zresztą on ma rację.

– O co ci chodzi? Ukradł tosta Richardowi! I jak on śmie oskarżać cię o hipokryzję!

– Och, na Boga. – Harding wstał, podszedł energicznie do tosteru i wrzucił do niego dwie kromki chleba. – Zadowolona? Te tosty są tu akurat najmniej istotne.

– W takim razie te oskarżenia o hipokryzję, co za tupet!

– Wydaje mi się, że to była ogólna uwaga, Mit, i chociaż on mnie strasznie denerwuje, to w tym wypadku chyba akurat ma rację. Wczoraj w kościele staliśmy wszyscy przyobleczeni w posępne miny, a wątpię, czy znalazłaby się tam chociaż jedna osoba, której było przykro, że odeszła.

– Jak śmiesz. – Ten głos dobiegł od strony drzwi. Wszystkie głowy przy stole się obróciły i ujrzeli w wejściu panią Warren z dzbankiem kawy w drżącej ręce. – Jak *śmiesz*, mały, nieprzydatny do niczego mazgaju.

– Pani Warren – zaczął sztywno Harding. Wstał i się wyprostował. – Moje słowa były skierowane do mojej żony i w żadnym wypadku...

– Nie odzywaj się tak do mnie, ty mały, podły gówniarzu – odburknęła, a jej kornwalijski akcent sprawił, że ostatnie słowo zabrzmiało jak jakieś obcojęzyczne przekleństwo.

– Pani... – zaczął znowu Harding, ale nie zdążył skończyć. Pani Warren odstawiała dzbanek kawy na stół z takim stuknięciem, że krople rozprysnęły im się na talerzach, po czym trzepnęła go w tył głowy jak karnąbrne dziecko.

Hal czuła, że twarz jej zastygła. Cała ta scena była surrealistyczna – Harding stał jak nadęty uczeń przyłapany na przeklinaniu na szkolnym korytarzu, twarz pani Warren wykrzywiła wściekłość, Mitzi, Richard i reszta dzieci patrzyli na to wszystko zszokowani, z szeroko otwartymi oczyma.

– Pani Warren! – ryknął wściekle Harding, rozcierając sobie tył głowy, a w tym samym momencie jego córka krzyknęła:

– Tatusiu! – I po chwili, gdy ojciec nie odpowiedział, bardziej natarczywie: – *Tatusiu!* Tosty!

Wszyscy przenieśli wzrok na wiekowy toster stojący na drugim końcu stołu i zobaczyli dym unoszący się nad otworem u góry. Jak z przerażeniem zobaczyła Hal, spalona kromka zaczęła płonąć.

- Co za cholerstwo! - ryknął Harding. - To jest śmiertelna pułapka, mama powinna go była wyrzucić lata temu. - Podeszedł do gniazdka w ścianie, wyjął wtyczkę, a potem zarzucił podkładkę spod nakrycia na dymiący toster. Płomienie przygasły. Do aromatu spalonego tostu dołączył silny zapach opalanej bawełny i Mitzi wydała z siebie drżące westchnienie.

- Och, na Boga! Czy w tym domu można polegać na czymkolwiek? Pani Warren, czy może...

Ale zaraz zamilkła, urwała poirytowana. Pani Warren już wyszła.

Rozdział 18

Reszta śniadania upłynęła w nerwowej, przygaszonej atmosferze, jakby nikt nie chciał wspominać o wybuchu pani Warren i zniknięciu Ezry, i chociaż Hal wiedziała, że powinna wykorzystać ten czas na wydobywanie kluczowych informacji na temat Maud przed rozmową z Treswickiem, łąpczywie połknęła swój tost, a potem wstała od stołu najszybciej, jak się dało.

W korytarzu zatrzymała się na chwilę, próbując postanowić, co zrobić. Nie miała ochoty wracać do tej trumiennej sypialni, ale krążenie po tym domu tak, jakby już do niej należał, wydawało się beczelne do bólu.

Musiała wyjść na zewnątrz, przewietrzyć głowę, spróbować przemyśleć kolejny krok.

W głębi korytarza dostrzegła otwarte drzwi, którymi prawdopodobnie wyszedł Ezra, podążyła za silnym wiatrem i wymknęła się na żwirową ścieżkę przed domem. Przed sobą miała szeroki zakręt podjazdu, usiany chwastami i samosiejkami młodych drzewek. Na lewo stał rząd niskich budynków – garaży albo dawnych stajni, jak pomyślała – ale zapach dymu tytoniowego unoszący się zza rogu podpowiedział jej, że tam poszedł Ezra, a nie miała ochoty się teraz z nim spotykać. Szczerze mówiąc, potrzebowała przerwy od nich wszystkich.

Skręciła więc w prawo, mijając dość ponure zarośla, z których bił silny zapach kotów, i obeszła budynek do fasady, którą widziała wcześniej na tamtej poczłowie z długim, niskim domkiem i trawnikiem ciągnącym się aż nad morze. „Zjedliśmy bardzo dobry podwieczorek w domu Trepassen...”

Co się stało z tym domem i tą rodziną? Spokój płynący z tamtego zdjęcia, podwieczorek na trawie, wszystko to przypominało obraz z powieści Agathy Christie, a teraz zniknęło – pożarte rozkładem i czymś

jeszcze dziwniejszym, bardziej martwiącym. I nie chodziło tylko o to, że ten dom sprawiał wrażenie długo zaniedbywanego. To było coś mroczniejszego, poczucie, że to miejsce ukrywa tajemnice, że ludzie są tam straszliwie nieszczęśliwi i nie ma nikogo, kto mógłby ich pocieszyć.

Hal pogrążona w myślach przeszła z chrzęstem po oszronionym trawniku, czując, jak zamarznięte źdźbła trawy pękają jej pod butami. Powietrze było czyste i zimne, a kiedy chuchnęła, zobaczyła, jak rozwiewa się przed nią biała para oddechu. Przystanęła, by spojrzeć za siebie na dom, i dopiero wtedy zdała sobie sprawę, jak daleko zaszła oraz jak wielki był naprawdę ten teren – z jej pokoju na strychu trudno było dostrzec, gdzie kończy się ogród i zaczyna okoliczna wieś, ale teraz podeszła prawie do zagajnika u stóp murawy; znajdowała się dobre paręset metrów od domu. Zobaczyła też, że sam zagajnik jest osobną częścią tego terenu – tworzyła go grupka drzew z czymś pośrodku. Hal wydawało się, że widzi między nimi połyskiwanie czegoś ciemnego. Czy to mogła być woda?

– Podziwiasz swoją posiadłość?

Ten głos rozległ się za nią, na wzgórzu. Hal aż podskoczyła, po czym odwróciła głowę i zobaczyła Abła schodzącego w dół trawnika z rękoma w kieszeniach.

– Nie!

Wymknęło jej się to w obronnym odruchu, zanim zdążyła dobrze przemyśleć swoją odpowiedź, i poczuła, że policzki jej się rumienią nie tylko z powodu przeziębienia, ale Abel tylko się zaśmiał. Wygładził sobie wąsy.

– Nie jestem Hardingiem, nie musisz się mną przejmować w tej kwestii. Zapewniam cię, że nie mam ci niczego za złe. I tak się niczego nie spodziewałem.

Hal założyła ręce na piersi, niepewna, co odpowiedzieć. Uderzyło ją, że jak na kogoś, kto nie przejmuje się tym, iż został odcięty, Abel zaskakująco często to podkreśla. Przypomniała sobie, jak Mitzi powiedziała w bibliotece: „Och, Abel, przestań odgrywać takiego świętoszka!”. Czy ktokolwiek może być aż tak bezinteresowny? Czy ktoś może przeżyć wydziedziczenie przez swojego jedyne rodzica i naprawdę nie odczuwać żadnej goryczy?

Abel chyba wyczuł jej wahanie, a przynajmniej konsternację tym tematem, bo zaczął nowy.

– Ale powiedz, co się wydarzyło przy śniadaniu?

– Przy śniadaniu? – wydukała Hal. Przypomniała sobie, jak Harding i Ezra prawie się pobili, i wołała odpowiedzieć wymijająco, nie chcąc dać się wciągnąć w skomplikowaną sieć niechęci oraz lojalności, którą wyczuła pomiędzy braćmi. – N-nie jestem pewna, co masz na myśli. Harding i Ezra mieli... no cóż... małe... nieporozumienie.

– Och, nie musisz się nimi przejmować – zaśmiał się Abel. Opadł na stopień koło niej. – Oni się pojedynkują, odkąd Ezra zaczął mówić. A przy okazji, jeśli pójdziemy stąd w lewo, mogę ci pokazać labirynt.

– Labirynt?

– Nie za dobry. Jest tam. – Wskazał na lewo od zagajnika, w stronę odległej części murawy. – Ale w sumie nie o to mi chodziło. – Pytałem o te kłęby dymu unoszące się w górę schodów.

– Ach, to! – Hal zaśmiała się po nim, z ulgą przyjmując przejście na mniej wrażliwy grunt. – Toster się zapalił.

– Ach, tak? Myślałem, że może pani Warren próbowała spalić dom, zamiast pozwolić go przekazać niegodnym.

Hal poczuła, że policzki jej się czerwienią, tak ją zaskoczyło to słowo, a twarz Abła nagle się zmieniła.

– O Boże, Harriet, przepraszam... to było z mojej strony strasznie chamskie. Nie chodziło mi o ciebie... chodziło mi... no, słuchaj, Warren zawsze trochę przypominała panią Danvers z *Rebeki*. Nie wydaje mi się, żeby była zadowolona, gdyby ktokolwiek z nas odziedziczył dom... chyba że ewentualnie Ezra.

– W porządku – odpowiedziała sztywno Hal. Trudno jej było przyznać, jak celnie uderzyła ją uwaga Abła. – Dlaczego ona tak bardzo lubi Ezrę? – dodała w końcu po chwili niezręcznej ciszy.

Abel chuchnął sobie w dłoń i wysłał w powietrze chmurę białej pary, jakby rozważał odpowiedź na jej pytanie.

– Kto to wie – stwierdził w końcu. – Tak bez powodu, przynajmniej oficjalnego. Zawsze był czarujący, ale Bóg mi świadkiem, że pani Warren jest odporna na takie rzeczy. Zawsze był też ulubieńcem mamy. Może to syndrom najmłodszego dziecka. A przynajmniej najmłodszego *chłopca*. W sumie twoja mama była najmłodsza, w każdym razie o parę godzin.

– Byli bliźniętami? – spytała nieostroźnie Hal, po czym miała ochotę odgryźć sobie język. *Musi* przestać mówić to, co jej pierwsze przyjdzie do głowy. Nigdy nie uważała się za szczególnie gadatliwą osobę, wręcz przeciwnie. Ludzie, którzy ją znali, często podkreślali, jaka jest zamknięta

w sobie, jak rzadko się sama odzywa. Ale przed przyjazdem tutaj nie pomyślała, że wszelka rozmowa będzie niemożliwa, bo każda przypadkowa uwaga może się okazać pułapką. Nie chodziło tylko o ujawnienie zbyt wielu informacji na swój temat ani maskowanie luk we własnej wiedzy – cały czas kroczyła po grząskim gruncie, który w każdej chwili mógł się zapaść. Nie mogła sobie pozwolić, by o tym zapomnieć.

Na szczęście jednak Abel chyba nie zauważył niczego dziwnego w tym pytaniu. Skinął tylko głową.

– Oczywiście dwujajowymi. Byli... byli ze sobą bardzo blisko. Ja byłem starszy o cztery lata, a Harding jeszcze więcej. On jest starszy ode mnie o osiem lat, więc zdążył wyjechać do szkoły, zanim oni nauczyli się chodzić. Ale Maud i Ezra... Chyba dlatego nigdy się nie pogodził z jej zniknięciem... Zawsze miał burzliwy charakter, ale kiedy ona uciekła... Sam nie wiem, Harriet. Coś się zmieniło. Tak jakby cały ten swój ogień przekierował do wewnątrz, na siebie. Wiesz, on spędził całe lata na poszukiwaniu jej.

– Tak mi przykro – odparła Hal. Gardło miała ściśnięte i obolałe od fałszu.

Abel delikatnie położył jej dłoń na ramieniu. Miała wrażenie, że jego dotyk powinien palić, ale tak nie było.

– Ona... Ona była wyjątkową kobietą – powiedział cicho. – Nie wiem, ile ci opowiadała o swoim dzieciństwie, ale nie mogło być łatwo, gdy została tu z mamą, bo my z Hardingiem zdążyliśmy się wyrwać. Ezra większość czasu spędzał w szkole z internatem, więc jakoś zawsze udawało mu się uciec przed najgorszym, ale... no cóż, moja matka nie była łatwa w obejściu nawet w swoim najlepszym wydaniu, a z wiekiem zdziwaczała i stała się bardziej drażliwa. Wydaje mi się, że pod koniec pani Warren była naprawdę jedyną osobą, która potrafiła znieść jej towarzystwo, a i tak nie jestem pewien, czy naprawdę wyszła z tego bez szwanku. Ale słuchaj... – Przerwał, odchrząknął, nabrał powietrza, a potem uśmiechnął się zdecydowanie. – Szukałem cię, bo... znalazłem coś w swoim pokoju i pomyślałem, że... cóż, pomyślałem, że może ci się spodobać.

Przystanęli, a Abel sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej pogniecione zdjęcie, złożone i z wymiętymi rogami, położył je na dziwną złotą mgłą, która zawsze wychodzi na fotografiach sprzed kilku dekad.

– Przepraszam, nie jest w za dobrym stanie, ale... no cóż, sama zobacz.

Hal wzięła kartkę od Abła i pochyliła się nad nią, próbując coś na niej dojrzeć.

Gdy jej się udało, oddech zamarł jej w piersi i prawie zaczęła się dusić.

– Harriet? – spytał niepewnie Abel. – Przepraszam, może to nie jest...

Ale Hal nie była w stanie się odezwać. Patrzyła tylko na fotografię w dłoni, ściskając palce, by ich drżenie nie zdradziło jej szoku.

Bo na zdjęciu był trawnik przed domem Trepassen, a na nim grupka czterech osób – dwie dziewczyny, chłopak i nieco starszy mężczyzna w wieku około dwudziestu lat.

Tym mężczyzną był Abel – włosy w miodowym kolorze miał koszmarnie ścięte na chłopaka z brytyjskiego boysbandu z lat 90., a jego ubranie dalece odbiegało od drogiego, dobrze skrojonego stroju, który nosił obecnie, ale bez wątplenia był to on.

Tym chłopakiem był Ezra, czarne włosy i wykrzywiony uśmiech czyniły go od razu rozpoznawalnym – a obok niego siedziała jasnowłosa dziewczyna w znoszonych martensach, śmiała się do niego. To musiała być jego dawno zaginiona siostra bliźniaczka – Maud.

Ale czwarta osoba w tej grupie – ostatnia dziewczyna siedząca osobno, trochę dalej od reszty, która ciemnymi oczyma patrzyła prosto w obiektyw i na osobę robiącą zdjęcie... to była matka Hal.

Hal zauważyła, że przestała oddychać, więc zmusiła się do nabrania powietrza, wdychała je długo i powoli, po czym je wypuściła, starając się nie okazać swoim drżącym oddechem, jak bardzo była wstrząśnięta.

Jej matka tu była – ale kiedy? *Jak?*

– Harriet? – odezwał się w końcu Abel. – Dobrze się czujesz? Przepraszam... to musi być dla ciebie nadal bardzo świeża sprawa.

– T-tak – wykrztusiła Hal, ale jej głos w porównaniu z normalnym zabrzmiał jak szept. Przełknęła ślinę i zmusiła się, żeby pokazać zdjęcie Ablowi. – Abel... to jesteś ty, to Ezra i m-moja mama, ale... – Znowu przełknęła ślinę, próbując usilnie wymyślić, jak ubrać to w słowa, jak zadać pytanie, na które musiała poznać odpowiedź, ale się przy tym nie zdradzić. – Kim jest ta druga dziewczyna?

– Maggie? – Abel wziął fotografię z jej palców i uśmiechnął się czule do tej grupki, na zawsze siedzącej w blasku słońca, zastygłej w swoich nastoletnich i dwudziestoletnich wcieleniach, zawsze młodych. – Boże. Mała Maggie Westaway. Prawie o niej zapomniałem. Ona była... chyba jakąś daleką kuzynką. Też chyba miała na imię Margarida, tak jak Maud,

choć żadnej z nich tak nie nazywaliśmy, to było za skomplikowane. Nazywała moją matkę ciocią, ale tak naprawdę chyba jej ojciec był... siostrzeńcem albo kuzynem mojego ojca? Coś w tym stylu. Jej rodzice zmarli, kiedy była nastolatką, podobnie jak twój, Hal, i przyjechała tutaj, żeby dokończyć ostatni rok w szkole. Bidulka. Nie sądzę, żeby to był dla niej bardzo szczęśliwy czas.

Hal przyjrzała się siedzącej na trawie dziewczynie, jej bezkompromisowemu, ciemnemu spojrzeniu, i zobaczyła to, co Abel. W jej wzroku było coś ostrożnego i niepewnego. Jako jedyna z tej grupy się nie uśmiechała.

– Rozumiem – wydusiła Hal. Starła się uspokoić drżenie nóg i zapanować nad mięśniami, żeby jej nie zdradziły. – Dziękuję... Dziękuję, że mi to pokazałeś. To wiele dla mnie znaczy.

– Jest twoje – odparł Abel. Wyciągnął zdjęcie w jej stronę, a Hal przyjęła je ze zdziwieniem. Przesunęła palcem po twarzy swojej matki.

– Naprawdę? Jesteś pewien?

– Tak, oczywiście. Nie potrzebuję go... Mam dość wspomnień z tamtego czasu, zresztą nie wszystkie są dobre. Ale to był piękny dzień... Pamiętam, że poszliśmy wszyscy pływać w jeziorze. To było, zanim... No, nieważne. Ale chciałbym, żebyś je miała.

– Dziękuję. – Hal starannie złożyła zdjęcie wzdłuż już istniejących zagięć i wsunęła je delikatnie do kieszeni. Potem przypomniała sobie o dobrych manierach i zmusiła się do uśmiechu. – Dziękuję, Abel, będę o nie dbać.

I odwróciła się, aby wspiąć się po oszronionym wzgórzu do domu, bo nie była już w stanie dłużej zachowywać pozorów.

Kiedy szła pospiesznie schodami na strych, czuła kształt zdjęcia w kieszeni swoich džinsów i musiała się powstrzymać od nakrycia go dłonią, jakby chciała je ukryć.

Jej matka. Dobry Boże, jej *matka*.

Po wspięciu się na ostatnie piętro do sypialni na strychu dostała zadyszki, a w środku zatrzasnęła za sobą drzwi, wyjęła zdjęcie z kieszeni i opadła na podłogę, plecami do wejścia. Zaczęła się wpatrywać w malutki obrazek.

To wszystko miało sens – zbieżność imion, pomyłka pana Treswicka – dziwne tylko, że sam Abel nie odgadł prawdy, patrząc na tę fotografię. Bo

to było teraz tak boleśnie wyraźne, kiedy Hal trzymała dowód przed oczami.

Maggie, tak Abel nazywał jej matkę. Hal nigdy nie słyszała, że używała takiego zdrobnienia, ale był to oczywisty skrót od imienia Margarida. „Imię rodowe” wyjaśniła jej kiedyś matka, kiedy spytała, dlaczego jej dziadkowie wybrali takie dziwne, trudne do przeliterowania miano. I urwała rozmowę, tak jak robiła to często, kiedy Hal chciała, by opowiedziała o swoim dzieciństwie oraz dawno zmarłych rodzicach.

„Naprawdę miała na imię Margarida, tak jak Maud”.

Dwie kuzynki – obie nazywały się Margarida Westaway. I szukając jednej z nich, Treswick niechcący natknął się na drugą. Czy on w ogóle wiedział o istnieniu drugiej Margaridy? Pewnie nie, bo inaczej upewniłby się, czy znalazł właściwą osobę. Ale jeżeli miał tylko imię, do tego takie nietypowe... Gdyby szukał Joan Smith, na pewno sprawdziłby, czy to aby na pewno ta. Ale w przypadku Margaridy Westaway można mu wybaczyć, że założył, iż to właściwa osoba.

Kiedy już jednak minął pierwszy szok po ujrzeniu własnej matki – młodej, nieustraszonej, *tutaj* – do myśli Hal zaczął się wkradać niepokój.

Gdy biegła po schodach, tłukło jej się po głowie pytanie, jakim cudem Abel obejrzał to zdjęcie i nie połączył faktów – i teraz, kiedy wpatrywała się w wyblakły, pożółkły obraz, ta myśl powróciła, jeszcze bardziej niepokojąca. Bo ta druga Margarida, *prawdziwa* Margarida, ta siedząca obok Ezry, była jasnowłosa, podobnie jak Harding i Abel. Matka Hal była ciemna, tak jak Hal.

Przez całe życie Hal słyszała uwagi innych ludzi o tym, jaka jest podobna do matki, ale nigdy tak naprawdę nie widziała, o co im chodzi, pomijając ich oczywiście podobną karnację i włosy. Ale teraz... przyglądając się fotograficznym dowodom przed sobą, zdjęciu jej matki w wieku tak podobnym do jej obecnego... teraz Hal dostrzegła to aż nazbyt wyraźnie. Poczynając od podejrzliwych ciemnych oczu w kolorze espresso, przez proste czarne włosy, zakrzywiony nos, aż po nieposłuszenie zadartą brodę – Hal zobaczyła w matce siebie.

Tutaj, tuż przed jej nosem, leżały mocne dowody prawdy – i popełnionego błędu. Ile zajmie, nim Abel – lub ktoś inny – zda sobie z tego sprawę?

Hal wstała nerwowo, podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Chmurzyło się i w oddali dostrzegła szarą masę upstrzoną białymi

plamkami, sięgającą aż do nieba. To mogła być chmura, ale Hal pomyślała – chociaż nie miała pewności – że to pewnie było morze.

Nagle poczuła silne pragnienie, by wyjść, wydostać się stąd – zorientowała się, że ścisła kraty, jakby była w stanie je wyważyć i wyrwać się z ograniczeń tego maleńkiego pokoju oraz więzienia, które sama dla siebie stworzyła tą sytuacją.

Ponieważ kiedy po raz drugi schowała zdjęcie do kieszeni, zdała sobie sprawę, że widniejące na nim dowody to dopiero połowa problemu. Tak naprawdę kłopot tkwił w czymś dużo gorszym.

Przyjmując to zdjęcie i zadając tamte pytania w taki, a nie inny sposób, Hal przekroczyła pewną granicę. Nie była już biernym pionkiem w pomyłce Treswicka, zamieszonym w błędne założenia, bez żadnych wykroczeń z jej strony.

Nie. W chwili, gdy przyjęła to zdjęcie, zaczęła aktywnie oszukiwać Westawayów w taki sposób, który można jej zarzucić i udowodnić. A potencjalnym rezultatem jej oszustwa nie będzie już parę tysięcy funtów, tylko cała posiadłość – skradziona sprzed nosa prawowitym spadkobiercom Hester Westaway.

Do tego momentu, pomyślała Hal, mogłaby to jakoś podciągnąć pod niewiedzę albo niezrozumienie. Mogłaby zacytować list od Treswicka, który pojawił się znikąd, oraz wspomnieć, że nigdy nie poznała swoich dziadków – przedstawiłaby siebie jako niewinną postronną osobę zaplątaną w pomyłkę, ufną młodą kobietę, zbyt nieśmiałą, by pytać o nieścisłości dostrzeżone w tym, co jej mówiono.

Ale teraz, kiedy przyjęła to zdjęcie i nie wspomniała, że to ta *druga* kobieta na zdjęciu była jej prawdziwą matką, zaczęła coś zupełnie innego.

Właśnie zaczęła popełniać czynne, dające się prześledzić oszustwo.

6 grudnia 1994

Wczoraj w nocy nie mogłam spać. Leżałam rozbudzona z dłońmi na brzuchu, próbując go wcisnąć, żeby z powrotem był płaski, i myślałam o nocy, której to się zdarzyło. To było pod koniec sierpnia, kiedy dni stały się dłuższe i gorętsze, niż kiedykolwiek byłam w stanie sobie wyobrazić, a niebo miało odcień intensywnego, kornwalijskiego błękitu.

Chłopcy wrócili ze szkoły i studiów, wypełniając dom rzadko tu spotykanym hałasem i energią, która wydawała się dziwna po tej zduszonej ciszy, do której przywykłam przez ostatnie kilka miesięcy. Moja ciocia wyjechała coś załatwić do Londynu, pani Warren udała się zaś do Penzance spotkać się z siostrą, a bez mrocznej obecności tych dwóch osób przypominających kruki w domu panowała lekka atmosfera, przepełniona radością.

To Maud przyszła szukać mnie w moim pokoju, w którym czytałam – wpadła z ręcznikiem i swoim jaskrawoczerwonym strojem kąpielowym w jednej ręce oraz okularami przeciwsłonecznymi w drugiej.

– Rusz się, Maggie! – zawołała, wyrwała mi książkę z rąk i rzuciła ją na łóżko, gubiąc mi moją stronę, co zauważyłam z błyskiem irytacji. – Idziemy pływać w jeziorze!

Nie chciałam iść – dziwne, że to zapamiętałam. Nie mam nic przeciwko basenom albo morzu, ale nigdy nie lubiłam pływania w jeziorze – tego mulistego sitowia i brei na dnie, a także gnijących gałęzi, o które zahacza się stopami. Ale Maud nie jest łatwo czegoś odmówić, więc w końcu pozwoliłam jej się zaciągnąć na dół, gdzie czekali chłopcy. Ezra trzymał komplet wiosł.

Z kruszejącego hangaru na łodzie Maud wyprowadziła rozklekotaną łódź płaskodenną i powiosłowaliśmy na wyspę, woda pod kadłubem była cętkowana i brązowa. Maud przywiązała łódź do prowizorycznego pomostu i wysiedliśmy. Ona pierwsza weszła do wody – niczym błysk szkarłatu na tle złotobrazowej wody, dała długiego nurka pod powierzchnię z końca gnijącego drewnianego podestu.

– Chodź, Ed! – zawołała, a on wstał, uśmiechnął się do mnie, po czym ruszył za nią na skraj wody i wskoczył do niej z rozbiegu.

Nie byłam pewna, czy wejść – wystarczyło mi obserwowanie reszty; śmiali się i bawili w wodzie, ochlapując się nawzajem i piszcząc. Ale słońce grzało coraz

bardziej i bardziej, aż w końcu wstałam, osłaniając oczy i zastanawiając się.

– Chodź! – zawołał Abel. – Tu jest wspaniale.

Poszłam na koniec pomostu, czując, jak wilgotne drewno rozpada mi się pod bosymi stopami, po czym umoczyłam – tylko umoczyłam – czubki palców u stóp w wodzie, przyglądając się z zadowoleniem pożyczonemu wcześniej od Maud szkarłatnemu lakierowi do paznokci, który błyszczał jasno pod wodą.

I wtedy – zanim zdążyłam zrozumieć, co się dzieje – czyjaś dłoń chwyciła mnie za kostkę i poczułam szarpnięcie, więc nachyliłam się do przodu, żeby nie upaść na plecy – i już byłam w jeziorze, złote wody zamknęły się nad moją głową, wokół mnie wirowało błoto. Było to dużo piękniejsze i bardziej przerażające, niż kiedykolwiek umiałabym sobie wyobrazić.

Nie widziałam, kto mnie wciągnął – ale czułam go pod wodą, jego skórę przy mojej skórze, siłowaliśmy się rękoma, trochę walczyliśmy. I w tamtym momencie, kiedy oboje się wynurzyliśmy, poczułam, jak jego palce otarły się o moją pierś, sprawiając, że zadrżałam i zabrakło mi tchu – nie tylko od szoku wywołanego wodą.

Nasze oczy się spotkały – niebieskie i ciemne – on się uśmiechnął, a mój żołądek podskoczył i zacisnął się takim głodem, jakiego wcześniej nie znałam. Wtedy zrozumiałam, że go kocham i że oddałabym mu wszystko, nawet siebie.

Po tym, jak powiosłowaliśmy z powrotem, poszliśmy do domu i wypiliśmy herbatę na trawie, owinięci ręcznikami, i wyciągnęliśmy się, żeby wygrzać się w słońcu.

– Zrób zdjęcie... – powiedziała leniwie Maud, kiedy rozciągnęła swoje opalone na miodowy odcień złota kończyny na wyblakłym niebieskim ręczniku. – Chcę zapamiętać ten dzień.

On jęknął, ale wstał posłusznie i poszedł po swój aparat, a następnie go ustawił. Przyglądałam mu się, jak stał za nim, ustawiając ostrość i kręcąc obiektywem.

– Co taka poważna? – spytał, kiedy podniósł wzrok, i zauważyłam, że marszczę się w skupieniu, próbując zapisać sobie jego twarz w pamięci. Uśmiechnął się do mnie tym porywającym uśmiechem, a ja poczułam, że moje usta też zakrzywiają się w mimowolnym odruchu.

Później, długo po kolacji, kiedy słońce zachodziło, pani Warren poszła już spać, a reszta grała w bilard na wyblakłym zielonym suknie, śmiejąc się tak, jak nigdy tego nie robili, gdy ciotka była w domu. Ezra zniósł ze swojego pokoju radio i magnetofon grał na zmianę Jamesów, R.E.M. oraz Pixies, wypełniając pokój hukiem gitar i perkusji.

Nigdy nie umiałam grać w bilard – kij nigdy nie robił tego, co chciałam, bile odbijały się od poduszek, jakby żyły własnym życiem. Maud mówiła, że się nie staram, że to bardzo proste: połączyć przyczynę i skutek oraz określić, gdzie wyląduje bila, ale to nie była prawda. Moim zdaniem brakowało mi jakiegoś genu.

Cokolwiek to było, co pozwalało Maud przewidzieć, że bila uderzona z takiego kąta odbije się rykoszetem w tamtym miejscu – ja tego nie miałam.

Więc zostawiłam ich z grą i wyszłam na trawnik przed starszą częścią domu. Siedziałam, obserwując, jak słońce zaczyna się chylić nad horyzontem, i myślałam o tym, jakie mimo wszystko piękne jest to miejsce, aż nagle poczułam czyjś dotyk na swoim ramieniu. Obróciłam się i zobaczyłam, że stoi za mną, piękny i opalony, z włosami opadającymi do oczu.

– Chodź ze mną na spacer – zagadnął. Skinęłam głową i poszłam za nim przez pola oraz pozapadane ścieżki, aż nad morze. Położyliśmy się na ciepłym piasku i patrzyliśmy, jak słońce topi się w falach, płonąc na złoto i czerwono. Nie odzywałam się, bo strasznie się bałam przerwać tę idealną chwilę – bałam się, że wstanie i odejdzie na zawsze, a wszystko wróci do normalności.

Ale nie zrobił tego. Położył się koło mnie, przyglądając się niebu w ciszy brzmiącej jak wdech, którego nabiera się przed powiedzeniem czegoś bardzo ważnego. Kiedy ostatni promień słońca zniknął za horyzontem, obrócił się do mnie i myślałam, że się odezwie – ale nie zrobił tego. Po prostu zsunął mi z ramienia ramiączko sukienki. A ja pomyślałam – to jest to. To jest to uczucie, na które czekałam całe życie, o tym rozmawiały tamte dziewczyny w szkole, o tym śpiewa się te wszystkie piosenki i pisze wiersze. To jest to. On tym jest.

Ale teraz słońce już nie świeci, nadeszła zima, a mnie jest bardzo zimno. I nie wiem już na pewno, czy miałam rację.

Rozdział 19

Hal nie była pewna, jak długo tam siedziała, wpatrując się w zdjęcie i próbując wymyślić, co powinna zrobić. W końcu jednak usłyszała bardzo cichy dźwięk zegara z korytarza na dole, który wybijał jedenastą, więc wstała i rozciągnęła przykurczone, skostniałe kończyny.

Nadal czuła silną chęć, by uciec do Brighton i ukryć się przed tym koszmarem, który sama stworzyła – tylko niestety oni wiedzieli, gdzie jej szukać. Treswick miał jej adres, mógłby przyjechać, wysledzić ją i zacząć zadawać pytania. A poza tym... Żołądek jej się ścisnął na wspomnienie czekających na nią egzekutorów pana Smitha oraz połamanych rzeczy. Hal nigdy nie uważała się za tchórzliwą, ale jednak była taka, teraz już wiedziała. Pomyślała o głosie tamtego mężczyzny, jego powolnym, cichym seplenieniu... „połamane zęby... czasem połamane kości...” i wiedziała, że nie ma odwagi, by znów się z nim spotkać.

Nie. Nie mogła tam wracać bez pieniędzy.

Czy zdołałaby uciec na zawsze – przed wszystkimi? Ale dokąd powinna się udać i jak to zrobić bez pieniędzy? Nie wystarczyłoby jej nawet na taksówkę z powrotem do Penzance, nie mówiąc już o gotówce potrzebnej, by zacząć od nowa w obcym mieście.

Cóż, cokolwiek postanowi, nie może się ukryć na zawsze. Musiała kiedyś w końcu zejść na dół i zmierzyć się z rodziną.

Rozcierając zmarznięte palce, otworzyła drzwi.

W ciemności korytarza stała zupełnie nieruchomo jakaś postać, jej ciemne ubranie zatapiało się w cieniu, tkwiła w bezruchu zaledwie centymetry od twarzy Hal.

Hal krzyknęła i cofnęła się do pokoju, przycisnęła rękę do piersi.

– Jezu... co...

Zauważyła, że dłonie nadal się jej trzęsą, więc chwyciła się metalowego wezgłowia, żeby utrzymać równowagę.

– Tak? – Głos postaci z cienia był zachrypły i gardłowy, z kornwalijskim akcentem. Kiedy strach ustąpił, Hal poczuła, jak zalewa ją złość.

– Pani Warren? Co, u diabła, pani robi, węsząc pod moim pokojem?

– To nie twój pokój – odparła gorzko pani Warren. Zrobiła krok naprzód, przeszła przez próg i obrzuciła skromny dobytek Hal pogardliwym spojrzeniem. – I nigdy nie będzie, jeśli to ode mnie zależy.

– Co pani przez to rozumie?

– Już ty wiesz.

Hal wepchnęła ręce do kieszeni, żeby ukryć ich drżenie. Nie zamierzała okazać tej staruszce, że się jej boi.

– Proszę zejść mi z drogi.

– Jak sobie życzysz. Przyszłam ci powiedzieć, że on chce się z tobą zobaczyć na dole.

– Jaki „on”? – Starła się mówić spokojnym tonem, ale zabrzmiał na chłodniejszy oraz ostrzejszy, niż zamierzyła.

– Harding. Czeka w salonie.

Hal nie zdołała się zdobyć na podziękowanie, ale skinęła raz głową, a pani Warren zawróciła, by skryć się z powrotem w ciemnościach korytarza.

Hal poszła za nią i właśnie zamykała za sobą drzwi, kiedy pani Warren się odezwała, skinąwszy głową przez ramię w stronę pokoju oraz rozrzuconych rzeczy Hal.

– *Ona* lubiła takie świństwa.

– Co takiego? – Hal zamarła z dłonią na klamce. Drzwi były półprzymknięte, w szczelinie można było dojrzeć kawałek pokoju.

– Te karty. Tara czy jak ona tam je nazywała. To były pogańskie rzeczy, diabły i nadzy mężczyźni. Gdybym mogła o tym decydować, nie trzymałabym ich w domu. Wszystkie bym spaliła. Obrzydlistwo.

– Kto? – spytała Hal, ale pani Warren tylko dalej szła powoli w głąb korytarza, jakby nie dosłyszała. Dziewczyna nagle rzuciła się za jej oddalającymi się plecami, chwyciła starszą panią za nadgarstek, mocniej, niż zamierzała, i zmusiła ją, żeby ta na nią zerknęła. – *Kto?* O kim pani mówi?

– O Maggie. – Pani Warren wypluła to imię niczym przekleństwo, z taką pasją, że drobne kropelki śliny wylądowały na twarzy Hal. – A jeśli

potrafisz o siebie zadbać, to lepiej nie zadawaj więcej pytań. Puść mnie teraz.

– Co... – Hal zabrakło tchu. Jej słowa uderzyły ją niczym dłoń w twarz i zaczęły się w niej rodzić pytania, krążące zbyt szybko, by dało się je uchwycić. Ale jedno niewypowiedziane tłuło jej się po czasie: Czy ona *wiedziała?*

Nim Hal zdążyła zrobić coś więcej, pani Warren wyrwała swój nadgarstek z jej dłoni, z taką siłą, jakiej Hal by się po niej nie spodziewała, i pospieszyła w dół schodów, milcząca i złowroga.

Dziewczyna powoli i drżąc wypuściła powietrze z ust, po czym wróciła do sypialni, a serce biło jej tak szybko, że zrobiło jej się słabo.

Maggie. Przewisko jej matki. Maggie. Jej matki, która *była tu* przed ponad dwudziestu laty. O co chodziło pani Warren, że o niej teraz wspomniała? Czy to była groźba? Czy znała prawdę? Ale jeśli tak, to dlaczego tylko stała z boku i się nie odzywała?

Nie było na to odpowiedzi – więc w końcu, chcąc coś zmienić, Hal podniosła karty do tarota i zaczęła je chować do pudełeczka. Głos pani Warren odbijał się echem w jej głowie. Chyba nie odważyłaby się ich naprawdę spalić? Wydawało się to absurdalne – a jednak miała taki jad w głosie, że zdaniem Hal mogłaby tak rzeczywiście zrobić.

Drzwi do sypialni nie miały zamka, walizka też była bez kłódki, więc Hal mogła tylko schować karty do pudełeczka, wepchnąć je głęboko do bagażu i mieć nadzieję, że będzie dobrze.

Dlaczego je w ogóle ze sobą zabrała? Przecież nie wierzyła w ich moc.

Zasunęła zamek walizki i odwróciła się, żeby wyjść z pokoju – ale wtedy tknęło ją jakieś złe przeczucie, zatrzymała się, otworzyła walizkę i wepchnęła pudełko do tylnej kieszeni swoich spodni razem ze zdjęciem. Niech pani Warren sobie szuka. Niech przyjdzie i przeszpera wszystkie kieszonki walizki. Dopiero kiedy Hal dotarła na szczyt wąskich, pozbawionych okna schodów na drugie piętro, coś jej przyszło do głowy – wczorajsze stukanie laski pani Warren na drewnianych schodach ukrytej klatki schodowej.

Ale kobieta, która dopiero co stała przed jej drzwiami, nie miała żadnej laski i nadeszła w absolutnej ciszy.

Na tę myśl Hal zadrżała bez żadnego uchwytneho powodu i znowu pożałowała, że drzwi do sypialni nie mają zamka. Póki tu nie przyszła, nie

czuła takiej potrzeby, ale na myśl o tej zgorzkniałej starszej kobiecie skradającej się cicho w nocy po domu, otwierającej drzwi do jej pokoju...

Przystanęła i rozejrzała się po wąskim, ciemnym korytarzu, wspominając, jak w ciemnościach stała tu pani Warren. Co robiła? Nasłuchiwała? *Obserwowała?*

Już miała zejść dalej na dół, kiedy coś przykuło jej wzrok, jakiś cień w ciemności. Zawróciła i znowu stanęła przed zamkniętymi drzwiami. Przesunęła palcami po drewnie i bardziej poczuła, niż zobaczyła, jak bardzo się myliła.

Na tych drzwiach był zamek. A nawet dwa. Dwie długie, grube zasuwki, górna i dolna.

Ale znajdowały się na zewnątrz.

Rozdział 20

Kiedy Hal w końcu zeszła do holu na dole, nigdzie nie było widać pani Warren, więc przystanęła tam na chwilę, próbując się pozbierać i przypomnieć sobie, które drewniane drzwi skrywały salon. Mijała go wcześniej, w drodze na śniadanie, ale wtedy te drzwi były otwarte. Teraz wszystkie pozamykano, a długi, monotony korytarz z pozbawioną szczególnych cech wykafelkowaną podłogą oraz wszystkimi identycznymi drewnianymi drzwiami okazał się zaskakująco dezorientujący.

Hal spróbowała pierwszych z brzegu, ale otworzyły się na ciemną, wyłożoną drewnem jadalnię, dużo większą od pokoju śniadaniowego, z którego korzystali tego ranka. Wysokie okna były pozasłaniane, szare i cienkie promienie słońca przecinały cienie, a przez całą długość pomieszczenia ciągnął się ogromny stół okryty perkalowymi pokrowcami. Nad jej głową wisiały dwa ogromne kształty opatulone szarością i na początku, w tych ciemnościach, Hal pomyślała, że to gigantyczne gniazda os. Odruchowo się odchyliła, a dopiero kiedy jej oczy się przyzwyczyły, zrozumiała, że to musiały być żyrandole ubrane w jakieś ochronne okrycia.

Swoimi krokami wzbijała tumany kurzu; powoli się wycofała, cicho zamknęła za sobą drzwi i poszła dalej korytarzem.

Przy kolejnych drzwiach podniosła rękę, żeby zapukać – ale nim dotknęła drewna knykciami, usłyszała jakiś głos dochodzący ze środka i na chwilę zamarła, niepewna, czy nie przerwie jakiejś prywatnej rozmowy.

– ...wyrachowana naciągaczka – powiedział męski głos któregoś z braci, jak pomyślała Hal. Ale nie była pewna którego.

– Och, naprawdę, jesteś niemożliwy – wyszczekał zniecierpliwiony głos należący do kobiety, Mitzi. – Ona jest sierotą, nic dziwnego, że twojej

matce było jej żal.

– Po pierwsze nie mamy na to żadnych dowodów, niczego o tej dziewczynie nie wiemy, nie mamy pojęcia, kim jest lub był jej ojciec ani czy nadal utrzymuje z nią kontakt. Równie dobrze to on mógł zmusić do tego mamę. A po drugie... – Hal zdała sobie sprawę, że to Harding, po tym, jak podniósł głos, by przekrzyczeć pełne irytacji protesty Mitzi. – Po drugie, Mitzi, gdybyś choć trochę знаła moją matkę, wiedziałabyś, jak to mało prawdopodobne, żeby przyświecała jej tak szlachetna motywacja jak litość wobec sieroty.

– Och, Harding, to nonsens. Twoja matka była samotną starą kobietą i być może, gdybyś był skłonny odpuścić pewne zaszłości, to dzieci i ja moglibyśmy ją poznać odrobinę lepiej, a cała ta sytuacja...

– Moja matka była zgorzkniałą, okrutną harpią! – wykrzyczał Harding. – A wszelka moja niechęć do tego, by narazić ciebie albo dzieci na jej jad, wynikała wyłącznie z troski o was, więc nawet nie *śmiej* sugerować, że cała ta sytuacja to moja wina, Mitzi.

– Tego akurat nie sugerowałam – odparła Mitzi, a do jej głosu wkradł się, obok irytacji, pojednawczy ton. – Rozumiem, że miałeś dobre chęci, kochanie. Ale po prostu uważam, że może to nie jest w tym momencie takie zaskakujące, że twoja matka zdecydowała się pominąć dwóch synów, którzy nie utrzymywali z nią żadnych kontaktów, oraz trzeciego, który odciął ją od swojej rodziny na ponad dwadzieścia lat. Nie potrafię winić twojej matki za to, że czuła się trochę zraniona. Ja też bym była! Kiedy my tu byliśmy ostatni raz? Richard nie mógł mieć wtedy więcej niż siedem lat.

– Tak, siedem, a ona mu powiedziała, że jest tchórzem i mazgajem, kiedy oparzył się w palec przy kominku, pamiętasz?

– Nie twierdzą, że nie miała wad...

– Mitzi, nie słuchasz mnie. Moja matka była zgorzkniałą, toksyczną kobietą i jej jedynym celem w życiu było rozsiewać tę truciznę tak daleko, jak tylko jej się udało. To bardzo w jej stylu: doprowadzać do podziału nawet zza grobu. Dziwi mnie tylko, że nie zostawiła całej posiadłości Ezrze, z nadzieją, że on, Abel i ja pograżymy się w zaciekłym sporze na temat tego wszystkiego i cały majątek utonie w opłatach sądowych.

– Och, Harding, to absurdalne...

– Powinienem być to przewidzieć – stwierdził Harding i Hal poczuła, że już nawet nie słucha swojej żony. – Wiesz, że ona do mnie napisała? Jakiś miesiąc temu. Oczywiście nie wspomniała słowem o chorobie, to byłoby

zbyt proste, zbyt bezpośrednio. Och, nie. Napisała list, jak zwykle pełen narzekania, ale inaczej się podpisała. To powinno było mnie uprzedzić.

– Inaczej, czyli jak?

– Zawsze podpisywała się: „twoja matka”. Zawsze. Nawet jak byłem w szkole z internatem i każdego wieczoru wyplakiwałem sobie oczy. Matki innych chłopaków podpisywały się z miłością i z buziakami, „twoja zawsze kochająca mamusia”, „tysiąc uścisków” i tym podobne głupoty. Ale nie ona. „Twoja matka”. I tyle. Żadnej miłości. Żadnych buziaków. Tylko zimne stwierdzenie faktu. Szczerze mówiąc, to idealna metafora jej życia.

– A ostatnio? Dodała coś?

– Tak. – Harding przerwał, zapadła złowieszczą cisza. Hal aż wstrzymała oddech, zastanawiając się, co teraz nastąpi. Na pewno nie buziaki, na które Harding czekał całe życie? Cisza się przeciągała, aż Hal pomyślała, że musiała przegapić to, co Harding miał do powiedzenia, albo że zmienił zdanie i zrezygnował, więc uniosła dłoń gotowa zapukać do drzwi i obwieścić swoją obecność, ale w końcu Harding się odezwał.

– Zakończyła ten list „*après moi, le déluge*”. I tyle. Bez imienia. Bez podpisu. Tylko te cztery słowa.

– „*Après*” co? – Mitzi brzmiała na zupełnie skonsternowaną. – Po... po deszczu? Co to, u licha, ma znaczyć?

Ale nim Hal zdołała dosłyszeć odpowiedź Hardinga, usłyszała głos za plecami.

– Podśluchujemy?

Obróciła się, serce zaczęło jej walić.

To była córka Hardinga – jak ona miała na imię? Kitty. Stała na korytarzu, owijając sobie długie blond włosy wokół palca i coś żując. Kiedy Hal się nie odezwała, wyciągnęła do niej paczkę.

– Haribo?

– Ja... – Hal przełknęła ślinę. Mówiła cicho, bo nie chciała, żeby Harding i Mitzi usłyszeli ją z pokoju. – Ja nie... To znaczy ja nie chciałam... Właśnie wchodziłam do pokoju, ale oni najwyraźniej...

– Hej, mnie to nie robi. – Dziewczyna podniosła wolną dłoń, a na nadgarstku zabrzączała jej bransoletka z charmsami. – To jedyny sposób, żebym się tu czegoś dowiedziała. – Wyjęła sobie żelka, przyjrzała mu się krytycznie, a potem wrzuciła go do ust. – Słuchaj, chciałam już o to wczoraj spytać, czym ty *jestes*?

- Ja... czym... słucham? - Hal znowu przełknęła ślinę. Zaszło jej w ustach i zacisnęła zimne palce schowane w kieszeniach, wbijając sobie paznokcie w nadgarstek i w ten sposób próbując się zakotwiczyć. Miała nieprzyjemną świadomość, że bransoletka Pandory, którą Kitty nosiła na lewym nadgarstku, prawdopodobnie kosztowała więcej niż jej cały strój, a może nawet więcej niż jej cała garderoba. - Czym jestem? Nie jestem pewna, o co ci...

- To znaczy ja wiem, że jesteś jakąś tam krewną, ale tata nie wytłumaczył tego do końca. Jesteś tą zaginioną ciotką? Nie, czekaj, jesteś na to za młoda, co?

- Ach! No tak. Nie... - Zamrugła, próbując sobie przypomnieć, co właściwie miała tu robić. Przypomniało jej się zdjęcie jej matki wyciągniętej na trawniku przed salonem i na chwilę zacisnęła oczy, próbując się pozbyć tego obrazu i pocierając czoło, jak gdyby chciała zatrzeć jej twarz.

Nie mogła myśleć o swojej matce. Musiała pamiętać, kim powinna być - kimś innym, niż była. Maud była siostrą Hardinga, co oznaczało, że...

- Jestem chyba... twoją kuzynką?

- Ach, czyli twoja mama to była ta, co uciekła?

- N-no, chyba tak. Ona... ona nie opowiadała o tym za dużo.

- Ale super - stwierdziła z zazdrością dziewczyna. Wepchnęła sobie do ust kolejnego żelka i zaczęła mówić z nim w ustach. - Nie ukrywam, były takie momenty, kiedy poważnie to rozważałam, ale chyba trzeba mieć przynajmniej osiemnaście lat, żeby się udało, bo inaczej jest się raczej skazanym na ulicę, a nie ma szans, żeby odwalą robotę dla jakiegoś pedofilskiego alfonsa.

- Yyy... - Hal poczuła się zupełnie zagubiona. Ta dziewczyna była tak pewna siebie, jak Hal nigdy się nie czuła. - Ja... To *ile* ty masz lat?

- Czternaście. Rich ma prawie szesnaście. Freddie dwanaście. Jest kompletnym idiotą, więc nie przejmowałabym się nim. Rich jest w porządku, o ile zdoła się go zmusić, żeby zdjął z uszu słuchawki. No, a poza tym chodzę do szkoły dla dziewcząt, muszę się z nim dogadywać, no nie? To jest moje dojście do przystojnych starszych chłopaków.

- Nigdy nie myślałam o tym w ten sposób - odparła słabo Hal.

- Masz chłopaka? - spytała Kitty. Hal pokręciła głową.

- Dziewczynę?

- Nie... N-nie byłam ostatnio w takim miejscu, żeby chodzić na randki.

– Jasne – stwierdziła wyrozumiale Kitty. Pokiwała głową i włożyła sobie do ust kolejnego żelka. – Powinnaś spróbować aplikacji randkowej. One cię łączą na podstawie lokalizacji.

– Nie to miałam na... – zaczęła Hal, ale wtedy otworzyły się drzwi do salonu, obie odwróciły głowy i zobaczyły stojącą w progu Mitzi.

– O, dziewczynki. Tak mi się wydawało, że słyszę jakieś głosy. Kitty, jeśli chcesz pojechać do Penzance, to musisz włożyć buty, i powiedz Richardowi, żeby się pospieszył. Harriet, jeśli masz chwilę, to twój wuj chciałby z tobą porozmawiać.

Hal pokiwała głową i spojrzała za Mitzi. Harding stał w salonie plecami do drzwi, wyglądając przez okno na zachmurzone niebo i skąpany w deszczu trawnik. Morze w oddali było niewidoczne z powodu mgły.

Mitzi się odsunęła, wpuściła Hal do środka, a potem zamknęła za sobą drzwi i dziewczyna usłyszała, jak stanowczo truchta korytarzem, strofując po drodze Kitty.

Hal stanęła, czekając nerwowo, aż Harding się odwróci, ale nie zrobił tego. Zamiast tego przemówił, nadal patrząc w okno przed sobą.

– Harriet, dziękuję, że zgodziłaś się ze mną spotkać.

Przez chwilę Hal nie potrafiła wymyślić żadnej odpowiedzi. Zaskoczyła ją niedorzeczność tego zdania – jak gdyby byli oboje biznesmenami omawiającymi plan fuzji, a nie... nie kim właściwie?

– Ja... nie ma za co – wykrztusiła w końcu i z wahaniem zrobiła krok naprzód.

Ale Harding mówił mimo niej, jak gdyby zdeterminowany, by przebrnąć przez swoją kwestię i nie pozwolić sobie na zboczenie z kursu.

– Jak już się być może dowiedziałaś wczorajszego wieczoru od pana Treswicka, czeka nas jeszcze sporo papierkowej roboty, nim będziemy mogli rozpocząć proces uwierzytelniania testamentu.

– Ja... no tak – wydusiła Hal. Poczuła, że żołądek jej się ścisną na myśl o papierkowej robocie. Co mogłaby zrobić? Czy zdołałaby opóźnić to spotkanie? Albo może lepiej pójść i dowiedzieć się, czego od niej potrzebują, a potem stwierdzić, że tego zapomniała? – Chociaż nie wiedziałam, to znaczy nie zabrałam...

– Jest sporo kwestii, które musimy omówić – odparł Harding i machnął dłonią w stronę połaci zieleni. – To wszystko... – Skinął głową na trawniki ciągnące się przed oknami. – Wszystko to niesie za sobą wielką odpowiedzialność i pozostaje wiele decyzji, które będziesz musiała

podjąć, Harriet, i to dość szybko. Ale to później, tymczasem mamy spotkanie z Treswickiem w Penzance za... – Zerknął na zegarek. – Za niecałe czterdzieści minut, więc czasu jest na styk, żeby tam dojechać. Nie masz tu samochodu?

Czterdzieści minut? Hal z przerażenia opadła szczeka. To wszystko działo się za szybko. Potrzebowała czasu na przygotowanie – musiała obmyślić, o co może ją spytać Treswick. Co, jeśli będą chcieli, by wypełniła jakieś formularze, a ona się potknie na jakichś mało istotnych szczegółach? Potem zdała sobie sprawę, że Harding czeka na odpowiedź na swoje pytanie, więc przełknęła ślinę.

– Ja... nie – odparła słabo.

– Nie szkodzi. Jakoś się pomieścimy. W bagażniku jest składany fotel.

– Ale, wuj... – utknęła na tym słowie, nie była w stanie się zmusić do wymówienia go, więc zaczęła od nowa. – Chwileczkę, jest jeszcze coś, co muszę...

– Później, Harriet – rzucił energicznie Harding. Minęła jego chwila na refleksję, odwrócił się, klepnął Hal w ramię, aż się zatoczyła, po czym otworzył drzwi na korytarz. – Będziemy mieli mnóstwo czasu na rozmowy w podróży, ale teraz musimy się zbierać, żeby się nie spóźnić do Treswicka. Spotkanie jest umówione w samo południe, więc już i tak mamy niewiele czasu.

Hal straciła nadzieję, wyszła za Hardingiem na korytarz, a stamtąd przed dom, gdzie czekał już samochód z trójką dzieci zapiętych pasami na tylnej kanapie.

– Poczekaj chwileczkę, Harriet, tylko zamontuję ten fotel – powiedział Harding, ale mina mu zrzedła, kiedy otworzył klapę dużego bagażnika kombi. – Mitzi, gdzie są te składane fotele?

– Co? – Mitzi zerknęła przez ramię. Silnik już pracował, a ona była wyraźnie zniecierpliwiona. – O czym ty mówisz, Harding?

– O fotelach w bagażniku. Gdzie one są? Harriet jedzie z nami.

– Ale nie może, przecież nie mamy miejsca. Pamiętasz, wyjęliśmy te siedzenia, żeby zrobić miejsce na walizki.

– Do jasnej cholery. Czy nikt w tej rodzinie nie planuje więcej niż dwa kroki naprzód? – rzucił gniewnie Harding. – No to rozwiązanie jest proste, Freddie będzie musiał zostać.

– Po pierwsze, kochanie – Mitzi mówiła głosem tak ostrym, że przecięłby szkło. – To był *twój* pomysł, żeby wyjąć te siedzenia, jeśli

pamiętasz. A po drugie, Freddie nie może zostać, jest spadkobiercą. Pan Treswick musi zobaczyć jego dokumenty.

– Och, na Boga! – wybuchnął Harding. Hal poczuła, że zapala się w niej maleńki płomyk nadziei. Czy to możliwe, że ostatecznie nie będzie mogła pojechać?

Już miała proponować, że zostanie w domu, kiedy za nią ktoś się odezwał:

– Dzień dobry wszystkim.

Hal i Harding obrócili się jednocześnie, a dziewczyna usłyszała, jak Harding wzdycha, wydając przy tym zwarto-wybuchowy dźwięk, niczym wieloryb nabierający powietrza.

– Ezra – rzucił bez wyrazu.

Ezra stał z rękoma w kieszeniach, szczyrzył się szeroko.

– Dzień dobry, mój drogi bracie. I witaj ponownie, Harriet. Dobrze widzieć, jak Harding bez wahania sadza cię w strefie zgniotu. Sprawdziłeś, co się stanie z posiadłością, jeśli Harriet nie przeżyje tej wycieczki, Harding?

– Ezra! – warknął Harding. – Ten żart jest *kompletnie* nie na miejscu. I nie, Harriet nie pojedzie w bagażniku, bo ktoś... – zignorował Mitzi przewracając oczyma i wzdychającą z irytacją na przednim siedzeniu – zapomniał spakować dodatkowych foteli. Właśnie rozmawialiśmy, co zrobić.

– O, ja mogę pomóc – oznajmił Ezra. – Sam muszę pojechać do Penzance. Chcę przetransferować pieniądze, póki tu jestem. Podrzuce Hal.

– Och. – Harding wyglądał na niemal rozczarowanego, że ktoś przekłuł balonik jego wściekłości, choć Hal nie umiała tego do końca określić. Może to była tylko złość, że będzie coś zawdzięczał bratu. – Cóż. To jest... dobre rozwiązanie. Świetnie.

Zatrzasnął bagażnik i wygładził swoją elegancką kurtkę na brzuchu.

– Tak. Dobrze. Wiesz, dokąd zmierzamy, Ezra?

– Jak najbardziej. – Jego brat obrócił na palcu kluczyki do swojego samochodu. – Może i jakiś czas nie było mnie w kraju, ale Penzance nie jest znów takie wielkie, żebym się tam zgubił. Do zobaczenia, Harding.

– Bardzo dobrze. Masz mój numer komórki?

– Nie mam – odparł beztrosko Ezra. – Ale skoro przeżyłem bez niego tak długo, na pewno sobie poradzę.

Harding teatralnie westchnął i wyjął portfel z wewnętrznej kieszeni kurtki. W środku miał mały stosik wizytówek. Wyjął jedną z wierzchu i wręczył ją Hal.

– Powierzę ją *tobie*, Harriet, bo nie ufam zbyt wiele organizacyjnym umiejętnościom Ezry. Nie zgub jej. I nie spóźnij się. – Otworzył drzwi po stronie pasażera i wszedł do swojego auta. – Spotkanie jest o dwu...

Ale jego ostatnie słowa zatęły w chrzęście kół na żwirze, bo Mitzi ruszyła. Hal dosłyszała ciche: „Cześć, Hal” z jej okna, a potem auto zniknęło za bramą i pojechało drogą, a chmara srok z oburzeniem poderwała się z drzew, kiedy pod nimi przejechali.

Rozdział 21

– No więc... – zaczął Ezra, przeciągając sylaby, kiedy prowadził ją przez lukową bramę i z boku budynku stajni na podwórko porośnięte chwastami i trawą. – Jesteś moją... siostrzenicą, tak to się chyba nazywa?

– Tak – odpowiedziała Hal. Odpowiedź prawie przepadła w chrzęście żwiru pod ich stopami i w szumie drzew, a kiedy Ezra się nie odwrócił, powtórzyła ją znowu, trochę głośniej, próbując być teraz bardziej przekonująca. – Tak.

– No, no – odparł Ezra. Pokręcił głową, ale nie rozwinął myśli, zamiast tego wskazał kluczykami samochodowymi niskie, ciemne sportowe auto zaparkowane pod drzewami po drugiej stronie podwórka. Rozległo się ciche „pik-pik” i mignęły światła, dając znać, że jest otwarte. Kiedy podeszli bliżej, Ezra zaśmiał się krótko i wymuszenie, po czym zerknął na drzewa nad nimi.

– Małe dranie – powiedział. – Mama powinna była je wytruć.

Przez chwilę Hal nie rozumiała, o czym mówi. Podążyła za jego wzrokiem w górę na gałęzie i znowu zobaczyła sroki skulone przed wiatrem od morza, ich jasne oczy niczym koraliki śledziły jej ruchy. Dopiero wtedy spojrzała na samochód i zrozumiała, o co chodziło Ezrze. Z tyłu auto wyglądało w porządku, ale gdy Hal do niego podeszła, zauważyła, że przednia szyba oraz drogi matowy lakier na masce, czyli części zaparkowane pod osłoną drzew, są gęsto usiane warstwą czarnych odchodów, częściowo przypominających ptasie, a częściowo królicze bobki.

– Co *to* jest? – spytała, po czym spojrzała na ptaki nad głową i się skrzywiła. – Przepraszam, głupie pytanie.

– Dobrze zgadłaś – odparł odrobinę ponuro Ezra. – Powinienem był pamiętać, żeby tu nie parkować. Najwyraźniej Harding pamiętał. No cóż.

To teraz mała przerwa, pójdę po wiadro. Przepraszam, spóźnimy się na spotkanie, ale nie mogę tak pojechać, bo nie będę nic widział, a poza tym to robi ślady na lakierze, jeśli przyschnie. Poczekaaj, a ja wrócę jak najszybciej.

- Nie ma problemu - odparła Hal. Przyglądała się, jak Ezra zawrócił i poszedł przez podwórko, pozostawiając ją samą z samochodem i skrzeczeniem ptaków.

Parę minut później wrócił z wiadrem ciepłej wody.

- Odsuń się - rzucił krótko, a Hal zeszła mu szybko z drogi, akurat w porę, bo Ezra splukał auto, sprawiając, że ptaki nad nimi zaskrzeczały i zaczęły trajkotać, wznosząc się w powietrze, a potem znowu się rozsiadły.

- Więcej nie da się zrobić bez porządnej myjni - oznajmił w końcu. - Proponuję, żebyś wsiadła, i uciekniemy stąd, póki jeszcze się da.

Kiedy wyjechali przez bramę z kutego żelaza na otwartą drogę, Hal poczuła się tak, jakby z ramion spadł jej jakiś ogromny ciężar, ale nie zdawała sobie sprawy, że głośno westchnęła z ulgą, dopóki Ezra nie odwrócił się, żeby na nią zerknąć. Kącik jego ust uniósł się w wyrazie gorzkiego uznania.

- Cieszę się, że nie jestem jedyny.

- Och. - Hal poczuła, że się rumieni. - Nie chodziło mi o...

- Proszę cię. Nie bawię się w hipokryzję. To jest straszne miejsce. A dlaczego, twoim zdaniem, wszyscy wyrwaliśmy się stąd najszybciej, jak się dało?

- Przepraszam. - Hal nie wiedziała, co powiedzieć. - To... to dziwne, bo to na swój sposób taki piękny budynek.

- To tylko budynek - rzucił krótko Ezra. - Nigdy nie był moim domem... nawet kiedy tu mieszkałem.

Hal nic nie odpowiedziała. W głowie rozbrzmiewały jej słowa Hardinga do Mitzi: „Moja matka była zgorzkniałą, toksyczną kobietą i jej jedynym celem w życiu było rozsiewać tę truciznę tak daleko, jak tylko jej się udało...”. Ezra wyrósł na tym jądzie. Jak oni wszyscy.

Czy Harding miał rację? Czy decyzja, by zostawić dom Hal, była ostatnim aktem zemsty jego matki?

- Nie jestem zainteresowany tym majątkiem - oznajmił Ezra. Zerknął przez ramię, kiedy podjechali do ślepego zakrętu. - Przyjechałem tylko

zobaczyć, jak zakopują moją matkę. Mówię ci to, Harriet, żebyś wiedziała, że z mojej strony nie ma żadnych pretensji co do jej testamentu. Jasne? Moim jedynym życzeniem jest teraz opuścić ten dom raz na zawsze. Możesz z nim zrobić, co ci się żywnie podoba, jeśli o mnie chodzi. Sprzedać go. Zburzyć. Naprawdę mnie to nie obchodzi.

- Rozumiem - odpowiedziała cicho Harriet.

W aucie zapadła cisza. Próbowwała znaleźć coś do powiedzenia, coś uprzedzającego pytania, które padną, jeśli pozwoli jej przeciągnąć się zbyt długo. „Kontroluj rozmowę” - usłyszała w uchu głos swojej matki. „Dopilnuj, żebyś to ty nadawała jej tor, nie klient”. Nagle poczuła obezwładniające pragnienie, by dowiedzieć się czegoś o przeszłości swojej matki oraz jej związku z tym miejscem. Jak to było przyjechać tu jako osierocona kuzynka? Czy czuła się tu tak samo uciśniona, jak opisał Ezra, jak Hal się sama czuła? Jak długo tu została? Tydzień? Miesiąc? Rok?

Gdyby tylko mogła spytać o to Ezrę. Musiał ją znać. Zdjęcie, ciepło w tylnej kieszeni dżinsów Hal, było dowodem - dowodem na to, że się poznali, rozmawiali.

- Twój... twój samochód - odezwała się w końcu, zdobywając się na uwagę. - Dopiero zauważyłam, że przecież kierownica jest po lewej stronie. Mieszkasz za granicą?

- Tak - odparł. Przez chwilę wydawało się, że nie ma ochoty powiedzieć nic więcej, ale potem dodał: - Mieszkam na południu Francji, koło Nicei. Mam tam małą galerię fotografii.

- Jak wspaniale - powiedziała Hal i zazdrość w jej głosie nie była udawana. - Byłam raz w Nicei na wycieczce szkolnej. Było przepięknie.

- Tak, to ładne miejsce - odrzekł krótko Ezra.

- Długo tam mieszkasz?

- Jakieś dwadzieścia lat. - Hal policzyła to w głowie, kiedy wcisnęła gaz, żeby wyminąć zaparkowane auto. Nie mógł mieć więcej niż czterdzieści, czyli musiał opuścić Anglię niemal tuż po ukończeniu szkoły. Widocznie Londyn nie był dla niego dość daleko.

- A ty mieszkasz w Brighton, prawda? - spytał, zerkając na nią. Hal skinęła głową.

- Tak, tam też jest ładnie. Plaża może nie jest tak spektakularna jak w Nicei, ale... Nie wiem. Nie wyobrażam sobie, żebym mogła mieszkać z dala od morza.

- Ja też.

Przez chwilę jechali dalej w ciszy. Dopiero kiedy dotarli do przedmieść Penzance, coś przyszło Hal do głowy i odezwała się.

– Wuj... – To słowo wydawało jej się dziwne i sztuczne, ale zmusiła się do niego. – Wujku Ezro, czy ty... czy znasz francuski?

Przeniósł na nią wzrok z drogi. Miał trochę zagadkową minę, przepełnioną jakimś sceptycyzmem, którego Hal nie potrafiła do końca nazwać.

– Tak. Dlaczego pytasz?

– Zastanawiałam się... Usłyszałam takie wyrażenie: „*après moi, le déluge*”. Co to znaczy? To ma coś wspólnego z potopem, prawda?

– Dosłownie, tak. – Zerknął na nią, a potem wrzucił kierunkowskaz przed ciężarówką. Kiedy już skręcili, odezwał się znowu: – Ale we Francji to jest słynne powiedzenie. Zwykle przypisuje się je Ludwikowi XV, który był ostatnim królem, nim nastąpiła rewolucja, która zgładziła jego syna. Dosłownie znaczy to, jak powiedziałaś, „po mnie choćby potop”. Ale tak naprawdę chodzi o coś bardziej skomplikowanego i niejednoznacznego... To znaczy, że po moim odejściu wszystko pochłonie chaos, bo byłem jedyną osobą podtrzymującą zapórę, albo może nawet coś jeszcze mroczniejszego.

– Jeszcze mroczniejszego? – Hal się zaśmiała. – To już i tak jest dość mroczne.

– Ale zależy, jak to zinterpretujesz. Czy to znaczy, że umieram, zrobiłem wszystko, by temu zapobiec, ale teraz sprawy potoczą się swoim torem, czy że...? – Przerwał, czekając na możliwość przejazdu, a Hal zdała sobie sprawę, że rozumie, o co mu chodzi.

– Chyba jest w tym jakieś poczucie... że nie wiadomo, co się stanie, ale się tego pragnie – odpowiedziała. – Przyznanie się do swojego udziału w przyspieszeniu biegu rzeczy. To masz na myśli?

– Właśnie tak.

Hal nie do końca wiedziała, jak na to odpowiedzieć. Powróciła do niej myśl o starej kobiecie, która wie, że zbliża się jej koniec, więc zaciera ręce i spisuje testament, który sprawi, że jej najbliżsi rzucają się sobie do gardeł. Czy to naprawdę było tak wyrachowanie podłe?

Harding i Ezra nie darzyli się ciepłymi uczuciami, nie trzeba było jasnowidza, żeby to zauważyć. Ale jaka była jej rola w tym wszystkim?

Ostatni kilometr czy dwa przejechali w ciszy, Hal siedziała zatopiona w myślach, dopóki Ezra nie wjechał na parking. Ze zgrzytem zaciągnął

ręczny hamulec i zgasił silnik.

– No to dojechaliśmy. Jest tylko jeden problem.

– Jaki?

– Jest dwadzieścia po dwunastej. Chyba nie zdążyliśmy na to spotkanie.

– Och. – Hal zerknęła na zegar na desce rozdzielczej i nagle zrobiło jej się niedobrze od emocji, które ją zalały. Z jednej strony mdląca ulga, że nie musi się dzisiaj spotykać z Treswickiem, a z drugiej przerażenie na myśl o reakcji Hardinga oraz świadomość, że tylko je opóźniła. – Kurwa – wymknęło jej się, nim zdążyła pomyśleć, i przygryzła wargę. Takie słowo nie pasowało do obrazu, który próbowała zbudować przed Westawayami: potulnej, bezpretensjonalnej małej Harriet, słodkiego niewiniątka. Przekleństwa z tym nie grały i wściekła się na siebie, jak gdyby przeklęła przy kliencie. Rumieniec na jej policzkach był prawdziwy, chociaż wziął się raczej ze złości na własną nieostrożność niż ze wstydu. – Przepraszam, to było...

– Och, na Boga, jesteś dorosła. Nie jestem twoim opiekunem. A skoro już przy tym jesteśmy, czy możemy sobie dać spokój z całym tym wujkiem Ezrą? Nie jestem twoim wujem.

Hal mimowolnie się wzdrygnęła i być może Ezra to zauważył, bo zaczął jej wyjaśniać:

– Nie chciałem, żeby to zabrzmiało tak nieprzyjemnie. Ale my się nigdy nie poznaliśmy. Wujostwo oznacza związek, którego między nami nie ma, a jak już wspominałem, to Harding ma monopol na hipokryzję w tej rodzinie. Ja się w to nie bawię.

– Dobrze... – odparła powoli Hal. – To... jak powinnam się do ciebie zwracać?

– Wystarczy Ezra. – Otworzył drzwi auta.

– Chwileczkę – wstrzymała go gwałtownie Hal. Wyciągnęła dłoń w stronę dźwigni biegów, prawie dotykając jego ręki. – Skoro... skoro już mówimy sobie po imieniu...

– Tak?

– Wszyscy nazywają mnie tu Harriet, ale tak nie nazywa... – Urwała. Chciała powiedzieć, że tak nie nazywała jej matka, ale z jakiegoś powodu utkwilo jej to w gardle. – Tak nie nazywają mnie moi znajomi – dokończyła.

Ezra uniósł pytająco jedną brew.

– A jak? – dopytał.

- Hal. - Serce jej waliło, jak gdyby oddała jakąś wielką część siebie. Nie było w tym żadnej logiki, w końcu ci ludzie znali jej prawdziwe imię, wiedzieli, kim była, a nawet gdzie mieszkała, dzięki Treswickowi. W porównaniu z tym, co zrobiła już do tej pory, nie było nic identyfikującego ani ryzykownego w zdradzeniu przezwiska, a jednak wydawało się to aktem wiary bardziej niż cokolwiek innego. - Mówią na mnie Hal.

- Hal - powtórzył Ezra. Zrobił to powoli, jakby przeżuwał słowo, smakował je. - Hal. - A potem jego opaloną twarz rozpromienił szeroki uśmiech, tym razem szczery, urzekający, zupełnie inny od jego typowej, raczej zgryźliwej miny. - Podoba mi się. No to co, idziemy się zgłosić po burę?

- Tak - zgodziła się Hal. Nabrała powietrze i otworzyła drzwi auta. Czuła w tylnej kieszeni twarde pudełko z kartami tarota i pomyślała o tamtym pазiu, o zmaconych burzowych chmurach za nim oraz o spienionych falach u jego stóp, o zalewającej go wodzie. „*Après moi, le déluge*”... - Tak. Chodźmy.

Rozdział 22

- Wspaniale - rzucił sarkastycznie Harding. - Zdajesz sobie sprawę, do czego właśnie doprowadziłaś, Harriet?

- Ja? - Hal poczuła przyływ rozdrażnienia w związku z niesprawiedliwością tej uwagi, ale przełknęła ją, przypomniawszy sobie o swojej roli uległej, potulnej siostrzenicy. Przybierała właśnie minę pełną skruchy, kiedy wtrącił się Ezra; miał znudzony ton.

- Harding, jeśli ktokolwiek tu zawinił, to ja. Albo raczej te pieprzone sroki.

- Do diabła ze srokami. Dzisiaj jest piątek, jakbyś nie zauważył. Kancelarie notarialne są pozamykane jutro i w niedzielę. Twoja opieszałość właśnie zmusiła nas wszystkich do zostania tu do poniedziałku, żeby kontynuować rozmowy.

- Niech zgadnę - odparł Ezra, a w jego głosie było coś ostrego, co Hal pamiętała ze śniadania. - Obetniesz mi kieszonkowe i zabierzesz mi dostęp do xboxa?

- Do poniedziałku? Nie ma mowy! - przerwała Mitzi. - Dlaczego nie możemy wrócić dziś po południu?

Stali przed kancelarią Treswicka, w wąskiej bocznej uliczce wychodzącej na lekko wzburzone wody portu.

- Niestety Treswick ma dziś po południu niemożliwe do przełożenia spotkanie w Truro, dlatego właśnie mieliśmy się spotkać przed lunchem. Będzie dyspozycyjny najwcześniej w poniedziałek rano. I chociaż dowody tożsamości można na pewno przekazać pocztą, to są tu także dokumenty do podpisu oraz wiele rzeczy do omówienia, co można załatwić wyłącznie na żywo. Nie mówiąc już o kłopotliwej sprawie pani Warren.

- Ale dzieci muszą wrócić w poniedziałek do szkoły! - zaprotestowała Mitzi. Harding ciężko westchnął.

- No cóż, bardzo żałuję, ale w takim razie chyba jedyne sensowne rozwiązanie jest takie, że ty z dziećmi wrócisz, a Ezra, Abel, Harriet i ja zostaniemy, dopóki wszystkiego nie załatwimy.

- Mów za siebie - wtrącił Ezra. Znowu wydawał się znudzony, jego rozdrażnienie było pod kontrolą, chociaż Hal odniosła wrażenie, że złość mu nie minęła, nadal trzymał ją tuż pod skórą. - Nie zamierzam tu tkwić i nie wydaje mi się, żeby Abel chciał. Nie zostaliśmy wymienieni w testamencie. Więc po co?

- Niestety - stwierdził dość gniewnie Harding. - Wygląda na to, że zostałeś wymieniony. Podobnie jak ja. Podobnie jak Abel. Nie jako spadkobiercy, ale właśnie odbyłem krótką rozmowę z sekretarką Treswicka i dowiedziałem się o maleńkim drobiazgu, o którym nam nie wspomniał. Z jakiegoś powodu mama uznała za stosowne uczynić nas trzech wspólnymi wykonawcami testamentu, wraz z samym Treswickiem.

- Co takiego? - Ezra spojrział na niego z niedowierzaniem.

- To, co usłyszałeś.

- Chyba żartujesz! Zupełnie jakby *chciała* ściągnąć nas tutaj, żebyśmy rzucili się sobie nawzajem do gardeł.

- Nie wątpię, że tak było. Szczerze mówiąc, zaryzykowałbym nawet stwierdzenie, że cała ta sytuacja została zaprojektowana właśnie z nastawieniem na taki efekt.

- Nie zrobię tego. - Ezra miał napiętą twarz, a ściągnięte brwi nadawały mu posępny wygląd. - Zrzeknę się tego, czy jak to się, do cholery, nazywa. Nie można zostać zmuszonym do bycia wykonawcą testamentu.

- W dalszej perspektywie pewno masz rację - zauważył poirytowany Harding. - Ale uprzejmie byłoby poinformować o tym Treswicka, a jestem pewien, że odrzucenie tej roli będzie się wiązało z jakimiś formalnościami. Wątpię, że możesz po prostu wsiąść z powrotem do swojego saaba i popędzić do Nicei, nie wspominając o tym nikomu słowem.

- Jebana suka - rzucił zjadliwie Ezra, a w ciszy, która po tym zapadła, Hal wyraźnie usłyszała chichot Freddiego. - I ty też mógłbyś się zamknąć - warknął Ezra.

- Ezra! - krzyknęła Mitzi. Freddiemu opadła szczęka, a na jego twarzy wymalowało się zdumienie. Hal dojrzała, że za nim Kitty dusi swój śmiech dłonią.

Przez chwilę było cicho, potem Mitzi zarzuciła swoją torebkę na ramię i wyprostowała się, co i tak dodało jej niewiele wzrostu.

– No. To by było *na tyle*. Richard, Katherine, Frederick, idziemy, proszę.

– Ale... – zaczął Richard.

– Powiedziałam: idziemy – odwarknęła Mitzi. – Pójdziemy poszukać jakiegoś miejsca na lunch. Harding, wyślę ci SMS, kiedy znajdziemy jakąś kawiarnię.

Harding odchrząknął, co mogło oznaczać równie dobrze zgodę, co rozdrażnienie, a Mitzi odeszła wąską uliczką, z dziećmi za sobą.

Hal powstrzymała chęć, by za nimi pobiec – albo, jeszcze lepiej, biec dalej, minąć ich małą grupkę, wybiec na główną ulicę, na dworzec w Penzance, wsiąść do pociągu, wrócić do dawnego życia i nigdy się tu więcej nie pojawić. Przyglądała się, jak grupka skręciła za róg na końcu ulicy, po czym zniknęła.

– Kurwa – powiedział Ezra. Przejechał dłonią po nieogolonej twarzy, a potem przeczesał nią włosy, mierzwiąc je tak, że stanęły dęba, a loczki sterczały we wszystkie strony. – *Kurwa*. Harding, przepraszam. To było nie na miejscu. Ten dzieciak... to był po prostu zły...

Harding wzruszył ramionami.

– Mnie nie musisz przeproszać, ale przyznam, że nie zaszkodzi, jeśli ukorzysz się przed Mitzi. Freddie raczej słyszał gorsze rzeczy w szkole, więc z pewnością to przeżyje.

– Strasznie *przepraszam* – powtórzył Ezra. – *Cholera*.

– Słuchaj – przerwał mu Harding z nutą zniecierpliwienia w głosie. – Nie martwię się teraz Freddie. Poniosło cię. To nie koniec świata. Bardziej przejmuję się tym, co zrobimy z tą cholerną sprawą u Treswicka. Chciałbym to już mieć za sobą, podobnie jak ty, Ezro. Ale uciekanie przysporzy nam tylko więcej problemów. Oczywiście, jeśli upierasz się przy wyjeździe, to nie mogę cię powstrzymać. Ale chciałbym zauważyć, że w szerszej perspektywie dużo szybciej będzie to załatwić tu i teraz, zamiast przerzucać pisma i dokumenty w tę i we w tę przez kanał. Harriet – zwrócił się do niej. – Bardzo przepraszam za ten kłopot, ale zakładam, że będziesz mogła się postarać o jeden dzień wolnego w pracy, ze względu na okoliczności?

– Ja... nie jestem pewna – odparła, czując na sobie ich spojrzenia. Znowu powrócił do niej obraz przedstawiający ją jako szczura zapędzonego w kozi róg i gorączkowo szukającego drogi ucieczki.

– Gdyby twój pracodawca chciał o tym z kimś porozmawiać...

– Nie, nie trzeba – rzuciła pospiesznie. – I tak jestem samozatrudniona. Muszę tylko pomyśleć.

Pewnie powinna zadzwonić do pana White'a, poprosić kogoś o wywieszenie kartki na kiosku, żeby wyjaśnić tę sytuację klientom, którzy mogliby wpaść. Ale on raczej nie będzie robił afery z powodu pogrzebu w rodzinie. A w środku tygodnia na początku grudnia nikt nie będzie za nią tęsknił, może najwyżej Reg.

– Samozatrudniona? – Harding uniósł brwi, zapinając płaszcz. – Właśnie zdałem sobie sprawę, że dotąd cię o to nie spytałem, Harriet, czym się *zajmujesz*?

– Ja... Pracuję na molu – odparła niezręcznie Hal.

Nie lubiła tego pytania. Temat jej zawodu wypląwał czasami przy zawieraniu nowych znajomości i niezmiennie sprawiał, że lądowała w centrum uwagi, co wcale jej się nie podobało. Reakcje różniły się w zależności od sytuacji społecznej. W zwykłej rozmowie mogło to być wszystko, począwszy od uprzejmego zainteresowania, kończąc na skrytym podziwieniu. Na imprezach i w pubach częściej spotykała się ze sceptycznym rechotem lub głośnym domaganiem się wróżenia. Szybko nauczyła się nie używać słowa „jasnowidz”, bo prowadziło do agresywnych żądań przepowiedzenia czegoś tu i teraz. „Powiedz mi, o czym myślę” – powiedział kiedyś jeden facet w pubie, prawie dotykając jej twarzy swoją. „No dalej. Powiedz mi, o czym myślę, skoro taka z ciebie czarodziejka”.

Zerknął wtedy na jej małe piersi, a Hal pomyślała „Wiem, o czym myślisz”. Ale nie powiedziała tego.

Teraz, proszona o szczegóły, mówiła po prostu, że stawia czytania tarota, a kiedy proszono ją o jakieś, potrafiła się zaśmiać i powiedzieć, że nie ma przy sobie kart.

Przez chwilę wydawało jej się, że Harding może zadawać pytania, ale na szczęście w tej sekundzie zawibrował jego telefon, a kiedy go wyjął, twarz mu się rozjaśniła.

– Ach, to Mit. Znalazła kawiarnię. No, Harriet, idziemy?

W drodze powrotnej do Trepassen Hal myślała. Ezra nie dołączył do nich na lunch, wymawiając się spotkaniem w swoim banku, a Hal czekała na niego dobrą godzinę we wcześniej umówionym miejscu na parking, długo po tym, jak Mitzi i Harding już odjechali. Kiedy Ezra w końcu się

pojawił, było od niego czuć whiskey. Jednak wyglądało na to, że alkohol nie wpływa na jego zdolność do prowadzenia auta, chociaż Hal nie zdołała powstrzymać grymasu, kiedy wycofał tuż przed szybko jadącym land roverem.

Byli już prawie w Trepassen, kiedy się odezwał.

– Wszystko w porządku? Jesteś taka milcząca.

– Przepraszam. – Hal zmusiła się, żeby się wyprostować i dość nerwowo uśmiechnąć. „Pamiętaj, jesteś myszą, nie szczurem. Małą myszką Harriet”.

– Tak sobie po prostu... myślałam.

– O...?

– To... – Przerwała, próbując wymyślić coś, co byłoby prawdziwe, ale nie byłoby prawdą, jednak słowa przyszły do niej same. – Po prostu... O Hardingu i jego rodzinie. Myślę, że nie zdają sobie sprawy, jakie mają szczęście... w pewnych kwestiach.

Ezra nic nie odpowiedział, ale znowu na nią zerknął, po czym zmienił bieg na niższy przed ostrym zakrętem.

– Mają szczęście – przyznał w końcu. – I rzeczywiście, nie wiedzą o tym. Może właśnie dlatego przyczepiłem się do biednego Freddiego. – Potarł sobie twarz dłonią i westchnął, a Hal znowu wyczuła słaby zapach whiskey. – Jeśli przymknąć oko na wady Hardinga, a Bóg świadkiem, że ma ich sporo, to jest lepszym rodzicem niż większość.

– Moja mama była wspaniałym rodzicem – zauważyła Hal. Głos jej drżał mimo woli i zacisnęła szczękę, powtarzając w myślach: „Nie rozplaczę się. Nie teraz. Nie tutaj. Nie będę wykorzystywać jej śmierci, żeby zyskać jego współczucie”. Ale nie zdołała powstrzymać pojedynczej łzy, która ściekła jej po nosie. Otarła ją gwałtownie. – Niezależnie od tego, co straciłam, przynajmniej miałam ją przy sobie przez osiemnaście lat. W całym tym czasie nie zmieniłabym ani jednej rzeczy.

Ezra znowu wrzucił inny bieg, a potem odezwał się z wyraźnym wysiłkiem:

– Harriet, Abel powiedział mi o... – Przełknął ślinę. – O tym, co się stało z Maud, o tym wypadku. Powiedział, że...

Przerwał, a Hal dostrzegła, że jego twarz wykrzywił smutek.

– Nigdy się nie dowiedziałem. – Był zachrypnięty, a Hal czuła, że wreszcie ma przed sobą kogoś, czyj żal jest tak prawdziwy i dojmujący, jak jej własny. – Szukałem jej przez całe lata i nigdy się nie dowiedziałem, że

ona w tym czasie żyła i miała się dobrze po drugiej stronie kanału, i to... Boże, to mnie dobija. Jestem na nią tak strasznie wściekły. Jak mogła?

– Nie wiem – wyszeptwała Hal. I znowu poczuła rozdzierające ją na pół wrażenie zdrady z powodu kłamstwa, które tu utrzymywała. Wcześniej, kiedy wsiadała do tego pociągu, nie wiedziała, do czego doprowadzi. Kłamstwa o sobie, o jej własnym pochodzeniu, całe to udawanie przed Treswickiem – to wszystko wydawało się grą. Ale to pogrywanie sobie z dawnymi tragediami ludzkimi, na to się już nie pisała.

Jak to jest stracić siostrę bliźniaczkę, swoją drugą połowę?

– Przepraszam – powiedziała. Głos miała chropawy od wysiłku powstrzymywania łez. – Nie powinnam była o niej wspominać... Nie chciałam...

Przerwała, a Ezra pokręcił głową, ale nie upominająco. Ten gest wyrażał raczej coś, czego oboje nie mogli sobie powiedzieć.

– A co z twoim ojcem? – spytał w końcu i odchrząknął.

Wyjechali już z wąwozu na drogę prowadzącą przez klif aż do Trepassen. Hal przyłapała się na tym, że obserwuje przez okno ciemną przestrzeń morza, dziwną, w kolorze krzemienia, zupełnie odmienną od mleczno-kredowych wód w Brighton.

– Nigdy go nie poznałam. – Tym razem mówiła pewnym tonem. Ta część przynajmniej nie była bolesna. Opowiadając tę historię, nie dopuszczała się żadnej zdrady, a poza tym odpowiadała na to pytanie wielokrotnie już wcześniej. – Spotkali się tylko raz. Moja mama nie poznała nawet jego imienia.

– Czyli możliwe, że on gdzieś jest?

Hal wzruszyła ramionami.

– Tak myślę. Ale nie mam żadnych perspektyw na odnalezienie go, nawet gdybym chciała.

– Czyli nie chcesz?

– Nie bardzo. Człowiek nie tęskni za tym, czego nigdy nie miał.

To była na swój sposób prawda. Ale kiedy tylko to powiedziała, pomyślała o Hardingu przy lunchu, o tym, jak obejmował Kitty, ścisnął ją mocno, żeby ochronić przed przeciągiem od drzwi. I zrozumiała... że to tylko połowa prawdy.

8 grudnia 1994

Abel przyjechał dziś z Oxfordu. Semestr skończył się w ubiegły weekend, ale on wracał naokoło, odwiedził po drodze dom przyjaciela w Walii i trochę się ociągał. Nie winię go za tę niechęć. Harding, którego nadal nie poznałam, wysłał krótką wiadomość, że firma rachunkowa, dla której pracuje w Londynie, nie poradzi sobie bez niego, więc nie wróci na Boże Narodzenie. A szkoła Ezry ma jeszcze zajęcia przez tydzień.

Dowiedziałam się o jego przyjeździe, kiedy Maud podniosła głowę zupełnie jak owczarek collie, który usłyszał jakiś hałas. Siedziałyśmy w salonie, jedynym ciepłym pokoju z wyjątkiem salonu ciotki. Siedziałyśmy skulone blisko kominka, ja układałam pasjansa, a Maud czytała i słuchała czegoś na walkmanie. Zmarszczyłam brwi nad jakimś wyjątkowo trudnym rozłożeniem, a ona nagle ściągnęła słuchawki.

– Jezu – powiedziała. – Musimy wyglądać jak w jakiejś scenie z *Małych cholernych kobietek*. Co...

Gwałtownie przerwała i chwilę nasłuchiwała. Potem, nim zdążyłam spytać, co usłyszała, wybiegła na korytarz i popędziła do drzwi wejściowych.

– Al! – usłyszałam, po czym on coś odkrzyknął i poszłam za nią, akurat w porę, by zobaczyć, jak wpada mu w ramiona. Podniósł ją i okręcił, ściskając mocno jak niedźwiedź, a ona piszczala i protestowała ze śmiechem.

– Cześć, Abel – odezwałam się, nagle zawstydzona, a on skinął do mnie ponad głową Maud i odstawił ją na dywan w korytarzu.

– Cześć, Maggie.

I to było tyle. Tak się wita z kimś obcym albo z napotkanym po drodze znajomym. Podniósł swoją walizkę, drugą ręką objął ramiona Maud i wrócił do opowieści o swoim semestrze, o jakiejś dziewczynie, z którą się spotykał, a ja poczułam się... Sama nie wiem jak. Poczułam chyba jakiś wściekły żal. Rozczarowanie, że po tym wszystkim, co się wydarzyło tego lata, nie potrafił się zebrać, żeby spytać, jak się mam ani co się wydarzyło w moim życiu. Wydawało się, że wszyscy byliśmy sobie tak bliscy podczas tych leniwych letnich dni. A w ciągu tych tygodni i miesięcy, które nastąpiły później, Maud i ja jeszcze bardziej się

zbliżyłyśmy – nawet bardziej niż siostry. Ale teraz to było oczywiste, przynajmniej dla Abla, że nie należę do tej rodziny. Może nigdy nie będę.

Ta myśl mnie zasmuciła i zawróciłam chłodnym korytarzem do stosunkowo ciepłego salonu, rozważając w głowie swoje możliwości.

Wkrótce prawda wyjdzie na jaw, czy tego chcę, czy nie. Pytanie tylko, czy kiedy to się stanie, to zewrą szyki przeciwko mnie?

Gdy tu przyjechałam, myślałam, że odnalazłam drugą rodzinę, która zastąpi mi tę utraconą. Ale teraz... teraz nie jestem już pewna. Widok Maud w ramionach Abla, ich obojga śmiejących się razem, wykluczających mnie nawet niechcący... no cóż, to było przypomnienie prawdy, o której nie powinnam nigdy zapominać: niezależnie od tego, co nas łączyło, krew jest zawsze gęstsza od wody. A jeśli oni zewrą szyki przeciwko mnie, to nie mam się już gdzie podziać.

Rozdział 23

Z auta Ezry dziwnie się wysiadało. Hal się potknęła, a wtedy poczuła, jak metalowe pudełeczko wyslizgnęło się z jej tylnej kieszeni, po czym z hukiem upadło na żwir i otworzyło się.

– Cholera.

Pochyliła się i zaczęła gorączkowo zbierać porozrzucane stare karty, nim porwie je wiatr i odfruną.

– Coś ci upadło? – spytał, a potem pochylił się i podniósł jedną z kart, przyglądając jej się z zaciekawieniem. Twarz mu się zmieniła, prawie jak gdyby zobaczył ducha, ale opanował się i roześmiał.

– Tarot!

– Tym się zajmuję – wyjaśniła krótko Hal. Jedna karta wślizgnęła się pod koło saaba. Spróbowała ją wyciągnąć, nie rozrywając jej brzegu o żwir. – Odczytuję tarota na molu w Brighton.

– No coś ty! – Teraz już naprawdę się śmiał. – Serio? Nie wspomniałaś o tym.

– Nieprawda. – Pochyliła się i zajrzała pod podwozie auta. Leżały tam jeszcze dwie karty, podniosła jedną, ale nie mogła chwycić drugiej. – Mógłbyś... sięgniesz tę kartę dokładnie pośrodku? Pomiędzy kołami?

Ezra również pochylił się, żeby tam zerknąć, po czym wyciągnął długą rękę pod samochód, szukając palcami.

– Mam.

Ale kiedy wstał, otrzepując się, i spojrział na trzymany przedmiot, Hal zauważyła, że to nie była żadna karta. To było zdjęcie, które dał jej Abel.

– Ha. – Trzymał je przez chwilę w dłoni, strzepując drobinki żwiru z delikatnych zagniecień. – Skąd to masz?

– Abel mi dał. – Hal przygryzła wargę. – On... on pomyślał, że mogłabym chcieć je mieć. Bo nie mam zbyt wielu fotografii mojej mamy.

– Rozumiem. – Ezra nie odezwał się już więcej, tylko patrzył na zdjęcie, a Hal widziała, że jego kciuk bardzo delikatnie głaszcząc twarz siostry, siedzącej obok, śmiejącej się do niego. – Musisz... – Boleśnie przełknął ślinę. – Musisz za nią tęsknić.

– Tak. Tak, tęsknię.

Te słowa były tak prawdziwe, że bolało ją od nich gardło. Mówią, że czas leczy rany, ale to nie była prawda, przynajmniej nie do końca. Początkowo otwarta rana po utracie zagoiła się i porośla nową skórą, tak, ale pozostała po niej blizna nigdy nie będzie wyleczona. Zawsze będzie ją miała, bolesną i delikatną.

Ezra znowu strzepnął nieistniejący pyłek kurzu, a potem, niemal niechętnie, jak się wydawało Hal, wręczył jej zdjęcie z uśmiechem, w którym kryła się odrobina jej własnego słabo skrywanego żalu.

– Ja też – przyznał. A potem się odwrócił i wszedł do domu, jakby nie potrafił już powiedzieć niczego więcej.

Rozdział 24

- A więc wygląda na to, że utknęliśmy tu do poniedziałku - oznajmił znużony Harding i zgarbił się na kanapie w salonie. Wziął sobie filiżankę herbaty z tacy, którą właśnie postawiła przed nim Mitzi, i wziął łyk.

- Chyba żartujesz. - Abel oparł głowę na dłoniach. - Nie mogę wrócić dopiero we wtorek. Mam spotkania z klientami w poniedziałek po południu.

- No to proponuję, żebyś je przełożył - odpowiedział Harding zirytowanym tonem. Wygładził sobie koszulę, która rozchodziła mu się na środku, odsłaniając delikatną, białą skórę, przypominającą surowe ciasto.

- Dodam tylko, że to częściowo twoja wina, bo nie stawieś się na spotkaniu. Mam wrażenie, że z naszej trójki tylko ja próbuję jakoś rozwiązać ten galimatias.

- Nie miałem pojęcia, że matka zrobiła mnie cholernym wykonawcą jej testamentu! Co, na Boga, w nią wstąpiło?

- Co, na Boga, w nią wstąpiło, że zrobiła *którąkolwiek* z tych rzeczy - odwarknął Harding. - Włącznie z wydziedziczeniem wszystkich swoich dzieci.

- To proste, czysta złośliwość - wtrącił Ezra z drugiego końca pokoju. Wstał, wziął sobie filiżankę z tacy i herbatnik z talerza. - Nie wątpię, że jedyną rzeczą, która zachwycała ją na łożu śmierci, była myśl o nieprzyjemnościach, które po sobie zostawia.

Abel pokiwał głową z goryczą.

- Jestem w stanie w to uwierzyć. Pewnie myślała, że przeciągający się spór prawny pochłaniający wszystkie zasoby Trepassen zapewni nieprzyjemności na długie lata.

Przeciągający się spór prawny. Te słowa sprawiły, że Hal ścisnął się żołądek i poczuła, jak przeszywa ją szpila strachu. Nie było szans, by

jakiegokolwiek dokumenty, które mogła sfalszować, przetrwały taki proces. Wszystko wyszłoby na jaw – prawda o jej matce, o babci, o wszystkim.

Ale teraz nie ma już odwrotu – zaszła za daleko. Nie ma już żadnej możliwości, by dać radę podciągnąć to oszustwo pod niewinną pomyłkę.

Wyobraziła sobie siebie podczas procesu sądowego oraz oskarżyciela pytającego ją z udawanym niezrozumieniem: „Proszę mi to jeszcze raz wyjaśnić, pani Westaway. Naprawdę wierzyła pani, że babcia od strony pani matki zmieniła swoje imię z Marion na Hester i przeprowadziła się ze skromnego mieszkania komunalnego w Surrey do posiadłości w Kornwalii *po swojej śmierci?*”

Hal poczuła, że znowu ma ochotę poczynić wyznanie. *Oszustka. Jestem oszustką.*

Było tylko jedno wyjście. Nie ocali jej ono przed panem Smithem – ale z drugiej strony nic tego nie robi, to już stawało się jasne. Nawet jeśli jakimś cudem zdołałaby zdobyć fałszywe dokumenty na tyle dobre, by zdały egzamin i pozwoliły jej przejść przez rozmowy, i tak nie zdobędzie pieniędzy do wyznaczonej przez niego daty.

Nie. Będzie musiała ograniczyć straty i wydostać się stąd, dopóki jeszcze może.

– Słuchajcie, myślałam właśnie...

– Nie teraz, Harriet – przerwał jej Harding. Zamoczył sobie herbatnik w herbacie i zacmokał, kiedy brzeg ciastka się ukruszył.

– Tak, teraz! – zaprotestowała stanowczo Hal. Czowała, że dławi ją jakaś desperacja, świadomość, że każdego mijającego dnia pogrąża się coraz bardziej i wkrótce już nie będzie miała żadnej drogi ucieczki. – Myślałam o... o tym spadku... Ja nie...

Przerwała – szukając słów, odpowiedniego sposobu, by to ująć. Ale nim na nie wpadła, ciszę przerwał Ezra.

– Słuchaj, Abel ma rację. Bardzo prawdopodobne, że mama *chciała*, żebyśmy wydali pieniądze na spory sądowe i kłótnie. Nie widzę innego powodu, dla którego miałyby to zrobić. Ale bądźmy szczerzy, czy którykolwiek z nas zasługuje na choćby pensa od niej? – Spojrzał na Hardinga, potem na Abła. – Czy *chcemy* choćby pensa? Ja na pewno nie. Czy nie będzie najlepiej, jeśli odpuścimy, udaremnimy życzenie mamy? W końcu mamy taką moc.

W rogu kanapy Kitty zaczęła nucić piosenkę z *Krainy Lodu*.

Abel się zaśmiał.

- Mam tę moc. Masz rację, Kitty. Jest w tym pomysłе coś... wyzwalającego. Cóż, ja ze swojej strony i tak nigdy niczego nie oczekiwałem, a na pewno nie chcę, żeby Trepassen ciążyło mi jak kamień młyński u szyi. Ucieszę się, jeśli weźmie je Harriet.

- Nie! - zawołała desperacko Hal. Słowa wyrwały się z niej i zaczęła mówić bez namysłu, nie kryjąc niczego, co naprawdę myślała. - Nie rozumiecie... ja nie... ja tego *nie chcę*.

- *Ślucham?* - Harding odwrócił się do niej z uniesioną jedną brwią.

- Nie chcę... *tego*. - Hal machnęła dłonią w stronę domu i terenu za oknem. - To nie jest coś, na co się pisałam, kiedy tu przyjechałam. Po liście od Treswicka, owszem, przyznaję, liczyłam na jakiś spadek. - Mówiła prosto z serca, zbyt szybko, by zastanawiać się, czy postępuje rozsądnie. - Ale nie taki... Nie wszystko. Nie chciałam takiej ogromnej odpowiedzialności... Chciałam tylko opłacić swój rachunek za ogrzewanie i pospłacać pewne długi. Czy jest jakiś sposób, żebym mogła... sama nie wiem... mogę się tego zrzec?

Zapadła długa cisza, przerywana tylko przez Kitty, która nadal nuciała pod nosem *Mam tę moc*, oraz słumionym szumem ze słuchawek Freddiego.

- No cóż - odezwała się w końcu Mitzi, dość pogodnym, choć łamiącym się głosem. - Moim zdaniem to bardzo szlachetnie z twojej strony, Harriet.

- To... Z pewnością należy to rozważyć - dodał Harding. Wstał, poprawił sobie koszulę w swoich spodniach z zakładkami i podszedł powoli do okna. - Wydaje mi się, że jest coś takiego jak pośmiertne zmiany w testamencie, które pozwalają spadkobiercom, pod warunkiem, że wszyscy zainteresowani się zgodzą, na zmianę swojego udziału w zapisie... ale oczywiście musimy rozważyć, czy to byłoby moralnie słuszne, gdy wziąć pod uwagę życzenie mamy...

- Nie chcę jej pieniędzy - oznajmił bezceremonialnie Ezra. - Nie chciałem ich od niej i nie chcę ich od Harriet.

- Śluchajcie - odezwał się Abel. Objął Hal ramieniem i ścisnął ją mocno. - To bez wątpienia piękny gest i jestem bardzo dumny z Harriet, że coś takiego zaproponowała. Ale to nie jest decyzja, którą można podpisać lekką ręką. Proponuję, żebyśmy się z tym wszyscy przespali, zwłaszcza Harriet, i może... - Zerknął na swoich braci. - Może powinniśmy porozmawiać o tym na osobności. A potem wspólnie, zanim spotkamy się w poniedziałek z Treswickiem. Zgoda?

- Zgoda - orzekł Harding. - Harriet?

- Okej - odpowiedziała. Zdała sobie sprawę, że nadal zaciska pięści w rękawach swetra, a jej mięśnie w napięciu opierają się uściskowi Abla. - Ale nie zamierzam zmieniać zdania.

Rozdział 25

Kilka godzin później Hal spacerowała po terenie posiadłości w świetle zapadającego zmierzchu, próbując obmyślić, co, u licha, zrobić. Już nie wczuwała się w rolę dzielnego, nieustraszonego Robin Hooda, tylko czuła narastającą panikę, która puchła w środku niej, grożąc jej uduszeniem.

Abel próbował wziąć ją na bok po podwieczorku i porozmawiać z nią, ale uciekła, gdyż nie mogła znieść jego troski w dobrej wierze. Poklepywanie po ramieniu, puste frazesy oraz przesadnie czułe uściski sprawiały, że było jej duszno, i wymówiła się zmęczeniem oraz chęcią pójścia do swojego pokoju, więc puścił ją wolno.

Kiedy jednak tam weszła, poczucie stłamszenia tylko się nasiliło. Leżała na wąskim, metalowym łóżku, a kraty w oknach wisiały nad nią jak w więziennej celi. Nie mogła przestać myśleć o zasuwkach na drzwiach oraz o maleńkim, niewyraźnym napisie „POMÓŻ MI” na okiennej szybie. Co tu się wydarzyło? Dlaczego jej matka nigdy nie wspominała o tej części swojego życia? Czy wydarzyło się coś tak strasznego, że nie potrafiła o tym mówić?

W końcu wstała i na palcach zesłała po schodach, minęła salon, gdzie Mitzi suszyła dzieciom głowę o zadania domowe i powtórki, po czym wyszła do szarżującego po zachodzie ogrodu.

Padła mżawka, przez co trawa w świetle padającym przez okna salonu wydawała się srebrna. Kiedy Hal obejrzała się na wzgórze, dostrzegła ślad swojej drogi, poczuła też, że ma mokre dżinsy, a buty już zupełnie przesiąknięte.

Szła bez powodu i bez celu, dopóki nie znalazła się z powrotem przy zagajniku drzew, który widziała pierwszego dnia tam, gdzie spotkała Abła, nim wskazał jej labirynt.

Tym razem wyraźnie widziała błysk wody pomiędzy drzewami i poszła zarośniętą ścieżką, która wiła się wśród pokrzyw i krzaków jeżyn, na brzeg małego jeziora. Kiedyś, pomyślała, to musiało być piękne miejsce. Ale teraz, przy zapadającej nocy i nadchodzącej zimie, było w nim coś smutnego, jezioro dusiło się pod gnijącymi liśćmi i nabrało koloru torfu, na brzegach piętrzyło się czarne błoto nie do przebrnięcia. Pośrodku jeziora była mała wysepka porośnięta skarłowaciałymi drzewami i krzewami, a na przeciwnym brzegu majaczył jakiś ciemny kształt, jakiś budynek, jak się wydawało Hal, chociaż trudno jej było coś dostrzec w słabym świetle.

Zdjęła okulary i zaczęła je wycierać, żeby lepiej zobaczyć ten kształt majaczący w zmięczeniu, a wtedy usłyszała za sobą trzask. Odwróciła się i zobaczyła zarys jakiejś wysokiej sylwetki na tle rozświetlonego domu.

– Kto... – wykrztusiła. Serce waliło jej w piersi, a w odpowiedzi usłyszała głęboki i rozbawiony śmiech.

– Przepraszam – odpowiedział męski głos i postać podeszła bliżej, a ona drżącymi dłońmi nasunęła z powrotem okulary i rozpoznała tę twarz. To był Edward. – Nie chciałem cię przestraszyć. Podano kolację, nie słyszałaś gongu?

– Skąd... – Hal zauważyła, że cała się trzęsie. Jej reakcja była zupełnie na wyrost, bo na ścieżce pojawił się przecież tylko Edward.

– Poszedłem twoim śladem po trawie. Co, u licha, cię tu przywiodło? To dość przygnębiające miejsce.

– Nie wiem – odparła Hal. Serce nadal waliło jej w piersi, ale już zwalniało. – Ja... chciałam się przejść. Musiałam się przewietrzyć.

– Nie dziwię się. – Edward włożył ręce do kieszeni, szukając czegoś, i przez chwilę Hal zastanawiała się czego, ale potem wyjął papierosa, przesunął palcem wskazującym po nosie i zapalił. – Nie mów Ablowi. On tego nie lubi.

Unióś się dym, błądy na tle ciemniejszego nieba, a Hal zaczęła się zastanawiać nad tym mężczyzną. Prawie go nie widziała od jego przyjazdu poprzedniego dnia. Co on w tym czasie robił?

– Wracamy? – spytała, a on skinął głową.

– Tylko powoli, muszę dokończyć. – Znowu się zaciągnął, a Hal zaczęła się przedzierać z powrotem w kierunku trawnika. Zrobiło się dużo ciemniej, niż kiedy szła w tę stronę, i trudniej było teraz dostrzec ścieżkę.

Poczuła, jak pokrzywa otarła jej rękę, skrzywiła się i nabrała powietrza z bolesnym świstem.

– Jeżyny? – spytał Edward za jej plecami.

– Pokrzywa – rzuciła krótko. Possała bok dłoni, wyczuwając pęcherzyki oparzenia pod językiem. To będzie bolało.

– Aua – odparł lakonicznie Edward, a Hal usłyszała trzask i zobaczyła ognek papierosa, którym się zaciągnął.

– Powiedz mi – odezwała się, bardziej żeby odciągnąć swoją uwagę od piekającej dłoni niż z prawdziwej ciekawości – co to za budynek po drugiej stronie jeziora?

– Och... to kiedyś był hangar na łodzi. W lepszych czasach. Wątpię, czy dałoby się teraz przepłynąć to jezioro łódką, jest zbyt zarosnięte. – Rzucił niedopałek za siebie, a Hal usłyszała skwierczenie, gdy zetknął się z wodą i zatonął w mętnej głębi. – Przydałoby mu się bagrowanie. Latem śmierdzi.

– Myślałam, że nigdy tu nie bywałeś? – spytała zaskoczona Hal. Wymknęło jej się to, nim zdołała pomyśleć, ale Edward nie wyglądał, jakby się obraził. Usłyszała, że zaśmiał się za nią cicho w ciemności.

– To taka licencja poetycka ze strony Abla. Wiesz, jego matka go odcięła. Wydaje mi się, że przez parę lat całe to „zatraskiwanie drzwi przed nosem” było całkiem prawdziwe. Ale w ostatnich latach trochę się zbliżyli.

– Ludzie łagodnieją na starość, prawda? – zauważyła delikatnie Hal. Wyszli spośród drzew, a Edward podążał jej śladami.

– Może. Ale nie wydaje mi się, żeby to było to. Odniosłem wrażenie, że akurat Hester stała się, jeśli już, to bardziej nieprzyjemna. Ale Abel... cóż, on jest dziwakiem. Za dużo wybacza. Nie może znieść, jeśli między nim a innymi ludźmi są jakieś kwasy. Potrafi zrobić niemal wszystko, przełknąć każdą ilość obelg, chodzić po rozżarzonych węglach, po prostu dać się upokorzyć, żeby tylko nikt nie żywił do niego urazy. Nie jest to jego najbardziej atrakcyjna cecha, ale czasami ułatwia życie. W ostatnich latach dość często tu przyjeżdżał.

Hal nie była pewna, co odpowiedzieć. Przyszło jej do głowy, że Edward chyba nie za bardzo lubi swojego partnera. Ale może to tylko efekt długiego związku.

Kiedy szli przez trawnik, Hal widziała, że jadalnia nadal była zasłonięta okiennicami i ciemna, poczuła też pewną ulgę, kiedy doszli do żwirowej

ścieżki i Edward skręcił w lewo, prowadząc ich na przód oranżerii, którą widziała już wcześniej tego dnia, a przez nią do pokoju, gdzie rano jedli śniadanie.

Pozostali czekali, Harding zasiadł w fotelu uszaku u szczytu stołu, Freddie zgarbił się na krześle i grał na swoim nintendo DS, a pozostała dwójka dzieci ukradkowo zerknęła w telefony pod zasłoną obrusa. Mitzi siedziała między Ablem a krzesłem, na które szwagier zarzucił swoją kurtkę, omawiała plany podróży powrotnej. Tylko Ezra jeszcze nie przyszedł.

Hal usiadła w milczeniu na wolnym miejscu obok Richarda i próbowała się wtopić w tło, ale ledwo dosunęła sobie krzesło, otworzyły się drzwi do oranżerii i do środka weszła, kulejąc, pani Warren z ogromnym garnkiem gulaszu.

– Och, pani Warren! – odezwała się Mitzi. Podskoczyła. – Proszę, pomogę pani.

– Teraz to „pomogę pani”. – Pani Warren udała afektowaną wersję dystygowanego akcentu Mitzi. Głośno postawiła garnek na stole, a rzadki sos prysnął na obrus. – Nie słyszałam nic z tych rzeczy, kiedy spędziłam całe popołudnie na siekaniu.

– Pani Warren – odezwał się sztywno Harding. – To było trochę nie na miejscu. Mojej żony tu nie było, próbowała rozwiązać sprawę spadku mojej matki, tak jak my wszyscy. A jeśli uważa pani, że przygotowywanie posiłków panią przerasta, to wystarczy, że pani powie, a my chętnie pomożemy.

– Nie zamierzam wpuszczać obcych do mojej kuchni, żeby robili mi bałagan – odparła pani Warren.

– Ale przecież, pani Warren, my nie jesteśmy obcy! – odwarknął Harding, ale gospodyni zdążyła się już odwrócić i wyjść. – Na Boga, ona się robi niemożliwa.

Drzwi się zatrzasnęły.

– Ma już swoje lata – odezwała się uspokajająco Mitzi. – I naprawdę z poświęceniem opiekowała się waszą mamą. Choćby z tego powodu możemy jej chyba trochę odpuścić?

– Masz rację, Mitz, ale musimy zacząć się zastanawiać nad tym, co zrobimy z... – przerwał, bo pani Warren weszła z powrotem z talerzem pieczonych ziemniaków, huknęła nim o stół i bez słowa odwróciła się do wyjścia.

Mitzi westchnęła i skinęła na Freddiego, żeby podał jej swój talerz.

– No to dalej, nałóżmy sobie, zanim wystygnie.

Gulasz był szary i nieapetyczny, a Freddie patrzył z przerażeniem, jak mama wręcza mu talerz szorstkich, brązowych grudek polanych wodnistym płynem.

– Ych, mamó, to wygląda obrzydliwie.

– Cóż, to jest kolacja, Freddie, więc musisz jakoś wytrzymać. Weź sobie pieczonego ziemniaka.

Wzięła talerz Kitty i zaczęła jej nakładać. Kitty sięgnęła sobie ziemniaka palcami, skrzywiła się i odłożyła na brzeg talerza.

– Te ziemniaki są twarde jak kamień. Wyglądają jak jaja dinozaura.

– Przestań, na Boga! – warknęła Mitzi. Postawiła talerz przed Richardem, a potem zaczęła nakładać porcję Edwardowi.

– Muszę przyznać, że to nie pachnie zbyt apetycznie – zaryzykował Edward, kiedy podała mu talerz. Wziął kawałek mięsa, Hal przypuszczała, że to była wołowina, ale tak naprawdę mogłoby być wszystkim, od baraniny po dziczyznę, i ostrożnie przeżuł. – Myślicie, że mogę poprosić o jakąś musztardę? – spytał z pełnymi ustami.

– Ja tam bym nie ryzykował – odparł Abel. Przekroił swoje mięso z dość ponurym uporem i włożył je do ust, lekko się krzywiąc. – W sumie nie jest takie złe – wykrztusił.

– Co mnie ominęło? – odezwał się głos w drzwiach. Hal się odwróciła i zobaczyła stojącego tam Ezrę, opartego ramieniem o futrynę.

– Ach, to ty – odparł raczej cierpko Harding. – Jak miło, że zdecydowałeś się zaszczycić nas swoją obecnością.

– Sądząc po minie Abla, to dużo nie straciłem – zauważył Ezra. Wysunął sobie krzesło obok Hal i usiadł, opierając opalone przedramiona na stole.

– No. To co mamy na kolację?

– Szare rzygi i jaja dinozaura – odpowiedziała z chichotem Kitty.

– Kitty! – zagrzmiął Harding. – Naprawdę mam dziś ciebie po dziurki w nosie.

– Och, na Boga, Harding. – Mitzi głośno postawiła przed nim talerz. – Zostaw dziecko w spokoju. To nie jej wina, że masz kiepski nastrój.

– Nie mam kiepskiego nastroju – odburknął Harding. – Po prostu proszę o trochę manier przy wspólnym stole.

– Słuchaj, pani Warren jest bardzo stara i robi, co może... – zaczął Abel, ale Ezra mu przerwał.

- Oj, daj spokój, Abel. Dziewczyna ma rację. Pani Warren *zawsze* koszmarnie gotowała, tylko my chodziliśmy do szkół z internatem, więc nie bardzo mieliśmy z czym to porównać, żeby się przekonać, jakie to było straszne. Dzieci Hardinga są na tyle szczęśliwe, że oczekują czegoś lepszego.

Do Hal trafił jej talerz, ostrożnie szturchnęła widelcem szarą grudę mięsa i zrezygnowała z gulaszu na rzecz pieczonego ziemniaka. Skórkę miał pomarszczoną, ale kiedy go przekroiła, poczuła, że w środku jest surowy.

- Dobra, ja tego nie jem - oznajmiła stanowczo Kitty. Odsunęła od siebie talerz. - Widziałam, jak mama kupowała dzisiaj w Penzance ciastka.

Nie było deseru, ale po kolacji poszli do salonu, gdzie przed kominkiem stał dzbanek letniej kawy. Mitzi wyszła z pokoju i wróciła z paczką herbatników, otworzyła je i rozdała. Jej dzieci rzuciły się na nie jak głodujące sieroty. Hal wzięła sobie herbatnika z czekoladą i zamoczyła go w kawie, którą nalał jej Edward. Gdy włożyła do ust kruchy brzeg ciastka, zasmakowało jej domem i przez chwilę przeniosła się do dzieciństwa, do niedzielnych poranków w łóżku mamy i ukradkowego moczenia ciasteczek w jej porannej kawie.

- Wszystko w porządku, Harriet? - przerwała jej zamyślenie Mitzi. - Przez chwilę wyglądałaś bardzo melancholijnie.

Hal przeknęła kęs i zmusiła się do uśmiechu.

- Tak, w porządku. Przepraszam. Zamyśliłam się tylko.

- A ja się dzisiaj dowiedziałem czegoś o Hal - niespodziewanie wtrącił Ezra z przeciwnego końca pokoju. Sięgnął po swoją kawę, napił się i przeknął, cały czas patrząc na dziewczynę. - Coś, do czego się jakoś nie przyznawała.

Zaskoczona Hal podniosła wzrok i poczuła, że jej serce odrobinę przyspieszyło. Wróciła myślami do ich rozmowy w samochodzie i tego, co powiedziała o swojej matce. Czy coś jej się wymsknęło? Kiedy odstawiała filiżankę na spodek, ręka jej odrobinę zadrżała, tak że porcelana zagrzecotała z brzękiem.

- Co takiego? - wykrztusiła w końcu.

- Och... ty już dobrze wiesz, Hal - odpowiedział Ezra. Uśmiechał się psotnie. - Może byś im sama powiedziała.

To jest to, pomyślała Hal. On wie. Coś odkrył, a teraz mi daje szansę na przyznanie się, zanim sam opowie o mojej przeszłości.

– Masz rację – przyznała. Przełknęła ślinę, nagle zaschło jej w ustach. – Jest coś... czego wam nie mówiłam. Wujku Hardingu... ja...

Ezra położył coś na stoliku kawowym między nimi.

Było to pudełeczko po tytoniu Golden Virginia.

Hal poczuła, jak krew napływa jej do twarzy, kiedy zdała sobie sprawę, że prawie popełniła ogromny błąd.

– Harriet zajmuje się czytaniem tarota – oznajmił Ezra. – Prawda, Hal?

– Och! – Spłynęła na nią fala ulgi i rozczarowania jednocześnie. Nagle zachciało jej się śmiać. – Nie wiedziałam, że masz zamiar... tak. To prawda.

– Czytaniem tarota? – wykrzyknęła Mitzi. Klasnęła w dłonie. – Jakie to egzotyczne! Harriet, dlaczego nam nie powiedziałaś?

– Nie wiem – przyznała szczerze Hal. – Chyba po prostu... niektórzy podchodzą do tego trochę dziwnie. – Przypomniała jej się pani Warren i wściekłość, która pojawiła się na jej twarzy, kiedy zobaczyła karty.

– Wiesz – odezwał się Abel – wiesz... to całkiem zabawne. Nigdy bym nie pomyślał, że córka Maud skończy, robiąc coś takiego. Ona była straszliwie sceptyczna.

Hal zerknęła na niego, ale w jego tonie i minie nie było niczego wojowniczego. Był tylko trochę smutny, jak gdyby wspominał dawne, szczęśliwsze czasy.

– Ona była... no cóż, pewnie sama wiesz lepiej od nas, ale była bardzo racjonalną osobą – ciągnął. – Nie miała czasu na myślenie o tym, co pewnie nazwałaby „stkiem bzdur”. Przepraszam, Harriet – dodał pospiesznie, poklepując ją po ramieniu. – Nie chciałem, żeby to zabrzmiało tak niegrzecznie, jak pewnie wyszło. Mam nadzieję, że cię nie obraziłem.

– Nic się nie stało – odparła i uśmiechnęła się niemal mimowolnie. – Nie czuję się obrażona. A poza tym... Sama w to tak naprawdę nie wierzę.

– Serio? – spytała Mitzi z powątpiewaniem w głosie. – To jak to działa? Nie czujesz wyrzutów sumienia, biorąc pieniądze od ludzi, skoro uważasz, że to wszystko głupoty?

Hal poczuła, że się rumieni. Rzadko przyznawała to przed kimś, kogo nie znała – na pewno nie przed klientami. To trochę tak, jakby lekarz

powiedział, że nie wierzy w konwencjonalną medycynę, albo psychiatra nabijał się z Freuda.

– Pewnie zabrzmiało to bardziej cynicznie, niż zamierzałam, ale... nie jestem przesądna. Nie wierzę w odpukiwanie w niemalowane drewno, ściskanie kciuków ani krystalomancję, nic z tych rzeczy. Nie uważam, że karty mają jakąś szczególną okultystyczną moc, chociaż pewnie nie powiedziałabym tego wprost żadnemu klientowi. Ale mimo wszystko one i tak... – Trudno było jej wyrazić coś, co rzadko dokładnie analizowała, nawet na własny użytek. – Mimo wszystko mają znaczenie; nawet jeśli nie wie się niczego o tarocie, można w nim dostrzec bogactwo symboli i obrazów. Reprezentowane przez karty idee... są uniwersalnymi siłami, które rzutują na nasze życie. Po prostu chyba wierzę nie w to, że karty mogą nam powiedzieć coś, czego jeszcze nie wiemy, ale że dają... dają przestrzeń do stawiania pytań...? Czy to ma sens? Niezależnie od tego, czy moje stwierdzenia podczas czytania z kart są prawdziwe, czy nie, dają odbiorcy okazję do zastanowienia się nad tymi siłami, na analizę własnych przeżyć. Nie wiem, czy dobrze to tłumaczę.

Ale Mitzi kiwała głową, między jej gładkimi brwiami zarysowała się bruzda.

– Taaaak – powiedziała powoli. – Tak, rozumiem to.

– Czyli postawisz mi? – spytała Kitty. Wyprostowała się i wyczekująco otworzyła szeroko oczy. – Zrób mi! Och, proszę, postaw najpierw mi!

– Kitty – pouczyła ją Mitzi. – Harriet nie jest w pracy.

– Bzdura – wtrącił Ezra. Uśmiechnął się do Hal. – Przecież nie *musiała* zabierać ze sobą kart, prawda?

Hal założyła ramiona na piersi. Czuła się niepewnie i nie wiedziała, co powiedzieć. W końcu to była prawda. Zdecydowała się zabrać swoje karty, w dodatku *te* karty. Ale nie chciała z nich nikomu czytać, nie tutaj, nie teraz, nie z tych kart. Bo czytanie tarota jest demaskujące – i to nie tylko dla klienta. Hal wiedziała, że podczas wygłaszania uwag zdradza również dużo na swój temat, co na temat klientów.

Ale Kitty patrzyła na nią prosząco, dłonie miała wyczekująco złożone, a Hal nie miała serca odmawiać ani też umiejętności, by zrobić to z wdziękiem, zwłaszcza w tym domu, w którym była tylko gościem.

– Wspaniale! – odparła przejęta Kitty. – Czego potrzebujesz? Jakiegoś specjalnego stołu albo czegoś?

Hal pokręciła głową.

– Nie, wystarczy zwykły. Usiądź po drugiej stronie.

Kitty uklękła na dywaniku naprzeciwko, a Hal otworzyła pudełeczko i wyjęła karty.

– Oooooch – westchnęła Kitty, kiedy Hal rozłożyła je na stole. Jej oczy przeskakiwały od jednej karty do drugiej... Dwójka Buław... Pustelnik... Królowa Pucharów... – A co to jest? – spytała, wskazując Gwiazdę.

– Ta? – Hal ją podniosła. W jej talii Gwiazda przedstawiała kobietę kąpiącą się w leśnym stawie w nocy, polewającą się wodą w świetle gwiazd. To była piękna karta, pogodna i spokojna. – To Gwiazda – wyjaśniła Hal. – Oznacza... odrodzenie wiary, ład, pogodzenie się ze sobą, spokój. A odwrócona... przeciwnie: zniechęcenie, skupianie się na złych rzeczach w życiu.

– A ta? – Kitty wskazała na kartę z boku talii. Przedstawiała dziewczynę pełznącą przez śnieżny krajobraz. Płatki śniegu padały z ciemnego nieba, ich spokój kontrastował ze sceną rozgrywającą się pod nimi, gdzie młoda kobieta toczyła niekończącą się walkę. Jej zakrwawione palce wyłobity głąbokie bruzdy w śniegu, ona podciągała się do jakiegoś niewidocznego celu, a w plecach miała dziewięć sztyletów, każdy inny, niektóre długie, inne krótkie, niektóre ze starannie wykutymi rękojeściami, niektóre tylko z drewnianymi uchwytyami. Dziesiąty, kawałek szkła albo może lodu, trzymała sama w dłoni.

– To Dziesiątka Mieczy – odparła Hal. Znała tę kartę na pamięć, ale teraz ją podniosła, przyglądając jej się na nowo, nim ją odwróciła tak, by Kitty mogła lepiej zobaczyć ilustrację. To była jedna z najmroczniejszych kart w tym zestawie, zawsze sprawiała, że Hal lekko się wzdrygała, kiedy pokazywała się w czytaniu. – Oznacza... zdradę, nóż w plecach, koniec... ale może też oznaczać, że męka dobiega końca. Że otrzyma się spokój, choć może nie będzie miało się ochoty za niego zapłacić.

– To dlatego, że ona zaraz umrze? – Kitty miała szeroko otwarte oczy.

– Na karcie, tak. Ale nie należy ich odczytywać dosłownie. No dobrze. – Sięgnęła po karty i przetasowała je. – Rozłóż teraz talię, a potem poproszę cię, żebyś wybrała dziesięć kart. Nie dotykaj ich, pokaż mi je tylko palcem.

W tym znajomym rytuale było coś pocieszającego. Hal potrafiła ułożyć Krzyż Celtycki niemal przez sen, a kiedy wykładała karty oraz powtarzała dobrze znane polecenia i wyjaśnienia, których zawsze używała, poczuła, jak jej własny umysł się oczyszcza.

To, co powiedziała Mitzi, było prawdą. Nie wierzyła w nic mistycznego, ale wierzyła, że karty mają moc, by ujawnić coś na temat pytającego, zarówno przed czytającym, jak i samym słuchaczem.

Nie spytała Kitty, jakie postawiła pytanie, ale po jej promiennej, zarumienionej twarzy poznała, co to może być – na pewno chodziło o jakiegoś chłopaka. Albo dziewczynę. W jej wyrazie nie było strachu, zwątpienia ani desperacji, a tak się dzieje, kiedy ludzie pytają o życie lub śmierć, o bezpieczeństwo dziecka albo zdrowie rodzica.

Dla Kitty to była po prostu zabawa. Kocha, nie kocha. I tak w tym wieku powinno być.

Kiedy przeszły do ostatniej karty czytania, do tej z „wynikiem”, Hal odwróciła ją i zobaczyła Kochanków – nagi mężczyzna i kobieta byli spleceni ze sobą, on trzymał ją za pierś, oboje skąpani byli w promieniach słońca. I od razu poznała, po szkarłatnym rumieńcu, który wspiął się po szyi Kitty i oblał jej policzki, że musiała mieć rację.

– Ta karta... – wyjaśniła Hal, uśmiechając się mimo woli, bo zawstydzony zachwyt Kitty był zaraźliwy. – Ta karta reprezentuje wynik, jest najważniejszą kartą całego czytania, i w kartach nie da się już bardziej bezpośrednio odpowiedzieć na twoje pytanie. Wybrałaś Kochanków, kartę atutową, jedną z najsilniejszych w talii. Oznacza miłość. Miłość, jedność i relacje międzyludzkie. Tutaj, w tej pozycji, ta karta mówi, że w twojej przyszłości będzie miłość i tak, szczęście. Widzę tu bardzo ważny związek, taki, który będzie dla ciebie cenny i da ci wiele radości. Ale... – Coś sprawiło, że postanowiła dopowiedzieć, bo dostrzegła nagle zaciśnięte usta Mitzi. – Ta karta oznacza też wybór, wybór między dobrem a złem, między szlachetnymi a podłymi uczynkami. Pokazuje równowagę pomiędzy wszystkimi odmiennymi siłami w twoim życiu oraz podkreśla wagę wybrania właściwej ścieżki, takiej, która utrzyma te wszystkie siły we właściwych proporcjach. Romantyczna miłość jest tylko jednym elementem, który w dodatku nie zawsze dobrze cię poprowadzi. Musisz uważać, żeby nie zdominowała całego twojego życia. Satysfakcja płynąca z innych źródeł, na przykład pracy lub rodziny, jest równie ważna i może dać ci tyle samo szczęścia. A ta karta mówi mi, że zawsze będziesz kochana... – Na chwilę urwała, myśląc o Mitzi, Hardingu i ciepłym kokonie bezpieczeństwa, którym otoczyli swoje dzieci. – Zawsze będziesz mogła na kogoś polegać. Możesz wyruszyć w świat bezpieczna dzięki tej miłości i pewna, że ona cię odnajdzie.

Urwała, nastąpiła chwila ciszy, a potem krótkie oklaski od całej reszty.

– Jakie piękne czytanie, Harriet – przyznała Mitzi. Kitty była zaróżowiona i promienna, a Hal nagle poczuła zadowolenie, że się na to zgodziła.

– Ktoś jeszcze? – spytała, raczej w żartach, i zdziwiła się, kiedy Abel uśmiechnął się, podnosząc rękę.

– No, dalej – powiedział. – Teraz ja.

Hal zerknęła na zegar stojący na kominku. Zbliżała się dwudziesta druga, więc czytanie Kitty musiało zająć dłużej, niż myślała.

– Dobrze – odparła. – Ale to będzie szybsza wersja, Krzyż Celtycki zajmuje sporo czasu. Rozkład z trzech kart jest prostszy. Można go wykorzystać na różne sposoby, aby odpowiedzieć na pytanie, rozważyć jakiś dylemat, a nawet poznać swoje poprzednie życie, jeśli ktoś wierzy w takie rzeczy, zrobimy jednak czytanie dotyczące przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Jest przyjemne i łatwe, ludzie często zaczynają od niego swoją przygodę z tarotem.

Przetasaowała karty i znowu przerobiła znajomą gadkę – kazała Ablowi myśleć o pytaniach, przekładać karty i wybrać tym razem tylko trzy. Rozłożyła je grzbietami do góry – przeszłość, teraźniejszość i przyszłość – odczekała chwilę, zbierając myśli, słuchając ciszy wypełniającej pokój, trzasku ognia, szumu wiatru w kominie i tykania zegara na gzymsie kominka.

W końcu, kiedy zatrzymała i oczyściła swoje myśli, odwróciła pierwszą kartę, tę z przeszłością. Nastąpiła chwila, kiedy wszyscy obserwatorzy zgromadzili się wokół, żeby ją zobaczyć, a potem rozległ się zaraźliwy śmiech, bo rozpoznali obraz z czytania Kitty. To byli Kochankowie. Hal się uśmiechnęła, ale pokręciła głową.

– Wiem, co myślisz, to jest ta sama karta, którą wyciągnęła Kitty, a ja teraz powiem te same rzeczy, ale ona jest odwrócona, wyciągnąłeś ją do góry nogami.

– Co to znaczy? – spytał Abel. Hal przyglądała mu się, jak spoglądał na kartę, próbując odczytać jego reakcję. Trudno było ją odszyfrować, ale wydawało jej się, że było w niej coś odrobinę prześmiewczego. Usta miał poważne, ale zaciśnięte tak, jakby powstrzymywał uśmiech. Hal nie miała nic przeciwko osobom, które nie traktowały wróżb poważnie, nie lubiła wrogości, ale rozbawienie było w porządku. Potem zmarszczyła brwi, patrząc w obraz, próbując znów oczyścić myśli i przekuć je w słowa.

– Słyszałeś, jak mówiłam Kitty, że Kochankowie przedstawiają wybór – zaczęła. – Cóż, jest to karta pełna skrajnych przeciwieństw: męskości i kobiecości, nieba i ziemi, ognia słońca i wody w rzece za nimi, wysokich ścieżek górskich i niskich w dolinie. W przeszłości stanąłeś przed wyborem, i to bardzo skrajnym. Stałeś na rozdrożach swojego życia, musiałeś podjąć decyzję... – Przerwała, obserwując, jak Abel zaciska dłonie, jego palce powędrowały do obrączki na palcu serdecznym prawej dłoni. Cicho odchrząknął, zdradzając, że trafiła na wrażliwy temat. Przekręcił obrączkę, a ona mówiła dalej. – Wydaje mi się, że mogło chodzić o... jakiś związek? Dokonałeś wyboru, który wtedy wydawał się jedynym słusznym... ale teraz...

Przerwała, bo nagle zrozumiała, że to czytanie prowadzi ją w niebezpiecznym kierunku.

Z twarzy Abła zniknęło prześmiewcze rozbawienie, a za nim Hal zobaczyła, że Edward niespokojnie się kręci. Przygryzła wargę, zastanawiając się, czy już zdążyła powiedzieć za dużo.

By zatuszować ten moment niepewności, Hal obróciła kolejną kartę. Była to Dziesiątka Mieczy i Hal zauważyła, że Abel odrobinę odsunął swoje krzesło od stołu i w obronnym geście skrzyżował nogi. Coś było tu bardzo nie w porządku, czuła emanujące z niego napięcie, więc wiedziała, że dalej musi stąpać ostrożnie, bo natrafiła na coś, czego nie rozumiała, i istnieje niebezpieczeństwo, że wybuchnie jej to tuż przed nosem.

– To... to jest terazniejszość – wyjaśniła powoli. – Problem, z którym zmagasz się w tej chwili. Dotyczy... zdrady...

Urwała. Abel wstał i odszedł, nie czekając na koniec czytania.

– Przepraszam, Hal – rzucił przez ramię. – Ale chyba nie dam rady.

Drzwi salonu zatrzasnęły się za nim.

– O Boże – odezwał się Edward, miał białą i udręczoną twarz. Rzucił Hal spojrzenie wyrażające coś pomiędzy złością a smutkiem. – *Wielkie* dzięki – mruknął, a potem gwałtownie usunął sobie krzesło Abła z drogi i wybiegł za partnerem na korytarz. – Abel! – usłyszała Hal z głębi korytarza, gdy jego kroki zaczęły cichnąć. – Abel, wracaj!

– O rany.

– Co? – Hal rozejrzała się po twarzach zgromadzonych. Zaczęło w niej narastać przerażenie. – Co takiego powiedziałam?

– Nie mogłaś wiedzieć, Harriet – odparła Mitzi. Wstała i podniosła krzesło, które Edward przewrócił, gdy rzucił się w pośpiechu za Ablem. –

Chociaż nie mam pojęcia, dlaczego Abel tak zareagował...

- Hal wyraziła się bardzo ogólnie - dodał Ezra. - Gdyby Al nie zareagował jak histeryczny nastolatek...

- Dzieci, do łóżek - rzuciła stanowczo Mitzi. Rozbrzmiał chóralny protest ze strony Richarda, Kitty i Freddiego, który stłumiła, dodając: - Ten jeden raz możecie wziąć ze sobą telefony. Zbiorę je, jak przyjdę zgasić światło. Już!

Odczekała, aż dzieci wyszły z pokoju, ociągając się, po czym zamknęła za nimi drzwi i odwróciła się do Hal.

- Harriet, normalnie nie chciałabym o tym plotkować, ale w tym momencie chyba lepiej, żebyś wiedziała. Z tego, co zrozumiałam, Abel w tamtym roku oświadczył się Edwardowi, ale potem...

Zawahała się i zerknęła na Hardinga, który podniósł ręce w górę, jakby chciał powiedzieć „Na mnie nie patrz! Sama zaczęłaś”.

- Ale potem okazało się, że Edward przez cztery lata pieprzył się z jakąś babką - dokończył brutalnie Ezra. - Proszę, powiedziałem. Bo *to* się wydarzyło, prawda?

Mitzi pokiwała głową, raczej smutno.

- Tak, też tak to zrozumiałam. W tamtym roku odbyłam bardzo zawiłą rozmowę na ten temat z Edwardem, kiedy był pijany, i próbował wyjaśnić, że po prostu musiał się wyszaleć, chociaż oczywiście czas na takie rzeczy dawno już minął. Inaczej, gdy ktoś jest osiemnastolatkiem, a inaczej, kiedy rzecz dotyczy ponadczterdziestoletniego mężczyzny w długim związku. W każdym razie, nie przeciągając, chyba mają za sobą bardzo trudny czas. Myślałam, że wszystko już się poukładało, ale to najwyraźniej przywołało jakieś bolesne wspomnienia. Nie mogłaś tego wiedzieć, Harriet.

- O nie - westchnęła żałośnie Hal. Ukryła twarz w dłoniach. - Strasznie przepraszam. Żałuję, że to zrobiłam.

- To była moja wina - odparł Ezra. Pokręcił głową. - Nie powinienem był cię prosić o czytanie, przepraszam, Hal.

- Cały czas ją tak nazywasz - zauważyła lekko Mitzi. Jej wysiłek, by zmienić temat, był trochę wymuszony i oczywisty, ale Hal i tak się z niego ucieszyła. Mitzi podała jej pudełko, a Hal zebrała karty i schowała je do środka. - Czy to przezwisko?

- Tak. Tak... tak nazywała mnie moja mama.

- Musisz za nią ogromnie tęsknić – stwierdziła Mitzi. Wyciągnęła dłoń i wsunęła luźny kosmyk włosów za ucho Hal. Ku swojemu przerażeniu Hal poczuła, że zbiera jej się na płacz. Odwróciła się, udając, że szuka brakującej karty, przełknęła ciężko mimo niespodziewanej guli w gardle i zaczęła mrugać, żeby odgonić łzy napływające do oczu.

- Tak... tak, tęsknię... – wykrztusiła. Mimo wysiłków jej głos okazał się zachrypnięty.

- Och, Hal, kochanie, chodź do mnie – poprosiła Mitzi. Wyciągnęła rękę i niemal wbrew własnej woli Hal została wciągnięta w uścisk.

Było to niesamowicie dziwne – szczupłe, twarde ciało Mitzi, nie wyższe od Hal, silny zapach jej perfum i lakieru do włosów w nozdrzach dziewczyny, bolesny odcisk grubego naszyjnika na żebrach. A jednak w tym geście było coś tak prostego, tak instynktownie matczynego, że jakoś nie potrafiła się odsunąć.

- Chciałam tylko powiedzieć – szeptała jej Mitzi do ucha, nie próbując ukryć swoich słów przed innymi, tylko kierując je po prostu do Hal, a nie do wszystkich – że to bardzo kochane z twojej strony, to, co powiedziałaś wcześniej, o zmianie testamentu. Cokolwiek zdecydujesz, a nie powinnaś pozwolić się wciągnąć w te wszystkie bzdury ani czuć się odpowiedzialna za to, co zrobiła twoja babcia, bardzo szlachetnie z twojej strony, że tak pomyślałaś.

- Dziękuję – wykrztusiła Hal. Czowała, że ma zdętwiałe i ochryple gardło, położyła palce na ramionach Mitzi, trochę chcąc się uwolnić, a trochę nie potrafiąc się powstrzymać przed odwzajemnieniem jej uścisku.

- *Nie zamierzamy* pozwolić ci się wydziedziczyć – oznajmiła surowo Mitzi, kiedy puściła Hal. - To nie ulega wątpliwości. A niezależnie od tego, co się stanie, masz teraz rodzinę, więc nie zapominaj o tym.

Hal pokiwała głową, zmuszając się do uśmiechu, mimo że cały czas groziły jej łzy. A potem podniosła pudełeczko z kartami, przeprosiła wszystkich i uciekła schodami na górę, do łóżka.

11 grudnia 1994

Moja ciotka wie. Nie wiem skąd – ale wie. Czy Maud się jej wygadała? To się wydaje nieprawdopodobne – jestem pewna, że nic by nie powiedziała, zwłaszcza po tym, jak obiecała. Może Lizzie? Patrzy na mnie tak, jakby połączyła fakty, ale nie wierzę...

Ostatecznie to i tak nie ma znaczenia. Dowiedziała się.

Przyszła do mojego pokoju, kiedy szykowałam się do snu, wpadła bez pukania.

– Czy to prawda?

Byłam na wpół rozebrana, przycisnęłam sobie koszulę do klatki piersiowej, próbując zasłonić spuchnięte piersi i brzuch pod wymówką skromności. Pokręciłam głową, udając, że nie wiem, o co jej chodzi, a ona wzięła zamach i uderzyła mnie w twarz tak mocno, że głowa mi odskoczyła, zadzwoniło mi w uszach, a policzki mi zapłonęły z zaskoczenia tym trzaśnięciem. Koszula upadła na podłogę i zobaczyłam, że na mnie patrzy, na moje zmienione ciało. Złożyła usta w ciup, kiedy zrozumiała, że niepotrzebnie pytała.

– Ty obrzydliwa, mała dziwko. Przyjęłam cię pod swój dach, a ty tak mi się odwdzięczasz?

– Kto ci powiedział? – spytałam gorzko. Podniosłam koszulę i włożyłam ją na siebie, krzywiąc się od palącego bólu policzka.

– To nie twoja sprawa. Kim on jest? – zapytała stanowczo, a kiedy nie odpowiedziałam od razu, chwyciła mnie za ramiona i potrząsnęła mną jak szczurem, aż zęby mi zaszczękały. – Kim jest chłopak, który to zrobił? – krzyknęła.

Znowu pokręciłam głową, starając się nie uciekać przed jej wściekłością, próbując nie okazać strachu. Zawsze się bałam mojej ciotki – ale nigdy nie widziałam jej w takim stanie. Nagle rozumiałam, dlaczego Maud tak bardzo jej nienawidzi.

– N-nie p-powiem ci – wykrztusiłam, chociaż trudno mi było coś powiedzieć. Nie może się dowiedzieć. Jej gniew będzie nie do opisania, a ja już nigdy go nie zobaczę.

Patrzyła na mnie przez dłuższy czas, a potem odwróciła się na pięcie.

– Nie mogę ci ufać. Dowiodłaś tego. Zostaniesz w swoim pokoju, przyniosą ci tu kolację. Możesz tu siedzieć i zastanowić się nad tym, co zrobiłaś oraz jaki

przyniosłaś wstyd tej rodzinie.

Zatrzasnęła drzwi i usłyszałam jakieś chrobotanie, jakby ktoś zdrapywał coś na górze i na dole drzwi. Chwilę mi zajęło, by to zrozumieć, a kiedy do mnie dotarło, przyjęłam to z chłodnym niedowierzaniem. Czy ona... czy ona mnie zamyka?

– Ciociu Hester? – zawołałam, a potem usłyszałam oddalający się dźwięk jej obcasów na korytarzu. Podbiegłam do drzwi, zaczęłam szarpać klamką, walić w drewno pięściami. Nie otworzyły się. – Ciociu Hester? Nie możesz tego zrobić!

Ale nie padła żadna odpowiedź. Jeśli mnie słyszała, to nie zareagowała.

Nadal pełna niedowierzania próbowałam otworzyć drzwi siłą, opierając się o nie z całą swoją mocą, ale zasuwki nie puściły.

– Maud! – krzyknęłam. – Lizzie?

Czekałam. Nikt nie odkrzyknął, usłyszałam tylko trzaśnięcie drzwi. Nie byłam pewna których, ale pomyślałam, że to mogły być drzwi u dołu schodów na strych. Zawładnęło mną poczucie kompletnej beznadziei, kiedy zrozumiałam. Była prawie dwudziesta. Lizzie już dawno poszła do domu. A Maud – nie wiedziałam, gdzie ona była. W łóżku? Na dole? Tak czy inaczej, mało prawdopodobne, żeby mój głos pokonał dwie pary drzwi oraz labirynt korytarzy tego pełnego zakamarków domu.

Nie wołałam pani Warren. To nie miało sensu. Nawet gdyby usłyszała, toby nie przyszła.

Podszłam do okna i wyjrzałam w cichą, księżycową noc – jej spokój stanowił straszny kontrast dla mojego obolałego gardła i posiniaczonych od walenia w drzwi palców.

I wtedy do mnie dotarło.

Byłam w pułapce. Zupełnie uwięziona. Mogła posłać Maud do szkoły, zwolnić Lizzie, a mnie trzymać tutaj przez... jak długo? Tyle, ile zechce – taka prawda. Mogła mnie tu trzymać, aż urodzi się dziecko. Albo mogła mnie głodzić, póki go nie stracę.

Ta prawda sprawiła, że coś wewnątrz mnie osłabło i zmiękło ze strachu. Powinłam być silna – silna dla siebie i mojego dziecka. Ale nie byłam. Ten dom skrywa sekrety, teraz o tym wiem. Jestem tu już na tyle długo, że słyszałam opowieści o nieszczęśliwej służącej, która powiesiła się w komórce, oraz o małym chłopcu, który zatonął w jeziorze.

Moja ciotka jest kimś. Ja jestem nikiem. Nie mam tu przyjaciół. Jakie to by było proste, powiedzieć, że... wyjechałam. Uciekłam w nocy. Nikt nie robiłby problemu. Maud mogłaby zadawać pytania, ale pani Warren przysięgłaby, że widziała, jak wychodzę, jestem tego pewna.

Jeśli tak postanowi, może po prostu zamknąć drzwi i wyrzucić klucz. A ja nie będę mogła nic zrobić.

Opadłam na kolana przy oknie, księżycowe światło zalewało pokój, a ja sięgnęłam rękoma do twarzy, poczułam mokre łyzy oraz chłodną twardość

pierścionka, który nadal nosiłam, zaręczynowego pierścionka mojej matki. Był to brylant – tylko że bardzo mały. A kiedy tak klęczałam w świetle księżyca, coś mi przyszło do głowy, jakieś pragnienie pozostawienia śladu, choćby małego, czegoś nieusuwalnego, niezależnie od tego, co ona mi zrobi.

Zdjęłam pierścionek i bardzo powoli zaczęłam skrobać nim po szybie, patrząc, jak światło księżyca podświetla litery niczym biały ogień. POMÓŻ... MI...

Rozdział 26

Na górze w swoim pokoju Hal leżała płasko na plecach, z ramieniem zarzuconym na oczy, by osłonić się przed światłem księżyca, i nie mogła zasnąć.

Nie chodziło tylko o to światło, dotkliwie jasno przebijające przez cienkie zasłony. Nie ciążyło jej to ostatnie czytanie, a w każdym razie nie wyłącznie to czytanie. Tylko wszystko. Wyraz twarzy Abla, kiedy uciekał. Irytacja Edwarda. Szeptane słowa Mitzi, kiedy przytulała Hal...

„Zmiana testamentu”. Ta myśl była jak pętla wokół szyi Hal, jeszcze nie ciasna, ale powoli się zaciskająca i już sprawiająca, że trudno jej było oddychać. Kiedy to wcześniej zaproponowała, wydawało jej się to takim prostym rozwiązaniem – odmówić spadku, ulotnić się do Brighton i zniknąć z ich życia.

Ale ostatnie słowa Mitzi – wypowiedziane z takim miłym zamiarem – utwierdziły ją w przekonaniu, że to się nigdy nie wydarzy. Nawet gdyby zrzekła się tego dziedzictwa, utknie w sieci biurokracji, dokumentów i dowodów tożsamości – ta plątanina rodzinnych sympatii i niechęci wciągnęła ją podobnie jak resztę. Ale co mogła zrobić? Jedyным wyjściem było przyznanie się do oszustwa.

Westchnęła i przewróciła się z pleców na brzuch, przyciskając twarz do świeżej, białej poszewki na poduszkę i próbując uciec przed światłem księżyca przebijającym się przez cienkie zasłony. Rzuciło długie, ciemne cienie krat na łóżko, a kiedy Hal zamknęła oczy, nagle wstrząsnął nią obraz samej siebie, jak wyglądałaby oczyma kogoś stojącego po drugiej stronie pokoju – zupełnie jak ta dziewczyna z Dziesiątki Mieczy.

Zdrada. Oszustwo za plecami. Porażka.

Przeszedł ją dreszcz strachu i nagle poczuła, że już nie da rady dłużej leżeć. Usiadła, drżąc z zimna, a potem podniosła się z łóżka i powoli

podeszła do okna. Stała tam, wyglądając przez kraty na krajobraz skąpany w świetle księżyca.

W nocy wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Szmaragdowa zieleń i skąpane w deszczu odcienie niebieskiego zmieniły się w tysiące wariantów czerni, a światło księżyca dawało tylko tyle, że rzucało długie, koślawe cienie, które dla Hal bez okularów wyglądały na zatarte i udziwnione. Nawet dźwięki brzmiały inaczej. Zniknął warkot pojedynczych samochodów jadących drogą wzdłuż wybrzeża, ucichły też skrzeki srok – Hal słyszała tylko dalekie rozbijanie się fal o brzeg oraz pohukiwanie polującej sowy. Zaciśnęła palce na kratkach okna i oparła czoło na szybie, żałując, że nie znajduje się setki kilometrów stąd, w swoim domu w Brighton, z dala od tej koszmarniej gmatwaniny kłamstw i zgadywań.

POMÓŻ MI.

Litery wyraźnie i jasno wyróżniały się w świetle księżyca i Hal nagle zrozumiała, bez cienia wątpliwości, że musiały zostać wydrapane w taką noc jak ta, przez kogoś jeszcze bardziej zdesperowanego od niej.

Może tamta dziewczyna nie miała tyle szczęścia. Może jej kajdany nie znajdowały się tylko w głowie, lecz istniały dosłownie. Może siedziała tutaj, wyglądając na oszroniony trawnik i zastanawiając się, jak lub w ogóle **czy** zdołałaby uciec.

Cóż, Hal nie była w pułapce. Jeszcze nie. Nadal miała czas.

Najciszej, jak umiała, ściągnęła piżamę i z powrotem ubrała się w dzinsy, koszulkę oraz sweter z kapturem. Potem wyciągnęła spod łóżka walizkę, unosząc ją tak, żeby jak najmniej hałasowała na gołych deskach.

Jej zapasowe ubrania były już w środku, starannie podzielone na czyste i używane. Do spakowania pozostały tylko kosmetyczka, książka i laptop.

Kiedy zapinała walizkę, drżały jej dłonie. Naprawdę zamierza to zrobić.

„Nie jesteś im nic winna” – powiedziała do siebie. „Niczego nie wzięłaś. Jeszcze nie”.

A poza tym, co najgorszego mogliby zrobić? Mieli jej adres, ale nie wyglądało na to, żeby mogła tam długo zostać, skoro namierzili ją już goryle pana Smitha. Może najlepiej byłoby, gdyby całkiem zniknęła; po prostu zbierze swoje rzeczy – najważniejsze dokumenty, zdjęcia matki – i rozpocznie nowe życie. Są inne miasta. Inne mola.

Pomysł zaczęcia od nowa ją przerażał. Pomyślała o zgarbionych postaciach na chodnikach w Brighton, ludziach takich jak ona, którzy po

prostu podjęli ryzyko – i potknęli się, spadli w przepaść, skończyli bezdomni, samotni, pozbawieni przyjaciół.

To było ryzyko – prawdziwe ryzyko. Hal nie miała żadnego zabezpieczenia – nikt jej nie złapie, jeśli upadnie. Przez chwilę wydawało się, że Treswick obiecywał jej zupełnie inne życie, takie z oszczędnościami, poczuciem bezpieczeństwa i stabilizacją. Ale tamta chwila, tamta obietnica – przepadły. Hal nie wiedziała, czy to wina wcześniejszych słów Mitzi, czy śladów wydrapanych na okiennej szybie, ale coś w jej wnętrzu skryzalizowało się w chłodne, twarde postanowienie. Musiała stąd uciec.

Wszystko było spakowane – prawie. Na końcu Hal włożyła okulary na nos, sięgnęła po karty tarota i wsunęła je do tylnej kieszeni dżinsów.

Potem przekręciła gałkę i popchnęła drzwi.

Nic się nie wydarzyło.

Poczuła, jak zamiera jej oddech, a serce nagle zaczęło walić boleśnie szybko.

Zasuwy. Zasuwy na zewnątrz.

Ale nie – to nie było możliwe. Usłyszałaby. Na pewno by usłyszała? Ale kto – *dłaczego?*

Zmuszając się, by oddychać powoli i miarowo, cicho odstawiła walizkę na podłogę, otarła spocone dłonie o tylne kieszenie dżinsów i spróbowała znowu.

Gałka się przekręcała, ale drzwi nadal nie otwierały się po popchnięciu. Odginały się u góry, ale utknęły na dole.

Oddech Hal przyspieszył, ale zmusiła się, żeby zwolnić – pomyśleć racjonalnie. „Nie ma powodu, by ktokolwiek cię zamykał. Panikujesz tylko dlatego, że zobaczyłaś te zasuwę. Wczoraj nawet nie przyszłoby ci to do głowy. Pamiętaj, co powiedziała pani Warren – futryny puchną od wilgoci”.

Wzięła głęboki wdech, przekręciła gałkę klamki i pchnęła drzwi tak mocno, że przy ich krawędzi ukazała się szpara. Potem oparła stopę o tę część, która nadal nie ustępowała, i przeniosła na nią ciężar ciała, powoli i miarowo, starając się nie wykonywać żadnych gwałtownych ruchów, które mogłyby obudzić śpiących na dole.

Drzwi zaprotestowały długim skrzypnięciem, a potem ustąpiły z impetem, który sprawił, że Hal poleciała naprzód. Zakryła sobie usta dłonią.

Odczekała, nasłuchując protestów, odgłosów kroków na schodach... Ale nic się nie wydarzyło i w końcu zebrała się na odwagę, by podnieść walizkę i na palcach wyjść na zewnątrz. Kiedy opuszczała ten mały, goły pokój, nie mogła się powstrzymać, by nie spojrzeć za siebie, sprawdzić, czy...

Ale nie. Zachowywała się paranoicznie. Zasuwy były odsunięte, nietknięte. Było tak, jak powiedziała wcześniej pani Warren – to wina wilgoci i niczego poza tym.

Mimo wszystko. Hal nie chciała już dłużej spać w domu, w którym drzwi można zamykać od zewnątrz.

Trzymając przed sobą walizkę niczym tarczę, by zdołała się zmieścić na wąskich schodach, którymi Hal schodziła, najszybciej, jak zdołała, zeszła na korytarz piętro niżej, a stamtąd długą, krętą klatką schodową na parter, w kierunku wolności.

13 grudnia 1994

Muszę stąd uciec.

MUSZĘ stąd uciec.

Słowa, które wydrapałam na oknie, wydają mi się teraz drwiną. Przyznaniem do porażki. Ponieważ nikt nie może mi pomóc, poza mną samą.

Minęły już trzy dni, odkąd zostałam tu zamknięta, i jeśli nie liczyć pospiesznych, szeptanych rozmów z Maud, nie widziałam się z nikim poza moją ciotką. Przynosi mi tace o dziwnych porach, a czasem wcale, pozostawiając mnie tu przerażoną i głodną.

I zawsze, zawsze pada to samo pytanie. Kim on jest? Kim on jest? Kim on jest?

Dzisiaj, kiedy odmówiłam odpowiedzi, znowu mnie uderzyła, a moja głowa odskoczyła z taką siłą, że usłyszałam chrupnięcie w szyi. Kość policzkową rozpałił mi gorący rumieniec, rozlał się po twarzy aż na ucho, w którym zaczęło mi dzwonić z bólu.

Zatoczyłam się do tyłu na ramę łóżka i spojrzałam z dołu na ciotkę, jedną ręką przytrzymując się metalowego wezglowia, a drugą przyciskając do twarzy, jakbym chciała utrzymać wszystkie kości na swoich miejscach. Przez chwilę wydawała się nawet przestraszona – nie bała się mnie, tylko tego, co zrobiła, co mogła zrobić. Wydaje mi się, że straciła nad sobą panowanie – być może po raz pierwszy, odkąd ją znam.

Potem odwróciła się na pięcie i wyszła, a ja usłyszałam chrobotanie zasuw, po czym jej kroki zastukały na schodach.

Opadłam na łóżko. Ręce mi się trzęsły i poczułam falę skurczów w brzuchu, a po niej przyplływ mdłości. Na początku myślałam, że może właśnie tracię dziecko, ale siedziałam w milczeniu, czekając, a ból ustąpił, chociaż gorąco oraz brzęczenie w uchu pozostały.

Chciałam zacząć pisać w dzienniku, tak jak zawsze, kiedy życie mnie przytłacza – przelać to wszystko na kartki, co przypomina trochę upuszczanie krwi, pozwolić, by atrament i papier nasiąkły całym moim żalem i złością. Dzięki temu znowu będę mogła sobie radzić dalej.

Ale kiedy wyjęłam zeszyt z kryjówki pod luźną deską w parkiecie, przejrzałam na oczy.

Nie mogę jej powiedzieć prawdy. Nie dlatego, że jeśli to zrobię, mogę go już nigdy nie zobaczyć. Dlatego, że naprawdę zaczynam się bać, że w takim wypadku mogłaby mnie po prostu zabić. A po dzisiejszym zajściu po raz pierwszy naprawdę pomyślałam, że jest do tego zdolna.

Nie może mnie zmusić, żebym się przyznała – ale jeśli przeszuka mój pokój, nie będzie musiała. To wszystko tu jest.

A zatem, kiedy skończę ten wpis, rozpalę ogień, a potem wyrwę każdą stronę o nim, wydrę jego imię, oderwę każde odniesienie do niego i spalę te kartki.

Ponieważ, cokolwiek ona mi zrobi, nie zmusi mnie do wyznania. Muszę się po prostu trzymać, póki go nie zobaczę – a potem zdecydujemy, co zrobić, razem. Jakoś mu to wyznam. Może mogłabym mu przekazać list przez Maud. W końcu mam tu papier i długopisy. I mogę jej zaufać – a przynajmniej... przynajmniej mam nadzieję, że mogę.

On na pewno przyjedzie, kiedy dostanie ten list. Przyjedzie. Musi. A potem – pojedziemy gdzieś, uciekniemy razem. Coś wymyślimy.

Muszę się tylko trzymać tej myśli.

Muszę się tylko trzymać.

Rozdział 27

Schody przenikliwie zaskrzypiały, kiedy Hal schodziła na dół, wstrzymując oddech na każdy dźwięk, na krzyk sowy polującej w ogrodzie, na kapanie odległego kranu.

W końcu zeszała do przejścia na parter i z walizką w dłoni, żeby nie ryzykować hałasu toczących się kółek, ruszyła na palcach w stronę holu wejściowego, gdzie szyby nad drzwiami rzucały księżycowe krzyże na podłogę naprzeciwko.

Drzwi były zaryglowane na górze i na dole, więc Hal musiała się mocować ze sztywnymi zasuwami, ale po chwili przejmującej ciszy, która zdawała się trwać całe wieki, udało jej się je wysunąć. Przekręciła gałkę drzwi.

Były zamknięte. Nie było klucza. Hal rozejrzała się po holu wejściowym – zajrzała pod srebrną tracę, na której leżały listy i rachunki. Za zakurzony wazon z uschłymi liśćmi. Na nadprożu drzwi. Żadnego klucza. *Żadnego klucza.*

Serce jej teraz waliło. Ucieczka z tego domu z tęsknoty stała się teraz koniecznością. Jeśli ktoś się teraz na nią natknie, wykradającą się po nocy z domu jak złodziej, mógłby wezwać policję. Ale teraz to już nie miało znaczenia. Liczyła się tylko ucieczka.

Hal rozejrzała się po korytarzu, a potem podniosła walizkę i wycofała się do salonu. Tamtejsze wysokie okna były zamknięte i zasłonięte okiennicami, ale od środka. Po dłuższym szarpaniu się ze skoblem ten ostatni ustąpił z nagłym hukiem i okiennica otworzyła się. Poza tym samo okno było zamknięte na zwykły haczyk. Hal uniosła go, a jej serce zaczęło bić szybciej, częściowo z ulgi, częściowo z oczekiwania. Skrzydła otworzyły się do środka, do pokoju, wpuszczając powiew mroźnego

powietrza, a Hal wyjrzała w noc, upewniając się, czy nie spadnie z wysokości dwóch metrów.

Było tam trochę niżej; około metra pod nią znajdowała się weranda, więc ostrożnie opuściła swoją walizkę, a potem uklękła, żeby samej się wydostać.

– No pięknie. Wymyka się w nocy. Tchórz.

Hal poderwała głowę, krążenie nagle jej przyspieszyło ze strachu.

– Kto to? – spytała ostro. Strach sprawił, że jej głos zabrzmiał bardziej agresywnie, niż zamierzała, ale osoba po drugiej stronie pokoju tylko się zaśmiała i weszła w snop księżycowego światła.

Tak naprawdę Hal wcale nie musiała pytać. Wiedziała, kto to był – ktoś inny skradałby się tak cicho po ciemnych pokojach w środku nocy?

Pani Warren.

– Nie powstrzyma mnie pani – ostrzegła Hal. Buntowniczo zadarła brodę. – Wychodzę.

– A kto powiedział, że będę cię powstrzymywać? – spytała pani Warren. Miała wykrzywione usta, a w jej głosie pobrzmiwał pogardliwy śmiech. – Powiedziałam ci już raz, żebyś się wynosiła, i powtórzę to teraz. Nic tu po tobie. Nic tu po tobie, tak jak nic tu po twojej nędznej matce.

– Jak pani śmie! – Hal zauważyła, że drży jej głos, nie ze strachu, tylko ze złości. – Co pani może wiedzieć o mojej matce?

– Więcej od ciebie – odparła pani Warren. Nachyliła się do Hal, głos miała tak pełen jadu, że Hal aż się cofnęła. – Była małym tchórzem bez ikry. Przebiegła naciągaczka, zupełnie jak ty.

Hal zgramoliła się z okna i opadła na kolana. Była tak wściekła, że dzwoniło jej w uszach, dopadła ją jakaś sycząca furia. A właściwie mieszanka furii i... szoku.

– Proszę się nie ważyć mówić w ten sposób o mojej matce. Nie wie pani, przez co przeszła, żeby mnie wychować.

– Nie pouczaj mnie w sprawach, o których nie masz pojęcia. Wynos się. Nie powinnaś była tu nigdy wracać.

Po tym zatrzasnęła okno tak, że Hal zdążyła w ostatniej chwili zabrać palce, nim opadła na nie ciężka rama.

Kątem oka zobaczyła twarz pełną jadowitej nienawiści, po czym zasunęła się też okiennica, a Hal usłyszała stuknięcie i chrobot zamykanej zasuwki.

Przez chwilę stała, serce waliło jej mocno w piersi. Zauważyła, że objęła się ramionami, jakby próbowała się przed czymś osłonić – chociaż nie wiedziała, przed czym. Kiedy serce jej zwolniło, opuściła ręce na boki i zmusiła się, by oddychać wolniej oraz głębiej.

Dzięki Bogu. Dzięki Bogu, że wydostała się z tego straszego domu, uciekła od tej strasznej kobiety. Niech sobie piszą. Niech jej szukają, nie obchodzi jej to. Nie mogą jej zmusić do powrotu. Nie mogą jej zmusić do niczego. Może się przeprowadzić – zmienić adres – zmienić nawet nazwisko, jeśli będzie trzeba.

Podniosła walizkę i zaczęła iść podjazdem na główną drogę, żeby spróbować złapać autostop do Penzance. Pomyślała, że co do jednej rzeczy pani Warren miała rację. Nie powinna była tu przyjeżdżać.

Dopiero później, dużo później, po podwózce wielką ciężarówką na trasie do St. Ives oraz wykładzie od jej kierowcy na temat osobistego bezpieczeństwa, kiedy siedziała skulona przed wejściem na dworzec w Penzance, owinięta płaszczem, i czekała, aż otworzą się drzwi oraz przyjedzie pierwszy pociąg do Londynu, miała czas zastanowić się nad słowami pani Warren i zrozumieć, co się kryło pod wyszczykanymi wyzwiskami.

„Przebiegła naciągaczka”.

„Nic tu po tobie, tak jak nic tu po twojej nędznej matce”.

Te słowa mogły oznaczać tylko jedno: pani Warren wiedziała. Znała prawdę.

Wiedziała, że matka Hal nie była córką pani Westaway, tylko ciemnooką, stukniętą kuzynką, przyjętą jako sierota.

A więc wiedziała, że Hal była oszustką.

Ale nic nie powiedziała. Dlaczego?

Ta zagadka tłukła się Hal po głowie od ostatniego wieczoru, dziewczyna obracała ją i wykręcała w wyobraźni, kształtując i przerabiając z tuzin różnych możliwości. Jednak dopiero kiedy drzwi dworca się otworzyły, a Hal wstała sztywno, rozciągając zmarznięte, zdrętwiałe kończyny, i spróbowała się uśmiechnąć do pracownika dworca, ostatnie słowa pani Warren znów rozbrzmiały jej w głowie, niczym zgorzkniałe echo.

Nie powinna była przyjeżdżać. To prawda. Ale to nie było do końca to, co powiedziała pani Warren.

Powiedziała, że nie powinna była tam *wracać*.

Rozdział 28

Tamte słowa utkwily Hal w głowie i dręczyły ją przez całą długą podróż do Londynu.

Wracać. O co jej chodziło? Czy to było przejęzyczenie?

Czy to możliwe, że odwiedziła Trepassen jako dziecko, zbyt małe, by to pamiętać? Ale jeśli tak, to pani Warren musiała znać całą prawdę o jej matce. Dlaczego w takim wypadku nic nie powiedziała? Może też miała coś do ukrycia?

Nagle Hal zapragnęła być już w Brighton. Nie tylko zatęskniła za domem – ale chciała przejrzeć papiery ukryte pod łóżkiem.

Było tam wiele rzeczy, do których nigdy nie zaglądała – pudła z dokumentami i starymi listami, pamiętniki i pocztówki. Rzeczy, które były dla Hal zbyt bolesne, by czytała je po śmierci matki, ale których nie umiała wyrzucić. Spakowała je wszystkie i schowała, żeby na nie nie patrzeć, przygotowane na dzień, w którym będzie miała powód, by do nich zerknąć.

I teraz nadszedł ten dzień. Bo Hal była pewna jednego. Jej matka *miała* jakiś związek z tamtym domem. Podobnie Hal. Na pewno nie była wnuczką pani Westaway. Ale *była* jakąś krewną. A jeśli jej matka była związana z tamtym miejscem, to ona też. I bardzo chciała się dowiedzieć, co to był za związek.

Nadeszło popołudnie, kiedy Hal dotarła do swojego mieszkania. Nogi ją bolały od niesienia walizki całą drogę z dworca w Brighton. Nie miała pieniędzy na taksówkę, a skończył jej się bilet miesięczny.

Kiedy zbliżała się do Marine View Villas, zauważyła, że serce mocno wali jej w piersi – i to nie tylko z powodu długiego spaceru. Przy każdym

kroku słyszała w głowie świszczące słowa: „połamane zęby...”, „połamane kości”.

– Przestań – powiedziała na głos, przechodząc przez ulicę, a jakiś chłopak, na oko piętnastolatek, obejrzał się na nią krzywo.

– Mam osiemnaście lat. Nie będziesz mi mówić, co mam robić.

Hal pokręciła głową, dając znać, że niezależnie od tego, co ma na myśli, jej to nie obchodzi. Ale już go nie było, a ona skręcała na swoją ulicę i serce biło jej tak szybko, że robiło jej się niedobrze.

Kiedy dotarła do wąskich drzwi wejściowych, zobaczyła, że nie ma na nich żadnych śladów włamania, ale zamiast je otworzyć, zadzwoniła dzwonkiem do mieszkania na parterze.

Mężczyzna, który jej otworzył, wyglądał na zaskoczonego, zresztą nie było w tym nic dziwnego. Hal go nigdy wcześniej nie widziała.

– Tak? W czym mogę pomóc?

– Och... przepraszam. – Zmieszła się. Zamierzała poprosić Jeremy’ego, który tu mieszkał, żeby poszedł z nią na górę do jej mieszkania. – Nie wiedziałam... Jest tu Jeremy?

– Ten gość, który tu wcześniej mieszkał? Nie wiem. Wprowadziłem się tu dopiero tydzień temu. Jesteś jego znajomą?

– Tak... nie. Nie do końca. – odpowiedziała. – Podniosła walizkę, czując ból w stopach. – Mieszkam tu, na górze.

– Och. Dobrze. No to następnym razem pamiętaj o kluczu, co? Akurat uderzyłem w kimono.

– Mam swój klucz. Nie o to chodzi. Po prostu zastanawiałam się... nie widziałeś, żeby ktoś tu się kręcił? Jakiś łysy facet w typie bramkarza?

– Nie wydaje mi się – rzucił krótko mężczyzna. Stracił już zainteresowanie i cofnął się do swoich drzwi, chcąc po prostu wrócić do łóżka. – Jakiś były?

– Nie. – Hal poprawiła uchwyt na walizce, zastanawiając się, na ile szczerości może sobie pozwolić. – Nie, ja... właściwie to jestem mu winna trochę kasy. A on nie jest zbyt... wyrozumiały.

– Ohooo... – Mężczyzna uniósł dłonie, pokazując Hal ich wnętrza. Teraz naprawdę się wycofał. – To ja się w to nie mieszam. Twoje pieniądze, twoja sprawa.

– Nie proszę, żebyś się mieszał – odparła ze złością Hal. – Chciałam tylko wiedzieć, czy kogoś takiego nie widziałeś.

- Nie - rzucił mężczyzna i zamknął jej przed nosem drzwi swojego mieszkania.

Hal wzruszyła ramionami i westchnęła. Nie było to zbyt krzepiące, ale nie mogła liczyć na nic więcej.

Kiedy wspinała się po schodach do swojego mieszkania na poddaszu, walizkę trzymała przed sobą niczym tarczę i przyszedł jej do głowy świeży, wyraźny obraz tej wąskiej klatki schodowej w Kornwalii oraz dziewczyny znikającej na górze w ciemności. Kiedy przeszedł ją dreszcz, nie był spowodowany wyłącznie myślą o tym, co może ją czekać na górze.

Na szczycie przystanąła, próbując uspokoić oddech. Nasłuchiwała jakichś dźwięków dochodzących zza drzwi. Były zamknięte na klucz i nie nosiły żadnych śladów wdarcia się tam siłą, ale w końcu poprzednim razem też wyglądały w porządku. Skoro weszli już raz, mogą to zrobić ponownie.

Uklękła i zajrzała pod drzwi, ale poczuła tylko chłodny powiew na twarzy. Przez wąską szparę nie było widać żadnych oznak ruchu, żadna stopa nie stała po cichu po drugiej stronie wejścia.

W końcu, z telefonem w dłoni niczym bronią i palcem nad klawiszem dziewiątki, najciszej, jak umiała, wsunęła klucz do zamka, po czym przekręciła go i otworzyła drzwi jednym zwinnym ruchem, mocno uderzając nimi o ścianę pokoju, co poniosło się echem po cichym korytarzu.

Mieszkanie było puste i pogrążone w ciszy, jeśli nie liczyć walącego serca Hal. Nie usłyszała żadnych kroków. Jednak mimo tego nie odłożyła telefonu, dopóki nie sprawdziła wszystkich zakamarków, poczynając od łazienki, przez szafę, a kończąc na wnęce za drzwiami do salonu, gdzie trzymała odkurzacz.

Wtedy, dopiero wtedy, krącenie jej się trochę uspokoiło i zamknęła drzwi, zablokowała je łańcuchem i zasuwą, po czym opadła na kanapę i zaczęła przecierać twarz drzącymi dłońmi.

Nie mogła tam zostać, to akurat było oczywiste.

Rzadko płakała, ale kiedy tam usiadła, na tej wytartej, starej sofie, po której skakała jako dziecko, przed zimnym piecykiem gazowym, w którym jej matka rozpalała tyle razy popołudniami po szkole, poczuła, jak płacz ściska jej gardło, a kilka łez żalu nad sobą spłynęło jej po nosie. Ale wzięła głęboki oddech i otarła je. To nie wystarczy. To nie pomoże. Musi działać dalej.

Najpierw jednak chciała poznać prawdę, znaleźć odpowiedzi na pytania, które zadawała sobie od chwili, w której przyszedł list od Treswicka. Miała już dość kłamstw i oszukiwania. Nadszedł czas prawdy.

Burczało jej w brzuchu, więc zrobiła sobie tost i zabrała go do sypialni. Wyjęła pudełko spod łóżka, obróciła je do góry dnem i wysypała zawartość na dywan, a potem zaczęła ją przeglądać.

W ten sposób na wierzchu znalazły się najstarsze dokumenty – nieaktualne paszporty, wyniki egzaminów, stare listy, zdjęcia – chociaż daty się mieszały; zawartość pudła była zbyt wiele razy przekładana z szuflady do szuflady, by zachować dokładną kolejność chronologiczną. Hal otworzyła przypadkową kopertę, ale nie znalazła tam niczego ciekawego, tylko jakieś stare wyciągi bankowe z rachunku matki.

Pod spodem leżał plik dziecięcych zdjęć – prawdopodobnie jej samej, około półrocznej, uśmiechającej się do niewidocznego fotografa. Kolejna koperta zawierała oryginalną umowę najmu mieszkania, atrament już wyblakł, a zszywacz w rogu zaczął rdzewieć. Data podpisu to styczeń 1995 roku, czyli kilka miesięcy przed narodzinami Hal. Jej mama zgodziła się na kwotę sześćdziesięciu funtów tygodniowo. Wydawało się to niesamowicie mało, nawet jak na tamte czasy, i Hal pomyślała, że mogłaby się roześmiać, gdyby nie była tak bliska płaczu.

Nie mogła tego zrobić. Nie mogła zacząć się nad sobą użalać. Następnego dnia robi plan – znajdzie miejsce, w które mogłaby się udać, ale do tego czasu musi się skupić na obecnym zadaniu. Nie może zabrać tego wszystkiego ze sobą, i tak będzie miała problem z pakowaniem własnych ubrań i innych niezbędnych rzeczy. A więc – stos przedmiotów, które można odłożyć do recyklingu. I osobny na rzeczy, które musi zachować. Może zrobić osobną kupkę na dokumenty związane z matką, osobną na papiery mieszkaniowe i jeszcze osobną na te najważniejsze – paszporty, akty urodzenia, wszystko, czego może potrzebować, by zacząć nowe życie. A na końcu wyłoży na łóżko wszystko, co się kojarzy z Kornwalią oraz domem Trepassen, choćby tylko luźno. Może coś tu będzie, jakieś powiązania z Westawayami, które dadzą jej punkt oparcia potrzebny, żeby wydostać się z tego zamieszania.

Jako pierwsza na łóżko trafiła pocztówka. Strona na tekst była pusta, ale kiedy Hal ją obróciła, usiadła z wrażenia na widok obrazka. Widniało na niej Penzance. Poznała port. Kartka była podzielona na cztery sektory, Penzance znajdowało się na dole po lewej, Góra św. Michała wyżej po

prawej, a oprócz tego jeszcze dwa niezidentyfikowane cyple, których Hal nie rozpoznała. Może nie miało to wielkiego znaczenia, ale *był* to jakiś dowód, chociaż słaby.

Jednak serce podskoczyło Hal dopiero przy listach – całym pliku związanym sznurkiem. Adresatem była Margarida Westaway pod jakimś adresem w Brighton, którego Hal nie знаła, a pieczęć pocztowa pochodziła z Penzance. Hal zajrzała do pierwszego, ale nie było tam adresu zwrotnego, a atrament tak wyblakł, że z trudem odczytywała słowa.

„Piszę przez Lizzie...” – tu Hal nie mogła czegoś rozczytać. „Proszę, nie martw się o kaucję, mam trochę pieniędzy po rodzicach, a poza tym będę... O Boże, nie wiem. Będę przepowiadać przyszłość na molu w Brighton albo czytać z dłoni nad brzegiem morza. Cokolwiek, byle uciec”. Było ich więcej, dużo więcej. Ale długie godziny zajęłoby jej odszyfrowywanie niewyraźnego, wyblakłego pisma. Stanowczo odłożyła je na łóżko i przeglądała dalej.

Była zaledwie w połowie pudła, kiedy natrafiła na coś owiniętego w starą ściereczkę. Wydawało się, że to książka. Hal zmarszczyła brwi i podniosła zawiniątko, ale rozwinęło się i na jej kolana upadła – tak, książka. Ale nie drukowana. Dziennik.

Hal podniosła go delikatnie i zaczęła przewracać strony. Spore fragmenty zostały wyrwane – pozostały po nich tylko postrzępione kawałki papieru, a pozostałe strony ledwo się trzymały, bez wsparcia po utracie sąsiednich. Pierwszy pełen wpis pochodził z końca listopada, ale wnioskując po jego położeniu, Hal przypuszczała, że zapiski musiały być prowadzone od października albo września, a nawet wcześniej. Z tamtych miesięcy pozostały jednak tylko fragmenty. Reszta kartek – Hal oszacowała je na mniej niż połowę – była gęsto zapisana, ale nawet tam niektóre części zostały wykreślone, imiona wymazane, całe akapity powyrywane.

Wpisy kończyły się 13 grudnia i dalej już strony były całe, ale puste. Usunięto tylko pojedynczą kartkę na końcu dziennika. Tak jakby piszący po prostu przerwał.

Hal powoli wróciła na początek zeszytu, minęła tekst i przejechała palcami po grubo zamalowanych fragmentach. Kto to zrobił? Autor dziennika? Czy ktoś inny, w obawie, że na tych stronach znajdują się jakieś dowody?

A co najważniejsze, czyj to był dziennik? Pismo przypominało trochę charakter jej matki – ale jego niedojrzałą, nieuksztaltowaną wersję – a na okładce nie widniało żadne nazwisko.

W końcu przeszła do pierwszego całego fragmentu i zaczęła lekturę.

„29 listopada” – odczytała, marszcząc się i próbując odczytać wyblakłe, pozbawione koloru litery, pisane niestarannie. „Sroki wróciły...”

Rozdział 29

Było już prawie ciemno, kiedy Hal w końcu podniosła głowę znad papierów i mrugając, zdała sobie sprawę, jak bardzo przygasło światło, bo musiała wyteńczyć wzrok, by wypatrzeć litery na podartych i pokreślonych stronach.

Ale w końcu wiedziała – miała już odpowiedzi na pytania, które ją nurtowały – a przynajmniej ich część.

Autorką dziennika była matka Hal. I była w ciąży – z Hal. Musiała być. Daty idealnie się pokrywały – Hal urodziła się zaledwie pięć miesięcy po ostatnim wpisie.

Ale kiedy przeszła do salonu, zapalając po drodze światło, wróciła myślami do tego, co przeczytała. Nastawiła czajnik, a kiedy gotowała się woda, znowu przerzuciła delikatne strony, aż natrafiła na wpis, którego szukała, ten z 6 grudnia. A kiedy przeczytała go ponownie, nabrała pewności, która ścisnęła jej żołądek.

Jej matka *wiedziała*, kim był ojciec Hal. A w dodatku Hal została *tam* poczęta, w Trepassen.

Wszystko, co opowiedziała jej matka – ta historia o studencie z Hiszpanii, o spotkaniu na jedną noc – to były kłamstwa.

Ten dziennik wyjaśniał wszystko na wiele sposobów. Pomyłkę w imionach. Powód, dla którego pani Westaway nigdy nie powiedziała Treswickowi o kuzynce czarnej owcy noszącej to samo imię, co jej córka. Odcięła się od swojej krewnej, która przyniosła wstyd rodzinie, i nikt już nigdy więcej o niej nie wspominał.

Ale z drugiej strony dziennik nie tłumaczył niczego.

Dlaczego jej matka kłamała?

I kto *był* jej ojcem?

Gdyby tylko, myślała Hal, wertując podarte, rozpadające się strony, gdyby *tylko* nie usunęła jego imienia i wszelkich informacji o nim. *Dlaczego?*

Tak często zdarzało jej się słyszeć głos matki w głowie – który ją pouczał, karcił, zachęcał – ale teraz, kiedy najbardziej jej potrzebowała, ten głos ucichł.

– Dlaczego? – spytała Hal, i wychwyciła w swoim tonie desperację; w tym, jak to pojedyncze słowo poniosło się echem po pustym mieszkaniu. – *Dlaczego?* Dlaczego to zrobiłaś? – To było wołanie o pomoc, ale nie padła żadna odpowiedź, słyhać było tylko cichutkie tykanie zegara oraz strzyknięcie palców, kiedy zacisnęła je na trzymanym w dłoni dzienniku.

Symbolika była tu boleśnie oczywista – jeśli istnieje odpowiedź na twoje pytania, Hal, to trzymasz ją w dłoniach. Prawie usłyszała głos matki, trochę prześmiewczy. I poczuła, jak zalewa ją wściekłość, że ta prawda zamajaczyła jej tuż przed nosem, po czym zniknęła, podobnie jak spadek, który zamigotał jej na chwilę przed oczyma niczym piękny miraż, a potem rozpląnął się w nicość.

Ale tam nie było odpowiedzi. Jeśli już, to znajdowała się na wydartych stronach. Nawet w tych fragmentach, które pozostały, jej matka zaczerniła imiona i całe akapity.

A Hal *nie miała* czasu. Musiała wyjechać następnego dnia, nim faceci od Smitha zauważą, że ścigana przez nich dziewczyna wróciła.

„Zwolnij” – odezwał się głos matki, tym razem łagodniejszy. „Zastanów się dobrze”.

Mam zwolnić? – chciała wykrzyknąć. *Nie mogę* zwolnić.

„Co nagle, to po diable”.

No dobrze. Więc będzie musiała to rozgryźć, powoli i zgodnie z zasadami logiki.

Nie może być aż tak wielu podejrzanych. Kto mógł być w Trepassen tamtego długiego lata? Bracia?

Wpis z 6 grudnia nadal leżał otwarty na jej kolanach, z opisem wieczoru, podczas którego jej matka, jak założyła Hal, zaszła w ciążę. Hal przeczytała go jeszcze raz i jeszcze raz, ale tym razem zatrzymała się na jednym stwierdzeniu: „nasze oczy się spotkały – niebieskie i ciemne”.

Matka Hal miała ciemne oczy – podobnie jak ona. Co oznaczało, że ten, z którym się przespała, musiał być niebieskookim mężczyzną.

Ezra miał ciemne oczy – co do tego nie ma wątpliwości.

Abel... cóż, to było trudniejsze. Miał jasną karnację, ale jego oczy... Hal przymknęła swoje, próbując sobie przypomnieć. Szarawe? Orzechowe?

Niebieskie oczy w pewnym świetle mogły się wydawać szare, ale mimo starań Hal nie umiała sobie zwizualizować miłej, brodatej twarzy Abła z niebieskimi oczami, ani też nie wyobrażała go sobie w ramionach swojej matki. Chyba coś by *powiedział*, prawda?

Zrozpaczona wyciągnęła z kieszeni zdjęcie – to, które dostała od Abła, zrobione dokładnie tego wieczoru, o którym pisała jej matka.

Był na nim Ezra, z głową odrzuconą do tyłu, śmiejący się z otwartością zupełnie niepodobną do jego obecnego cynizmu, co Hal zauważyła z pewnym smutkiem; jego oczy wyglądały jak radosne szparki. Koło niego siedziała siostra bliźniaczka, Maud, z jej jasnymi włosami spływającymi na plecy.

Był tam też Abel, jego ciemnoblond włosy lśniły w słońcu. Przyjrzała się bliżej, próbując dojrzeć jego twarz w wyblakłych kolorach i wytartych zagięciach starej fotografii, jakby potrafiła zajrzeć poza papier, w przeszłość, na ludzi z tamtych czasów.

Czy to możliwe?

A w takim wypadku... Przerwała, czując coś zimnego na karku, jakby ktoś położył tam lodowatą dłoń. Jeżeli była córką Abła, to może ten spadek miałby rację bytu. Czy to dlatego pani Warren niczego nie zdradziła? Bo ten spadek tak naprawdę *należał się* Hal?

Powinna ucieszyć się z takiego wniosku, ale z jakiegoś powodu poczuła się raczej, jakby dostała cios w brzuch.

Nim złożyła zdjęcie, by je schować, przyjrzała się bardzo uważnie czwartej osobie w kadrze, tej, której wzroku unikała – swojej matce, jej bezkompromisowemu ciemnemu spojrzeniu, patrzącemu na nią z za tych wszystkich lat, które minęły.

„Co próbujesz przekazać?” – pomyślała rozpaczliwie Hal. Poczula, jak jej dłoń zaciska się na starym, kruchym papierze, a kawałki farby odpadają pod czubkami palców.

„Co próbujesz mi powiedzieć?”

Tak jakby jej matka patrzyła z przeszłości, prosto *na* nią.

Ale nie.

Nie na nią.

Na...

Hal trzęsły się ręce, kiedy bardzo ostrożnie odłożyła zdjęcie i zaczęła znowu wertować strony dziennika, do tyłu, do tyłu... nie... za daleko... do przodu.

I w końcu znalazła.

Z kruszejącego hangaru na łodzie Maud odwiązała rozklekotaną łódź płaskodenną i powiosłowaliśmy na wyspę, woda pod kadłubem była cętkowana i brązowa. Maud przywiązała łódź do prowizorycznego pomostu i wysiedliśmy. Maud pierwsza weszła do wody – niczym błysk szkarłatu na tle złotobrazowej wody, dała długiego nurka pod powierzchnię z końca gnijącego drewnianego podestu.

– Chodź, Ed! – zawołała, a on wstał, uśmiechnął się do mnie, po czym ruszył za nią na skraj wody i wskoczył do niej z rozbiegu.

A potem, zaledwie kilka linijek później...

– Zrób zdjęcie... – powiedziała leniwie Maud, kiedy rozciągnęła swoje opalone na miodowy odcień złota kończyny na wyblakłym niebieskim ręczniku. – Chcę zapamiętać ten dzień.

On jęknął, ale wstał posłusznie i poszedł po swój aparat, a następnie go ustawił. Przyglądałam mu się, jak stał za nim, ustawiając ostrość i kręcąc obiektywem.

– Co taka poważna? – spytał, kiedy podniósł wzrok, i zauważyłam, że marszczę się w skupieniu, próbując zapisać sobie jego twarz w pamięci.

Na początku Hal wyobrażała sobie w tej scenie tylko cztery osoby. Jej matkę, Maud, Ezrę i Abła – czworo ludzi w kadrze fotografii. Ale to nie była do końca prawda. Ktoś musiał **zrobić** to zdjęcie. I to był ten człowiek, na którego patrzyła jej matka. Ten sam, z którym później tego wieczoru zeszła na plażę. Jej kochanek. Ojciec Hal.

Dziewczyna gapiała się w zdjęcie, mierząc się z zaciętym, bezpośrednim spojrzeniem swojej matki – i po raz pierwszy odczytała jego intensywność w inny sposób. Nie jako podejrzliwość. Nie wrogość. Tylko – tęsknotę.

Ze wszystkich osób na zdjęciu tylko jej matka patrzyła prosto na fotografa, rzucając mu wyzwanie – kimkolwiek był – swoim wzrokiem, mierząc się z nim na spojrzenia.

Wcześniej Hal odczytała to inaczej – postrzegła związek pomiędzy matką a patrzącym przez pryzmat własnej sytuacji, tak jakby jej matka wyglądała jej z przeszłości.

Ale teraz zrozumiała. To nie na nią patrzyła – bo zresztą jak miałyby to zrobić? Patrzyła na fotografa. To był ojciec Hal. Ed.

Rozdział 30

Tego wieczoru łóżko Hal było tak miękkie i upragnione, jak nigdy dotąd. Wsunęła się pod kołdrę i zamknęła oczy, ale sen nie nadszedł. Nie dlatego, że nie była zmęczona – była, było jej niemal niedobrze ze zmęczenia. Nie chodziło nawet o myśli o facetach od pana Smitha. Zastawiła drzwi wejściowe komodą, poza tym nie sądziła, że mogliby przyjść w środku nocy, ryzykując zbudzenie wszystkich sąsiadów, a w rezultacie telefony na policję.

Przed snem powstrzymywało ją to, że za każdym razem, kiedy zamknęła oczy, wracała pomiędzy karty dziennika, do tamtego klaustrofobicznego, maleńkiego pokoju. Obraz był bardzo wyraźny – wąski strych, zakratowane okno, dwie metalowe zasuwki, górna i dolna... Kiedy opuszczała powieki, te widoki wyrastały jej w głowie, jakby tam wróciła, i czuła przerażenie przyprawiające ją o mdłości. Nie ze względu na swoją matkę – która w końcu uciekła i dotarła tutaj, do Brighton, ułożyła życie sobie i swojemu dziecku z dala od Trepassen. Ale ze względu na pozostałe dzieci – Abla i Ezrę, zamykanych w tym pokoju jako mali chłopcy za karę za przewinienia, których się dopuszczali. A przede wszystkim ze względu na Maud.

Kilka pierwszych razów, gdy Hal czytała wpisy, szukała w nich swojej matki – próbując sobie wyobrazić osobę stojącą z tymi słowami i porównać ją do własnych wspomnień. Potem przeczytała je znowu, wyszukując wzmianek o chłopaku, który mógł być jej ojcem. Ed. Edward? Zauważyła, że przypomina sobie tę opanowaną, przystojną twarz, oceniające niebieskie oczy, próbując wyłowić wszelkie cechy, które należały do niej.

„Chodź, Ed”. Te słowa dzwoniły jej w głowie, jakby jej matka wykrzyczała je głośno w tym maleńkim pokoju.

Ed. To było dość popularne imię. W Kornwalii musiały mieszkać całe tuziny Edwardów, Edgarów i Edwinów. A jednak...

Cały wieczór kartkowała dziennik w tę i we w tę, przeczesując go w poszukiwaniu kolejnych wzmianek, które mogłyby stanowić jakiś dowód, ciągle zmieniała zdanie. Ale jej matka dotrzymała słowa i pomijając tamten drobny szczegół, każde odniesienie do imienia jej ojca zostało wyrwane lub zamalowane.

Teraz jednak, w nocnej ciszy, kiedy Hal po raz kolejny wracała do słów, które już dobrze pamiętała, przyłapała się na tym, że nie szuka wzmianek o Edzie, tylko o Maud.

Jej matka jakoś dziwnie pozostawała w cieniu – może dlatego, że tak wiele wpisów poświęciła innym, ale trudno było połączyć tę niepewną, romantyczną dziewczynę piszącą ten dziennik z silną, praktyczną kobietą, jaką się stała po latach samotnego macierzyństwa. Bez tych dowodów przed oczami Hal nigdy by nie pomyślała, że jej matka mogłaby napisać z takim pożądaniem i pragnieniem o jakimś mężczyźnie. Być może to był pierwszy i ostatni raz.

Ale Maud – Maud była inna. Mimo że Hal tylko przebiegała wzrokiem po stronach, czuła jej nieustanną obecność w tym dzienniku, a kiedy zegar pokazał, że minęła już północ, a o szyby uderzył deszcz, dziewczyna zaczęła szukać w pamięci wszelkich odniesień do tej kobiety.

Nie chodziło tylko o to, że spadek, który został podany Hal na talerzu, należał do Maud. W Maud było coś, co poruszało Hal. Być może chodziło o jej zaciekły upór, niezgodę na bycie tłamszoną, jej pragnienie wolności. A może chodziło o drwiące poczucie humoru albo o jej hojność. Bo miłość i troska Maud o kuzynkę przewijały się przez cały dziennik niczym złota nić, i nawet mimo dwudziestoletniej przerwy jej uwagi wywoływały uśmiech u Hal. Co takiego powiedziała o kartach tarota? „Stek bzdur”, właśnie tak. Było to bliskie temu, co Hal sama myślała, kiedy spotykała się z bardziej gorliwymi wróżbitami – niemal zaśmiała się w głos, kiedy to przeczytała.

Ale co się z nią stało? Z Maud – z prawdziwą Margaridą? Gdzie teraz była? I dlaczego nikt o niej nie mówił? Czy umarła? Albo czy na dobre wyszło jej to, że poprzysięgła sobie uciec? Może zniknęła gdzieś za granicą, zmieniła nazwisko, ułożyła sobie życie. Hal miała taką nadzieję. Ze względu na Maud, ale też dlatego, że to ona знаła prawdę na temat

tego, co się wydarzyło na tych wydartych stronach. Wiedziała wszystko o matce Hal oraz o ojcu.

Abel, Ezra, Harding, Treswick – dzięki Hal wszyscy uwierzyli, że Maud zginęła w wypadku samochodowym trzy upalne lata wcześniej. Tylko Hal знаła prawdę – to nie Maud zginęła, tylko Maggie, jej kuzynka.

Możliwe, a nawet prawdopodobne, że Maud nadal żyła, nadal gdzieś była, nadal skrywała prawdę na temat tego, co się stało z jej kuzynką, oraz sekret dotyczący tożsamości Hal.

Jednak by ją odnaleźć, Hal musiała wrócić. Do Trepassen, gdzie mogłaby zacząć od nowa, pozbierać tropy na temat życia Maud u samego źródła. A był tylko jeden sposób, w jaki Hal zdecydowałaby się to zrobić.

Rozdział 31

Następnego dnia była niedziela. O ósmej Hal zaciągnęła kołdrę do salonu i umościła się na kanapie z kubkiem kawy w jednej dłoni oraz plikiem listów na kolanach.

Na wierzchu leżała wizytówka Hardinga.

Odczekała do dziewiątej trzydzieści, po czym wybrała numer. Włączyła się jednak poczta głosowa i Hal mimowolnie odetchnęła z ulgą, kiedy usłyszała spokojny damski głos automatycznej sekretarki.

– Tu poczta głosowa....

A potem głos Hardinga, lekko nadęty i o pół tonu niższy od jego naturalnego rejestru:

– Hardinga Westawaya.

– Proszę zostawić wiadomość po sygnale – dokończyła kobieta i rozległo się piknięcie.

Hal odkaszlęła.

– Yyy... Wujku Hardingu, tu... Hal. Harriet. Bardzo przepraszam, że wczoraj uciekłam, ale szczerze mówiąc...

Znowu przełknęła. Cały czas od pobudki spędziła na próbach podjęcia decyzji co do tego, co powiedzieć, i ostatecznie postanowiła, że *może* powiedzieć tylko jedno, tylko jedna rzecz uzasadniała jej działania. Prawda.

– Szczerze mówiąc, ja... ja się tym wszystkim naprawdę przestraszyłam. Przyjeżdżając do Kornwalii, w ogóle nie spodziewałam się tego, co odczytał Treswick, i bardzo trudno było mi się pogodzić z testamentem mojej babci. W piątek wieczorem nie mogłam spać i obawiam się, że po prostu... po prostu...

„Piiiiik”. I wiadomość została ucięta, dając do zrozumienia, że za długo się tłumaczyła.

- Aby wysłać wiadomość, wciśnij jeden. Aby nagrać wiadomość od nowa, wciśnij dwa – oznajmił damski głos.

Hal przekląła cicho, wcisnęła jedynekę, a potem rozłączyła się i ponownie wybrała numer. Tym razem niemal natychmiast odebrała poczta głosowa.

- Przepraszam, mówiłam za długo i wiadomość się ucięła. W każdym razie, nie przedłużając, bardzo przepraszam, że wyjechałam, nie uzgodniwszy tego z wami, ale miałam trochę czasu do namysłu i... chciałybym wrócić. Nie tylko dlatego, że rozumiem, iż prawdopodobnie potrzebujecie mojej obecności podczas rozmowy z Treswickiem, ale także... no cóż... mam wiele pytań na temat mojej mamy oraz tego, dlaczego babcia zdecydowała się to zrobić i... no, to tak naprawdę tyle. Mam nadzieję, że mi wybaczycie. Proszę, oddzwon na ten numer i daj mi znać. Cześć. I jeszcze raz przepraszam.

Kiedy odłożyła telefon, poczuła, jak przewraca jej się w żołądku, trochę z nerwów, a trochę z kiepskiego samopoczucia. Czy ona oszalała – żeby wracać?

Być może. Ale nie mogła tu zostać – nie kiedy czekają tu na nią goście od pana Smitha oraz nie poznawszy prawdy na temat własnej przeszłości. Jeżeli spali teraz te mosty, może już się nigdy nie dowiedzieć, co wydarzyło się w Trepassen. Kim naprawdę był jej ojciec.

Dlaczego jej matka skłamała na temat jego tożsamości?

Poprzedniego wieczoru była zbyt zajęta szukaniem odpowiedzi w dzienniku – odpowiedzi, których nie znalazła. Ale teraz to pytanie zaczęło jej ciążyć niczym wstydlivy sekret, domagało się jej uwagi. Z jakiegoś powodu jej matka zdecydowała się nie tylko nie zdradzać Hal prawdy na temat tożsamości jej ojca, ale też poszła o krok dalej – stworzyła całą historię złożoną z kłamstw. Student z Hiszpanii, jednorazowe spotkanie. Nic z tego nie istniało. Ale dlaczego? Po co tak się wysilać, by ukryć przed Hal coś, co miała prawo wiedzieć?

Nim zdążyła się bardziej zagłębić w tę zagadkę, koło nogi zawibrował jej telefon, a przenikliwy dźwięk dzwonka rozbrzmiał z milisekundowym opóźnieniem. Zerknęła na wyświetlacz i ścisnęło ją w żołądku. Harding.

- Ha-halo?

- Harriet! - Głos Hardinga przepełniała obezwładniająca ulga. - Właśnie odsłuchałem twoją wiadomość. Napędziłaś nam wszystkim niezłego stracha, młoda damo.

- Wiem - odparła Hal. - Przepraszam. - Żałowała, szczerze żałowała. - Ja po prostu... jak już nagrałam w wiadomości, byłam tym wszystkim przytłoczona. Trudno jest jednego dnia nie mieć nikogo i przed nikim nie odpowiadać, a drugiego... no cóż.

- Mogłaś chociaż zostawić jakąś wiadomość. Mitzi była przerażona, kiedy poszła na górę cię obudzić i zobaczyła, że twoje łóżko stoi puste, a rzeczy zniknęły. Nie mieliśmy pojęcia, co się stało.

- Wychodząc, spotkałam panią Warren. Nie powiedziała wam? - Wspomnienie tamtego dziwnego, chaotycznego spotkania było jak sen. Czy to się naprawdę wydarzyło? Czy pani Warren naprawdę powiedziała to, co Hal zapamiętała? „Nic tu po tobie. Nic tu po tobie, tak jak nic tu po twojej nędznej matce”. To się wydawało niewiarygodne.

Zapadła niezręczna cisza.

- Pani Warren, mówisz? - odezwał się w końcu Harding. - Nie, nic nie powiedziała. Jakie to dziwne.

- Och. - Hal była zaskoczona. Założyła, że pani Warren pierwsze, co zrobi, to przedstawi własną wersję tej historii. Opowie, jak Hal się wymknęła niczym złodziej w środku nocy, prawdopodobnie z rodzowymi srebrami pod pachą. - Po prostu założyłam... No cóż, powinnam była wcześniej zadzwonić. Przepraszam, wujku Hardingu.

Wujku Hardingu. Dziwne, że te słowa wymknęły jej się tak odruchowo. Jeszcze przed kilku dniami były tak trudne do wymówienia - musiała się zmusić, żeby nazwać go „wujkiem”. A teraz weszło jej to w nawyk. Zaczynała wierzyć we własne kłamstwa.

- No dobrze, nie będziemy już więcej o tym rozmawiać - stwierdził dość pompatycznie Harding. - Ale na Boga, nie uciekaj już więcej w środku nocy. Dopiero co cię znaleźliśmy po tych wszystkich latach i... no cóż... - Przerwał i zakaszłał ochryple, by ukryć emocje, które wyglądały spod jego rzeczowej pozy. - Nie wiem, czy przede wszystkim twoja ciotka by to jeszcze zniosła. Wychodziła dzisiaj z siebie, nie wiedząc, gdzie jesteś, i nie mając żadnej możliwości kontaktu z tobą. A teraz... mówiłaś coś o tym, że wracasz?

- Tak. - Hal przełknęła ślinę. Wolną ręką podniosła pierwszy list z brzegu z kupki leżącej na jej kolanach, po czym złożyła go z powrotem w zagięcia koperty, w której przeleżał tyle lat. - Tak, wracam.

Rozdział 32

Hal nie zastanawiała się, jak zapłaci za bilet z powrotem do Penzance, dopóki na dworcu w Brighton jej karta nie została odrzucona. Odciągnęła swoją walizkę od kasy, purpurowa na twarzy ze wstydu, i zaczęła kalkulować w głowie swoje możliwości, ale znalazła tylko jedną – spróbować znowu przez tamtą aplikację i mieć nadzieję, że strona raz jeszcze sprzeda bilet, nie komunikując się z jej bankiem. Słabe były na to szanse, ale nie miała innej.

Wyciągnęła swój telefon w zacisznym kącie koło stoiska kawiarni i już miała włączyć tamtą aplikację, kiedy zobaczyła nieprzeczytany SMS od Hardinga.

„Droga Harriet” – pisał dość sztywno. „Po konsultacji z Treswickiem chcielibyśmy opłacić ci z góry twoją podróż do Trepassen, ponieważ jest to podróż niezbędna do załatwienia spraw związanych z posiadłością. Załączam kod na opłacony bilet, który powinien działać we wszystkich automatach w Brighton. Zadzwon, proszę, jeśli będziesz miała jakieś problemy. Wujek Harding. PS Abel będzie na ciebie czekał w Penzance”.

Kiedy Hal zamknęła wiadomość, ogarnęło ją przedziwne uczucie – jednocześnie ciepłe i duszące. Czowała się, jakby wokół jej sztywnego i niechętnego ciała owinięto ciepły szalik, tyle że odrobinę zbyt ciasno.

„Pamiętaj, kim jesteś” – pomyślała, przypominając sobie, że powinna napisać wylewną wiadomość z podziękowaniami. „Pamiętaj, że jesteś uległą jak myszka, wdzięczną siostrzenicą”.

Jednak kiedy rzeczywistość jej własnej przeszłości zaczęła się zderzać ze stworzoną przez nią fikcją, coraz trudniej było jej podtrzymać tę rolę. Robiło się coraz łatwiej o potknięcie. Czy ten powrót był szaleństwem?

Kiedy pociąg pędził na zachód, a niebo z każdą chwilą ciemniało, Hal wiedziała, że powinna czytać, szukać, googlować nazwiska,

przygotowywać się do zagłębienia się na powrót w tamtą rolę. Musiała tak wiele się dowiedzieć. Czy Maud dostała się na Oxford? Co się potem z nią stało?

Ale jakoś brakowało jej chęci. Oparła głowę o porysowaną okienną szybę i patrzyła na przewijający się krajobraz. Było zimno i robiło się jeszcze zimniej, kiedy wyjechali z Londynu na wieś, nagie drzewa pokryły się szronem, trawa białą, a kałuże poczerniały od lodu. Każdego innego dnia Hal stwierdziłaby, że to piękne, ale tego myślała tylko o tym wszystkim, co zostawia za sobą oraz czego, być może, już nigdy nie zobaczy – o mieszkaniu, w którym się wychowała, o całej swojej przeszłości. Ruszała teraz naprzód, z każdym kilometrem pokonywanym przez pociąg w kierunku nieznannej przyszłości, a przy sobie miała tylko walizkę ubrań oraz dokumentów.

Ale jednocześnie także wracała do własnej przeszłości – oraz do tych wszystkich pytań bez odpowiedzi, które kotłowały jej się w głowie, a zwłaszcza tego jednego, do którego ciągle wracała, szturchała je i trącała z coraz większym niepokojem, niczym język powracający w kółko do bolącego zęba.

Dlaczego jej matka kłamała?

Jeśli chodzi o dziennik i wszystko w nim, to było jasne. Maggie nie mogła zdradzić ciotce tożsamości ojca swojego dziecka i ryzykować, że już go nigdy nie zobaczy.

Ale dlaczego okłamała także Hal?

Ciągle wracała do tego pytania, z coraz większą niecierpliwością, ale potrafiła wymyślić tylko jeden powód – by ją ochronić.

Ale przed czym?

Było ciemno, kiedy pociąg stanął w Penzance i Hal prawie spała, ale zerwała się i sięgnęła po walizkę, czując ciężar dodatkowych ubrań oraz dokumentów, które tam wepchnęła. Kiedy wysiadła z pociągu na peron, dotknęło ją przedziwne *déjà vu* połączone z niepokojącym odkryciem, jak bardzo wszystko zdążyło się zmienić. Był peron z wielkim zegarem oraz odbijającymi się echem zapowiedziami, i była też ona – w podartych dżinsach oraz ze zniszczoną walizką z drugiej ręki oraz z włosami wpadającymi w oczy.

Ale był też Abel tkwiący na peronie, patrzący na tablicę przyjazdów. Kiedy zobaczył Hal stojącą po drugiej stronie barierki, jego twarz

rozpromienił uśmiech, a on sam zamachał w powietrzu kluczykami do auta.

Kiedy Hal przeszła na drugą stronę, została porwana w zupełnie niespodziewany uścisk, a potem Abel ją puścił i uśmiechnął się, a na jego opalonej twarzy pojawiły się zmarszczki wyrażające ulgę.

– Harriet! Jak dobrze cię widzieć. Napędziłaś nam wszystkim stracha. Ledwo się przyzwyczailiśmy, że jesteś, a potem... No cóż. – Przerwał, a twarz wykrzywiła mu się w smutnym uśmiechu. – Powiem tylko, że dobrze wiedzieć, że nic ci nie jest.

– Przepraszam. – Hal przyglądała się jego twarzy z boku, kiedy powoli szli peronem.

„Czy ty znasz mojego ojca?” – chciała spytać. „Czy to Edward?” Ale te słowa były nie do pomyślenia.

– Nie chciałam nikogo zmartwić. I przepraszam, mój pociąg był opóźniony. – Zerknęła na zegar. Prawie pół godziny po dwudziestej pierwszej. Pociąg miał być o dwudziestej trzydziści. – Długo czekałeś?

Abel pokręcił głową.

– Trochę, ale nie przejmuj się. Szczerze mówiąc, ucieszyłem się z pretekstu, żeby się wyrwać, i wypilem zaskakująco dobrą kawę w kawiarni na stacji. Nie wiem, czy zniósłbym kolejną filiżankę burych zlewek od pani Warren.

W dworcowym świetle oczy Abła były zdecydowanie szare, ale Hal nie mogła się powstrzymać, żeby nie sprawdzić tego znowu, kiedy doszli na parking. Próbowwała ocenić ich kolor przy parkingowych halogenach, kiedy Abel zatrzymał się, by otworzyć smukłe, czarne audi.

Przyląpał ją na tym, że się gapi, a Hal zarumieniła się i spuściła wzrok.

– Mam coś na brodzie? – spytał ze śmiechem. Hal pokręciła głową.

– Przepraszam. Nie... Po prostu... – Przełknęła i poczuła gorąco na policzkach. – Nadal próbuję się przyzwyczaić do myśli, że mam całą tę rodzinę. Trudno to pojąć.

– Potrafię to sobie wyobrazić – odparł Abel. – Nam też jest trochę trudno przywyknąć, a ty jesteś tylko jedna. Dla ciebie musi być to dziesięć razy dziwniejsze, odnaleźć całą rodzinę, o której nie wiedziałaś. – Otworzył drzwi Hal i wziął od niej walizkę, a potem je zatrzasnął. Kiedy przeszedł na stronę kierowcy, zamknął drzwi za sobą i zgasił wewnętrzne światło, pogrążając wszystko w cieniach, podświetlone tylko zielonym blaskiem deski rozdzielczej.

- Abel - zaczęła powoli, gdy wyjechali z miejsca. - Ja... chciałam ci jeszcze raz podziękować za tamto zdjęcie mojej mamy. Nie mam zbyt wielu jej zdjęć, kiedy była w moim wieku, i to dla mnie... Cóż, to wiele dla mnie znaczy, tylko tyle.

- Jasne - odparł swobodnie Abel. - Zerknął we wsteczne lusterko i wrzucił bieg. - Nie ma za co. Ja też niestety nie mam zbyt wielu zdjęć z tamtych czasów. Miałem więcej, ale nie zawsze wiązały się ze szczęśliwymi wspomnieniami, więc nie zachowałem ich tak wiele, jak powinienem. Ale po powrocie do domu będę musiał sprawdzić, czy nie znajdę czegoś jeszcze. Jeśli to będzie coś z twoją mamą, będziesz mogła je zachować.

- Dziękuję - odparła cicho Hal. Kluczyli właśnie po wąskich uliczkach za dworcem, kiedy zebrała się na odwagę.

- Abel, mogę o coś spytać?

- Oczywiście.

- Kto... kto zrobił to zdjęcie? To, które mi dałeś?

- Kto je zrobił? - Abel zmarszczył brwi. - Nie jestem pewien. Dlaczego pytasz?

- Och. - Hal przewróciło się w żołądku, bo przejechali zakręt odrobinę za szybko. - Nie wiem. Tak tylko się zastanawiałam.

- Naprawdę nie pamiętam... - Abel nadal się marszczył i potarł grzbiet nosa, jakby dawał sobie czas do namysłu. - Wydaje mi się... Tak, jestem prawie pewien, że to był Ezra.

Hal przeknęła, czując się, jakby brała właśnie życie w swoje ręce.

- To nie był... to nie był... Edward, prawda?

- *Edward?* - Abel zerknął na nią z boku w ciemnym samochodzie, a w nienaturalnym, zielonym, ledowym świetle deski rozdzielczej jego mina była dziwna i trudna do zinterpretowania. - Skąd, u licha, taki pomysł?

Jego głos stał się nagle zupełnie niepodobny do głosu tamtego serdecznego, troskliwego mężczyzny, którego poznawała przez ostatnie kilka dni. Były w nim chłód i gorycz, a Hal poczuła, że znieruchomiała niczym mysz, która dojrzała węża unoszącego się ponad trawę. Nagle z absolutną pewnością przekonała się, że bardzo głupio byłoby wspominać o tym dzienniku.

- Ja... - Nie musiała się starać, żeby jej głos brzmiał niepewnie. I tak z jej gardła dobyło się piśnięcie. - Ja... nie wiem. Po prostu się

zastanawiałam.

- To był Ezra - odparł beznamiętnie Abel, skręcił na drogę i zakończył rozmowę.

Ale to nie mogła być prawda, pomyślała Hal, gdy samochód skręcił. Ezra był na tym zdjęciu.

- Ja po prostu... - zaczęła znowu, ale Abel ją spławił i tym razem jego głos był lodowaty od czegoś, co brzmiało jak złość.

- Harriet, wystarczy. To nie był Edward. Nie znałem go wtedy. I koniec.

„Kłamiesz” - pomyślała. „Jego imię jest w tym dzienniku. Na pewno kłamiesz. Ale dlaczego?”

Rozdział 33

Kiedy dojechali do Trepassen, Abel zaparkował auto, a Hal poszła za nim dookoła domu do głównego wejścia. Nie było widać żadnych świateł, a budynek wydawał się niemal opuszczony, jego puste okna przypominały czarne, pozbawione wyrazu oczy. Hal nagle dopadło przecucie, jak to miejsce może wyglądać za dwadzieścia, trzydzieści lat – zawalony dach, popękane i potłuczone okna, liście wirujące po gnijących parkietach.

– Wróciliśmy! – krzyknął Abel, kiedy weszli przez drzwi frontowe, a jego głos poniósł się echem po korytarzu i Hal skrzywiło w żołądku, nim w ogóle zdążyła zrozumieć dlaczego. Kiedy jednak otworzyły się drzwi salonu i wyjrzała zza nich głowa Hardinga, od razu zdała sobie z tego sprawę. To pani Warren się obawiała. Nim zdążyła się z tym rozprawić, znalazła się w sztywnym uścisku Hardinga, z policzkiem przy jego wyściełanym tweedem ramieniu, podczas gdy on klepał ją niezręcznie i nieprzyjemnie mocno z tyłu głowy, jakby była czymś pomiędzy labradorem a dzieckiem.

– No, no, no – powiedział, a potem powtórzył: – No, no, no. – Kiedy się odsunął, zauważyła z zaskoczeniem, że jego obwisła twarz zarumieniła się od jakichś powstrzymywanych emocji, a oczy miał mokre od łez. Otarł je i zakaszłał.

– Mitzi będzie... ekhm! Będzie jej przykro, że się z wami nie zobaczyła, ale wyjechała już, żeby odwiedzić dzieci do domu. Jutro mają szkołę.

– Przykro mi... – odparła pokornie Hal. – Też mi przykro, że się nie zobaczymy.

– Edward także musiał wyjechać – powiedział Abel. Hal poczuła jakieś ostre ukłucie, zupełnie różne od tego niejasnego poczucia winy, którego doznała na dźwięk imienia Mitzi. Zdała sobie sprawę, że na coś się nastawiła – na perspektywę spotkania z Edwardem, spojrzenia mu w oczy, próbę odnalezienia jakiejś części siebie w jego twarzy.

- Przykro mi - powtórzyła. - Czy... czy on jeszcze wróci?

- Wątpię - odpowiedział Abel. Miał raczej ponurą minę i wyglądał, jakby zdał sobie z tego nagle sprawę, więc spróbował to naprawić. Kiedy brał płaszcz od Hal, zmusił się do uśmiechu, raczej niezbyt szczerego. - Chyba że utkniemy tu na kolejny weekend, ale naprawdę mam nadzieję, że nie.

- Jadłaś coś? - wtrącił się Harding. - Niestety kolacja była już jakiś czas temu, ale w salonie jest herbata i mogę poprosić panią Warren o jakąś kanapkę...

Z powątpiewaniem zawiesił głos, a Hal empatycznie pokręciła głową.

- Nie trzeba. Nie jestem głodna. Jadłam w pociągu.

- No to chodź i napij się chociaż herbaty. Ogrzej się przed pójściem spać.

Hal skinęła głową, a Harding wpuścił ją do salonu, gdzie na stoliku kawowym czekała herbata.

W kominku płonął niski ogień, a lampy po bokach stołu były zapalone, co nadawało pokojowi złoty blask, który ukrywał pajęczyny oraz pęknięcia w boazerii, kurz i wystrzępione zasłony, a także wilgoć i zaniedbanie. Po raz pierwszy wyglądało tam niemal jak w domu i Hal nagle przytłoczyło poczucie tęsknoty. Nie było to do końca pragnienie, by tam zostać, bo Trepassen było zbyt gotyckie i posępne, by kiedykolwiek zdawać się naprawdę gościnnym domem. Miało charakter miejsca, w którym ludzie cierpieli w ciszy, gdzie posiłki jedzono w napięciu i strachu, gdzie skrywano sekrety, a nieszczęście zazwyczaj przeważało nad zadowoleniem.

Jednak była to być może tęsknota za pozostaniem częścią tej rodziny. Cała ta pompatyczność oraz wilgoć w kąciuku oka Hardinga poruszyły Hal bardziej, niż potrafiła wyrazić. Ale nie chodziło tylko o Hardinga. Ezra... Abel... Mitzi... dzieci, każde z nich na swój sposób przywitało Hal, otworzyli się na nią, zaufali jej - a ona im odpłacała... czym? Kłamstwami?

Tylko pani Warren, przypomniała sobie z niepokojem. Tylko ona od początku jej nie ufała.

Ta myśl nie dawała jej spokoju, gdy wzięła nalaną jej przez Hardinga herbatę i ostrożnie zanurzyła w niej ciastko. Od tamtych wyszczanych o północy oskarżeń Hal w kółko wracała do nich myślami i zawsze dochodziła do tego samego, niepokojącego wniosku. Pani Warren... wiedziała.

Ale dlaczego nic nie powiedziała? Jedynym wyjaśnieniem, w dodatku niezbyt pocieszającym, było to, że pani Warren sama miała coś do ukrycia...

Zegar na kominku zagrał melodię, kiedy Hal wypła ostatni łyk herbaty. Spojrzała na niego razem z Hardingiem i Ablem.

– Dobry Boże – odezwał się Harding. – Wpół do jedenastej. Nie miałem pojęcia, że jest tak późno.

– Przepraszam – odparła Hal. – Pewnie przeze mnie nie poszłicie spać. Mój pociąg się spóźnił.

– Nie, nie. Nie przeszkodziłaś w niczym. – Przeciągnął się, a jego koszula w kratkę wyszła spod paska i odkryła mały kawałek ciastowatego ciała. – Zapewniam cię. Ale dzisiejszy dzień... No, powiedzmy, że cały ten weekend był na serio męczący, a skoro Mitzi i dzieciaki wyjechali, to mam szansę trochę odespać. Więc, jeśli nie masz nic przeciwko, to ja będę się kierował do Łózków na lulu.

– Ja też się położę – dodał Abel, ziewając. – Gdzie jest Ezra?

– Bóg raczy wiedzieć. Zniknął po kolacji. Pewnie gdzieś spaceruje. Wiesz, jaki on jest.

– A zabrał klucz?

– Ponownie: niech szanowny pan przypomni sobie moją poprzednią odpowiedź – odparł Harding, tym razem trochę zniecierpliwiony. – Bóg raczy wiedzieć. W końcu mówimy o Ezrze.

– Zostawię otwarte drzwi wejściowe – powiedział Abel, znowu ziewając. Wstał i strzepnął nieistniejący okruszek z nogawki spodni. – Bóg świadkiem, że nie ma tu czego ukraść. Dobrze. Dobranoc, Hal. Może pomogę ci z walizką?

– Dobranoc. Nie, nie przejmuj się. Poradzę sobie.

Wąska klatka schodowa prowadząca na strych była nieoświetlona i Hal długo szukała włącznika.

Ale kiedy go nacisnęła, nic się nie wydarzyło. Nacisnęła go znowu, światło jednak nadal się nie zapaliło. Telefon miała gdzieś głęboko na dnie torby, a że była obładowana bagażami, ostatecznie musiała iść na górę po ciemku.

Na strychu nie było okien, więc wspinała się w kompletnej ciemności, w atramentowej, smolistej czerni, tak intensywnej, że niemal czuła jej smak. Kiedy dotarła na górę, postawiła walizkę i czubkami palców

odnalazła zakręt korytarza oraz drzwi do pokoju na strychu – który zaczynał być jej pokojem, chociaż było jej z tą myślą dziwnie i niepokojąco, jak gdyby historia zapętleła się i toczyła kołem.

Tym razem drzwi, chociaż sztywne, ustąpiły po krótkim szarpnięciu, więc wtoczyła się do pokoju, szukając dłonią włącznika światła.

Wcisnęła go i kiedy znowu nic się nie zapaliło, poczuła falę irytacji. Czyżby padł cały obwód? Co u licha?

Nie miało to już tutaj takiego znaczenia, bo zasłony były odsłonięte i do środka wpadało dość światła, by mogła trafić do łóżka, rozebrać się i wpełznąć pod zimną pościel.

Już prawie spała, patrząc, jak cienie rzucane przez księżyc przesuwają się po ścianie, kiedy coś zauważyła.

To nie było zwarcie. Ktoś wykręcił żarówkę z lampy wiszącej na środku pokoju, celowo skazując ją na ciemności.

Wisiała tam teraz tylko pusta oprawka.

Rozdział 34

– Mogę o coś zapytać? – odezwała się Hal przy śniadaniu. Wzięła sobie tost ze stosika na środku stołu i właśnie miała go posmarować marmoladą, ale kiedy odkręciła słoik, ujrzała pod wieczkiem grubą warstwę pleśni i poczuła, że przestaje być głodna.

– Co takiego? – Harding podniósł głowę znad swojego tost, który dziarsko smarował grubą warstwą masła. – Zapytać? Jasne. O co chodzi?

– Wioska St. Piran. Czy to daleko?

– Och... jakieś sześć kilometrów. Dlaczego pytasz?

– Pomyślałam... – Hal przełknęła i okręciła sobie wokół palców wystrzępiony brzeg swetra. – Pomyślałam, że może poszłabym dziś rano na spacer. Mamy czas? Kiedy spotykamy się z Treswickiem?

– Niestety dopiero jutro – odparł Harding. Przekroił sobie tost na pół, odrobinę mocniej, niż było to konieczne, aż nóż zazgrzytał o talerz, a Hal się wzdrygnęła. – Najwyraźniej jest zajęтым człowiekiem. Więc dzisiaj możesz robić, co chcesz. Ale ostrzegam, że to nie jest zbyt przyjemny spacer. O tej porze roku orze się pola, więc chodzi się po nich trudno, bo jest wyjątkowo błotniście. Lepiej pójść główną drogą, ale tam trzeba uważać na samochody.

– Nie szkodzi. Po prostu... Po prostu chciałabym zaczerpnąć trochę powietrza. Czy... czy trudno ją znaleźć?

– Nieszczęśliwie – odpowiedział Abel. – Ale wydaje mi się, że nie jesteś do tego dobrze ubrana. – Przyjrzał jej się z powątpiewaniem. Zgryźliwy chłód ustąpił i mężczyzna powrócił do swojego zwyczajnego, serdecznego sposobu bycia, ale Hal i tak zastanawiała się, czy pod przykrywką troskliwości nie czai się wciąż chłodne zniecierpliwienie. Która twarz Abła była prawdziwa? – Jest bardzo rześko. W tej części Kornwalii rzadko pada śnieg, ale wczoraj wieczorem był mróz.

– Nic mi nie będzie – odpowiedziała Hal. Schowała ręce do kieszeni bluzy z kapturem i okryła sobie szyję kołnierzem. – Jestem wytrzymała.

– Cóż, nie wyglądasz – odparł Abel i mrugnął do niej dobrodusznie. – Słuchaj, skoro naprawdę się wybierasz, to weź sobie moją kurtkę turystyczną. To ta czerwona na haczyku przy głównym wyjściu. Będzie dla ciebie za duża, ale przynajmniej ochroni cię przed wiatrem i nie przemokniesz do suchej nitki, jeśli się rozpada. Na popołudnie zapowiadają deszcz. Ale jeśli dojdiesz do St. Piran i zaczniesz lać albo się zmęczysz, to zadzwoń do mnie, przyjadę po ciebie pod pocztę.

– Dobrze. – Hal wstała. – To może ruszę od razu, póki jest sucho. Mogę?

– Ja nie mam nic przeciwko. – Abel podniósł dłonie i rzucił jej krótki, krzywy uśmiech, który pomarszczył mu skórę w kącikach oczu. W porannym świetle nagle wydawały się niebieskie. – Nie jestem twoim ojcem.

Na zewnątrz, przed drzwiami wejściowymi, Hal wyjęła telefon, otworzyła Mapy Google i wpisała adres: Cliff Cottages, St. Piran, Kornwalia.

Kółko zawirowało, a telefon obliczył odległość i czas spaceru, po czym wyświetliła się trasa – w dół podjazdu na główną drogę.

Odwróciła się w stronę mroźnego wiatru i schowała głęboko do kieszeni turystycznej kurtki Abła rękę zaciśniętą na telefonie. Ruszyła pod wiatr.

„Nie jestem twoim ojcem”.

Dlaczego tak powiedział? Było to tak nieprzyjemnie bliskie jej własnym przypuszczeniom, że nie zdołała wymyślić odpowiedzi – otworzyła tylko usta, a potem pospiesznie opuściła pokój, żeby ukryć swój szok. Czy on coś wiedział? Może rozmawiał z Ezrą? Hal nie myślała za dużo o swobodnych pytaniach Ezry w aucie w drodze z Penzance, ale teraz, kiedy jego słowa do niej wróciły, zaczęła się zastanawiać nad tym, ile tak naprawdę wiedzą bracia.

Komentarz Abła był zupełnie rozsądną uwagą, przynajmniej na pierwszy rzut oka, podobnie jak nie było nic dziwnego w pytaniu Ezry. Ludzie chcą wiedzieć, skąd się pochodzi, kim się jest. Było to coś, z czym Hal mierzyła się całe życie. „Gdzie jest twój tata?” „Czym się zajmuje?” O to pyta każde dziecko na podwórku, chcąc wyrobić sobie o kimsz zdanie. A nawet najbardziej dokuczliwie: „Dlaczego nie masz ojca?”.

Dorośli zwykle formułowali to zapytanie ostrożniej, pytali: „Czy masz blisko rodzinę?”. Albo: „Czy twoi rodzice mieszkają w pobliżu?”. Ale to

wszystko sprowadzało się do jednego.

Kim jesteś? Dlaczego nie wiesz?

Te pytania nigdy nie wydawały się zbyt ważne, dopóki żyła matka Hal. Wtedy dziewczyna wiedziała, kim jest – a przynajmniej tak jej się wydawało. Teraz jednak tak mocno rezonowały z jej własnymi myślami, że chciała krzyczeć.

Bo to było najgorsze. Nie brak ojca. Nawet nie niewiedza.

Tylko kłamstwa.

„Jak mogłaś mnie okłamać?” – myślała, maszerując długim, wijącym się podjazdem, mijając powykręcane cisy pełne srok obserwujących ją, kiedy przechodziła dołem, a potem przez groźną, żelazną bramę.

„Wiedziałaś i okłamałaś mnie, przez ciebie nie zadawałam pytań, na które mam prawo znać odpowiedzi”.

Nigdy nie nienawidziła swojej matki – nigdy. Ani wtedy, kiedy nie było pieniędzy i inne dzieci miały rolki oraz karty z pokémonami, a ona rozsądne obuwie oraz rysunki, które zrobiła na małych kawałkach kartek. Ani wtedy, kiedy skończyły się pieniądze na prąd i przez tydzień siedziały przy świetle świeczek, gotując na butli z gazem pożyczonej od znajomego. Ani wtedy, kiedy porobiły jej się dziury w butach, a jej mama późno wracała z mola i przegapiała zebrania dla rodziców oraz szkolne przedstawienia, bo nie mogła sobie pozwolić na odmówienie jakiemuś klientowi.

Rozumiała to – jej matkę też pozbawiono wyboru. I choć miały niewiele, wszystko było wspólne – na dobre i złe. Gdy były pieniądze, pojawiały się smakołyki. Gdy dopadała je niedola, znosiły ją razem. Mama starała się, jak mogła. Robiła to dla Hal.

Ale to – to odkrycie... To nie było coś, co zrobiła dla córki. To było coś, co zachowała dla siebie – wiedza, którą mogła się podzielić, a zamiast tego zachowała ją dla siebie i jej strzegła.

A dlaczego? Co było takiego złego w tym mężczyźnie, który tamtego dnia trzymał aparat; w tym, któremu tak stanowczo patrzyła w oczy; którego kochała?

W kieszeni dzinsów Hal miała plik listów – listów nadanych z Penzance – które znalazła pod łóżkiem. Zajęło jej dużo czasu, żeby je rozczytać, ale w końcu zapoznała się ze wszystkimi. Były to listy między Maud a Maggie, które planowały ucieczkę. Nie było na nich dat, ale po kolejności zdarzeń Hal określiła, że ostatni znajdował się na górze – ten, który częściowo

przeczytała, gdy otworzyła paczuszkę. Teraz wyjęła je z tylnej kieszeni, idąc wzdłuż drogi nad wybrzeżem. Wiatr wiał jej prosto w twarz, wysuszając jej usta – przygryzła wargę i poczuła sól.

Droga Maud!

Wysyłam Ci to przez Lizzie, bo nie odważę się nadać tego listu razem z resztą poczty. Tak się cieszę, że znalazłaś nam mieszkanie. Nie martw się, proszę, o kaucję – mam trochę pieniędzy po rodzicach, a poza tym będę – Boże, nie wiem. Będę przepowiadać przyszłość na molu w Brighton albo czytać z dłoni na bulwarze. Wszystko, byle się wyrwać. Nigdy nie myślałam, że to napiszę, ale boję się – bardzo się boję.

Odpiś mi przez Lizzie, jej adres znajdziesz na dole. Przyniesie list, jak przyjdzie posprzątać – bo gdyby przyszedł do domu, SAMA WIESZ KTO by go otworzył i rozpętałoby się piekło.

Kocham Cię. I proszę, pospiesz się. Nie dam tu już sobie rady zbyt długo.

Mxx

Na dole widniał adres: Cliff Cottages 4, St. Piran, Kornwalia. Adres, który Hal wpisała do telefonu.

Kartka łopotała na wietrze, gdy Hal ją składała, ale tamte słowa z nią pozostały. „Boję się – bardzo się boję”.

Nosiła je w sobie przez całą tę długą podróż pociągiem, tłukły jej się po głowie wraz ze stukotem kół.

Kiedy przeczytała ten list po raz pierwszy, zwinęła się na kanapie z telefonem na kolanach, wyobraziła sobie swoją babkę ciotecznią stojącą w drzwiach tego maleńkiego pokoju, zasuwaną zasuwą. Albo może panią Warren, z jej wyszczykanymi obelgami oraz nienawiścią. Ale teraz Hal się zastanawiała. Przecież jej matka była... może nie nieustraszona, ale pełna odwagi. Hal nie pamiętała takiej sytuacji, żeby zrezygnowała z czegoś ze strachu. Jeśli coś było głupie – owszem. Jeśli było ryzykowne, a ona musiała chronić i wychować dziecko – z pewnością. Ale tylko dlatego, że się bała – nie, to się nigdy nie zdarzyło. Gdy coś było trudne, lecz konieczne, matka Hal się z tym mierzyła.

Czego tak bardzo się bała, że uciekła z Kornwalii na drugi koniec kraju i już nigdy więcej nie wspomniała o tamtych czasach?

Hal się zastanawiała. A kiedy niebo zaciemniły chmury niosące śnieg i zrobiło się jeszcze chłodniej, zdała sobie z czegoś sprawę. Ona też się

bała. Nie tylko tego, co zamierzała zrobić. Ale też tego, co mogła znaleźć po drugiej stronie.

Rozdział 35

St. Piran okazało się nie tyle wioską, ile zbiorem budynków przypominających drewno wyrzucone na brzeg wzdłuż dróg i ścieżek wijących się aż nad morze. Tu jakieś gospodarstwo, dzielne małe owce skulone pod żywołotami, chroniące się przed wiatrem. Tam stacja benzynowa, z pozabijanymi oknami i kartonowym znakiem na szybie informującym o zamknięciu. „Jeśli chcesz zatankować, zadzwoń do Billa Nancarrowsa albo zapukaj do domu i poproś o klucz”.

Nigdzie nie widziała kościoła, w którym odbył się pogrzeb, ale kręcąc się po głównej drodze, usłyszała z daleka kościelne dzwony wybijające godzinę – dziesięć powolnych uderzeń, dość smętnych.

W końcu Hal zobaczyła wolnostojącą czerwoną skrzynkę pocztową, a za nią samotną budkę telefoniczną wystającą na drogę, kiedy zaś minęła zakręt, dostrzegła pocztę, o której wspomniał Abel. W kieszeni jego kurtki zawibrował jej telefon, informując o zakręcie, wyjęła go i ponownie sprawdziła trasę. Okazało się, że powinna skręcić w lewo, w wąską, nieutwardzoną drogę wzdłuż rzędu skromnych domów komunalnych z rozsądnie zagospodarowanymi ogródkami, niskimi spadzistymi dachami oraz wiatrołapami zamkniętymi przed wiatrem znad morza. Na znaku na rogu ulicy widniał napis „Cliff Cottages” i Hal poczuła, jak przypiesza jej serce.

Przed numerem czwartym rozciągał się schludny prostokąt oszronionej trawy oraz chodnik z tłuczonego kamienia prowadzący do drzwi wejściowych. Hal zauważyła, że drżą jej ręce, nie tylko z zimna. Oblizała usta, odgarnęła włosy za ucho i poszła ścieżką przez ogród, żeby nacisnąć dzwonek.

Gdzieś w głębi domu rozbrzmiała nowoczesna melodyjka. Hal czekała, serce biło jej szybko. Usłyszała dźwięk szurania stopami i zobaczyła jakiś

kształt za drzwiami ozdobionymi szklanym wzorem.

– Dzień dobry.

Kobieta, która wyszła do wiatrolapu, była po czterdziestce lub pięćdziesiątce, bardzo pulchna, ze sprężynkami kręconych włosów ufarbowanych na nieco nienaturalny żółty, prawie taki sam jak kolor gumowych rękawic, których jeszcze nie zdjęła. Ale w jej twarzy było coś miłego i Hal zauważyła, że odrobinę się rozluźniła, mimo zdenerwowania. Przelknęła ślinę, żałując, że nie poświęciła więcej czasu na przygotowanie sobie tego, co miała powiedzieć.

– Dzień dobry... ja... yyy... Przepraszam, że przeszkadzam, ale czy może zna pani kogoś o imieniu Lizzie?

– Ja jestem Lizzie – odpowiedziała kobieta. Założyła ręce ma piersi. – W czym mogę ci pomóc, kochana?

Hal poczuła, że serce jej przyspiesza, przepełnione nadzieją.

– Ja... – Znowu oblizwała usta i poczuła sól, którą najwyraźniej przesiąkło wszystko w tej okolicy. – Ja... Wydaje mi się, że znała pani moją mamę.

W drodze do Kornwalii Hal ciągle wracała myślami do tego, co powiedzieć, jak zadawać pytania. Rozważała zmyślane kuzynki... Fałszywe nazwiska... Przyszło jej do głowy nawet wskrzeszenie Lil Smith w roli pseudonimu.

Ale kiedy otworzyły się te drzwi, a Lizzie stanęła w nich we własnej osobie, z tą swoją pulchną, miłą twarzą oraz kornwalijskim akcentem, miękким i gęstym niczym tłusta śmietana, wszystko to jakoś uleciało i ostatecznie powiedziała ostatnią rzecz, którą powiedzieć zamierzała. Prawdę.

Teraz siedziała w salonie Lizzie, a opowieść wylewała się z niej tak prędko, że Hal nie zdążyła się nawet nad tym zastanowić.

Śmierć matki, brak pieniędzy. List od Treswicka i nieprawdopodobna nadzieja, że ta pomyłka może się okazać prawdą – a po niej rosnące przeświadczenie, że jednak tak nie jest. Niepokojące odkrycie fotografii oraz zasuw w drzwiach na strychu oraz ucieczka do Brighton o północy. Aż w końcu dziennik w dokumentach matki oraz listy, i wreszcie adres pośredni, który zaprowadził ją tutaj.

– Och, kochanie. – Gdy Hal urwała, okrąglą, rumianą twarz Lizzie przepełniała troska. Kobieta oparła się o poduszkę i powachlowała się dłonią. – O rany, ależ sobie nawarzyłaś piwa. I nic im nie powiedziałaś?

Hal pokręciła głową.

– Ale powiem. Wiem o tym. Muszę. Ja po prostu... Nie chcę... – Urwała.
– Chciałam po prostu dowiedzieć się jak najwięcej, nim spalę za sobą mosty.

– No, powiem ci wszystko, co mogę, ale nie będzie tego dużo. To było tak dawno temu, a ja się z nikim nie widziałam po ich wyjeździe, więc nie opowiem ci więcej niż to, co się wydarzyło tutaj. Twoja mama przyjechała... Kiedy to było? W dziewięćdziesiątym czwartym, chyba tak. Późną wiosną albo wczesnym latem, pamiętam, że jechała z dworca w Penzance taksówką, było naprawdę chłodno, a te cholerne sroki wciąż nad nią kołowały, naprzykrzały się jak zwykle. To była wspaniała dziewczyna, ta twoja mama. Ładna i miła, zawsze chętna do pogaduszek. A jej kuzynka... Sama nie wiem. Oni zawsze trzymali się z daleka. Zawsze był taki podział – oni i my, z wioski. Chyba tak długo żyli osobno w tamtym wielkim domu, a my wszyscy tutaj, że się do tego przyzwyczaili. Ale twoja mama wychowała się gdzie indziej, ona patrzyła na to inaczej. Zawsze rozmawialiśmy, kiedy miałam sprzątać, a pani Warren... kurczę, ona to miała cięty język, przychodziła i trzaskała mnie ścierką po twarzy. Porządnie bolało! I mówiła: „Wracaj do roboty, Lizzie, nikt ci tu nie płaci za to, że stoisz i głędzisz”. Ale zawsze czułam... cóż, pewnie tak naprawdę twoja mama była samotna. Straciła matkę i ojca, przyjechała tutaj, spodziewając się odnaleźć rodzinę, a co dostała? Pokój dla starej panny na strychu i oschłe towarzystwo ciotki oraz kuzynostwa.

– Ale... nie ze strony Maud? – zauważyła Hal. – Z dziennika wynika, że Maud była jej przyjaciółką?

– Później tak. Ale Maud... Oj, ona to była najzabawniejsza, jeszcze jako mała dziewczynka. Wiesz, zaczęłam tam sprzątać, jak miałam piętnaście lat, a ona musiała mieć wtedy pięć albo sześć. I pamiętam, jak stała, obserwując mnie, z rękoma opartymi na biodrach. Chciałam się z nią zaprzyjaźnić i mówiłam rzeczy w stylu: „Podoba mi się twoja sukienka, Maud, jest bardzo ładna”, a ona odrzucała głowę i odpowiadała: „Wolałabym, by komplementowano mój umysł, a nie ubranie”. A ja nie umiałam się powstrzymać, po prostu wybuchłam śmiechem. Śmiertelnie się obraziła. Nie rozmawiała potem ze mną przez wiele tygodni. Ale kiedy się ją lepiej poznało, okazywało się, że pod tą kolczastą powłoką kryła się kochana dziewczynka, bardzo uparta w dążeniu do celu, kiedy czuła, że coś jest nie tak. Po kilku latach pojawił się jakiś problem z zaginionymi

pieniężni i pani Warren przesłuchiwała wszystkich pracowników, a ja byłam ostatnią osobą sprząającą ten pokój, w którym miały podobno leżeć. Spodziewałam się, że mnie zwolni, ale Maud wmaszerowała do kuchni niczym anioł zemsty, ignorując panią Warren, która kazała jej wyjść, i oznajmiła: „Na Boga, pani Warren, dobrze pani wie, że to Abel zabrał te pieniądze. Wszyscy wiemy, że podkrada mamie z torebki. Proszę zostawić Lizzie w spokoju”. A potem wyszła. Nie mogła mieć więcej niż dziesięć lat. Ale zobacz, jak się rozgadałam. To nie są rzeczy, których chciałaś się dowiedzieć.

– Nie... – odparła powoli Hal. – Nie, w porządku... szczerze mówiąc... Moja mama nigdy nie opowiadała o czasie, który tu spędziła. To w sumie... fascynujące, dowiadywać się tego wszystkiego. Nie wiedziałam, że miała kuzynkę o takim samym imieniu, nie mówiąc już o Ablu, Ezrze, Hardingu i całej reszcie. Żałuję, że mi tego nie opowiedziała. Nie wiem, dlaczego tego nie zrobiła.

– To chyba nie był dla niej najszcześniejszy czas – odparła Lizzie, a z jej dobrych oczu zniknął blask, twarz jej nagle posmutniała. – Przyjechała tu po śmierci rodziców, a zaledwie po paru miesiącach narobiła sobie kłopotów, z tobą, jak przypuszczam. Oczywiście na początku nic o tym nie wiedzieliśmy, ja przynajmniej nie miałam pojęcia. Ale w grudniu zaczęło się coś mówić. Chorowała przez całą jesień, wtedy pojawiły się plotki, a gdy przyszedł adwent, zaczęło być po niej widać. Była chudziną, a w tych wszystkich workowatych ciuchach, które zaczęła nosić, wyglądała, jakby coś było nie tak. I jakoś tak... Nie potrafię tego wyjaśnić, ale łatwo to poznać. Trochę się zaokrągliła na twarzy, stała jakoś inaczej, kiedy myślała, że nikt nie patrzy. Widziałam to już nie raz i domyśliłam się. Wydaje mi się, że jedyną osobą, która niczego nie podejrzewała, była pani Westaway, a kiedy się dowiedziała... Och, to było, jakby ktoś spuścił na ten dom wszystkie plagi egipskie naraz. Drzwi trzaskały, a Maggie ostatecznie została zamknięta na długie tygodnie w swoim pokoju. Pani Westaway mówiła, że nie może znieść jej widoku, na górę i na dół krążyły tylko tace z jedzeniem, rzadko ją wypuszczano. Maud zabierała sobie jedzenie na górę, kiedy tylko jej pozwalano, a kiedy na nią patrzyłam, jak schodziła, często wyglądała, jakby płakała. Wszyscy przemykaliśmy na palcach podczas tych tygodni poprzedzających święta, kombinując, co będzie dalej i kto jest ojcem. Zakładaliśmy, że ktoś z jej szkoły, chociaż nawet jeśli wiedziała, to nigdy tego nie zdradziła.

- To był ktoś inny - wtrąciła Hal. - Ona wiedziała i właśnie po części dlatego tu przyjechałam. Miałam nadzieję, że pomoże mi pani to rozgryźć. To był ktoś, kto zatrzymał się w domu Trepassen tamtego lata, to musiał być sierpień. Jakiś niebieskooki mężczyzna, a może chłopak. Czy pani wie, kto to mógł być?

- Zatrzymał się? - Lizzie zmarszczyła brwi. - Nic o tym nie wiem. Może ze dwa albo trzy razy do dzieci przyjeżdżali jacyś znajomi, z tego, co pamiętam. Do Ezry przyjechał jakiś kolega ze szkoły, chyba raz, ale nie pamiętam, czy to było tamtego lata, czy wcześniej. Nie pamiętam koloru jego oczu. A Abel miał jakichś znajomych ze studiów, którzy mieszkali w Kornwalii i Północnym Devonie, czasem ktoś wpadał na jeden dzień, zwłaszcza kiedy pani Westaway wyjeżdżała. Ten dom był zupełnie inny, kiedy jej w nim nie było. Przepraszam - dodała, widząc minę Hal. - Chciałabym bardziej pomóc, ale skłamałabym, gdybym powiedziała, że to pamiętam. A gdy dzieci były starsze, przychodziłam tylko parę razy w tygodniu. Wtedy pani Westaway nie było stać na codzienną pomoc, a ja i tak miałam swoje dzieci.

- Nie szkodzi - odpowiedziała Hal, chociaż poczuła, że jej serce skurczyło się jak pęknięty balonik. Uleciała z niej ogromna nadzieja, której się trzymała, a z której istnienia nawet nie zdawała sobie sprawy. - Proszę mi powiedzieć... proszę mi powiedzieć, co się stało później. Z tymi listami.

- Cóż. To był wtedy prawdziwy skandal. No więc Maud została zaproszona w grudniu na rozmowy do oxfordzkiego college'u, a pod jej nieobecność sytuacja pomiędzy panią Westaway a twoją mamą bardzo się zaostrzyła. Wstydzę się to przyznać, ale każdego dnia, gdy wychodziłam, cieszyłam się, że stamtąd uciekam. Słyszałam, jak pani Westaway na nią krzyczała, mimo że to było na strychu, jak groziła jej na różne sposoby, żeby wyjawiała imię ojca dziecka, a twoja mama płakała i błagała o litość. Raz widziałam ją, jak szła do łazienki, miała podbite oko i rozciętą wargę. Żałuję, że niczego nie zrobiłam, ale... - Urwała i Hal zobaczyła, jak mruga, pocierając kącik oka. - Cóż, Maud wróciła i wydawało się, że dostrzegła jakieś światełko. Powiedziała mi, że otrzymała indeks, chyba z jakiegoś college'u dla kobiet, więc nie musiała się dalej uczyć, coś w tym stylu. Ale zabroniła mi mówić o tym swojej matce, a w styczniu zaproszono ją na kolejną rozmowę, albo przynajmniej tak twierdziła. Potem zastanawiałam się, czy rzeczywiście do tego doszło, czy to była tylko wymówka, żeby

uciec. Maggie była tutaj, pisała do Maud, czasem do Oxfordu, a czasem do Brighton. A Maud była tam, odpisywała, i powiem ci, że czułam się jak jakiś cholerny listonosz, który dostarcza listy tam i z powrotem. Ale wtedy naprawdę bałam się o twoją mamę, bałam się, że pani Westaway posunie się za daleko i uderzy ją tak mocno, że doprowadzi do poronienia albo coś. Cieszyłam się, że mogłam jakoś pomóc.

– Nie wie pani, co było w tych listach? – spytała Hal. W oczekiwaniu na odpowiedź praktycznie wstrzymała oddech, ale Lizzie pokręciła głową.

– Nie, nie otwierałam ich. Widziałam tylko jeden, i to tylko dlatego, że twoja mama nie miała koperty, poprosiła mnie, żebym go dla niej spakowała. To był ostatni.

– C-co w nim było?

Lizzie wbiła wzrok w swoje kolana, różowymi palcami nerwowo pocierała gumowe rękawiczki, które tam trzymała.

– Nie przeczytałam go – odparła w końcu. – To nie w moim stylu. Ale był złożony w taki sposób, że niechcący zobaczyłam jedną linijkę, a ona tak mocno utknęła mi w głowie, że nigdy się z tego nie otrząsnęłam. Było tam napisane: „Powiedziałam mu, Maud. Było gorzej, niż kiedykolwiek sobie wyobrażałam. Proszę, proszę, pospiesz się. Boję się, co się może teraz stać”.

Zapadła długa cisza, Lizzie przeżywała tamte wspomnienia na nowo, a Hal obracała te słowa w myślach, czując, jak narasta w niej zimny strach.

– Kim... – odezwała się w końcu, ale urwała.

– Kim był ten „on” z listu? – spytała Lizzie, a Hal w milczeniu pokiwała głową. Lizzie wzruszyła ramionami, jej pulchna, radosna twarz spoważniała i posmutniała. – Nie wiem. Ale zawsze zakładałam... – Przygryzła wargę, a Hal wiedziała, co zaraz powie, jeszcze zanim zaczęła. – Zawsze zakładałam, że w końcu powiedziała twojemu ojcu o ciąży i to jego się bała. Przykro mi, kochanie.

– Więc... – Hal poczuła, że ma wysuszone wargi, oblizła je i wzięła łyk herbaty, którą Lizzie postawiła przed nią wcześniej, kiedy usiadły, chociaż teraz już wystygła w filiżance. – Więc co było później? Wiem, że moja mama przeniosła się do Brighton i mnie urodziła. A co z Maud?

– No cóż, wsadziła kij w mrowisko – odparła Lizzie. Uśmiechnęła się, wypila spory łyk swojej herbaty i odstawiła filiżankę. – To był chyba późny styczeń albo wczesny luty. Maud wróciła z Oxfordu... czy gdzie tam miała

być, ale ja wiedziałam, że to jeszcze nie koniec. Listy krążyły tam i z powrotem, a Maud szeptała przez telefon w korytarzu, podskakując jak złodziej, kiedy wychodziłam zza rogu. W przypadku każdej innej osoby pomyślałabym, że chodzi o jakiegoś chłopca, ale znałam ją na tyle, by wiedzieć, że to co innego. Nie było mnie tego wieczoru, kiedy wyjechały, ale następnego dnia przyszłam posprzątać i w całym domu podniesiono larum. Dziewczyny zniknęły w nocy, wyglądało na to, że zabrały wyłącznie swoje ubrania i nie zostawiły nawet żadnej kartki. Pani Westaway przeczesywała pokój na poddaszu i sypialnię Maud, mówiąc rzeczy, których mam nadzieję już nigdy nie usłyszeć. Przeklinała obie, również własną córkę. Ale nigdy nie powiadomili policji, wiem to, bo mój szwagier był funkcjonariuszem i powiedział, że nigdy nie złożono im żadnego oficjalnego zgłoszenia o zaginięciu dziewczyn. Może bała się, co by wtedy wyszło na jaw, nie wiem. Więc ostatecznie chyba pozwoliła im odejść. Maud albo może Maggie, nie byłam nigdy pewna, wysłała do domu jeden list. Wiem, bo widziałam tę kopertę na stoliku w korytarzu i poznałam charakter pisma po tych wszystkich dniach, tygodniach transportowania w tę i we w tę kartek. Pisały bardzo podobnie, ale to była na pewno jedna albo druga. Nie wiem, co tam było, ale widziałam, jak pani Westaway go czytała, podejrzałam przez uchylone drzwi salonu. Przeczytała go, podarła, wrzuciła skrawki do ognia, a potem na nie splunęła.

– I to wszystko? – spytała niepewnie Hal. – Nigdy już nie miała pani od nich żadnej wiadomości?

– To wszystko – potwierdziła Lizzie. – W sumie, prawie. Pewnego dnia w marcu dostałam pocztówkę z Brighton. Było na niej napisane tylko: „Dziękuję, Mx”. Żadnego adresu zwrotnego, ale wiedziałam, od kogo to.

– I nigdy nie wróciły – powiedziała Hal. Pokręciła głową z niedowierzaniem, ale Lizzie w odpowiedzi zaprzeczyła.

– Nie, tego nie powiedziałam. Nigdy nie miałam od nich żadnej wiadomości, ale Maggie wróciła.

– *Jak to?* Kiedy?

– Po twoim urodzeniu. Nie było mnie tam, więc nie mam pojęcia, co się stało, ale wiem, że wróciła, bo Bill Thomas jeździł wtedy taksówką z Penzance. On już dawno nie żyje. Zawiózł ją do domu i potem mi o tym opowiedział. Mówił, że ją wysadził i spytał, czy poczekać, ale ona odmówiła, powiedziała, że zadzwoni, kiedy będzie chciała być odebrana.

Zauważył, że wyglądała jak dziewczę idące na wojnę. „Jak Joanna d’Arc”, tak to nazwał.

– Ale dlaczego? – Hal zmarszczyła brwi i pokręciła głową. – Po co wracała, skoro tak bardzo starała się uciec?

– Nie wiem, kochanie. Wiem tylko, że to był naprawdę ostatni raz, gdy o niej usłyszałam. O nich obu. Potem żadna z nich już nie wróciła. Często o nich myślałam... i o tym dziecku, czyli chyba o tobie! Zastanawiałam się nierzadko, co robią. Mówisz, że twoja mama zaczęła przepowiadać przyszłość?

– Zajęła się tarotem – odparła Hal. Czują się odrętwiała, przybita tymi wszystkimi informacjami, które przekazała jej Lizzie. – Miała budkę na Zachodnim Molu w Brighton.

– To nic dziwnego – zauważyła Lizzie. Uśmiechnęła się szeroko. – Uwielbiała swoje karty do tarota, obchodziła się z nimi jak z porcelaną. I wiele razy mi z nich czytała. Powiedziała mi, że będę miała trójkę dzieci, i tak się stało. A co z Maud? Zawsze myślałam, że zostanie jakąś panią profesor w college’u dla kobiet. Pamiętam, że chciała studiować historię. Powiedziała mi tak: „Nie ma takiej rzeczy, której nie da się nauczyć z historii, żeby poradzić sobie z teraźniejszością, Lizzie. Dlatego ją lubię. Niezależnie od tego, jak źli są ludzie teraz, w przeszłości zawsze było coś gorszego”. Dlatego tak zgaduję. – Wypiła kolejny łyk herbaty, jej niebieskie oczy zalśniły znad filizanki. – Obstawiam, że została wykładowczynią historii na uniwersytecie w Londynie. Mam rację?

– Nie wiem – odparła Hal. Gardło jej się ścisnęło, a kiedy spróbowała się odezwać, głos miała płaski i ochryply. – Nigdy nie poznałam Maud, a przynajmniej tego nie pamiętam. Moja mama nigdy nawet o niej nie wspomniała.

– Czyli po prostu... zniknęła? – spytała Lizzie. Uniosła brwi, te jasne blond cienie prawie zniknęły w żółtej grzywce.

– Tak myślę. Ale dokądkolwiek się udała, musiała odejść, jeszcze zanim mogłam zapamiętać jej twarz.

Rozdział 36

Spacer powrotny do Trepassen zajął Hal dużo więcej czasu niż w przeciwną stronę. Odrzuciła propozycję podwiezienia ze strony Lizzie, a poza tym czas wydłużył się dlatego, że szła pod górę i pod wpływem deszczu nieutwardzone pobocza zrobiły się śliskie, co zmuszało ją do przystawiania i czekania na przerwę w ruchu za każdym razem, gdy mijała głęboką kałużę na poboczu, w przeciwnym wypadku ryzykowała ochlapaniem przez przejeżdżające samochody.

Po części jednak prawda była taka, że celowo szła powoli, próbując ułożyć w głowie kłębowisko myśli, nim będzie musiała szczerze porozmawiać w cztery oczy z Hardingiem oraz jego braćmi.

Musiała wyjawić prawdę – wiedziała o tym, jeszcze zanim powiedziała to Lizzie. Wiedziała to wcześniej, nawet jeszcze zanim wyjechała do Brighton. Uciekała od całej tej sytuacji – od wyznania, o którym wiedziała, że będzie musiała je poczynić.

Próbowała sobie wyobrazić, jak to ujmie.

„Skłamałam”.

„Kłamałam wam od samego przyjazdu tutaj”.

„Moja matka nie była waszą siostrą”.

Robiło jej się niedobrze na tę myśl – w tej uldze, z którą Harding i Abel przywitani ją poprzedniego dnia z powrotem, było coś takiego, prawie jakby to ona była ich siostrą, która wreszcie wróciła do domu. A teraz rozoderze ich zabliznione rany na nowo – wepchnie ich z powrotem w tę kilkudziesięcioletnią niepewność, którą znosili, nim Hal wkroczyła w ich życie. Jak zareagują?

Harding wpadnie we wściekłość i będzie krzyczał. Abel pokręci głową – Hal umiała sobie wyobrazić rozczarowanie w jego oczach. Ezra? Nie wiedziała, co zrobi Ezra. On był chyba jedynym z całej trójki, którego

potrafiła sobie wyobrazić, jak przyjmuje tę wiadomość ze spokojem, może nawet ze śmiechem. Ale potem przypomniała sobie ledwo ukrywaną wściekłość oraz żal, które wypłynęły na powierzchnię, gdy mówił o zniknięciu swojej siostry... I nagle nie była już taka pewna.

Jednak cokolwiek się wydarzy, niezależnie od tego, jak bardzo będą wściekli na samą Hal, Harding odetchnie, kiedy ta wiadomość już do niego dotrze. Bo spadek nie będzie przysługiwał Hal i... co wtedy? Pieniądze wrócą pewnie do rodziny i zostaną potraktowane tak, jakby ich matka nigdy nie sporządziła żadnego testamentu.

Dzięki Bogu, że nie było tam Mitzi – bo na myśl o tym, że miałyby się przyznawać przed Mitzi, która była taka miła... Hal nie potrafiła uwierzyć, że zdołałaby się na to zdobyć.

Ale Lizzie wiedziała – a to dawało dziewczynie pewnego rodzaju ulgę, bo nie było już odwrotu, Hal nie mogła już stchórzyć. Musiała iść za ciosem, przeprosić... a potem co? Pewnie pojechać na spotkanie z Treswickiem i wyjaśnić mu całą sytuację.

Ale pod tymi myślami chowały się inne, bardziej niepokojące. Bo pod tym wszystkim krył się jeden, niezmienny fakt: Maud nadal nie odnaleziono – i najwyraźniej nikt nie wiedział, co się z nią stało.

Jakoś po lutym 1995 roku zniknęła z oczu swojej matce, braciom i kuzynce, a potem się rozplynęła. Czy odeszła z własnej woli? A może prawda wyglądała inaczej, może to było coś bardziej złowieszczego?

Hal szła i rozmyślała o zabójczo inteligentnym dziecku, które z takim zadziwieniem i zachwytem wspominali zarówno Lizzie, jak i Treswick. O dziewczynie z dziennika Maggie, która walczyła z panią Westaway i strzegła sekretów kuzynki. O kobiecie, którą chciała zostać – wolnej, wykształconej, niezależnej. Czy to osiągnęła? Jak było naprawdę? – pomogła kuzynce uwolnić się z Trepassen, a potem sama zniknęła, żeby ułożyć sobie życie gdzieś indziej? Możliwe. Ale wydawało się to takie nieprawdopodobne – i takie dziwne, że przez te wszystkie lata matka Hal nawet nie wspomniała jej imienia. Niezależnie od tego, jak bardzo Maggie chciała puścić nieszczęścia z tego domu w niepamięć, wydawało się to niewiarygodnie bezduszne – wymazać istnienie kobiety, która tyle zrobiła, żeby jej pomóc.

Ale tylko jedna możliwość była jeszcze bardziej niepokojąca – że Margarida Westaway nie żyła.

Rozdział 37

Kiedy Hal dotarła do wielkiej bramy kutej z żelaza, była przemoczona do suchej nitki i bardzo się trzęsła. Była niezmiernie wdzięczna, że Abel zmusił ją do włożenia swojej turystycznej kurtki, chociaż kaptur był za wielki, żeby się utrzymać – niezależnie od tego, jak mocno ściągała go sznurkami, wiatr go zwiewał, przez co deszcz spływał jej po karku i wsiąkał w koszulkę.

Przez kilometr lub dwa próbowała utrzymać go na miejscu jedną ręką, ale nawet kiedy miała palce schowane w rękawie kurtki najdalej, jak się dało, ręce jej marzły i siniąły, aż w końcu dała sobie spokój z kapturem i ukryła dłonie głęboko w kieszeniach.

Kiedy popchnęła bramę, zawiasy zaskrzypiały niskim, żalonym dźwiękiem, który przeciął bębnienie deszczu i przyprawił ją o dreszcz, tym razem nie tylko z zimna. W tym długim, niskim tonie było coś, co sprawiło, że Hal dostała gęsiej skórki na karku. Jakby ten dom sam umierał w bólach.

Kiedy dotarła do budynku, padał już deszcz ze śniegiem, cieniutkie szpilki lodu szczypały ją w policzki i łzawiły jej oczy, więc mimo strachu cieszyła się ze schronienia na ganku, gdzie wiatr ucichł i mogła się otrząsnąć z większości wody. W środku zdjęła kurtkę Abla, patrząc, jak woda zalewa kafelki, i boleśnie odzyskując czucie w zdrętwiałych palcach, które zaczęły szczypać, kiedy wróciła do nich krew. Słyszała męskie głosy z salonu, nabrała powietrza, odwiesiła kurtkę na haczyk i podeszła przez korytarz do niedomkniętych drzwi.

– Hal? – Abel obejrzał się, kiedy nieśmiało weszła. – Do jasnej cholery, wyglądasz jak zmokła kura. Dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś?

– Dobrze mi się spacerowało – odparła Hal. Przysunęła się bliżej ognia, usiłując ukryć szczykowanie zębów. Nie było to do końca kłamstwo.

Niekoniecznie podobał jej się ten spacer, ale nie chciała, żeby ktoś ją podwoził. Potrzebowała czasu na ułożenie sobie wszystkiego, przygotowanie tego, co im powie.

Po przeciwnej stronie pokoju Ezra siedział wyciągnięty na kanapie i pisał coś w telefonie, ale kiedy Hal go minęła, podniósł wzrok i parsknął śmiechem.

- Jeszcze nigdy nie widziałem nikogo tak imponująco przemoczonego. Obawiam się, że przegapiłaś lunch, ale pewnie moglibyśmy się zakraść do szańca pani Warren po filiżankę herbaty, gdybyś chciała czegoś na rozgrzanie. A może wolisz się wykapać? Woda w bojlerze powinna być gorąca.

- Tak zrobię - odparła Hal, wdzięczna za wymówkę. Z jednej strony chciała mieć to już za sobą, ale z drugiej jej bardziej tchórzliwa część osobowości chwytiała się wszystkiego, by opóźnić kataklizm, który na pewno miał nadejść. - G-gdzie jest Harding?

- Chyba w swoim pokoju. Przypuszczam, że uciał sobie drzemkę. A dlaczego pytasz?

- A... tak tylko się zastanawiałam.

Łazienka była na pierwszym piętrze - tylko jedna w całym domu, z ogromną wolno stojącą wanną na nóżkach, upstrzoną na zielono zaśniedziałą miedzią, oraz z toaletą w jednym rogu. Jej łańcuszek zabręczał i zazgrzytał, kiedy Hal za niego pociągnęła, przypominając jej metaliczny jęk bramy.

Ale woda, kiedy odkręciła mosiężne kurki, okazała się gorąca i pod dobrym ciśnieniem. Gdy wreszcie zanurzyła się w jej piekącym cieple, poczuła, jak coś się w niej rozluźnia, jakieś napięcie, którego wcześniej nie była świadoma.

„Wujku Hardingu - nie jestem tym, kim myślisz”.

Nie. Absurdalnie dramatyczne. Ale jak miała to powiedzieć? Jak to poruszyć?

„Odkryłam coś, kiedy wróciłam do domu...”

A potem ta historia z dziennika, jakby dopiero co doznała tego olśnienia.

Problem w tym, że to było kłamstwo.

Więc co?

„Hardingu, Ezro, Ablu - chciałam was oszukać”.

Może konkretne słowa przyjdą jej do głowy, kiedy się z nimi wszystkimi zobaczy. Zamknęła oczy i zanurzyła się pod wodą, tak że uszy wypełniły jej dźwięki własnego pulsu oraz kapania kranu, zagłuszając wszelkie inne odgłosy.

– Harriet?

Hal podskoczyła, obróciła się i przycisnęła do siebie ręcznik, bo zza drzwi jednego z pokoi wyrzała głowa Hardinga. Na jej widok, mokrej i zaróżowionej po kąpielu, z nagimi ramionami ponad zawiniętym ciasno ręcznikiem, wyglądał na niemal tak przerażonego, jak Hal się czuła.

– Och! Mój Boże, strasznie przepraszam.

– Kąpałam się – wyjaśniła niepotrzebnie Hal. Poczowała, że jeden róg ręcznika jej się ześlizguje, więc podciągnęła go, ściskając przed sobą swoje wilgotne ubrania niczym tarczę. – Właśnie chciałam iść na górę się ubrać.

– Jasne, jasne – odpowiedział Harding, machając ręką, by dać jej do zrozumienia, że może iść, chociaż za moment znowu się odezwał, zmuszając ją, by się odwróciła, drżąc w nieoczekiwanym przeciągu. – Och, Harriet, bardzo przepraszam... Jest jeszcze jedna rzecz, którą chciałem ci powiedzieć, zanim spotkamy się z resztą. Nie będę cię zatrzymywał, ale chciałem... Cóż, twoja propozycja zmiany testamentu była bardzo hojna, ale muszę z przykrością powiedzieć, że rozmawiałem o tym z Ezrą oraz Ablem i Ezra jest temu trochę niechętny. Wiesz, on jest jednym z wykonawców testamentu i w związku z tym musiałby wyrazić zgodę na każde tego typu działanie, a tymczasem jest dość mocno przekonany o tym, że należy spełnić życzenia mamy, nawet jeśli są przewrotne i destrukcyjne. Muszę przyznać, że to jego stanowisko wydaje mi się bardzo nietypowe, bo nigdy nie wykazywał najmniejszego zainteresowania jej życzeniami za jej życia, ale... no cóż... taka jest sytuacja. I tak omówimy to jeszcze jutro z Treswickiem.

Hal znowu zadrzała, nie zdołała tego powstrzymać, a Harding najwyraźniej poniewczasie zorientował się, jak jest zimno.

– Ojej, przepraszam. Zatrzymałem cię mokrą na korytarzu. Nie przejmuj się mną, spotkamy się może na dole i napijemy dzinu z tonikiem?

Hal skinęła głową, zeszywniała od tego wszystkiego, czego nie powiedziała, a potem, nie potrafiąc wymyślić niczego do powiedzenia, co

nie byłoby dorzuceniem kolejnego kłamstwa do tych już wypowiedzianych, obróciła się i poszła na górę do pokoju na poddaszu.

Jakieś pół godziny później otworzyła drzwi do salonu i ujrzała tam wszystkich trzech braci siedzących wokół stolika kawowego naprzeciw ognia trzaskającego w kominku.

Na stoliku pomiędzy nimi stała butelka whiskey oraz cztery szklanki – jedna pusta.

– Harriet! – powitał ją serdecznie Harding. Twarz miał zarumienioną od ciepła i whiskey, jak podejrzewała Hal. – Chodź i napij się z nami. Obawiam się, że moja propozycja dżinu z tonikiem była przedwczesna, w tym domu nie ma toniku. Ale przezornie kupiłem butelkę whiskey, kiedy byłem wcześniej w Penzance, więc mamy przynajmniej tyle.

– Dziękuję – odparła Hal. – Ale ja nie bardzo...

Przerwała. Nie piła, już nie. Miała za sobą zbyt wiele zapomnianych wieczorów po śmierci mamy, zbyt często jeden kieliszek zamieniał się w kilka. Ale teraz poczuła nagłą, silną ochotę na coś, choćby małego, by zdobyć się na odwagę przed tym, co zamierzała zrobić.

– W sumie to poproszę – powiedziała, a Harding nalał jej hojnie, nazbyt hojnie, i przesunął szklankę po stoliku w jej stronę.

Przy okazji uzupełnił też szklanki braci, a potem uniósł swoją.

– Wypijmy – powiedział, patrząc Harriet w oczy. – Wypijmy za... – Urwał, po czym zaśmiał się krótko. – Za rodzinę.

Hal ścisnęło w żołądku, ale nie musiała nic na to odpowiadać, bo Ezra szyderczo chrząknął. Pokręcił głową.

– Cholera, nie będę pił takich toastów. Za wolność.

Abel zachichotał i podniósł swoją szklankę.

– Wolność to chyba jednak przesada. Ja piję za... – Podniósł szklankę i zamyślił się. – Za domknięcie. Za jutrzejsze spotkanie z Treswickiem i szybki powrót do domu, do Edwarda. Hal?

Drażniący zapach whiskey szczypał ją w nozdrza, zakręciła nią, przyglądając się jej złotobrazowym błyskom.

– Ja wypiję za... – W głowie tłoczyły jej się słowa, niewypowiedziane słowa. Za prawdę. Kłamstwa. Tajemnice. Gardło jej się ścisnęło. Był tylko jeden toast, który nosiła w sercu, ta narastająca, bolesna prawda czekająca na ujawnienie. – Za moją mamę – dokończyła ochryple.

Zapadła długa cisza. Whiskey w szklance Hal drżała, gdy ona rozglądała się po twarzach wkoło. Wąs Hardinga zadygotał, kiedy podniósł swoją szklankę.

- Za Maud - powiedział głosem szorstkim od tłumionych emocji. Jego whiskey odbiła światło i ponuro mrugnęła.

Abel ciężko przełknął i podniósł swoją szklankę.

- Za Maud - powiedział bardzo cicho, tak cicho, że Hal nie byłaby pewna, co to za słowo, gdyby nie знаła go zawczasu.

Ezra nic nie powiedział, ale podniósł szklankę, a jego ciemne oczy błyszczały smutkiem, na który Hal niemal nie mogła patrzeć.

Siedzieli przez chwilę, wszyscy czworo, z uniesionymi szklankami, wspominając w milczeniu, aż nagle Hal nie wytrzymała. Jednym ruchem odrzuciła głowę i wypila całą whiskey trzema dużymi łykami.

Zapadła krótka cisza, po czym Harding wybuchł drżącym śmiechem, pełnym ulgi, a Ezra powoli zaklaskał.

- No ładnie, Harriet - rzucił szyderczo Abel. - Nie sądziłem, że stać cię na coś takiego, mała myszko.

I znowu. „Mała myszka Harriet”. Ale to nie była prawda. To nigdy nie była prawda. Po śmierci matki uczyniła się małą i nieważną, ale ta fasada pokazywana światu nie była jej prawdziwym „ja”.

W środku miała bowiem żelazną siłę - tę samą, jak zdała sobie sprawę, która pozwoliła jej matce uciec z Trepassen, zacząć od nowa w obcym mieście, gdy była w ciąży i samotna, a potem stworzyć życie dla swojej małej córki. W głębi duszy, pod nierzucającymi się w oczy, burymi ciuchami, kryła się niezłomna siła, która nigdy nie przestawała walczyć, walczyć i jeszcze raz walczyć. Myszy się chowają i uciekają. Nieruchomieją w obliczu zagrożenia. Pozwalają uczynić się ofiarą.

Kimkolwiek była Hal, na pewno nie była myszką.

I nie zamierzała być niczyją ofiarą.

„Wujku Harding - nie jestem tym, kim myślisz”.

Odstawiając szklankę, stuknęła nią o tacę i odchrząknęła, policzki ją piekły od świadomości tego, co zamierzała zrobić. Przypomniała sobie spojrzenie pani Warren tamtego pierwszego wieczoru... Spojrzenie kogoś, kto obserwuje stadko gołębi i nagle dostrzega kota skradającego się w cieniu pobliskiego drzewa. Spojrzenie osoby, która trzyma się z daleka... i czeka.

- No... - zaczął Harding, ale Hal mu przerwała, wiedząc, że jeśli nie zrobi tego teraz, to może nie zrobi nigdy.

- Chwileczkę, ja... mam coś do powiedzenia.

Harding zamrugał, trochę zbity z tropu, a Ezra uniósł kącik ust, jakby cieszyła go konsternacja brata.

- Och, dobrze, proszę. - Harding skinął ręką. - Nie krępuj się.

- Ja... - Hal przygryzła wargę. Wiele razy wyobrażała sobie tę chwilę, odkąd opuściła Cliff Cottages, ale nie znalazła właściwych słów, i nagle zrozumiała, że to dlatego, iż właściwe słowa *nie istniały*. Nie istniało nic, co mogłaby powiedzieć, żeby to dobrze zabrzmiało. - Mam wam coś do powiedzenia - powtórzyła, po czym wstała, sama nie wiedząc dlaczego, ale czuła, że nie może siedzieć wygodnie i bezpiecznie w rogu kanapy. Czuła się, jakby zbierała się do walki, do obrony przed atakiem. Mięśnie szyi i ramion aż ją bolały od napięcia.

- Kiedy byłam w Brighton, znalazłam coś. Nie byłam tego pewna wcześniej, ale przejrzałam dokumenty mojej mamy i odkryłam...

Przełknęła, nagle zaschło jej w ustach, pożałowała, że tak szybko wypila whiskey i nie zachowała sobie łyżeczka na teraz. Harding zmarszczył brwi; Abel zrobił się nagle spięty, siedział pochylony w fotelu z miną pełną skupienia. Tylko Ezra zdawał się nie przejmować. Założył ręce na piersi i przyglądał się Hal z zainteresowaniem, jak ktoś oglądający przebieg eksperymentu.

- No? - ponaglił ją nieco zniecierpliwionym tonem. - Co odkryłaś? Wykrztuś to, Harriet.

- Margarida Westaway... wasza siostra... nie była moją matką - oznajmiła.

Poczuła, jak spada z niej ogromny ciężar, ale nie przyniosło jej to ulgi, tylko dotkliwy ból oraz strach, kiedy czekała na jego uderzenie.

Zapadła długa cisza.

- Ja... *co?* - wykrztusił w końcu Harding. Wpatrywał się w Hal, a jego pulchna, rumiana twarz zapłonęła na czerwono od gorąca kominka lub też od szoku wywołanego obwieszczeniem, Hal nie była do końca pewna. - Co takiego?

- Nie jestem waszą siostrzenicą - powiedziała Hal.

Znowu przełknęła ślinę. Gdzieś w głębi duszy zbierało jej się na łzy i bardzo łatwo byłoby je teraz uwolnić, zabiegając o współczucie, ale

wiedząc to, zmusiła się do powstrzymania płaczu. Nie będzie tu grała ofiary. Dość już tego udawania.

– Powinna była domyślić się wcześniej... były pewne... rzeczy... które jakoś nie pasowały do siebie. Ale dopiero kiedy wróciłam do domu i zajrzałam do dokumentów mojej mamy, żeby to przeanalizować, znalazłam... znalazłam dziennik... listy... z których wynikało, że nastąpiła jakaś straszna pomyłka. Moja matka nie była waszą siostrą. To była Maggie.

– O mój Boże – odezwał się Abel, głosem płaskim i pustym ze zdumienia. Chwycił głowę rękoma, jakby próbując utrzymać w niej myśli, które chciały się uwolnić. – O mój Boże. Hal... ale to jest... to jest... – Przerwał, kręcąc głową, jakby został oszołomiony i próbował otrząsnąć się z ciosu. – Jak mogliśmy tego nie *dojrzec*?

– Ale... Ale czekajcie, to oznacza, że testament można podważyć – wybuchnął Harding.

– Och, na Boga! – przerwał mu Ezra. Zaśmiał się szyderczo. – Czy ty potrafisz myśleć o czymś więcej niż o pieniądzach? Testament jest tu najmniej ważny.

– A właśnie że to za sprawą testamentu Hal w ogóle tutaj trafiła, więc chyba jest wręcz kluczowy – odparował Harding. – I nie chodzi tu o pieniądze. Naprawdę nie podoba mi się to, co sugerujesz, Ezra. Tu chodzi... tu chodzi... O mój Boże, właśnie kiedy już zaczynaliśmy rozwiązywać cały ten pokręcony problem... Co, u licha, mama sobie myślała?

– Dobrze pytanie – powiedział cicho Abel. Siedział zgarbiony, z głową nadal w dłoniach.

– Ale... ale twoje imię było w testamencie – powiedział powoli Harding. Wyglądał na kogoś, kto zaczyna się otrząsać z pierwszego szoku i próbuje prześledzić wszystko jeszcze raz... złożyć to wszystko w całość. – Chyba że... czekaj... czy ty chcesz nam powiedzieć, że wcale nie jesteś Harriet Westaway? To kim ty jesteś?

– Nie! – odpowiedziała szybko Hal. – Nie, nie, jestem Harriet. Przysięgam. A moja mama to naprawdę Margarida Westaway. Ale wydaje mi się, że wasza matka musiała poprosić Treswicka o namierzenie córki. – Hal czuła, że twarz jej sztywnieje, a palce ziębną, mimo ognia w kominku. – I jakimś trafem tropy musiały się pomieszać, a on odnalazł moją matkę, nie zdając sobie sprawy z pomyłki. Pewnie powiedział waszej matce, że

odnalazł waszą siostrę, która zmarła, ale za to miała córkę. Więc ona umieściła w testamencie moje imię i nazwisko, nie zdając sobie sprawy, że wcale nie jestem jej wnuczką.

– Jakim cudem *sama* się nie zorientowałaś? – spytał Abel, ale w jego głosie nie było złości, tylko zdumienie. Spojrzał na Hal, a jego wzrok przepełniał niepojęty ból, którego nie zrozumiała do końca. – Na pewno dostrzegłaś jakieś rzeczy, które nie składały się w całość... które sprawiały, że myślałaś...

Urwał. Hal poczuła, że sama nieruchomieje i nabiera ostrożności. To właśnie teraz. To jest ta najniebezpieczniejsza część. Bo on miał rację.

Zmusiła się, by przestać spacerować i usiąść, miała w głowie głos swojej matki. „Kiedy kusi cię, żeby szybko odpowiedzieć, zwolnij. Niech poczekają. Daj sobie czas na zastanowienie. O potknięcia najłatwiej wtedy, kiedy się spieszymy”.

– Cóż... – zaczęła powoli. Sprężyny w kanapie zaskrzypiały, kiedy zawierciła się niewygodnie, a w kominie zawył wiatr. – No cóż... były takie rzeczy. Nie od razu, ale z czasem... Jednak musicie zrozumieć... Moje imię i nazwisko widniały w testamencie. A mama nigdy nie opowiadała wiele o swoim dzieciństwie. Nigdy nie wspomniała o żadnych braciach ani domu w Kornwalii, ale z drugiej strony było wiele rzeczy, o których nie mówiła. Nie opowiadała ani o swoich rodzicach, ani o moim ojcu. Po prostu przyjęłam do wiadomości, że to kolejna jej część, której nie poznałam. I tak bardzo chciałam... – Głos jej się załamał, nie było w tym nic sztucznego, kiedy walczyła mocno z jego drżeniem, bo mówiła szczerze. – *Tak bardzo* chciałam, żeby to była prawda. Pragnęłam tego... tego wszystkiego. – Wskazała dłonią pokój, ogień w kominku, dom oraz siedzących wokół niej mężczyzn, przyglądających się jej z różnym poziomem irytacji i zdumienia. – Rodziny. Bezpieczeństwa. *Domu*. Tak bardzo tego wszystkiego chciałam, że list od Treswicka wydał mi się... tak jakby odpowiedzią na moją modlitwę. Wydaje mi się... wydaje mi się, że nie chciałam widzieć tych wszystkich wątpliwości.

– Jestem w stanie to zrozumieć – przyznał ciężko Abel. Wstał i potarł dłońmi twarz. Nagle wyglądał dużo starzej, dużo starzej niż na swoje czterdzieści parę lat. – Mój Boże, co za chaos. Dobrze, że nam to w końcu powiedziałaś.

– Cóż, na pewno *poważnie* sobie jutro porozmawiam z Treswickiem – odezwał się Harding. Jego twarz nabrała niepokojącego odcienia fioletu. –

To się, do cholery, ociera o jakieś zawodowe zaniedbanie z jego strony. Bóg raczy wiedzieć, jak teraz rozwikłamy te prawnicze łamigłówki. Dzięki Bogu, że to wyszło na jaw, zanim doszło do uwierzytelnienia testamentu.

- Jezu - szepnął Ezra. - Czy możemy przestać się rozwodzić nad tym pieprzonym testamentem? Teraz pewnie dostaniesz te cholerne pieniądze, nie wystarczy ci?

- Wypraszam sobie... - zaczął ostrzej Harding, ale przerwało mu przeraźliwe, niosące się echem dzwonięcie, na które wszyscy gwałtownie podskoczyli. Kiedy hałas ucichł, Harding odstawił swoją szklankę z whiskey.

- Na Boga, pani Warren! - krzyknął, otwierając drzwi do salonu. - Jesteśmy **wszyscy** w środku. Czy to naprawdę było konieczne?

Podeszła do drzwi z rękoma na biodrach.

- Kolacja jest gotowa.

- Dziękuję - odparł Harding, raczej bez wdzięczności. Założył sobie ręce na piersi, a potem spojrzał na Ablę, jakby zadawał mu jakieś niewypowiedziane pytanie. Hal nie umiała do końca zinterpretować jego miny, ale brat najwyraźniej zrozumiał, bo wzruszył ramionami i dość niechętnie pokiwał głową.

- Pani Warren - zagał ciężko Harding. - Zanim przejdziemy do jadalni, mamy do wyjaśnienia coś, co dotyczy również pani. Wyszło na jaw... - Zerknął na Hal. - Że Treswick popełnił dość nieszczęśliwą pomyłkę, sporządzając testament mamy. Harriet **nie** jest córką Maud, tylko Maggie. Odkryła to dopiero wtedy, gdy przeglądała dokumenty swojej matki. Bóg raczy wiedzieć, jak Treswick doprowadził do takiego godnego ubolewania błędu, ale w jego świetle testament jest oczywiście nieważny. Nie jestem pewien, co się teraz stanie, przypuszczam, że należy postąpić zgodnie z zasadami ustawowego dziedziczenia. Ale tak to wyszło.

- Nigdy nie sądziłam, że nią jest - odparła pani Warren. Założyła ręce na piersi, łaskę trzymała pod łokciem. Harding zamrugał.

- Co proszę?

- Oczywiście, że to dziecko Maggie. Nikt o zdrowych zmysłach nie pomyślałby inaczej.

- Co? Ale dlaczego pani nic nie **powiedziała**?

Pani Warren uśmiechnęła się, a jej oczy w bladym blasku ognia połyskiwały niczym kamienie.

- No? - ponaglił ją Harding. - Chce pani powiedzieć, że była o tym przekonana, ale nic nie powiedziała?

- Nie przekonana. Ale tak na zdrowy rozum. Poza tym to nie moja sprawa.

- No! - Tym razem był to okrzyk niedowierzania, ale pani Warren zdążyła się już odwrócić i kuśtykała długim korytarzem wyłożonym płytkami, a jej laska stukiała przy każdym kroku.

- Słyszeliście to? - Harding zwrócił się do milczącej grupy, ale nikt nie odpowiedział.

W końcu Ezra odwrócił się i wyszedł, milcząc buntowniczo, zgarbiony. Abel pokręcił głową i poszedł za nim. Harding też się obrócił i Hal została sama.

Dłonie jej nadal drżały, odczekała chwilę, ogrzewając je przy ogniu, próbując odzyskać czucie w zdrętwiałych opuszkach.

Właśnie miała wyjść, kiedy kawałek węgla z kominka nagle rozświetlił się i opadł, wyrzucając płonąca iskrę na dywanik. Hal już miała ją przydepnąć, kiedy zdała sobie sprawę, że ma bosa stopy - wcześniej zdjęła w wejściu przemoczone buty. Sięgnęła więc po pogrzebacz i wrzuciła węgielek z powrotem do obłożonego kamieniami paleniska, a ostatnie iskrę zduśiła jego końcówką.

W dywanie zrobiła się dymiąca dziura, a w desce pod spodem wypalił się ślad, ale nie mogła nic z tym zrobić. Rozejrzawszy się, Hal dostrzegła, że to nie był pierwszy raz. Zobaczyła trzy czy cztery nawet większe dziury, takie, w których ogień mocniej wgryzł się w drewno. Westchnęła, odłożyła pogrzebacz na miejsce i odwróciła się do wyjścia, ale okazało się, że przejście zagradza jej pani Warren.

- Przepraszam - odezwała się Hal, ale pani Warren się nie poruszyła, a Hal przez krótką chwilę myślała, że będzie musiała wołać o pomoc albo znowu uciec przez okno. Ale kiedy zrobiła krok w stronę drzwi, pani Warren zbliżyła się do futryny i pozwoliła Hal przejść, chociaż ta musiała się precyzyjnie, żeby nie potknąć się o jej laskę.

Dopiero kiedy przeszła i ruszyła korytarzem, czując zimne płytki pod skarpetkami, kobieta się odezwała, tak cicho, że Hal musiała się odwrócić.

- Co pani powiedziała? - spytała, ale pani Warren zdążyła już zniknąć w salonie, a ciężkie drzwi się za nią zatrzasnęły, ucinając słowa Hal.

Była jednak pewna - a przynajmniej prawie pewna - że wychwyciła słowa, wysyczone tak cicho, że wybrzmiały ciszej od dźwięków wiatru

w kominie.

„Wynoś się – jeśli życie ci miłe. Póki jeszcze możesz...”

Rozdział 38

Tego wieczoru Hal wcześniej położyła się do łóżka. Czy to po wyczerpującym dniu, czy po długim spacerze do Cliff Cottages – niemal natychmiast zasnęła.

Obudziła się zeszywniała i z poczuciem, że spała bardzo długo, chociaż jeszcze nie świtało, a kiedy wstała i podeszła do okna, drżąc w zimnym, nocnym powietrzu, księżyc był nadal wysoko. Jej oddech osadził się bielą na szybie, niebo się wypogodziło i w księżycowym blasku widziała lśniący szron na trawniku.

Miała suche usta, więc sięgnęła po szklanę przy łóżku, jednak kiedy ją podniosła, ta okazała się pusta. W całym tym zmęczeniu musiała zapomnieć napełnić ją wieczorem. Chłodny spacer przez ciemną klatkę schodową do łazienki na dole nie wydawał się zachęcający, więc Hal postanowiła zignorować pragnienie. Wróciła do łóżka i zamknęła oczy, ale suchość w ustach nie dawała jej spokoju, odganiając sen, aż w końcu dziewczyna się poddała, zestawiała nogi z łóżka i sięgnęła po szklanę. Owinęła się polarem i ostrożnie wyszła na korytarz.

Panowały tam nieprzeniknione ciemności, linoleum pod bosymi stopami było lodowate, a kiedy Hal spróbowała zapalić światło włącznikiem na ścianie, poniewczasie przypomniała sobie, że nikomu nie powiedziała o brakującej żarówce.

Oczywiście włącznik pstryknął bez żadnego efektu, a Hal westchnęła i wróciła do pokoju na strychu po komórkę. Cienki snop światła z jej latarki sprawił, że korytarz wydawał się chyba jeszcze ciemniejszy, ale przynajmniej widziała ziejącą czerń otwartej klatki schodowej.

Zrobiła tylko jeden krok i stopa jej się w coś zaplątała.

Odruchowo próbowała złapać się poręczy – ale żadnej tam nie było. Poczula, że drapie paznokciami gołą ścianę, potem zachwiała się tak, że ze

strachu ścisnęło ją w żołądku, telefon wypadł jej z dłoni – i nagle zdała sobie sprawę, że spada. Nie mogła nic zrobić, by to powstrzymać.

Z hukiem wylądowała na korytarzu, uderzyła głową o podłogę, poturlała się i zatrzymała na ścianie. Leżała tam przez chwilę, wstrzymując oddech, zdyszana, wyczekując dźwięku nadbiegających kroków, pytań, troskliwego dociekania. Ale nic takiego nie nastąpiło.

– Nic... Nic mi nie jest! – zawołała drżącym głosem, lecz nie padła żadna odpowiedź, poza szumem oraz odległymi odgłosami stłumionego chrapania dochodzącego gdzieś z dołu.

Ostrożnie usiadła. Zaczęła szukać dłonią okularów, ale potem uświadomiła sobie, że w ogóle ich nie włożyła. Nadal leżały na nocnym stoliku, więc przynajmniej z tego mogła się ucieszyć. Wolałaby chyba połamać rękę niż okulary, tak daleko od domu. Jej telefon leżał na ostatnim stopniu schodów, ekranem w dół, latarka nadal świeciła na sufit, a kiedy Hal podniosła komórkę, zobaczyła popękany ekran. Samo urządzenie jednak najwyraźniej działało.

Szklanka, którą niosła w drugiej dłoni, zbiła się – odłamki szkła leżały rozsypane na podłodze, ręka jej krwawiła, ale nie było żadnej krwi tam, gdzie uderzyła głową o podłogę, a kiedy rozprostowała ręce, wszystkie kości wydawały się całe. Wstała niepewnie i zakreśliło jej się w głowie, ale nie upadła, tylko oparła się o ścianę, i wszystko przeszło.

Miała niewiarygodne szczęście, że nie złamała sobie ręki albo może nawet karku. Ściana korytarza znajdowała się tylko kilkadziesiąt centymetrów od dołu schodów. Gdyby uderzyła w nią czaszką, mogłaby zginąć.

Zalała ją fala dreszczy i mdłości. Pomyślała drętwo, że to opóźniony szok, i opadła na najniższy schodek, czując, jak głowa jej pulsuje w miejscu, gdzie uderzyła nią o podłogę, a do tego doszło niekontrolowane drżenie rąk i nóg. Nie chciało jej się już pić, zresztą pomysł przedzierania się boso pomiędzy odłamkami potłuczonego szkła wydawał jej się niestworzony. Pragnęła tylko wrócić do łóżka, gdzie było bezpiecznie i ciepło, żeby drżenie kończyn ustąpiło.

Powoli oparła się na dłoniach i kolanach, po czym, nie do końca pewna, czy będzie w stanie utrzymać równowagę, wczołgała się po schodach z komórką w ręku.

Przegapiłaby to w niemal każdej innej pozycji – ale nie teraz, kiedy światło z komórki świeciło prosto w tym kierunku. Na pierwszy schodek

od góry. Zardzewiały gwoźdź, wbity w listwę przypodłogową na wysokości kostki, oraz nadal zwisający z niego przerwany kawałek sznurka.

Hal poczuła, że nie może oddychać, i znieruchomiała. Snop światła z jej telefonu świecił prosto na ten niewinny drobiazg.

Kiedy się opanowała, musiała się zmusić, by skierować światło na drugą stronę schodów.

I oto ujrzała jego bliźniaczy odpowiednik, wbity w tym samym miejscu, tylko tym razem prawie wyrwany siłą jej upadku.

Nie potknęła się. To nie był wypadek.

Ktoś zamocował te gwoździe i przeciągnął sznurek w poprzek najwyższego stopnia, a dodatkowo wykręcił żarówkę na szczycie schodów, aby mieć pewność, że Hal nie zobaczy, nawet za dnia, co zrobiono.

Była pewna, że to się stało po tym, jak poszła spać. Nie mogłaby wejść po schodach, nie potykając się o ten sznurek.

Co oznaczało, że ktoś tam wszedł, kiedy ona spała, by zastawić na nią pułapkę.

Ale nie... nie myślała jasno – nie mogłoby wbić gwoździ. Usłyszałaby ich. Co oznaczało... to oznaczało, że ktoś to przemyślał wcześniej. Gwoździe były już tam wcześniej, czekały na usunięcie żarówki oraz założenie sznurka. Ktoś to zaplanował. Przygotował się na jej powrót z Brighton i zabezpieczył się przed tym.

Hal miała wrażenie, że jej serce bije wolniej, pograżyła się w bezruchu.

Powinna panikować. Ale czuła się, jakby coś ją trzymało od środka i ścisnęło... ścisnęło.

Wpełzła, zamiast wspiąć się, po ostatnich stopniach do pokoju na strychu i zatrzasnęła drzwi, a potem oparła się plecami o drewnianą boazerię. Oparła głowę o dłonie i zaczęła myśleć, nie po raz pierwszy, o zasuwach na zewnątrz oraz o cichym okrucieństwie osoby, która zaledwie kilka godzin wcześniej weszła po tych schodach i zastawiła pułapkę mającą ją zabić.

Kiedy Hal zamknęła oczy i przycisnęła czoło do kolan, w jej głowie pojawił się nieproszony obraz.

To była Ósemka Mieczy. Kobieta z opaską na oczach, związana, otoczona więzieniem ostrzy oraz z krwiście czerwoną ziemią pod stopami, jakby już broczyła z ran. Miała się już nigdy nie oswobodzić.

„Karty nie mówią ci niczego, czego już sama nie wiesz” – usłyszała spokojny głos matki w uszach. „Pamiętaj, że nie mają żadnej mocy. Nie

mogą ujawnić tajemnic ani wyznaczyć przyszłości. Potrafią tylko pokazać ci to, co już wiesz”.

Och, ale teraz naprawdę wiedziała.

Ściany pułapki zamykały się wokół niej, na tyle ostre, że mogły ją zranić.

Teraz wiedziała, że ktoś nienawidził jej tak mocno, że chciał zabić. Ale *dłaczego?*

To nie miało sensu.

Kilka godzin wcześniej mogłaby pomyśleć, że to była próba któregoś z braci, mająca na celu odzyskanie udziału w spadku, który ich zdaniem im się należał. Bo Hal była – wcześniej – zapisobiorcą reszty masy spadkowej. Gdyby zmarła, jej część pieniędzy podlegałaby prawom dziedziczenia, co oznaczało, że w przypadku braku męża zostałyby one podzielone pomiędzy dzieci pani Westaway.

Ale teraz, kiedy już wyznała prawdę, Harding, Ezra i Abel nie musieli się jej obawiać. Pieniądze wróciłyby do nich niezależnie od tego, co by się z nią stało.

No więc dlaczego? Dlaczego teraz?

„Wynoś się – jeśli życie ci mile”.

„*Après moi, le déluge*”.

Co to znaczyło?

Hal czuła, jakby głowa miała jej wybuchnąć w miejscu, w które się uderzyła, i pulsowała tak mocno, że miała ochotę się rozplakać z bólu.

Niezależnie od tego, co pani Westaway zrobiła, co miała na myśli, zapoczątkowała coś tym testamentem, a Hal ślepo podążała za kolejnością zdarzeń, które zostały w ten sposób uruchomione. Tylko że, podobnie jak kobieta na Ósemce Mieczy, była otoczona niebezpieczeństwami, których nawet nie widziała.

W końcu, niemal oślepiona pulsującym bólem, który zaczynał obejmować jej całą czaszkę, Hal położyła się do łóżka i powoli ułożyła obolałą głowę na chłodnej poduszce, zamknęła oczy i podciągnęła sobie koce pod brodę, jak gdyby mogły ją ochronić przed stłoczonymi wokół zagrożeniami.

Już prawie spała, kiedy przyszło do niej imię, niczym wyszeptana do ucha odpowiedź.

„Margarida”.

To słowo sączyło się powoli, niczym chłodna, ciemna woda, poprzez szpary w czaszce Hal, a podążając jej nurtem, mimo zmęczenia, umysł Hal zaczął pracować i tropić powiązania.

Hal twierdziła wcześniej, że jej matką była Margarida Westaway – dziewczyna zwana Maud w dzienniku jej matki. A ze względu na to założenie niektóre rzeczy uznano za pewnik. To, że Maud uciekła z Kornwalii. To, że przeprowadziła się do Brighton i urodziła córkę. Oraz to, że zaledwie przed trzema laty zmarła w wypadku samochodowym.

Jednak prawda była inna.

Pytanie tylko, *jak bardzo* inna.

I jak daleko można się posunąć, by zapobiec wyjściu jej na jaw?

Jedno było pewne.

Nie chodziło już o pieniądze, bo Hal pożegnała się z nimi w wyniku poczynionego wyznania. Stawka była tu dużo wyższa i dziwniejsza – ktoś był gotów zabić, by to ukryć.

Powinna się bać – i rzeczywiście po części czuła strach. Ale gdzieś w głębi, w samym środku, w drapieżnym aspekcie własnej natury, który trzymała zamknięty w ukryciu, Hal wiedziała. Tym razem nie ucieknie. Ktoś już raz próbował ją odstraszyć i prawie mu się udało. Ale to nie zadziała po raz drugi.

Teraz pragnęła odpowiedzi – co to za sekret leżał u podstaw tej tajemnicy, którą ktoś chciał chronić tak bardzo, że gotów był zabić?

Hal pragnęła odpowiedzi na te wszystkie pytania i jeszcze więcej. I była gotowa do walki.

Rozdział 39

Hal nie była w stanie z powrotem zasnąć i w końcu uznała, że dłużej już tego nie zniesie. Telefon na nocnym stoliku wskazywał godzinę pięć po piątej. Za wcześnie, żeby wstać, ale nie mogła tam leżeć w ciemności przez kolejne dwie godziny. Usiadła i sięgnęła po okulary, a ten ruch sprawił, że tył głowy zapulsował jej boleśnie, ale w końcu udało jej się wcisnąć je na nos i odpaliła komórkę, marszcząc brwi nad małym ekranem i zastanawiając się, co wyszukać.

Coś się stało z Maud Westaway – coś, o czym jedna z osób z tego domu wiedziała, nie chciała jednak, żeby ktokolwiek to odkrył. Czy to była pani Warren?

Hal znowu przypomniała sobie jej twarz poprzedniego wieczoru, tę dziką, triumfalną przyjemność oraz odważne wyznanie, że od samego początku przejrzała oszustwo Hal. Dziewczyna pomyślała, że cokolwiek to było, nie byłaby zaskoczona, że pani Warren wiedziała o tym i trzymała w tajemnicy z własnych, pokrętnych powodów.

Jednak próby wymyślenia, kto w tym domu taił jakiś sekret, były ślepą uliczką, bo prawdę mówiąc, tutaj każdy coś skrywał – Hal wiedziała to dobrze ze swojego doświadczenia czytania tarota. Każdy ma jakieś tajemnice, jakieś rzeczy do ukrycia, i jest w stanie wiele – czasem niewiarygodnie wiele – zrobić, by ich nie wyjawić.

Musiała spróbować wymyślić, co to były za sekrety – i jaką rolę odgrywała w nich ona sama. Ktoś był gotów ją zabić, żeby nie wyjawiała czegoś, czego się dowiedziała. Ale co to było?

Potarła oczy knykciami, próbując myśleć jasno.

W wyniku przedstawionych przez nią dowodów wszyscy założyli, że Maud nie żyje, to było jasne. I założyli także, że zginęła w wypadku samochodowym. A więc istniały dwie możliwości. Pierwsza: Maud

rzeczywiście zginęła – jednak nie w wypadku samochodowym – i ktoś chciał ukryć, co jej się naprawdę stało.

To było już wystarczająco niepokojące – sama myśl, że mogła się natknąć na potencjalnego mordercę.

Druga – jeszcze gorsza – że Maud żyła, ale ktoś w tym domu z uporem ukrywał ten fakt. Tylko dlaczego? Czy znowu chodziło o pieniądze? O testament? Czy gdyby spadek nie trafił do Hal, to pieniądze wróciłyby do puli, czy też poszłyby do dalszych spadkobierców, do Maud? Albo może ktoś próbował ukryć coś innego – o czym wiedziała Maud albo mogła to ujawnić?

Hal nie mogła tego wiedzieć. Ale tak czy inaczej, pierwszym krokiem powinno być przekonanie się, z którą z tych dwóch możliwości ma do czynienia.

Sprawdzenie, czy ktoś żyje, czy też nie, było zaskakująco trudne – Hal wiedziała to od jednej klientki, która wracała do niej wiele razy, błagając, żeby zdradziła, czy jej zaginiony mąż nadal żyje, mimo coraz bardziej współczujących wyjaśnień dziewczyny, że nie wie nic na ten temat.

Zawsze tak było. Sceptyków nigdy nie dało się przekonać – a ludziom, którzy wierzyli, nie dało się wyjaśnić, że jest odwrotnie. Hal do tego przywykła – do pełnego rezygnacji niedowierzania, kiedy mówiła ludziom, że nie może odpowiedzieć na ich pytanie ani zmienić faktów dotyczących ich życia, jakby miała pewną skrywaną przed nimi siłę, ale z jakiegoś przewrotnego powodu wołała jej nie ujawniać. Znała źródło ich niedowierzania: była to niechęć, by pogodzić się z faktem, że nigdy nie otrzymają odpowiedzi ani efektów, których pragnęli. Jednak większość, nawet jeśli niechętnie, przyjmowała do wiadomości, że Hal nie zmieni dla nich ich losu, choć nie dawali wiary, że tego nie *potrafi*. Odchodzili, skrycie żywiąc nadzieję, że nawet jeśli Hal nie wyświadczyła im takiej przysługi, to jeżeli dobrze poszukają, znajdą kogoś, kto się tego podejmie.

Jednak tamta kobieta była inna.

Wracała raz za razem, a kiedy Hal zaczęła odmawiać jej spotkań, dzwoniła pod innymi nazwiskami, pojawiała się bez ostrzeżenia i stukwała w szybę, aż Hal zaczęła się bać jej zaciśniętych, szczupłych palców oraz desperacji w zapadniętych oczach.

W końcu, bardziej w wyniku pragnienia, by się jej pozbyć, niż z życzliwości, Hal zapisała sobie nazwisko jej męża oraz ostatni ustalony adres i zaczęła szukać w sieci, żeby dać tej kobiecie potrzebne odpowiedzi

- ale spotkała się z niemal zupełnym brakiem informacji. Tamten mężczyzna nie miał konta na Facebooku. Wyglądało też na to, że nie sposób znaleźć czyjegoś aktu zgonu, jeśli nie zna się daty śmierci. Hal założyła wtedy, że wszystkie dane zostały zdigitalizowane - ale najwyraźniej nie. Istniało takie narzędzie dla danych historycznych - ale w przypadku ostatnich pięćdziesięciu lat trzeba było znać dokładne szczegóły śmierci, nie tylko po to, by uzyskać dostęp do aktu zgonu, ale żeby po prostu dowiedzieć się o jego istnieniu.

Wyglądało na to, że nie wiedząc, *kiedy* ktoś zmarł, nie dało się sprawdzić, *czy* w ogóle miało to miejsce.

A Hal nie znała żadnej daty śmierci. Jeśli Maud *rzeczywiście* nie żyła, to jej bracia nie mieli żadnych prawdziwych informacji na temat tego, co się wydarzyło, poszukiwania Treswicka też niczego takiego nie przyniosły. Alternatywnym rozwiązaniem było dowiedzenie przeciwnego scenariusza - że nadal żyła. Ale jak tego dokonać?

Jedynym tropem, który miała Hal, był wspomniany przez Lizzie college w Oxfordzie. Indeks na Oxfordzie, jak powiedziała. I potem, że myślała o college'u dla kobiet. Hal otworzyła wyszukiwarkę Google w telefonie. W 1995 roku istniał tylko jeden college dla kobiet w Oxfordzie - Kolegium św. Hildy, chociaż Somerville stało się koedukacyjne zaledwie rok wcześniej. Możliwe, że Maud nazwała je college'em dla kobiet, opisując je Lizzie.

Po kilku minutach przeczesywania sieci wyrzuciło jej bazę danych absolwentów obu college'ów, ale mogły ją przeszukiwać tylko osoby będące byłymi studentami. Oxford mógł sam potwierdzić stopień oraz ukończoną przez kandydata klasę ewentualnemu pracodawcy, oczekiwanie na odpowiedź trwało jednak dwadzieścia jeden dni.

Hal westchnęła, ale zapisała sobie numery do obu placówek. Może gdyby porozmawiała z żywą osobą, zdołałaby wydobyć potrzebne informacje. Albo mogłaby udać, że jest Maud, i sam fakt, czy rozmawialiby z nią, czy też nie, powiedziałby jej, czy kobieta tam studiowała.

Chociaż tak naprawdę... dokąd ją to prowadziło? Dwa, trzy lata od zniknięcia Maud z Trepassen? Nadal pozostawało to czeluść późniejszych lat, na których temat Hal nie miała choćby skrawka informacji. A wśród tych osób, które mogła o to spytać, była jedna, która właśnie próbowała ją zabić.

W zimnym świetle dnia trudno było o tym pamiętać. Co tak naprawdę się stało? Guz na głowie był dość oczywisty, ale te gwoździe i ten kawałek sznurka – czy *naprawdę* widziała to, co jej się wydawało?

Była już prawie siódma, więc Hal wstała, zrzuciła z siebie okrycie i zadrżała, po czym włożyła swoje ubrania, zimne od podłogi, na które leżały. Na korytarzu wzięła głęboki wdech i włączyła latarkę w komórce.

Gwoździe nadal tam były, zardzewiałe i wygięte, po obu stronach schodów.

Ale sznurek zniknął.

Hal zmarszczyła brwi. Była pewna, że go pamiętała – kawałek zwyczajnego, konopnego sznurka, ciemnego na tle poszarzałej deski, z jednego końca obwiązanego wokół gwoździa po lewej stronie. Ale już go nie było, z piętra zwisała tylko jasna, luźna nitka z linoleum.

Czy ktoś tu przyszedł i go zabrał? Albo czy to możliwe, że w ciemności nie rozpoznała tej nitki z linoleum?

Zgasiła latarkę, po czym powoli i ostrożnie zeszła po schodach, patrząc pod nogi w poszukiwaniu odłamków potłuczonego szkła oraz zastanawiając się po drodze. W nocy myślała tylko o tym, żeby pokazać Hardingowi, Ablowi i Ezzle dowody na to, co ktoś próbował zrobić. Teraz już zaczęła zmieniać zdanie. Gwoździe były wygięte i zardzewiałe i nawet jej wydawało się, że mogły już tam tkwić od jakiegoś czasu. A jeśli chodzi o ten sznurek... potrafiła sobie wyobrazić sceptycyzm Hardinga. „Naprawdę, Harriet? A może po prostu zahaczyłaś stopą o tę luźną nitkę od linoleum? To pożałowania godne niedopatrzenie, ale na pewno nie morderczy spisek...”

A odpowiedź brzmiała... Tak. To możliwe. Chociaż Hal była bardziej niż pewna, że wcale tak nie było.

Na dole Hal powoli przestąpiła z obitych dywanem schodów na chłodne płytki korytarza prowadzącego do wyjścia. Dokładnie w tym momencie na jakimś zegarze w głębi domu przesunęły się wskazówki i zaczął on wybijać godzinę. Hal odliczała uderzenia. Jedno... drugie... trzecie... czwarte... piąte... szóste... siódme.

Cisza, która po nich zapadła, była trochę stresująca, ale to uczucie przygasło, kiedy otworzyła drzwi do salonu. Był pusty – tak jak pozostawił go wieczorem, szklanki po whiskey stały na stole.

Cztery szklanki. W tarocie cztery puchary oznaczają skupienie na tym, co wewnątrz. Niezauważanie tego, co znajduje się tuż pod nosem, nieumiejętność korzystania z pojawiających się możliwości. W talii Hal na odpowiedniej karcie pod drzewem leży młoda kobieta pogrążona we śnie lub medytacji. Trzy puste puchary są porozrzucane na ziemi przed nią, a czwarty podaje jej do ust jakaś dłoń pozbawiona ciała. Ale ta kobieta nie pije. Nie zauważa nawet, co jej podano.

Czego nie udało jej się dostrzec?

Śniadanie zostanie zaserwowane dopiero o ósmej, a Hal nie cieszyła się na myśl o przypadkowym spotkaniu z panią Warren, takim jakie miało miejsce pierwszego poranka, więc wsunęła na stopy buty, wciąż wilgotne po poprzednim dniu, naciągnęła na głowę kaptur polara i delikatnie uchyliła okno w salonie, po czym wyszła na chłodne powietrze świtu.

Noc musiała być bezchmurna i bardzo zimna, a temperatura spadła mocno poniżej zera. Trawa pod stopami Hal była sztywna od mrozu i delikatnie chrupała, kiedy po niej stąpała. Oddech odznaczał się chmurką bieli, muśniętą bladym śladem różu wschodzącego słońca.

Na zewnątrz, na chłodnym, rześkim powietrzu, jej przepelniona paniką pewność z nocy powoli ustępowała, aż Hal zaczęła się czuć odrobinę głupio. Przepalona żarówka, którą ktoś miał wymienić – był już w połowie, ale zapomniał. Kilka gwoździ, pewnie pozostałych po czasie, gdy schody pokrywała wykładzina, oraz pojedyncza nić, wszystko to widziane w drżącym świetle latarki telefonu – nie było to zbyt wiele danych, na których można by zbudować teorię spiskową. A poza tym to nie miało *sensu*. Nawet gdyby Maud nie żyła i ktoś chciałby zapobiec wyjściu na jaw jakiejś prawdy, jaki sens miałyby zabicie Hal? Wyznała już prawdę – że jej matka to nie Maud. Nie pozostało już nic więcej do wyjawienia. Zrzucenie jej ze schodów byłoby bezcelowym ryzykiem i do niczego by nie prowadziło. Mleko już się rozlało.

W świetle powoli jaśniejącego świtu jej nocne lęki nagle zaczęły się wydawać nie tyle śmieszne, ile absurdalne, i poczuła, jak trochę rumienia jej się policzki, gdy wspomniała pełne strachu czołganie się z powrotem do pokoju i łomot serca, gdy siedziała pod drzwiami z kolanami przyciągniętymi do brody.

„Och, Hal” – usłyszała w uchu głos matki. „Ty to zawsze dramatyzujesz...”

Pokręciła głową.

Spacerowała bez celu, pozwalając stopom nieść się przed siebie, a teraz, gdy spojrzała przez ramię na dom, zdała sobie sprawę, jak daleko zaszła.

Przystanęła na chwilę, obejrzała się na zieloną łąkę morza ciągnącą się między nią a domem, a za nią na płataninę stajni i budynków gospodarczych, szklarni oraz ogródków warzywnych. Ile domów można by postawić w tym jednym ogrodzie? Ile pomieścić ludzi i stworzyć miejsc pracy?

A tymczasem cała ta ziemia, całe to piękno, wszystko na wyłączność, najpierw dla tej umierającej starszej pani, a teraz jej spadkobierców.

No cóż, to już nie był jej problem. Ezra, Harding i Abel mogą teraz o to walczyć. Co z tym zrobią – sprzedadzą? Może powstanie tu hotel, a teren wokół zajmą baseny i namioty do glampingu. Albo może ktoś zburzy dom i stworzy pole golfowe, z trawnikiem ciągnącym się aż po horyzont, gdzie zieleń traw spotka się z błękitem nieba.

Dziś odległe morze było szare, naznaczone białymi grzywami, a wiatr wiał Hal w twarz, gdy szła cały czas z górki.

Planowała dojść do granicy działki, a potem obejść dom dookoła, jednak kiedy odwróciła wzrok od cypla, zorientowała się, że stopy poprowadziły ją nieubłaganie z powrotem na ścieżkę, na którą najwyraźniej ciągle wracała – do zagajnika z ciemną wodą błyszczącą spomiędzy drzew.

Jednak tym razem Hal popatrzyła na tę wodę z innej perspektywy. Nie tylko jako na zwykłe jezioro znajdujące się w gęstym, zarośniętym zagajniku. To było *to* jezioro. To, o którym jej matka napisała w dzienniku.

A tam, pomiędzy nagimi, oszronionymi pniami, dostrzegła zarys hangaru na łodzie.

Zmieniła kierunek i zaciekawiona ruszyła w jego stronę.

Stał wśród mieszanki buków, dębów i cisów; te ostatnie były nadal zielone. Reszta była naga, tylko kilka brązowych liści jeszcze trzymało się gałęzi, furkocząc na wietrze, który wiał z doliny. Kiedy Hal ruszyła zarośniętą ścieżką, gdzie musiała rozgarniać gałęzie jeżyn i deptała po pokrzywach, zorientowała się, że ma w głowie słowa z dziennika. „Chodź, Ed! – zawołała, a on wstał, uśmiechnął się do mnie, po czym ruszył za nią na skraj wody i wskoczył do niej z rozbiegu”.

Ed. Edward. Czy to była prawda? Pamiętała, jak Edward wyszedł do niej tamtego wieczoru nad jeziorem, jak lakonicznie odpowiedział: „Och... to

kiedyś był hangar na łodzie. W lepszych czasach”. I przypomniała też sobie, jak Abel specjalnie odciągnął ją stąd pierwszego poranka, nim jeszcze w ogóle dowiedziała się, co to takiego. Czy znajdowało się tam coś, czego nie chcieli jej pokazać?

Drzwi były zamknięte, chyba na klucz, ale przez szpary w poczerniałych, dziurawych klepkach dało się zajrzeć do środka. Ten budynek był otwarty na jezioro, po obu stronach znajdowały się pomosty, a pomiędzy nimi pas ciemnej wody.

Opierała się o drzwi, zaglądając przez szparę pomiędzy dwiema deskami, kiedy nagle przegniłe drewno ustąpiło i drzwi runęły do środka, a Hal wpadła do budynku, poślizgnęła się na mokrym pomoście, tak że zachwiała się, próbując uniknąć upadku do wody, i wylądowała na kolanach, zaledwie parę centymetrów od powierzchni jeziora.

Kłęcząca tam przez chwilę, dysząc i próbując się uspokoić. W upadku ucierpiały jej kości, już i tak poobijane w nocy, aż zacisnęła zęby z bólu, ale kiedy usiadła na piętach, pomyślała, że nic sobie nie złamała.

Czy była bezpieczna? Hal spojrzała w dół na deski pomostu pod swoimi stopami oraz pluskającą, pokrytą liśćmi wodę, z cienkimi kawałkami lodu dryfującymi na jej powierzchni. Nie była pewna. To miejsce wyglądało, jakby pod wpływem najdrobniejszego ruchu miało się zawalić prosto do jeziora, i nie zdziwiłaby się, gdyby jej stopa zapadła się przez deski prosto do wody pod spodem. Przynajmniej było płytko. Ostrożnie podniosła jeden z patyków, który wpadł do środka przez dziurę w dachu, i odpychając na boki delikatną, popękaną krę, sprawdziła głębokość. Po niecałych trzydziestu centymetrach patyk utknął na czymś twardym pod wodą, jakimś gładkim kształcie, który, gdy odsunęła patykiem zgniłe liście, okazał się jasny.

Gdy przyjrzała mu się uważniej poprzez ciemną, lekko torfiastą wodę, rozpoznała kształt łodzi leżącej pod wodą dnem do góry. Pozostałości czarnych, gnijących liści ukrywały ją, ale kiedy patyk poruszył wodę, jej oczom ukazała się biel zdradzająca dziób. Gdy jej oczy przywykły do słabego światła oraz tego, jak woda zakrzywiła perspektywę, Hal dostrzegła coś jeszcze – dziurę wybitą koło kilu. Czy ktoś zatopił ją naumyślnie?

Nagle przestała mieć wrażenie, że znajduje się w miejscu opisanym przez jej matkę w dzienniku – tam, gdzie się śmiała, pływała, bawiła z kuzynostwem oraz chłopakiem, w którym zaraz miała się zakochać. Było

tam... To przyszło Hal do głowy zniecka, niczym czyjś zimny dotyk na ramieniu. Było tam jak w miejscu, w którym ktoś kiedyś umarł.

Hal się wzdrygnęła i najostrożniej, jak potrafiła, wstała, a potem wycofała się przez połamane drzwi i wyszła na chłodne, poranne światło. Powietrze miało świeży, morski zapach w porównaniu z aromatami słonawej wody i zgniętego drewna w hangarze, więc odetchnęła głęboko. Wtedy w telefonie piknęło jej powiadomienie, więc wyjęła go z kieszeni, żeby sprawdzić, chociaż ściśnięty żołądek podpowiadał jej to, co już wiedziała.

„11.30 – spotkanie z Treswickiem”.

Boże. No dobrze, nie ma sensu tego odkładać. Myśl, że za parę godzin cała ta sprawa zostanie rozwiązana, dawała jej nawet pewne uczucie ulgi. Musiała tylko liczyć, że Treswick okaże się równie wyrozumiały w kwestii jej „pomyłki”, jak byli Harding, Abel i Ezra... a przynajmniej takie sprawiali wrażenie.

Hal zadrżała i schowała dłonie głębiej do kieszeni polaru. Nagle tosty i kawa – nawet kawa pani Warren – wydały się bardzo atrakcyjne, więc szybko poszła na wzgórze do domu, za nią ciągnął się jej mroźny oddech.

Drzwi hangaru zamknęły się cicho za jej plecami, ale nie odwracała się za siebie.

Rozdział 40

– O mój Boże. – Treswick zdjął okulary i wytarł je, chociaż o ile Hal dobrze widziała, i tak były już wystarczająco czyste. – O mój Boże, o mój Boże. Co za komplikacja.

– Proszę. – Hal wyciągnęła dłoń. – Proszę, to moja wina. Powinam była... powinam była powiedzieć wcześniej.

– Przede wszystkim winię siebie – ciągnął Treswick, jakby jej nie dosłyszał. – Muszę przyznać, że nigdy nie przyszło mi do głowy, że Maggie też miała na imię Margarida. Oczywiście wiedziałem o istnieniu jakiejś kuzynki, ale wszyscy mówili o niej jako o Maggie i wydaje mi się, że po prostu założyłem, iż jej pełne imię to Margaret. O mój Boże, to niezwykle problematyczne.

– Więc prawdopodobnie ten testament jest nieważny? – wtrącił niecierpliwie Harding. – To chyba sedno sprawy?

– Będę musiał zasięgnąć porady – odparł Treswick. – Intuicja podpowiada mi, że tak, jest nieważny, ponieważ pani Westaway wyraźnie chciała przekazać spadek dziecku swojej córki. Ale ponieważ Harriet została w nim wymieniona wraz z miejscem zamieszkania... O mój Boże. To naprawdę strasznie poplątane.

– No cóż. – Ezra wstał i przeciągnął się tak, że Harriet usłyszała, jak chrupie mu w kręgosłupie i ramionach. – Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, żeby wyjaśnić sprawę na tę chwilę, więc proponuję, żebyśmy teraz zostawili ją prawnikom.

– Będę się z państwem kontaktował – powiedział powoli Treswick. Miał zmarszczone brwi i Hal bardzo mu współczuła. Uniósł okulary, żeby potrząść te miejsca, w których noski dotykały jego skóry. – Obawiam się, że trzeba będzie poczynić sporo wyjaśnień.

- Bardzo przepraszam - odezwała się Hal i wcale nie musiała udawać zbolalej skruchy w głosie. Ogromnie żałowała, że nie ma sposobu, by wyjaśnić jej własny udział w tym wszystkim bez kończenia przy tym jako strona w oskarżeniu, ale nie mogła ryzykować. Już lepiej trzymać się mglistych pozorów, że to tylko niewinna pomyłka, choć zaczęła się zastanawiać, ile trzeba, by runęły. - Do widzenia, panie Treswick.

- Do widzenia, Harriet.

Skinęła głową i wstała, a on złapał ją za dłoń. Początkowo myślała, że chce ją uścisnąć, ale nie zrobił tego, tylko po prostu ją trzymał, dość delikatnie, a kiedy w końcu się uśmiechnęła i odsunęła, przez chwilę wydawało jej się, że nie chciał jej puścić. To było niepokojące uczucie, to wspomnienie jego wysuszonych, starych palców, dość zdecydowanie obejmujących jej rękę - i pozostało z nią, kiedy wracała z Hardingiem do recepcji, rozmyślając... i rozmyślając.

Na końcu korytarza Hal odwróciła się i zobaczyła, że on nadal tam był, stał w drzwiach swojego gabinetu z posepnym spojrzeniem. Dziewczyna złapała się na tym, że zastanawia się nad jego miną, kiedy za Hardingiem przechodziła z powrotem do małej, jasnej, zatłoczonej przestrzeni przy recepcji.

Drzwi się za nią zatrzasnęły, ale zanim to nastąpiło, nie mogła się powstrzymać, by nie obejrzeć się jeszcze raz za siebie. Stał tam z rękoma założonymi na piersi i zmarszczonymi brwiami. Nie potrafiła pozbyć się wrażenia, że Treswick powiedziałby coś, gdyby mógł. Coś więcej. Ale co?

Rozdział 41

- No cóż - zagaił Harding, kiedy wyszli z kancelarii i niepewnie stanęli na ulicy przed nią. - Mogę zaprosić was na lunch? Albo może bardziej pasowałoby piwo?

- Mnie nie - odparł Ezra. Uniósł wzrok na niebo, zachmurzone i pożółkłe, zwiastujące śnieg. - Zarezerwowałem prom z Folkestone na dziś wieczór. Muszę wracać i wziąć się do pakowania.

- Dzisiaj? - Harding zamrugał. Zapinał kurtkę, żeby ochronić się przed zimnym wiatrem. Wyglądał na lekko urażonego. - No cóż, mogłeś nas ostrzec. Wątpię, żeby pani Warren była zadowolona, że tak uciekasz.

- Jezus Maria! - odpowiedział Ezra. Nie ogolił się tego dnia, a jego jednodniowy zarost ciągnął się przez całą szyję i zniknął za dekoltem T-shirtu. Hal pomyślała, że Ezra stanowił ostry kontrast dla wypielęgnowanego, przystojnego Abła oraz rubasznego Hardinga w średnim wieku. - Odpieprzysz się w końcu, Harding, z tym swoim emocjonalnym szantażem? Mam sprawy, do których muszę wrócić.

- **Wszyscy** mamy swoje obowiązki...

- W ogóle nie chciałem tu, do cholery, przyjeżdżać! - podkreślił Ezra. Jego głos zabrzmiał nieco niebezpiecznie i Hal odniosła wrażenie, że się przed czymś powstrzymuje.

- Och, na Boga - nie wytrzymał Abel. Nagle zaczął wyglądać tak, jakby pod uśmiechniętą, dobroduszną maską zagotował się ze złości, jak gdyby coś w nim zawrzało, a utrzymanie pozorów uprzejmego i dobrodusznego stało się bardzo trudne. - Nie wiem, dlaczego zachowujesz się tak, jakbyś tylko ty miał prawo być wkurwiony, że tu jesteś.

- Nie wtrącaj się, Abel - odwarknął Ezra, ale jego brat pokręcił głową.

- Nie. Wiem, że Maud była twoją bliźniaczką i to ożywiło w tobie bolesne wspomnienia, ale to była także moja siostra. Nie masz monopolu

na żałobę ani na trudne dzieciństwo. A właściwie, wiesz co? Twoje dorastanie było dużo łatwiejsze od Maud czy mojego.

– O czym ty mówisz?

– Doskonale wiesz, że byłeś jej ulubieńcem – wytknął mu trochę gorzko Abel.

– Jeśli mama miała jakiegoś ulubieńca, to mnie o tym nie poinformowała – uciął Ezra. A Abel się roześmiał.

– Bzdura. Wiesz, że mogłeś ją sobie okręcić wokół palca. Podobnie jak panią Warren. My obrywaliśmy za rzeczy, które tobie uchodziły na sucho. **Tobie** upiekłoby się nawet morderstwo.

– Abel, zamknij się – rzucił Ezra.

– Przywołuję jakieś niewygodne fakty?

– Nie masz o niczym pojęcia. – Wcisnął ręce do kieszeni. – Nie wiesz, co przeżywałem tu w ostatnich latach, po tym, jak Maud uciekła. Ciebie nie było, pieprzyłeś się w mieście z jakimś swoim aktualnym przydupasem....

– Ach, więc uciekamy się teraz do homofobicznych wyzwisk? – przerwał mu Abel.

– Jeśli o mnie chodzi, to możesz się pieprzyć, z kim ci się podoba – odparł Ezra złowieszczym, ściszym tonem. – Przypominam tylko, że ciebie tu nie było, więc nie mów mi, jak to wyglądało.

– Dzieci, dzieci – odezwał się Harding z dość wymuszonym śmiechem.

– Wystarczy już. Przestańcie. Oczywiście, że możesz wyjechać, kiedy chcesz, Ezra. Nikt nie sugeruje ci niczego innego. Po prostu może dobrze byłoby, gdybyś informował nas o swoich planach.

– No to żebyście byli obaj poinformowani, ja pewnie też wyjadę dziś wieczorem – oznajmił Abel. Drżał trochę na przenikliwym wietrze wiejącym w wąskiej uliczce. – Zdaje się, że zapowiadają śnieg, a ja chciałbym wyruszyć, nim zasypie drogi. Nie mogę sobie pozwolić na kolejny dzień poza biurem, a poza tym... cóż... muszę porozmawiać z Edwardem. Wyjaśnić pewne rzeczy. – Zapadła krótka, niezręczna cisza. – Harding, podrzucić cię do Londynu? Wiem, że Mitzi zabrała samochód.

– Dziękuję – odparł nieco sztywno Harding. – To bardzo miłe z twojej strony.

Doszli już do parkingu, Abel wyjął swoje kluczyki i wcisnął przycisk na pilocie.

– A co ze mną? – spytała dość cicho Hal.

– Słucham? – Harding odwrócił się do niej i zamrugał. – Aha, Harriet. Oczywiście. O której masz pociąg?

– Nie wiem – odparła. – Nie sprawdziłam jeszcze rozkładu. Ale potrzebuję...

Słowa utknęły jej w gardle, ale w końcu się zmusiła, żeby je wypowiedzieć.

– To znaczy nie mam jak dojechać na dworzec.

– Podrzucę cię po drodze – rzucił krótko Ezra. – Ale ostrzegam cię, że chcę wyjechać przed czwartą. Czy to za wcześnie?

Otworzył samochód.

– Dzięki. Szczerze mówiąc, może być o każdej porze. Wydaje mi się, że pociągi są mniej więcej co godzinę gdzieś do szóstej.

Ezra pokiwał głową. Potem bez słowa wsiadł do auta, odpalił silnik i odjechał.

Za plecami Hal Abel wydał z siebie głośne, rozdrażnione westchnięcie, patrząc, jak samochód jego brata odjeżdża.

– O Boże. Przepraszam, Hal. Ja... My się nigdy nie dogadywaliśmy, cała nasza trójka. Za bardzo się różnimy i nie wydaje mi się, żebyśmy zdołali się otrząsnąć z dzieciństwa, w którym matka nastawiała nas przeciwko sobie. Nie wiem, co uważa Ezra, może rzeczywiście nie wierzy, że mama go faworyzowała, ale dla wszystkich było dość jasne, że jej zdaniem był cudownym dzieckiem, i wcale nie próbowała tego przed nami ukrywać. Niezbyt fajnie się dorastało obok czegoś takiego.

– To... naprawdę... to nie moja sprawa – odparła niezręcznie Hal.

– Prawda – dodał krótko Harding. Objął Hal ramieniem. – Moim zdaniem Harriet nie powinna wracać do domu ze wspomnieniem naszego prania brudów. No cóż, moja droga, to na pewno była bardzo dziwna sprawa, ale mam nadzieję, że skoro gałęzie naszego drzewa genealogicznego w końcu się spotkały, będziesz z nami w kontakcie.

– Będę. Obiecuję – przyrzekła Hal, chociaż miała okropne uczucie, że w tej kwestii nie ma zbyt wyboru, biorąc pod uwagę zatroskane spojrzenie Treswicka, gdy wychodziła.

– No – rzucił rzeczowo Harding. – Schowajmy się przed tym przenikliwym wiatrem i wracajmy do Trepassen, żeby powiadomić panią Warren.

Rozdział 42

– Gdzie jest pani Warren? – Takie słowa doszły Hal z klatki schodowej, kiedy znosiła walizkę z ostatniego piętra. Poczowała lekkie ukłucie, być może obawy.

Podczas pakowania cały czas musiała walczyć z pokusą, by poupychać rzeczy byle jak do walizki – tak silne miała przeczucie, że starsza pani może wejść na górę, by dokonać ostatecznej konfrontacji.

Hal wyobrażała sobie różne dziwne rzeczy – że ktoś zamyka zasuwę na drzwiach sypialni i ją więzi albo że barykaduje drzwi na dole schodów. Niecierpliwe pożegnanie Ezry: „no cóż, nie mogę już dłużej czekać na Harriet”. I reszta rozjeżdżająca się, zanim zacznie padać śnieg – zostałyaby sama w domu pogrążającym się w ciemności, z mściwą starą kobietą...

Te uczucia były tak silne, że na czas pakowania zostawiła otwarte drzwi sypialni, by lepiej słyszeć stukanie jej laski na schodach – chociaż przypomniała sobie, że tamtego ranka, gdy zobaczyła panią Warren wyczekującą w ciemności pod drzwiami, kobieta zjawiła się po cichu.

Czy pani Warren naprawdę była taką słabowitą starszą panią, jak wszyscy zakładali, czy też ta laska stanowiła tylko kolejną warstwę oszustwa? Tak czy inaczej, najwyraźniej gospodyni potrafiła się cicho poruszać, kiedy chciała.

Teraz Hal była spakowana i gotowa, ubrana w płaszcz. Niebo ciemniało, zapowiadając śnieg, i chciała się tylko stamtąd wydostać.

Gdy wyszła zza rogu, Abel i Harding stali w korytarzu – Abel spojrział na nią, kiedy głośno postawiła walizkę na najniższym stopniu.

– Nie widziałeś jej czasem, Hal?

– Nie. – Dołączyła do nich na ciemnej klatce schodowej. – Nie widziałam jej od wczorajszego wieczoru.

Nie było jej nawet przy śniadaniu – dzbanek z kawą parował już na podstawce, kiedy przyszli do pokoju śniadaniowego, obok stały płatki i leżał chleb tostowy, ale nie zobaczyli pani Warren.

– Ezra poszedł jej poszukać – oznajmił Harding. – On jest jedyną osobą, która być może wyjdzie cało z jej pieczary.

Ale w tej chwili rozległo się trzaśnięcie drzwi na dalekim końcu korytarza, a kiedy się odwrócili, zobaczyli, że Ezra idzie w ich stronę, kręcąc głową.

– Sprawdziłem drzwi do jej pokoju. Są zamknięte na klucz, a ona nie odpowiada. Albo śpi, albo pojechała do miasta. Pożegnacie się z nią za mnie? – spytał Hardinga, a ten pokiwał głową.

– Jeśli ją zobaczę, ale my wyjedziemy zaraz po was. Będzie jej przykro, że się nie pożegnaliśmy.

– Pewnie tak, ale nic na to nie poradzę. Prognozy są coraz gorsze, nie chcę czekać. Cześć, Harding. – Trochę niezgrabnie uściskali się po męsku, w sumie bardziej pokleпали się po plecach, niż przytulili, a potem Ezra zwrócił się do Abła:

– Cześć, Abel.

– Cześć – odparł Abel. – I słuchaj, przepraszam, jeśli powiedziałem coś nie na miejscu.

– Ja... no, ja też przepraszam – powiedział dość sztywno Ezra, a Abel wyciągnął do niego ramiona.

– Przytulimy się na zgodę?

Ezra wyglądał, jakby było mu strasznie niezręcznie, gdy brat go objął niczym jakąś sztywną, niechętną masę, ale ostatecznie też wyciągnął ramiona i uściskał brata, niemal wbrew sobie.

Potem przyszła kolej Hal. Objęła wszystkich braci po kolei, czując nieprzywykłą do tego miękkość brzucha Hardinga pod drogim płaszczem, a także szczupłe, twarde żebra Abła pod jego miękkim swetrem oraz zaskakującą siłę jego uścisku.

– Cześć, moja droga – powiedział Harding.

– Cześć, mała Harriet – odezwał się Abel. – Odzywaj się.

A potem Hal wsiadła do auta Ezry, silnik zawarczał i pojechali w dół podjazdu. Sroki zerwały się za nimi do lotu. Z nieba zaczęły spadać pierwsze płatki śniegu.

Na początku jechali szybko i Hal siedziała w milczeniu, z głową opartą o szybę, próbując nie myśleć o tym, co zrobi po powrocie do Brighton.

W żołądku łaskotało ją coś dziwnego. Po części obawa – niechęć do mierzenia się z mnóstwem wyborów, przed którymi stanie, gdy wysiądzie z pociągu na dworcu w Brighton. Może wróci do domu na parę nocy, ale jeśli zatrzyma się tam dłużej, do jej drzwi zapukają ludzie pana Smitha.

Pod tymi zmartwieniami kryło się jednak coś jeszcze, co poruszało w niej czułą strunę, gdy myślała o Ablu, Hardingu i Ezrze oraz o tym, jak ją obejmowali. Przypominało to niemal tęsknotę za domem, jakieś wewnętrzne pragnienie, tak silne, że odczuwała je jako ból. Jednak nie dotyczyła ona żadnego domu, który miała. To była raczej tęsknota za tym, co mogłaby mieć. Za tą alternatywną rzeczywistością, w której mogłaby polegać na swojej rodzinie, miałaby jakieś zabezpieczenie. Nigdy nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo była samotna, dopóki nie zobaczyła przez chwilę, że może być inaczej.

Ale otrząsnęła się. Nie może myśleć w taki sposób. To, co straciła, nigdy do niej nie należało, trzeba myśleć o pozytywach tej sytuacji. Wyplątała się z oszustwa i wydostała z koszmarnej sytuacji. I teraz – przypomniała sobie zwisający sznurek na schodach oraz paranoję tamtej bezsennej, straszliwej nocy – była bezpieczna. Przynajmniej w tej chwili.

Czy to była prawda? Nadal nie wiedziała. Ale im więcej o tym myślała, tym bardziej nie dowierzała, by mógł być to któryś z braci. Powracał do niej tamten widok – pani Warren stojącej cicho pod jej drzwiami, bez laski w zasięgu wzroku. Hal była pewna, że potrafiła się poruszać żwawo i cicho. Potrafiła chodzić bez laski. To nie było niemożliwe. Być może udało jej się uniknąć więcej niż jednego oskarżenia.

Wyglądało na to, że niebo ciemniało, podobnie jak jej myśli, a kiedy zatrzymali się przed dworcem w Penzance, śnieg przestał topnieć na przedniej szybie. Gdy Ezra wyłączył śmigające wycieraczki, śnieg zaczął się przyklejać, tworząc białe plamy na szkle, i zsuwać w dół, gdzie tworzył maleńkie zaspę.

– No... – zaczęła dość niezręcznie Hal. – Dziękuję ci, Ezra. Za podwózkę. Chyba... To znaczy, tu chyba się żegnamy.

– Ja już nie wrócę, jeśli to masz na myśli – oznajmił Ezra. Wyrzwał przez okno na padający śnieg. – Zrobiłem swoje dla Hardinga. Mam teraz swoje życie i muszę do niego wrócić, a nie ciągle oglądać się tu za siebie.

– Rozumiem – odparła Hal.

Było jej jakoś ciężko na sercu, ale czuła też – kiedy myślała o ucieczce matki, a także Ezry po zaginięciu jego bliźniaczki – jakiś rodzaj nadziei. Jeśli oni byli w stanie wszystko zostawić i zacząć od nowa w innym miejscu, w przypadku Ezry nawet w innym kraju, to może ona też potrafi?

– No... to do widzenia – powiedziała i szarpnęła za klamkę. Pociągnęła walizkę po pokrytym śnieżną breją asfalcie i nie obejrzała się za siebie.

Na dworcu panowała dziwna cisza. Kręciło się tam mało członków obsługi i jeszcze mniej pasażerów, zaledwie paru studentów śpiących na plecakach, poprzykrywanych płaszczami. Przy jednym peronie stał jakiś pociąg, ale miał wyłączone światła.

Hal zmarszczyła brwi, zdumiona, ale przewróciło jej się w żołądku dopiero wtedy, kiedy spojrzała na tablicę odjazdów.

Odwołany. Odwołany. Odwołany.

Pociąg za pociągiem. Londyn. Exeter. Plymouth. Nic nie kursowało.

– Przepraszam. – Rzuciła się biegiem przez śliski plac dworcowy i zaczepiła kogoś z obsługi dworca. – Co się dzieje? Dlaczego wszystkie pociągi są odwołane?

– Nie słyszała pani? – spytał mężczyzna, raczej zdziwiony. – Na wybrzeżu wszystko zasypane. Zablokowało linię koło Plymouth. Żaden pociąg nie przejedzie, dopóki tego nie usuną, a to się dzisiaj nie wydarzy.

– Ale... – Hal poczuła, że jeszcze bardziej błędnie. – Ale... ale pan nic nie rozumie. Nie mam się gdzie podziać. Muszę wrócić.

– Żaden pociąg dzisiaj nie wyjedzie – powtórzył stanowczo mężczyzna, kręcąc głową. – I jutro pewnie też nie.

– Kurwa.

Nim się zorientowała, co w ogóle robi, chwyciła swoją ciężką walizkę i ślizgając się, zaczęła sunąć po mokrych płytkach z powrotem do wejścia na dworzec, tam, gdzie ją zostawił Ezra.

– Ezra! – krzyknęła. – Śnieg ledwo przykrywał chodnik, ale to wystarczyło, żeby zablokować kółka walizki i ją spowolnić.

– Ezra, zaczekaj!

Ale jego samochodu już nie było.

Przez minutę po prostu stała, wpatrując się w padający śnieg, walcząc z groźną jej paniką, która zaczynała ją przytłaczać. Co mogła zrobić? Zadzwoić do Hardinga? Ale najprawdopodobniej on i Abel o tej porze byli już w drodze, i to w przeciwnym kierunku.

Szukanie portfela miało niewiele sensu – wiedziała, co się tam znajduje: kilka funtów i nieważny miesięczny na autobus.

Była sama, bez pieniędzy, w obcym mieście, a do tego temperatura na dworze spadała. Co mogła *zrobić*?

Nie do końca wiedząc dlaczego, Hal kucnęła i kiwając się na czubkach palców, objęła się ramionami. Przycisnęła twarz do kolan, by zajmować jak najmniej miejsca. Tak jakby próbowała zachować każdą cząsteczkę ciepła, która jeszcze pozostała w jej drżącym ciele, jakby chciała fizycznie objąć ten strach, który zaczął w niej nagle rosnąć.

Nadal jeszcze kuciała w śniegu, ściskając rączkę walizki, jak gdyby była to jedyna rzecz, która zapewniała jej bezpieczeństwo, kiedy jakiś samochód głośno zatrąbił – aż podskoczyła na nogi i prawie straciła równowagę w śniegu.

Zrobiło się bardzo ciemno – zbyt ciemno, by dotarło do niej coś więcej niż oślepiające światła samochodu i pomruk silnika.

I wtedy poczuła, że zalewa ją niemal obezwładniająca ciepłem oraz bliskością człowieka fala ulgi, bo usłyszała dźwięk otwieranego elektrycznie okna oraz lakoniczny głos Ezry:

– Co ty tu, do diabła, robisz, skulona w śniegu jak dziewczynka z zapalkami?

– Ezra! – Hal przebrnęła przez śnieżną breję w stronę samochodu, ślizgając się. – Och, tak się cieszę, że cię widzę. Co ty tutaj robisz?

– Musiałem zawrócić. Ale co ważniejsze, co ty tutaj robisz?

– Zamknęli linie. Nie kursują żadne pociągi. Myślałam, że zostałam całkiem sama.

– Hmm... – Widziała teraz jego twarz w świetle deski rozdzielczej, w zamyśleniu zmarszczył brwi. – No to jest problem... Lepiej wsiadaj.

– Ale dokąd mnie zabierzesz?

– Coś wymyślimy. Może mogę cię wysadzić w Plymouth, jeśli stamtąd jeżdżą pociągi. Albo... Mieszkasz w Brighton, prawda?

Hal skinęła głową.

– W najgorszym wypadku nie muszę nadrabiać miliona kilometrów drogi.

– Naprawdę? – Hal czuła zalewającą ją gorącą falę ulgi. Ale... Ale ja nie śmiałabym cię o to prosić. I nie mam w ogóle pieniędzy na paliwo.

On tylko pokręcił głową.

– Po prostu wsiadaj, dobra? Jest pieruńsko zimno. A my musimy jechać.

Rozdział 43

Ezra prowadził raczej w milczeniu, śnieg padał coraz mocniej i mocniej, a oni powoli zmierzali na północ. Wkrótce nisko położone, wąskie wiejskie drogi pokryły się bielą. Ezra bardzo ostrożnie podchodził do ostrych zakrętów i przyspieszał tylko trochę na głównych drogach, na których ciężarówki wyłobily już ciemne koleiny.

Kiedy dotarli do Bodmin Moor, zaczęło sypać jeszcze mocniej i mimo działającego ciepłego nawiewu przednia szyba zaczęła zachodzić parą. Przed nimi ruch zwalniał, kierowcy zmniejszali prędkość, bo pogorszyła się widoczność, a śnieg zaczął się gromadzić na poboczach. Ezra zaczął stukać palcami w kierownicę, Hal zerknęła na niego z ukosa. Miał zmarszczone czoło, jego ciemne brwi zbliżyły się do siebie, a wzrokiem przeskakiwał z przedniej szyby, upstrzonej padającym śniegiem, na prędkościomierz wskazujący okolice trzydziestki, a potem na zegar i z powrotem na przednią szybę.

W końcu bez ostrzeżenia zjechał na lewy pas i włączył kierunkowskaz.

– Zatrzymujemy się? – spytała zaskoczona Hal. Minęła osiemnasta. Jechali już od prawie trzech godzin. Ezra skinął głową.

– Chyba tak. Oczy mi się zmęczyły. Myślę, że lepiej zrobić sobie przerwę na kawę... Może coś przekąsimy. Mam nadzieję, że trochę się poprawi, zanim ruszymy dalej. A przynajmniej zdążą pewnie posypać drogi solą.

Pas dojazdowy był przysypany śniegiem, krzyżował się z trasami innych zmotoryzowanych, którzy podjęli tę samą decyzję. Ezra podjechał powoli i zaparkował samochód na wolnym miejscu obok stacji benzynowej. Hal wysiadła, rozprostowała nogi i spojrzała z zachwytem w górę na ciemne niebo ponad nimi, z wirującymi płatkami śniegu. Kiedy mieszkała w Brighton, śnieg rzadko się utrzymywał, a poza tym nie pamiętała, kiedy ostatnio padał tak mocno.

- Chodź. - Ezra skulił ramiona w kurtce. - Nie stój tak tutaj, zamarzniesz. Wejdźmy.

Stacja była pogrążona w ciszy, pełna pustych stolików pokrytych pozostałościami z całego dnia, nie musieli stać w kolejce. Hal próbowała zapłacić za kawę, ale Ezra pokręcił głową i tylko podsunął swoją kartę kredytową przez blat.

- Nie wygłupiaj się. Nie musisz być taka... - Nagle przerwał, jakby poczuł się niezręcznie.

- Jaka? - spytała Hal, gotowa się bronić.

Ezra zaniósł kawy do pustego stolika i dopiero potem odpowiedział:

- Jesteś młoda - odezwał się w końcu. - I spłukana. Młodzi ludzie nie powinni płacić za napoje. Takie mam zasady.

Hal się roześmiała, ale sięgnęła po kubek, który jej wręczył.

- Nie obraziłaś się? - spytał i wziął łyk swojego czarnego americano. Hal pokręciła głową.

- Nie, przecież jestem młoda i spłukana. Nie obrażam się, naprawdę.

- Bogu dzięki za porządną kawę po tej lurze u pani Warren - zauważył z krzywym, nie do końca szczerym uśmiechem. Pił kawę w milczeniu, a potem dodał: - Chciałem tylko powiedzieć, że ja... nie miałbym ci za złe. Gdybyś wiedziała.

Hal wydawało się, że jej serce w środku zwalnia i się zatrzymuje. Odstawiła swoje cappuccino.

- Co... co masz na myśli? - spytała w końcu.

- Nieważne - odparł Ezra. Wziął kolejny łyk kawy. Hal zauważyła, jak mięśnie szyi pracują mu pod zarostem. - To nie moja sprawa. Chodziło mi tylko o to... - Urwał, napił się i kontynuował: - Gdybyś wiedziała, że... że twoja mama nie była... nie miałbym ci za złe... tego, że nie powiedziałaś tego od razu.

- Nie wiem, co masz na myśli - odparła Hal, ale poczuła, jak krew zaczyna jej napływać z klatki piersiowej w stronę gardła i na policzki, rumieniec poczucia winy, niczym ogromna fala wstydu.

- W porządku - odrzekł Ezra. Wyrzął przez okno na padający śnieg, celowo nie patrząc jej w oczy, dając jej czas na pozbieranie się. - A więc... - Odezwał się po minucie czy dwóch, nadal jakby do nocnego nieba na zewnątrz. - Jesteś dzieckiem Maggie. Cały czas próbuję się przyzwyczaić

do tej myśli. Czy ty... czy ty wiedziałaś... że ona tu przez jakiś czas mieszkała? To znaczy z nami.

Hal poczuła, że trudniej się jej oddycha.

– Zanim tu przyjechałam, to nie, nie wiedziałam. Ale Abel opowiedział mi o jakiejś kuzynce Maggie. Przez to w końcu połączyłam fakty. Żałuję... żałuję, że nie opowiedziała mi o Trepassen.

Odwrócił do niej wzrok i popatrzył jej w oczy. Jego były ciemne i pełne zrozumienia.

– To nie był zbyt szczęśliwy czas dla nikogo z nas. Rozumiem, dlaczego mogła woleć o tym zapomnieć.

– Ezra... – Hal poczuła gulę w gardle i wzięła głęboki wdech. – Ezra, mogę cię o coś spytać?

Skinął głową, zaskoczony, a Hal sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła z niej pudełeczko z tarotem. W środku znajdowało się zdjęcie, które dał jej Abel, złożone na pół. Rozłożyła je ostrożnie i patrzyła, jak na znajomy widok twarzy Ezry rozpromienia uśmiech, chociaż w oczach miał też coś smutnego. Wyciągnął rękę i dotknął twarzy swojej bliźniaczki, bardzo delikatnie, jak gdyby mogła to poczuć przez papier.

– Ezra, czy ty... Czy wiesz, kto zrobił to zdjęcie?

Podniósł na nią wzrok, lekko marszcząc brwi, jakby odpłynął gdzieś bardzo daleko i musiał z trudem skupiać myśli na tym, co tu i teraz.

– Słucham? Co mówiłaś?

– Kto zrobił to zdjęcie?

– Nie jestem pewien, czy pamiętam – odparł powoli. – Dlaczego pytasz?

– Bo... – Hal wzięła głęboki wdech. – Bo wydaje mi się... wydaje mi się, że to mógł być mój ojciec. – Czowała się, jakby poczyniła jakieś wyznanie i miała wrażenie, że zwalnia się w niej jakiś rodzaj napięcia, o którego istnieniu nawet nie wiedziała. Jednak nie wywołało ono żadnej reakcji u Ezry, po prostu dalej na nią patrzył, zaskoczony.

– Dlaczego tak twierdzisz?

– Znalazłam dziennik mojej matki – wyjaśniła Hal. – Wspomina tam ten dzień... osobę, która zrobiła to zdjęcie. Tylko tyle o nim wiem. To oraz że miał niebieskie oczy.

– Niebieskie oczy? – spytał Ezra. Znowu się zmarszczył, próbując zrozumieć jej tok myślenia. – Ale ty masz ciemne. Jak do tego doszłaś?

– To też jest w dzienniku. – Hal czuła taką ulgę, że może z kimś o tym porozmawiać, z zapalem wyrzucała z siebie kolejne zdania. – Jest tam taki

fragment, w którym pisze, że jego niebieskie oczy spotkały się z jej ciemnymi. I wspomina kogoś, kogo nazywa Edem, pisze, że był tam w dniu, w którym zrobiono to zdjęcie. Pytałam o to Abła, ale on powiedział, że nie było tam nikogo oprócz waszej czwórki... tylko że...

Przerwała. Twarz Ezry się zmieniła. Teraz już znajdował się w pełni tu i teraz, a w jego minie był cień czegoś, czego Hal nie umiała określić. Wydawało jej się, że to może jakiś rodzaj strachu.

– Tylko że to nieprawda – dokończył bardzo powoli. Hal skinęła głową. Poczua, że coś w niej nieruchomieje w oczekiwaniu. – O Boże – powiedział Ezra. Oparł twarz na dłoniach. – Abel. Coś ty narobił?

– Czyli... On *naprawdę* skłamał?

– Tak. Ale nie wiem, dlaczego miałby go chronić.

– Kogo chronić? – spytała Hal. Była prawie pewna, że już to wiedziała, ale musiała usłyszeć to imię. Usłyszeć je z ust kogoś, kto tam był, kto mógł jej to powiedzieć z całą *pewnością*.

– Edwarda.

Poczua, że przewraca jej się w żołądku, jakby znalazła się na karuzeli na początku mola i jakby zarzuciło nią łukiem ponad powierzchnią morza. To był jeden z tych mdlących obrotów, który pozostawiał człowieka bez tchu.

Czyli to *była* prawda.

Przełknęła. Strasznie dziwne. Wszystkie tropy wskazywały na niego – imię w dzienniku, niebieskie oczy... a jednak... a jednak nie czuła z nim żadnego związku i teraz, kiedy Ezra potwierdził jej podejrzenia, jej jedyną reakcją były jakieś mdłości.

„On jest moim ojcem” – myślała, starając się w to uwierzyć. „Edward jest moim ojcem... Dlaczego moja matka kłamała przez te wszystkie lata?”

Dlaczego nic nie powiedział? Abel w końcu musiał znać prawdę – a przynajmniej się jej domyślać – bo w innym przypadku dlaczego miałby kłamać i chronić ukochanego przed dociekaniem Hal?

Ale po co to kłamstwo? Dlaczego Edward powinien ukrywać swoją tożsamość przed własną córką?

Chyba że... Chyba że ukrywa coś jeszcze...

– Edward – wydusiła z siebie, usta miała suche. – On na pewno tam był? To on zrobił zdjęcie?

Ezra skinął głową.

– Czyli on jest moim... – Ale nie umiała wymówić tego słowa na głos. Zamknęła oczy, przycisnęła sobie palce do skroni, próbując go *zobaczyć*. W jego twarzy nie dostrzegала siebie – ale może nie było w tym nic dziwnego. Gdy otworzyła oczy i popatrzyła na leżące na stole zdjęcie, zobaczyła na nim swoją twarz w twarzy mamy. Była córką swojej matki, kropka w kropkę.

Tak jakby jej matka wymazała DNA jej ojca wyłącznie siłą własnej woli.

– Hal... nie... – zaczął zakłopotany Ezra. Widać było, że jest mu wyjątkowo niezręcznie i nie ma kompetencji do prowadzenia tej rozmowy, a Hal czuła, że całym sobą pragnął wstać i wyjść w ciemność wieczoru, jednak zaparł się, by to zwalczyć. – Nie wyciągaj pochopnych wniosków, to tylko zdjęcie...

Ale Hal poświęciła zbyt wiele czasu na czytanie dziennika oraz jego rozgryzanie, by mu uwierzyć. Tylko w ten sposób to wszystko miało sens. Edward – człowiek robiący to zdjęcie – był jej ojcem. I z jakiegoś powodu Abel próbował rozpaczliwie ukryć ten fakt. Posunął się nawet do desperackiego kłamstwa, choć zdawał sobie sprawę, że któregoś dnia wyjdzie ono na jaw.

– Nie rozumiem tego – powiedziała. Spuściła wzrok. Ścisnęła palcami papierowy kubek kawy, więc spróbowała je rozluźnić. – Dlaczego miałyby kłamać?

– Nie wiem. – Przez dobrą minutę siedzieli w milczeniu, a potem Ezra z wysiłkiem wyciągnął rękę, by dotknąć ramienia Hal. – Hal, czy ty... Czy dobrze się czujesz?

– Nie jestem pewna – szepnęła, a on na moment przytrzymał na niej dłoń, poczuła ciepło jego palców przenikające przez jej kurtkę i miała wielką chęć obrócić się, by wypłakać mu się w ramię. Milczeli, a ona usiłowała się pozbierać.

Potem Ezra zabrał dłoń i nastrój prysł. Sięgnął po swój kubek, wziął duży łyk kawy i się skrzywił.

– Boże, napiłbym się czegoś porządnego. Dałbym się teraz pokroić za kieliszek czerwonego wina.

– Po drugiej stronie lokalu jest restauracja – zauważyła Hal, ale pokręcił głową.

– Lepiej nie. I tak jestem już dość zmęczony. Chociaż oczywiście ty możesz się napić, jeśli chcesz.

– Ja tego nie robię – odparła dość niezręcznie. – To znaczy nie piję.

Ezra sięgnął znowu po papierowy kubek i spojrzął na nią sponad niego swoimi ciemnymi oczyma. Były prawie czarne jak węgiel, ich brązowy odcień był tak głęboki, że źrenica i tęczówka niemal się zlewały.

- To jaka za tym stoi historia?

- Żadna - odparła odruchowo defensywnie, po czym pożałowała. Nie miała już żadnej prawdy do ukrycia, nie było sensu chować przed nikim swoich kart. A ten mężczyzna był miły i powiedział jej prawdę, kiedy inni kłamali, do tego nadkładał czasu i drogi, by pomóc jej wrócić do domu. Była mu winna uprzejmość za tę szczerotę. - No, tak szczerze mówiąc, to coś tam jest. To znaczy nie należę do AA ani nic w tym stylu, ale po prostu zauważyłam... To było po śmierci mojej matki. Tak wyszło, że alkohol przestał być zabawą. Stał się... to był trochę sposób na przetrwanie. A ja nie lubię być od niczego zależna.

- Rozumiem - odrzekł cicho Ezra. Spuścił wzrok na papierowy kubek, tak jakby próbował zbadać coś w jego głębi. - Maggie zawsze była bardzo niezależna. Wydaje mi się, że z tego powodu nie przepadała za mieszkaniem z nami. To była, no cóż, chyba swego rodzaju przysługa, a matka nigdy nie pozwalała jej o tym zapomnieć. Zawsze wisiało nad nią to niewypowiedziane wrażenie, że musi sobie na to zasłużyć wdzięcznością czy jakimiś innymi bzdurami.

- Jaka... - Hal poczuła, jak oddech grzęźnie jej w gardle. - Jaka ona była, Ezra, kiedy ją znałeś?

Ezra się uśmiechnął. Nie podniósł wzroku na Hal, ale w jego twarzy było coś smutnego, gdy tak gapił się w swój kubek kawy i w zamysleniu mieszał fusy.

- Była... była fajna. Miła. Bardzo ją lubiłem.

- Ezra, czy ty... - Przełknęła. Nagle naprawdę bardzo zatęskniła za tym kieliszkiem wina. Pewnie podobnie jak Ezra. - Czy myślisz, że powinnam... coś powiedzieć? Edwardowi?

- Nie wiem - odparł Ezra. Twarz mu nagle spowaźniała.

- Dlaczego on nic nie powiedział?

- Możliwe, że nie wie.

- Ale *ona* wiedziała. To znaczy moja mama. Dlaczego *ona* niczego nie powiedziała?

- Hal, nie wiem - odpowiedział Ezra i nagle na jego twarzy odmalowały się emocje, które najwyraźniej starał się opanować, ale mu się nie udało. - Słuchaj, normalnie bym się nie wtrącał, ale nie mogę stać obok i...

próbuję ci powiedzieć... – Przerwał i przeczesał włosy dłonią. – Harriet...
– Kiedy użył jej pełnego imienia, zbiło ją to jakoś z tropu. – Proszę, proszę, zostaw to.

– Mam to *zostawić*? Co przez to rozumiesz?

– Daj temu spokój. To jest przeszłość. Twoja mama najwyraźniej celowo ci tego nie powiedziała... a ja nie wiem, dlaczego zdecydowała się utrzymać to w tajemnicy, ale widocznie miała swoje powody i może były one słuszne.

– Ale... – Hal pochyliła się na krześle. – Ale czy ty tego nie rozumiesz? Ja muszę *wiedzieć*. Mówimy tu o moim *ojcu*. Nie sądzisz, że mam prawo wiedzieć, kto nim jest?

Ezra nic nie odpowiedział.

– I tu nie chodzi wyłącznie o moją matkę... tylko... tylko o wszystko. Co się stało Maud? Dlaczego uciekła razem z moją mamą i dlaczego przepadła?

– Hal, ja *nie wiem* – wydusił z trudem. Wstał i podszedł do wysokiej, szklanej ściany z przodu stacji, jego sylwetka odcinała się na tle padającego śniegu i świateł latarni na parkingu. Przygasili już teraz lampy w lokalu i Hal wydawało się, że zbierają się do zamknięcia.

– Czy Maud nie żyje? – naciskała. – Czy się ukrywa?

– Nie wiem! – krzyknął Ezra i tym razem był to raczej wściekły okrzyk. Po drugiej stronie baru jakiś chłopak w fartuchu przestał zamiatać okruszki i spojrzał na nich ze zdziwieniem i niepokojem.

Przez chwilę Hal poczuła ukłucie strachu, ale potem Ezra bardzo delikatnie oparł czoło na szybie; jego ramiona wyglądały, jakby opadły w jakiejś rozpacz – i wtedy zrozumiała.

Oczywiście. Była tak ślepo skupiona na własnym pragnieniu uzyskania odpowiedzi, że zapomniała – to przecież była także jego przeszłość. Maud była jego siostrą bliźniaczką, osobą, z którą był najbliżej na całym świecie, a ona odcięła się także od niego, bez żadnego wyjaśnienia, i zniknęła. On żył w tej niepewności równie długo co Hal w swojej.

– O Boże, Ezra. – Też wstała, podeszła do niego i wyciągnęła rękę, ale opuściła ją od razu, nie odważyła się dotknąć jego ramienia. – Przepraszam. Nie pomyślałam... To twoja siostra... musisz...

– Tak strasznie za nią tęsknię. – W jego głosie zabrzmiała taka udręka, jakiej Hal dotąd jeszcze nie słyszała. Uczucie tak głębokie, że nie spodziewałaby się go po jego codziennym cynicznym, sarkastycznym

zachowaniu. – Boże, tak za nią tęsknię, jakbym miał jakąś dziurę w środku. I jestem tak cholernie wściekły. Jestem ciągle wściekły.

Nagle Hal zrozumiała, skąd się wzięła niefrasobliwość Ezry, jego niekończący się sarkazm oraz cyniczny uśmiech, który nieustannie krążył w okolicy jego ust. Śmiał się, bo gdyby tego nie robił, wyrwałoby się z niego coś innego – dotkliwe poczucie straty, które chował w sobie przez dwadzieścia lat.

– Tak mi przykro. – Hal poczuła gułę w gardle. Pomyślała o swojej matce, o tym, jaką czuła wściekłość na to, że odebrano ją jej tak nagle, tak bezsensownie. Ale przynajmniej wiedziała. Przynajmniej mogła pogłaskać matkę po włosach, pochować ją, pożegnać. Przynajmniej wiedziała, co się stało.

– Kiedy usłyszałem o tym wypadku samochodowym, pomyślałem... – Przerwał i Hal zobaczyła, jak bierze głęboki, drżący wdech, a potem zmusza się, by kontynuować: – Myślałem, że to tyle, że wiem już, co się stało, i niezależnie od tego, jak bardzo bolało, że już jej nie zobaczę, pomyślałem, że przynajmniej gdybyśmy... gdybyśmy wiedzieli...

Przerwał, a Hal od nowa zrozumiała, co uczyniła tej rodzinie swoim małym oszustwem, jak rozrosło się ono zupełnie nieproporcjonalnie do jej zamierzeń. Co uczyniła *Ezrze*, temu stojącemu przed nią mężczyźnie, który miał w sobie tyle bólu.

– Przepraszam – szepnęła znowu. Opadła z powrotem na twarde, plastikowe krzesło przy stole i oparła głowę na rękach, żałując, że nie potrafi wyrazić tego, jak bardzo jest jej przykro. – Ezra, ja... ja strasznie przepraszam.

– To mnie tak złości, to *marnotrawstwo*. Maggie. Maud. Rozjechana przed własnym domem – co za cholernie zmarnowane życie.

– Ezra...

– Nic mi nie jest – powiedział w końcu, chociaż po jego głosie i po tym, jak tarł oczy rękawem, poznała, że to nieprawda. Wziął głęboki wdech i odwrócił się, by spojrzeć na nią, wysilił się nawet na krzywy uśmiech.

Po drugiej stronie lokalu chłopak zaczął znowu zamiatać, a nad ladą z ciepłymi daniami zgasły światła.

Hal nie była w stanie odpowiedzieć, ale pokiwała głową. Ezra zamknął na chwilę oczy, a ona miała wielką ochotę go objąć i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze, że odkryją prawdę o jego siostrze, ale wiedziała, że nie może tego zrobić. Nie mogła mu tego obiecać.

- W związku z wietrzną pogodą... - ciszę przerwało obwieszczenie odbijające się metalicznym pogłosem pod wysokim stropem - oraz nieprzejezdnymi drogami za pół godziny ta stacja zostanie zamknięta w trosce o państwa zdrowie i bezpieczeństwo. Prosimy wszystkich klientów, aby w ciągu pół godziny dokończyli zakupy i powrócili do swoich aut. Przepraszamy za niedogodności.

- No cóż... - Ezra odchrząknął i zdjął z plastikowego krzesła swoją kurtkę. - My chyba i tak powinniśmy ruszać. Robi się późno, a przed nami jeszcze daleka droga. Chcesz coś jeszcze?

Hal pokręciła głową, a Ezra dodał:

- Kupię nam w sklepie parę kanapek, żebyśmy nie musieli znowu się zatrzymywać.

Na zewnątrz śnieg nie przestał padać; jeśli już, to raczej sypał szybciej. Kiedy wsiedli do jego sportowego samochodu i zapięli pasy, Ezra pokręcił głową.

Przez jakieś dwadzieścia minut jechali w milczeniu. Na drogach nie było ruchu, ale w miarę jak widoczność się pogarszała, auta zwalniały. Kilka kilometrów dalej Hal wyciągnęła rękę w stronę ramienia Ezry, a on skinął głową.

- Widziałem.

Przed nimi ciągnął się długi sznur czerwonych świateł stopu w oddali, ledwo widoczny poprzez sypiący śnieg. Ezra wcisnął hamulec, zwolnił w korku, a potem całkiem się zatrzymał. Wszędzie wokół mrugały światła awaryjne aut, które zrównały się z nimi i sygnalizowały przestój.

Ezra zaciągnął ręczny i siedział, patrząc w dal. Hal też była pogrążona we własnych myślach, analizowała rozmowę, którą odbyli na stacji. Po czasie, który wydawał się bardzo długi, ale w istocie mógł trwać od pięciu do dwudziestu pięciu minut, kierowca przed nimi wcisnął klakson, długie i ponure „biiiiiip”, wybrzmiewające niczym syrena mgłowa pośród wzgórz, a potem podchwycił to inny i kolejni.

Ezra zerknął na zegar, następnie na sznur czerwonych świateł i najwyraźniej podjął decyzję.

- Zawrócę - oznajmił. - Musieli zamknąć drogę nad wrzosowiskiem. Spróbujemy pojechać przez St. Neot. Może być więcej śniegu, ale w tym korku nigdzie nie zajedziemy. Wydaje mi się, że tak będzie szybciej.

- Dobra - odparła Hal. Kiedy wykonał dziwaczny skręt, rozbrzmiało przelotne, nerwowe trąbienie, a następnie powoli pojechali drogą

z Bodmin, wracając na trasę, którą przyjechali.

Hal ziewnęła. W samochodzie było ciepło, nawiew grzał ją przyjemnie, zdjęła płaszcz i zwinęła go sobie pod głowę przy oknie. Potem zamknęła oczy i zasnęła.

Miała niespokojne sny, śniła jej się bezładna płatanina pościgów długimi korytarzami w Trepassen, ze złowieszczym stukaniem laski pani Warren depczącym jej po piętach. Nie była w stanie przed nim uciec, niezależnie od tego, jak szybko biegła. Potem jakoś znowu znalazła się na szczycie schodów i chociaż wiedziała, że jest tam ta nitka przeciągnięta w poprzek, potknęła się i spadła, a kiedy obejrzała się za siebie, zobaczyła stojącego na górze Edwarda – odrzucił głowę do tyłu i śmiał się z niej. Zdążyła pomyśleć: „zaraz umrę”, ale kiedy upadła, to nie z trzaskającym kości impetem, którego się obawiała, ale z pluskiem, prosto do zimnej, zimnej wody upstrzonej liśćmi i martwymi owadami. Kiedy się wynurzyła, poczuła w nozdrzach zapach hangaru na łodzie, woń stojącej wody oraz gnijącego drewna. Wpadła do lodowatej wody, a pod sobą i wokół miała szlam z liści.

– Pomocy – próbowała krzyknąć, ale lodowata woda ją zalała i Hal zadławiła się nią.

Obudziła się w ciemności, ze strachem i walącym sercem. Przez chwilę nie pamiętała, gdzie się znajduje, ale zaraz to do niej dotarło. Siedziała w samochodzie Ezry. Stali na poboczu wąwozu drogowego. Śnieg nadal sypał, a Ezra zgasił silnik.

– Znowu się zatrzymujemy? – Hal miała sucho w ustach i jej słowa wybrzmiały ochryple.

– Tego się obawiam – odparł z trudem Ezra. Przetarł oczy, jakby sam też był bardzo zmęczony. – Ten pieprzony śnieg. Przepraszam, nie dojedziemy. Jest po dwudziestej, a nie dotarliśmy jeszcze nawet do Plymouth.

– O Boże, strasznie przepraszam. Co z twoją przeprawą?

Ezra pokręcił głową.

– Nie ma szans, żebym zdążył. Dzwoniłem tam i powiedzieli, że mogę zapłacić za zmianę biletu na jutro.

– To... to co robimy?

Ezra nie odpowiedział od razu, skinął tylko do tyłu na drogę, którą przyjechali. Hal przygryzła usta. Śnieg dalej padał, uderzając cicho

o przednią szybę.

- Przepraszam - odezwał się, widząc jej minę. - Myślałem o tym, żeby jechać dalej, przynajmniej do Brighton, ale jestem po prostu zbyt zmęczony, a to jest zbyt niebezpieczne, żadna z tych dróg nie była posypana piaskiem.

- Czyli... wracamy...? Do... - Przełknęła ślinę. - Do Trepassen?

- Chyba nie mamy wyjścia. Powrót nie zajmie tak długo, drogi na południe są dość spokojne. Możemy spróbować znowu jutro.

- Okej. - Hal poczuła, że coś się w niej osuwa na myśl o powrocie do tego zimnego domu, do wyczekującej sylwetki gosposi bujającej się w fotelu przy kominku, znowu pani tego wszystkiego, czego doglądała. To nie była kusząca perspektywa. Ale jaki miała wybór - jakiś motel? Nie miała pieniędzy na pokój, nie mogła również prosić Ezry, żeby za nią zapłacił.

- Okej - powtórzyła, starając się zabrzmieć, a także poczuć, bardziej pozytywnie. - W takim razie wracamy do Trepassen.

- Pewnie nie czeka nas zbyt ciepłe powitanie - stwierdził Ezra i przekręcił kluczyk w stacyjce, a silnik zawarczał w ciszy. - Ale przynajmniej nie zamarzniemy.

Rozdział 44

Powrót do Trepassen był dziwny, Hal czuła się, jakby musiała włożyć ciężki plecak, który zdjęła kilka godzin wcześniej, a na plecach miała jeszcze świeże pęcherze od jego pasków. Albo jakby wkładała z powrotem buty, które wcześniej były przemoczone i lepiły się do stopy, a w międzyczasie zrobiły się po prostu nieprzyjemne.

Brama wjazdowa stała otworem, ale kiedy wjechali na podjazd, Hal zobaczyła, że na wielkiej połaci bieli nie widać żadnych śladów. Od wielu godzin nie przejechał tędy żaden samochód. Albo Abel i Harding postanowili jednak nie wyjeżdżać, albo wyruszyli niedługo po Hal i Ezrze i nie zawrócili.

– Nie pałą się żadne światła – szepnął Ezra, kiedy przejeżdżali ostatnim zakrętem podjazdu. Trudno było dostrzec białe kamienie wyznaczające jego granice poza miejscami pod drzewami, gdzie korony osłaniały drogę przed padającym śniegiem, więc Ezra musiał bardzo zwolnić, żeby nie ześlizgnąć się przypadkiem z drogi. – Pani Warren pewnie już śpi.

„To dobrze” – pomyślała Hal, chociaż nie powiedziała tego na głos.

Zaparkowali przed gankiem, Ezra zgasił silnik i oboje siedzieli tak przez chwilę. Hal skojarzyło się to z widokiem dwóch sportowców przed walką, którzy bandażują sobie dłonie i wkładają ochraniacze na zęby. Tylko że to nie z Ezrą miała walczyć.

– Gotowa? – spytał i zaśmiał się krótko. Hal się nie uśmiechnęła. Skinęła tylko głową, a potem wysiedli w śnieżycę.

Drzwi były zamknięte, ale Ezra podniósł jeden z płaskich kamieni, z których zbudowana była podstawa zadaszzonego ganku, a pod nim Hal dojrzała ogromny, poczerniały klucz – przedmiot z poprzedniej epoki, długi na co najmniej piętnaście centymetrów. Włożył go do zamka, przekręcił ostrożnie i weszli do środka, do ciemnego, żywego domu.

- Pani Warren? - zawołał cicho Ezra, a kiedy nie padła żadna odpowiedź, powtórzył nieco głośniejszym głosem: - Pani Warren? To tylko ja, Ezra.

- Myślisz, że Harding i Abel wyjechali? - szepnęła Hal, a Ezra skinął głową.

- Harding wysłał mi SMS, kiedy spałaś. Udało im się przedostać przez Bodmin Moor, zanim zamknięto drogę, i zaszyli się w hostelu koło Exeter.

- Przepraszam. - Hal poczuła ukłucie wyrzutów sumienia. - To moja wina, gdybyś nie pojechał przez Penzance...

- Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem - uciął krótko Ezra. Tłumiona wściekłość, którą widziała w nim wcześniej, najwyraźniej zniknęła i teraz w jego tonie słychać było tylko rezygnację. - Słuchaj, Hal, jest bardzo późno i nie wiem, jak ty, ale ja jestem wykończony. Nie masz nic przeciwko, żebyśmy poszedł spać?

- Oczywiście - odparła. - Też się położę.

Zapadła krótka, niezręczna cisza, a potem Ezra przyciągnął ją niezgrabnie i uściskał, niemal zbyt mocno, aż obtarła sobie twarz o jego kurtkę i chrupnęło jej w kościach.

- Dobranoc, Hal. A jutro...

Przerwał.

- Jutro? - powtórzyła Hal.

- Po prostu ruszajmy jak najwcześniej, dobrze?

- Dobrze - zgodziła się. Na pierwsze piętro wspięli się razem, a potem poszli każde w swoją stronę.

Kiedy Hal otworzyła drzwi do pokoju na strychu, maleńkie pomieszczenie wyglądało tak, jak je zostawiła - zasłony były rozsunięte, więc blade światło odbijające się od śniegu wpadało do środka przez zakratowane okna, a pościel była rozrzucona. Żarówki na schodach nadal brakowało.

W koszu leżało jeszcze kilka grudek węgla, więc z pocieszącą świadomością, że nie będzie jej tu rano dość długo, by musieć się mierzyć z krytyką pani Warren, Hal zwinęła w kulkę stronę z gazety, położyła węgiel w kominku i wyjęła zapałkę, by rozpalic ogień.

Kiedy zapłonął, pochyliła się nad nim, myśląc o tym, jak jej matka kucala przy nim tak dawno temu, wrywając kartki z dziennika, oraz o tym wszystkim, czego sama się dowiedziała, odkąd go znalazła.

Edward. Czy to może być prawda?

Musi – ale kiedy o nim myślała, o jego gładkich blond włosach, starannie przyciętym wąsiku, nic nie czuła. Żadnej nici porozumienia. Tylko lekką nienawiść do mężczyzny, który zapłodnił jej matkę, a potem ją zostawił, ignorując jej listy i zostawiając ją na pastwę takiej kobiety jak pani Westaway.

Jakaś część niej chciała odsunąć tę świadomość na bok i zająć się dalej przeszłością, jak sugerował Ezra. Ale nadal męczyły ją pytania. Dlaczego Abel tak ewidentnie skłamał? Czy liczył, że nie zada tych samych pytań Ezrze?

Gdyby tylko jej matka nie usunęła z dziennika wszystkich wzmianek o ojcu Hal.

Dziewczyna siedziała, patrząc w płomienie, zbyt zmęczona, by rozbudzić się na tyle, aby położyć się do łóżka. Już prawie odpłynęła – i miała przedziwne poczucie, że historia zatoczyła koło, umieszczając ją tutaj, na miejscu jej matki, gdzie przed tyloma laty kuciała Maggie i patrzyła, jak płomienie obracają imię jej kochanka w proch, po to, by Hal mogła odkryć pochowaną w przeszłości prawdę. Ale jaka to była prawda?

Nie chodziło tylko o imię jej ojca.

Musiało być coś jeszcze... Dręczyło ją coś, co powiedział Ezra, a teraz nie umiała dokładnie powiedzieć co. Czy to było podczas ich rozmowy na stacji benzynowej? Cofnęła się w myślach, przeanalizowała każde słowo, ale cokolwiek to było, umykało jej – jakby była to prawda zbyt nieuchwytna, by jej dotknąć.

W końcu wstała, rozprostowała zeszytywniałe kończyny, a powietrze schłodziło jej policzki, gorące od ognia. Położyła walizkę w nogach łóżka. W kieszeni miała stare, blaszane pudełko po tytoniu, otworzyła je i wyciągnęła karty. Odrobinę drżąc, przetasowała talię.

Kartą leżącą na wierzchu był Księżyc, odwrócony.

Hal się zmarszczyła. Księżyc oznaczał intuicję i wiarę w nią. Było to światło, które robiło za przewodnika, ale nie można na nim polegać – bo nie widać go zawsze, a czasem, kiedy najbardziej się go potrzebuje, noc potrafi być kompletnie ciemna.

Odwrócona, co oznaczało oszukiwanie, zwłaszcza oszukiwanie siebie. Intuicja, która może człowieka zgubić, poprowadzić fałszywą ścieżką.

„Nie pozwól sobie wpaść w pułapkę wiary we własne kłamstwa...” – ostrzegał głos matki w jej uchu; zawsze ją przed tym ostrzegał. „Chcesz wierzyć tak mocno jak oni”.

I rzeczywiście. Chciała wierzyć. Po śmierci matki rozkładała karty każdego wieczoru, próbując wyciągnąć z nich jakiś sens, znaleźć odpowiedzi, których tam nie było. Spędzała długie godziny na przeglądaniu kart matki, dotykaniu ich dłońmi, szukaniu znaczenia.

Ale zawsze miała w głowie ten sceptyczny głos, głos swojej matki. „Nie ma tam żadnego znaczenia za wyjątkiem tego, które chcesz zobaczyć, oraz tego, którego pojawienia się obawiasz”.

Zakryła uszy dłońmi, jak gdyby chciała się odciąć od tego szepczącego głosu rozsądku i logiki.

Kiedy jej matka stała się taka cyniczna?

Dziewczyna z dziennika, pełna przesądów i obsesyjnie czytająca karty, zdawała się inną osobą niż ta, która sama chodziła codziennie na molo, by wróżyć naiwniakom i obcym. Tarot był dla matki Hal pracą – i niczym więcej. Był czymś, w czym była dobra, ale nigdy w niego nie wierzyła, niezależnie od tego, jak przekonująco rozmawiała z obcymi; nigdy nie ukrywała swojego sceptycyzmu przed Hal. Jakim cudem z poszukującej młodej dziewczyny o otwartym sercu zmieniła się w pozbawioną złudzeń, ostrożną kobietę, którą pamiętała Hal?

„One nie są magiczne, kochanie” – powiedziała kiedyś do Hal, która nie mogła mieć więcej niż pięć lat. „Możesz się nimi bawić, jak zechcesz. To tylko ładne obrazki. Ale ludzie lubią udawać, że życie ma... chyba znaczenie. Czują się szczęśliwi, kiedy myślą, że są częścią czegoś większego”.

Ale dlaczego, spytała skonsternowana Hal, ludzie codziennie do niej przychodzili? Dlaczego jej płacili, skoro to nie była prawda? „To jak chodzenie do teatru” – wyjaśniła mama. „Ludzie chcą wierzyć, że to prawda. A moją pracą jest udawanie, że mają rację”.

Tamta dziewczyna z dziennika nie udawała. Była zakochana – w mocy kart i w mocy losu. Wierzyła. Co zmieniło ten stan? Co się wydarzyło, że przestała wierzyć w moce?

Jest w tym coś, czego nie dostrzegam, pomyślała Hal, podniosła kartę z księżycem i zapatrzyła się na nią, na zaciemioną część jasnego ciała niebieskiego. Coś przegapiłam.

Ale cokolwiek to było, znajdowało się poza jej zasięgiem, więc w końcu odłożyła karty i wsunęła się pod kołdrę w ubraniu, by spróbować zasnąć.

Już prawie spała, dryfując po tych tajemniczych przestrzeniach między snem a jawą, ogień z kominka rysował jej kształty pod powiekami, i wtedy

przyszedł jej do głowy jakiś obraz.

Książka. Jasnożółta książka bez napisów na okładce i na grzbiecie.

To nie była jej książka i nie mogła sobie przypomnieć, skąd się wzięła, a jednak... Wydawała się na swój sposób znajoma. Widziała ją już wcześniej. Ale gdzie?

Hal usiadła, czując na karku chłodne powietrze wypełniające pokój, i przycisnęła palce do zamkniętych powiek, próbując ją sobie zwizualizować, przypomnieć, gdzie ją widziała, i zrozumieć, dlaczego podświadomość ją jej teraz podsunęła.

Prawie się poddała i już miała się z powrotem położyć, zrzucając to na zmęczoną wyobraźnię, kiedy coś nagle jej się przypomniało. Nie obraz, ale zapach. Zapach kurzu, pajęczyn, postrzępionej skóry. Dotyk grubego, lepkiego się plastiku między palcami. I już wiedziała.

To było tamtego pierwszego poranka w Trepassen. Gabinet zastygły w czasie i książka na wysokiej półce, którą zaczęła przeglądać, ale jej przeszkadzono.

Zdjęcia. Może pokazałyby jej coś, czego jej brakowało. Może Edwarda jako młodego człowieka. A może nawet mamę.

A oprócz zdjęć – jeszcze te ślady w kurzu.

Ktoś tamtego pierwszego poranka w Trepassen, albo może tydzień wcześniej, przyszedł do tego biura obejrzeć zdjęcia. To mogła być nostalgia, ale Hal pomyślała, że ze wszystkich ludzi, których w życiu poznała, Westawayowie byli akurat najmniej skłonni do nostalgii. Przeszłość nie była dla nich szczęśliwym czasem pełnym pięknych wspomnień, tylko polem minowym wywołującym ból. Nie – jeżeli Abel, Ezra, Harding, Edward lub ktoś z pozostałych sięgnął po ten album, to zrobił to z jakiegoś innego, niezwykle praktycznego powodu. I nagle Hal bardzo zapragnęła ten powód poznać.

W tym albumie znajdowało się coś, co ktoś chciał zobaczyć, sprawdzić albo usunąć. Ale dlaczego?

A jeśli wyjedzie jutro z Ezrą z samego rana, może nigdy nie będzie już miała drugiej szansy, by to sprawdzić.

Hal zestawiła nogi z łóżka i włożyła płaszcz, by choć trochę ochronić się przed chłodnym, nocnym powietrzem, a potem wsunęła bose stopy do zimnych butów. Otworzyła drzwi na strych i po cichu, na palcach zeszała po schodach.

Przystanąła na pierwszym piętrze, nasłuchując, ale nie dotarł do niej żaden odgłos chrapania. Jeśli Ezra spał – a tak musiało być, bo wyglądał na tak zmęczonego, jakby miał zasnąć na stojąco – widocznie nie zwykł chrapać.

I zaraz znalazła się na korytarzu, w ciemności.

Nie odważyła się zapalić światła, ale ten dom nie był już dla niej nieznanym labiryntem, tak jak tamtego pierwszego poranka, więc nie było jej potrzebne. Słabe światło wpadające przez okna w korytarzu wystarczyło, by odnalazła drogę, minęła salon, bibliotekę, pokój bilardowy i schowek na buty. Popchnęła drzwi dzielące pomieszczenia i znalazła się w jadalni, gdzie na stole nadal stały brudne naczynia. Ten widok ją zaskoczył – czy pani Warren nie zrobiła *niczego* od ich wyjazdu? Ale nie mogła się teraz zatrzymać, by się nad tym zastanowić.

Kolejna część była najbardziej niebezpieczna, bo musiała przejść tuż obok salonu gospodyni, a Hal nie miała pojęcia, gdzie ona sypiała. *Jeśli* spała. Z jakiegoś powodu nie było to nieprawdopodobne, by o północy nadal nie spała, tylko bujała się w fotelu, naprzeciw ognia syczącego w kominku.

Kamienna podłoga oranżerii była zimna i zbyt głośna, by ryzykować. Tylko że nie dało się jej obejść – to była jedyna droga do gabinetu, a przynajmniej jedyna, jaką znała Hal. W końcu pochyliła się i zdjęła buty, po czym przeszła na palcach po lodowatych płytach, krzywiąc się na chłód przeszywający jej bosc podeszwy stóp.

Wchodząc do gabinetu, Hal po raz drugi doświadczyła przedziwnego uczucia cofnięcia się w czasie. Stąpając po wystrzępionym dywanie, czuła pod stopami miękkie, wieloletni kurz, a jedyną ciszę przerywał tylko chrzęst małych owadów albo wysuszonych liści, które kruszyły się pod jej palcami.

Pokój był pogrążony w ciemności i Hal nie miała wyboru, musiała wymacać włącznik lampki biurkowej z zielonym abażurem. Była bardzo stara, kabel miała powleczone tkaniną i wystrzępiony. Wyglądała, jakby pochodziła przynajmniej sprzed wojny, ale kiedy Hal odnalazła mosiężny włącznik i go wcisnęła, włączyła się bez problemu, oświetlając pokój łagodnym, zielonkawym blaskiem.

Były tam schodki, nietknięte od jej ostatniej wizyty, z wyraźnymi śladami stóp. A na górze stała książka, którą pospiesznie wtedy odstawiła

- nadal wystawała pod lekkim kątem w stronę pokoju.

Czując serce w gardle, Hal postawiła stopę na bibliotecznych schodkach, wprost na śladach tamtej poprzedniej osoby, i zaczęła wchodzić na górę, aż w końcu jej dłoń zacisnęła się na miękkim, żółtym grzbiecie i książka trafiła w wyczekujące ramiona.

Z powrotem przy biurku Hal usiadła w fotelu uszaku i skierowała światło lampy na książkę. Potem, pełna obaw, delikatnie rozwarła skrzypiące strony.

Zdjęcia były tak wyraźne i staroświeckie, jak je zapamiętała. Harding jako małe dziecko, z pulchną szyją, w swetrze, który wyglądał na gryzący, jechał błyszczącym trzykołowym rowerkiem, a potem, kilka stron później, po raz pierwszy pojawiał się Abel: „A.L. 3 miesiące”.

Ale tym razem ten podpis coś jej przypominał. Al. Dlaczego? Hal zaczęła szukać w pamięci i nagle sobie przypomniała – we wpisie z dziennika matki Maud nazywała swojego brata Alem. Hal nie pomyślała o tym wtedy, ale teraz nabrało to sensu.

Przerzucała strony albumu, teraz szybciej, przeglądała zdjęcia Abła drepczącego po plaży, bawiącego się piłką, na wakacjach we Francji albo może we Włoszech, Hardinga i Abła siedzących z poważnymi minami na stopniach jakiegoś europejskiego kościoła, z lodami w dłoniach, jakieś rodzinne Boże Narodzenie, a potem...

Dwa malutkie niemowlaki, opatulone obok siebie. „Margarida Miriam (l.) i Ezra Daniel, dwa dni”.

Spali z zaciśniętymi oczami, przez co nie dało się odróżnić jednego od drugiego bez podpisu. Jakie to dziwne, że dwoje bliźniąt, które wyglądało tak podobnie w niemowlęctwie, wyrosło na tak niepodobnych do siebie ludzi. Miały spokojne twarze, odwrócone do siebie tak, jak musiały się obracać jeszcze w łonie matki, bez śladu sporów i bólu, których miały doświadczyć.

Maud.

Hal zatrzymała wzrok na maleńkiej, spokojnej twarzyczce, wyglądającej, jakby należała do odpoczywającego cherubina.

„Gdzie jesteś, Maud?” Nie żyje? Ucieka? Ukrywa się? Ale jak mogła to zrobić – jak mogła zostawić swoich braci, swojego *bliźniaka* pogrążonego przez tyle lat w bólu.

Przewróciła stronę i zobaczyła Maud jako malucha z pulchnymi nóżkami, pchającego zmalretowanego drewnianego psa po dywaniku przed kominkiem, a dalej Ezrę bawiącego się ogromnym misiem, prawie większym od niego. Na kilku kolejnych stronach był tylko Ezra – czteroletni, na nowym rowerku, który lśnił w słońcu. Pięcioletni, ze szczerbatym uśmiechem. Hal pokręciła głową, wspominając gorzką uwagę Abła na temat tego, że Ezra był ulubieńcem matki.

Miała właśnie przewrócić stronę, szukając kolejnego zdjęcia Maud – ale nagle zrobiło się to zbyt bolesne, by to ciągnąć, by obserwować, jak mała dziewczynka dorasta, aż w końcu zostaje zapomniana. Hal westchnęła i zamknęła album, przycisnęła palce do oczu, próbując odgonić ból, który poczuła w głowie i w sercu.

Niezależnie od tego, jakich odpowiedzi szukała, głupotą z jej strony było pomyśleć, że znajdzie je tutaj. Powinna odłożyć książkę na miejsce, wrócić do łóżka, iść spać i zastosować się do porady Ezry, zapominając o przeszłości – porzucić tę głupią obsesję szukania tego, co wydarzyło się tak dawno temu.

Ale kto *sięgnął* po ten album tamtego pierwszego poranka? Jeden z braci? Edward? Dopiero co przyjechał, ale może właśnie miał akurat *tylko* czasu. Inna możliwość obejmowała panią Warren, a to byłoby jeszcze dziwniejsze.

Jedno pozostawało pewne – prawda o jej matce nie kryła się na tych stronach. Chyba że...

Zatrzymała się. Dręczyła ją ta myśl, aż w końcu Hal otworzyła oczy i jej spojrzenie z bólem odzyskało ostrość na leżącej przed nią jasnożółtej okładce. Znowu ją podniosła i powoli przekartkowała, żołądek zacisnął się jej z niepewności, bo nie wiedziała, czego się spodziewać.

Potwierdzenie kiełkowało powoli – nie po jednym zdjęciu, ale stawało się coraz wyraźniejsze, niczym polaroidowa fotografia wywoływana w świetle, z bezkształtnego rozmazanego obrazu wyłoniły się rysy.

Najpierw okrągła, dziecinna twarz z wyostrzającymi się charakterystycznymi cechami, które były boleśnie znajome, niemowłęce błękitne oczy nabierające coraz głębszego odcienia i ciemniejące aż do czerni. Wydłużające się kończyny, ciemniejąca karnacja i wyraz twarzy zmieniający się powoli z ufnego w ostrożny.

A potem w końcu ostatnie zdjęcie z książki – „Jedenaste urodziny bliźniąt”. Była tam. Wyglądała ze strony spod ciemnej, splątanej grzywki,

jej ciemne oczy błyszczały odbitym blaskiem świeczek – tak podobna do brata, że Hal zastanawiała się, jakim cudem to przegapiła.

Margarida. Maud. Matka Hal.

Rozdział 45

Gdyby Hal już nie siedziała, to musiałyby właśnie szukać dłonią jakiegoś krzesła.

Jej matką była Maud. *Maud*. Nie dało się tego inaczej wyjaśnić. Ta dziewczynka ze zdjęć, bliźniaczka Ezry, dorastająca z nim w Trepassen, *była* matką Hal. Bez wątplenia.

A jednak – to nie miało *żadnego* sensu.

To musiała być prawda. Zdjęcia w książce nie kłamały. Widziała tam twarz swojej matki, wystraszając się przed jej oczami, strona po stronie, od dzieciństwa po pierwsze dni szkoły, aż po niemal lata nastoletnie. Dziewczynę stającą się kobietą, którą Hal poznawała aż za dobrze. Jej matką *nie* była Maggie.

Co oznaczało... To znaczyło, że Hester Westaway *była* jej babcią.

Czyli testament był ważny.

Ale co z aktem urodzenia? Co z dziennikiem? Co z...

I wtedy Hal zrozumiała, tak jakby księżyc wyszedł zza chmury. Wszystkie te kształty, które dotąd pozostawały bezładną czarną masą niewiedzy w pochmurnej ciemności, zostały oświetlone, znalazły się we właściwych miejscach krajobrazu, który nagle nabrał sensu. Nie była pewna. Ale jeśli miała rację... Jeśli miała rację, to przez cały czas patrzyła na to ze złej strony.

Jeśli miała rację, nic nie było takie, jak dotąd sądziła.

Jeśli miała rację, popełniła straszliwy, straszliwy błąd.

Na zewnątrz nadal padał śnieg, więc Hal ciaśniej otuliła się płaszczem, przewracając strony. Ale nie tylko zimno przyprawiało ją tym razem o drżenie. Nagle nagromadziły się w niej przeczucia – tego, jak poważne są te skryte w przeszłości tajemnice oraz jaką tamę zaraz przerwie. Wywoła potop.

Tym razem, kiedy kartkowała blaknące fotografie z pożółkłymi osłonkami, nie czuła zadumy ani nostalgii. Tym razem poczuła, że wpada do króliczej nory, wprost w przeszłość.

Co oznaczało, że Maggie, dziewczyna, która przyjechała do Trepassen, która napisała ten dziennik, była kimś obcym. Jednak Hal *była* córką Maggie. Nie dało się tego inaczej wyjaśnić. Niezależnie od tego, jak Hal próbowała to obliczyć, wynik wskazywał na to samo – Maud nie mogła być w ciąży w czasie narodzin Hal. A Maggie była.

Istniała tylko jedna możliwość, którą miała tuż przed sobą, odkąd otworzyła list od Treswicka, ale była zbyt ślepa, by ją dostrzec.

Matka Hal – kobieta, która ją kochała, wychowała i która się o nią troszczyła – nie była tą samą kobietą, która ją urodziła.

Ale co się stało? *Jak* to się stało?

Hal złapała się za głowę. Poczowała się, jakby niosła jakiś ciężar, nieskończenie ciężki, nieskończenie delikatny i niebezpieczny. Czuła się, jakby stąpała po cienkiej linie, a w rękach niosła bombę, która cicho tyka i w każdej chwili może wybuchnąć.

Ale jeśli to znaczyło to, co jej się wydawało...

Ale wybiegała zbyt daleko naprzód.

„Nie poganiaj” – usłyszała w głowie głos matki. „Zbuduj swoją opowieść. Wyłóż ją karta po karcie”.

A więc karta po karcie.

Czyli. Co Hal wiedziała na pewno?

Wiedziała, że Maggie uciekła – to jasno wynikało z dziennika i z listów Maud. Maud pomogła jej się wydostać jakoś w styczniu albo w lutym i obie pojechały do Brighton, żeby ułożyć sobie życie. Tam, w spokojnym i cichym maleńkim mieszkaniu Maggie urodziła swoją córeczkę, a Maud... Maud nie mogła wrócić do domu. Lizzie dała to jasno do zrozumienia. Nigdy już nie zobaczyła swojej rodziny po tym, jak opuściła dom. Musiała więc zostać z kuzynką, opiekować się nią, czekając na swoją kolej, ściskając swój list akceptacyjny z Oxfordu i wyglądając jesieni, kiedy to mogłaby w końcu znaleźć się na swoim miejscu.

Ale potem z jakiegoś powodu Maggie wróciła do Trepassen. Coś ściągnęło ją z powrotem – i cokolwiek to było, musiało być dobrym powodem, skoro powróciła do miejsca, z którego tak bardzo pragnęła uciec. Spakowała się, zostawiła dziecko kuzynce i pojechała sama

pociągiem do Trepassen z miną „Joanny d’Arc”, niczym „panna udająca się na bitwę”, jak wspomniała Lizzie.

Czy przyciągnęły ją z powrotem pieniądze? Świadomość, że mimo największych starań dwie młode kobiety, które nie skończyły jeszcze szkoły, ledwo były w stanie pozwolić sobie na jedzenie i ubrania dla siebie, a co dopiero dla dziecka? „Mam trochę pieniędzy po rodzicach” – napisała w liście do Maud. Ale to trochę pieniędzy nie mogło wystarczyć na długo, nawet w połączeniu z zarobkami z mola, skoro Maud wkrótce miała jechać na studia i nie miały żadnej opieki dla Hal. Może pojechała, by zawalczyć o środki na swoje dziecko.

O cokolwiek chodziło, poszło bardzo źle. Maggie – a nie Maud – zniknęła. Pozbawiła Hal matki, a Maud musiała pozbierać to, co po niej zostało – mieszkanie, maleńką budkę na molu... oraz jej dziecko.

Pod pewnym względem musiało być to proste – na akcie urodzenia i umowie najmu mieszkania oraz na szyldzie nad drzwiami budki widniało nazwisko Margaridy Westaway. Jej matką *była* Margarida Westaway – miała dowód osobisty oraz akt urodzenia, by to udowodnić. Nie sposób to podważyć. Maud po prostu ubrała się w życie swojej kuzynki.

Ale Hal bolało serce na myśl o tym, jakie to musiało być trudne. Maud zrezygnowała ze wszystkiego – z wolności, o którą tak mocno walczyła, z miejsca na uczelni, z przyszłości, na którą ciężko pracowała – zrezygnowała z tego wszystkiego dla Hal. Zajął się dzieckiem kuzynki i przejęła budkę na molu wyłącznie z jednego powodu – by mieć co jeść, ponieważ nie pozostały jej żadne inne możliwości.

Nic dziwnego, że otwarta, poszukująca dziewczyna z dziennika tak bardzo się różniła od sceptycznej, cynicznej kobiety, która wychowała Hal. To *były* inne kobiety. Nie dlatego, że Maggie zmieniła zdanie, tylko dlatego, że Maud nigdy tego nie zrobiła.

Co to było? W jaki sposób Maggie zacytowała Maud? „Stek bzdur”, właśnie tak. Zabrzmiało to znajomo. Wtedy Hal zaśmiała się i poczuła z tą uwagą związek, którego do końca nie zrozumiała. Teraz już wiedziała dlaczego.

Uświadomiła sobie, dlaczego Maud tak wyraźnie wyzierała z tych stron, dlaczego czuła taki związek sięgający lata wstecz.

Ponieważ *były* związane. Maud była nie tylko jej ciotką – była też jedyną matką, jaką poznała Hal. Osobą, którą kochała nad życie, wręcz nie do

pojęcia, nie potrafiła znieść jej utraty.

W sercu kołatały jej pilne pytania. Jak? *Dlaczego?*

Ale musiała dojść do tego krok po kroku... powolnym, miarowym tempem czytania. Musiała obracać karty albumu po kolei, rozważyć je i odnaleźć ich miejsce w tej historii.

A kolejna karta... kolejna karta przyprowadziła Hal o straszny niepokój, którego nie potrafiła do końca wyjaśnić.

Kolejna nie była bowiem wcale karta, tylko zdjęcie. *To zdjęcie*. To, które Abel подарował jej tamtego pierwszego dnia w Trepassen.

Hal wyjęła z kieszeni pudełko po tytoniu Golden Virginia i podważyła wieczko. Fotografia leżała na wierzchu, złożona na pół. Rozprostowała ją i przyjrzała się jej świeżym okiem.

Była tam Maud – patrzyła w obiektyw tym wyzywającym wzrokiem. Ale była tam też Maggie. Maggie, która napisała dziennik. A ona nie patrzyła w obiektyw. Patrzyła na Ezrę swoimi niebieskimi, *niebieskimi* oczami.

„Niebieskie oczy spotkały ciemne...”

Przez cały czas rozumiała to na odwrót.

Hal nie odziedziczyła swoich ciemnych oczu po matce, bo jej matka była jasnoooką blondynką.

Odziedziczyła je po ojcu. Po mężczyźnie, który ustawił aparat na statywie, nastawił samowyzwalacz i wrócił, żeby zapozować do zdjęcia.

Ezra. Daniel.

Ed.

Ezra był jej ojcem.

Rozdział 46

Telefon Hal został na górze, na strychu, nie miała też zegarka, ale po nieruchomej atmosferze w domu poznała, że musiało być po północy, prawdopodobnie sporo po północy.

Nie była w stanie wrócić do łóżka z tym ciężarem prawdy w środku oraz kłębiącymi się w niej myślami.

Była tylko jedna osoba, do której mogła pójść – jedyna osoba, która mogła powiedzieć jej prawdę.

Pani Warren.

I musiała pójść do niej teraz, nim wstanie Ezra. Jeśli zostawi to do świtu...

Hal podniosła album, odsunęła krzesło i wstała, próbując zebrać się na odwagę, wspominając sznurek na schodach i wyszczone inwektywy pani Warren: „Wynoś się, jeśli ci życie miłe...”.

Niczym Joanna d’Arc była jej matka. Niczym panna idąca na wojnę.

Cóż, Hal nie odziedziczyła zbyt wiele po Maggie. Ani jej rysów, ani oczu czy włosów, ani nawet poczucia humoru i braku sceptycyzmu. Ale być może odziedziczyła po matce odwagę.

Hal wzięła głęboki wdech, opanowała się, próbując uciszyć krzyczące w niej pytanie – a potem otworzyła drzwi gabinetu i ostrożnie przeszła przez oranżerię, po czym zapukała do drzwi salonu pani Warren.

Nie było odpowiedzi, więc dziewczyna zapukała trochę mocniej, a wtedy drzwi otworzyły się do środka, niedomknięte. Zobaczyła, że w gazowym kominku się pali, a na stole świeci lampa.

Czyżby pani Warren usnęła w fotelu?

Był przysunięty do ognia, bardzo blisko, a z tyłu zwisał koc układający się w ciemny kształt, który mógł być przygarbioną starszą panią – ale kiedy Hal ostrożnie podeszła z wolną ręką wyciągniętą w migotliwą

ciemność, odchylił się tylko w przód i z powrotem, chybliwie, a wtedy zobaczyła, że leży na nim tylko parę poduszek.

– Pani Warren? – zawołała cicho. Starła się, żeby głos jej nie drżał, ale było coś złowieszczonego w tej ciszy przerywanej tylko nikłym szumem radia oraz skrzypieniem bujanego fotela na drewnianej podłodze.

W porównaniu z gabinetem salon był duszny i przegrzany. Hal otarła czoło, czując, jak pot spływa jej po karku.

Dźwięk radia dochodził zza drzwi na drugim końcu salonu. Hal weszła tam ostrożnie, ale szturchnęła mały stolik zastawiony zdjęciami, które spadły, było ich kilka.

– Kurwa.

Złapała go, postawiła prosto, nim zdążył się wywrócić, ale zdjęcia poleciały jak kostki domina, stukając o siebie po kolei ramkami, a Hal stanęła. Na chwilę zastygła, serce podskoczyło jej do gardła. Czowała jego spanikowane kołatanie.

– Pani Warren? – wykrztusiła drżącym głosem. – Przepraszam, to tylko ja, Hal.

Nikt jednak nie przyszedł, więc drżącymi dłońmi zaczęła ustawiać zdjęcia, jedno po drugim.

A wtedy, z coraz większym poczuciem niepokoju, zobaczyła, co na nich było.

Ezra. Na wszystkich.

Ezra jako niemowlę, w ramionach pani Warren, jego miękka rączka sięgała w stronę jej policzka.

Ezra jako maluch biegający po trawniku.

Ezra jako młody mężczyzna, niemal nieznośnie przystojny, z olśniewającym uśmiechem, nieskrywanym i pełnym gorzkiego intryganctwa.

Ezra, Ezra, Ezra – niczym ołtarzyk dla utraconego małego chłopca.

Jedno na kominku przedstawiało trzech braci razem. Na żadnym nie było Maggie, choć to może nie powinno dziwić. I żadnego zdjęcia Maud. A także żadnego, z wyjątkiem tego z Ezrą na rękach, samej pani Warren.

Tak jakby cała miłość tego starego, chorego serca skupiła się na jednej osobie. Skupiła się w tak ostrym blasku adoracji, że Hal czuła, jakby miała wypalić jej dziurę w skórze.

– Pani Warren – powtórzyła, teraz z gulą w gardle, chociaż nie potrafiła powiedzieć, czy to z żalu, czy ze strachu. – Pani Warren, proszę, niech się

pani obudzi. Muszę z panią porozmawiać.

Ale nic. Cisza.

Hal trzęsły się ręce, kiedy przesuwiała się, centymetr po centymetrze, po oświetlonym ogniem pokoju w stronę drzwi naprzeciwko, trzymając przed sobą żółty album niczym tarczę. Wyobrażała sobie, że je otworzy i w ciszy i ciemności ujrzy za nimi stojącą przygarbioną postać, podobnie jak tamtej nocy na strychu – czekającą i obserwującą.

– Pani Warren? – W jej głosie rozbrzmiała teraz błagalna nuta, prawie szloch. – Proszę. Proszę się obudzić.

Była już przy drzwiach. Nic. Żadnego dźwięku, żadnego ruchu.

Położyła dłoń na drewnie.

A kiedy je pchnęła, drzwi się otworzyły, ukazując wąską sypialnię z pojedynczym metalowym łóżkiem, w którego nogach leżał starannie złożony flanelowy kwiecisty szlafrok.

Pod łóżkiem stały dwa ciepłe kapcie, jeden przy drugim, a płaszcz wisiał na haczyku koło drzwi.

Po pani Warren nie było żadnego śladu.

Hal poczuła, że serce uspokaja jej się w piersi. Na chwilę zalała ją ulga, ale zaraz dopadł ją nowy rodzaj niepokoju.

Jeśli pani Warren nie spała w swoim pokoju, to gdzie *była*?

– Pani Warren! – krzyknęła i aż podskoczyła na zaskakujący hałas na tleszczącego gazu. – Pani Warren, gdzie pani jest?

Potem w tyle sypialni Hal zobaczyła kolejne drzwi, które z kolei stały otworem.

– Pani Warren?

Weszła do pomieszczenia z rosnącym poczuciem, że narusza czyjąś prywatność, ponieważ z każdym krokiem zapuszczała się coraz głębiej w prywatny azyl pani Warren. Trochę drżała na myśl o tym, jaka będzie wściekła, kiedy znajdzie tu Hal, ale z drugiej strony napędzał ją jakiś rodzaj fascynacji – przyglądała się krzyżowi na ścianie ponad surową ramą łóżka, zdjęciu Ezry na nocnym stoliku oraz małemu, żałośnie małemu flanelowemu szlafrokowi złożonemu w nogach łóżka.

Chciała zawrócić – ale to już było niemożliwe. Już nie chodziło tylko o chorobliwą ciekawość, odkrycie, co stoi za groźną fasadą pani Warren. To było pragnienie – nie, *potrzeba* – odpowiedzi. Odpowiedzi, które mogła dać jej tylko pani Warren.

Wyciągnęła rękę. Była już prawie w drzwiach.

- Hal?

Ten głos dobiegł z za niej, sprawiając, że podskoczyła ze strachu, i odwróciła się z szeroko otwartymi oczyma w ciemności.

- Kto... kto tam?

Na początku nie było śladu nikogo, ale potem coś się poruszyło - jakiś ciemny kształt w przejściu, który wszedł głębiej do małego pokoju.

Śnieg przestał padać, jak zdała sobie sprawę w jakimś oderwanym zdziwieniu, i wyszedł księżyc, rzucający wąskie, białe, ukośne plamy światła na nagie deski podłogowe pomiędzy nimi.

- Hal, co ty robisz? - W jego niskim głosie nie pobrzmiwała krytyka, tylko coś w rodzaju zatroskanej ciekawości.

- E-Ezra - wyjąkała. - Ja... ja szukałam... szukałam pani Warren.

W końcu to była prawda.

- Dlaczego? Coś się stało?

- Nic się nie stało - wykrztusiła. Ale to z kolei nie była prawda. Serce waliło jej tak mocno i szybko, że dzwoniło jej w uszach, nie mogła wyciszyć tego dźwięku nawet na tyle, żeby usłyszeć własne myśli.

Zrobił krok naprzód, w stronę księżycowego światła, i wyciągnął jedną rękę tak, jakby chciał ją chwycić i poprowadzić z powrotem w bezpieczne miejsce.

- Hal, jesteś *pewna*, że nic ci nie jest? Wyglądasz bardzo dziwnie. I co ty tam masz... czy to jest... czy to książka?

Hal spojrzała w dół na swoje dłonie, w których nadal trzymała złoty album, a potem na Ezrę, swojego *ojca*.

Spojrzała mu w oczy i poczuła się, jakby wpadała do ciemnej, pokrytej liśćmi wody, jakby wpadała do własnej przeszłości.

Bo nagle, w jednej krystalizującej się sekundzie, zrozumiała.

Kiedyś w szkole nauczyciel Hal kazał im przeprowadzić eksperyment polegający na tym, by schłodził butelkę wody do temperatury poniżej zera, a potem uderzyli nią mocno o stół. Wtedy woda zamarzała w ułamku sekundy, lód powstawał z niewiarygodną prędkością, jakby za sprawą jakiegoś magicznego zaklęcia.

Kiedy tak stała, wpatrując się w ciemne, błyszczące oczy Ezry, poczuła się, jakby taki sam proces odbywał się właśnie w niej - bolesny chłód rozprzestrzenił się od kręgosłupa, zamieniając krew płynącą w żyłach w lód, pozostawiając po sobie zeszywniałe i zmarzniete kończyny.

Ponieważ zrozumiała – nareszcie, chociaż nie potrzebowała tej wiedzy – co się stało z panią Warren.

Zrozumiała dziwny wyraz twarzy gosposi pierwszego dnia, testament pani Westaway oraz jej dziwną, zaszyfrowaną wiadomość dla Hardinga.

Zrozumiała zapis spadku oraz „błąd”, który się w nim pojawił – absolutnie nie z winy Treswicka. Jak kiedykolwiek mogła pomyśleć, że ten zasuszony, ostrożny człowieczek popełniłby tak katastrofalny błąd?

Zrozumiała, dlaczego Abel zaprzeczył obecności Edwarda tamtego dnia nad jeziorem oraz dlaczego Ezra odmówił podważenia testamentu lub zmiany zapisu, a także te dziwne słowa rzucone mimochodem, które w kółko dręczyły jej podświadomość.

A przede wszystkim zrozumiała, dlaczego jej matka odcięła się od przeszłości, a wraz z sobą Hal.

„Wynoś się, jeśli ci życie miłe”.

To nie była groźba, tylko ostrzeżenie.

I zrozumiała je zbyt późno.

Rozdział 47

Wydawało się, że czas zwolnił, kiedy tak stali, gapiąc się na siebie nawzajem. Hal zaschło w gardle i gdy w końcu się odezwała, głos miała ochryply.

– To jest album. Ale... Ale może ty to już wiedziałeś.

Starła się wypowiedzieć te słowa lekko, lecz dziwnie zabrzmiały w jej ustach i zauważyła, że założyła ręce na piersi w obronnym geście, jakby chciała się ochronić przed jakimś nieznanym napastnikiem. „Myśl o swojej postawie, Hal, chodzi nie tylko o to, co czytamy w innych – ale też o to, co oni czytają w nas”.

Miała odrętwiałą twarz i zmusiła się do uśmiechu, rozciągnęła kąciki ust w grymasie, który wydał jej się podobny do maski pośmiertnej.

– No... Jestem bardzo zmęczona.

Ezra wziął album z jej rąk, ale nie ruszył się, żeby wyjść. Zamiast tego położył dłoń na ścianie, opierając się jakby od niechcenia, czym zablokował Hal drogę do wyjścia, a następnie przechylił głowę i uśmiechnął się do niej, kartkując strony.

– Aha... to ten staroć. Boże, nie miałem pojęcia, że matka zachowała tyle zdjęć.

Hal nic nie odpowiedziała, patrzyła tylko, jak przewraca strony.

– Jak się natknęłaś na to znalezisko?

– Ja... – Hal ciężko przełknęła. Zmusiła się, by opuścić ręce na boki, komunikując otwartość językiem ciała. Starła się wyglądać na zrelaksowaną. – Nie mogłam spać. Szukałam sobie książki do czytania. Weszłam do gabinetu.

– Rozumiem... I... czy... spojrzełaś w ogóle na zdjęcia?

Mówił swobodnym tonem, wręcz beztróskim. Ale kiedy to powiedział, Hal zrozumiała, że on wiedział.

Zobaczyła w nim coś, jakąś zmianę w jego postawie, jakąś niezauważalną modyfikację nastawienia. Zbyt często widziała ten błysk, kiedy trafiała w czuły punkt w swojej budce, by się pomylić.

Zobaczyła go właśnie teraz.

- Tylko kilka pierwszych - odparła. Starła się zwolnić oddech, uspokoić go, a jednocześnie słuchała drżenia własnego głosu, próbowała go wyciszyć, przybrać spokojny, kojący ton. - Dlaczego pytasz?

- Bez powodu - odparł. Ale już nie udawał. Przestał się uśmiechać i Hal poczuła, jak serce zaczyna jej szybciej bić.

„Wynoś się, jeśli ci życie miłe”.

- No... To ja chyba wrócę do łóżka, jeśli nie masz nic przeciwko. - Wypowiedziała te słowa powoli i ostrożnie, zachowując spokój, czekając, aż się odsunie. Ale on tylko pokręcił głową.

- Nie wydaje mi się. Myślę, że przejrzałaś ten album.

Zapadła długa, długa cisza. Hal czuła, jak wali jej serce. A potem coś jakby w niej pękło i wylały się z niej słowa pełne gorzkości.

- Dlaczego mi nie *powiedziałeś*? Wiedziałaś. *Wiedziałaś*. To ty byłeś Edem. Dlaczego udawałeś, że to biedny Edward?

- Hal...

- I dlaczego pozwoliłeś mi myśleć, że moja matka... że moja *matka*....

Ale nie zdołała dokończyć. Udało jej się tylko opaść na łóżko, schować twarz w dłoniach, drżących od płaczu.

- Całe moje życie było kłamstwem!

Ezra nic nie powiedział, patrzył tylko na nią znieruchomią i Hal poczuła, jak chłód w niej zamienia się w pewność.

- Co ty jej zrobiłeś, Ezra? - Wypowiedziała te słowa łagodnie, ale zabrzmiały na to, czym były: na oskarżenie.

Jego twarz niczego nie wyrażała, nie potrafił jednak ukryć swoich oczu, a w ostrym, jasnym świetle księżycy Hal widziała jego źrenice, czarne na ciemnym tle, które nagle się rozszerzyły - gwałtownie, w szoku - a potem się zwężyły. I już wiedziała, że wcelowała w prawdę.

- Popeliłeś błąd - powiedziała cicho. - Wcześniej dzisiaj. Dręczyło mnie to cały wieczór, coś, co powiedziałeś, choć nie potrafiłam określić, co dokładnie mnie męczyło. Myślałam, że to coś, co powiedziałeś w samochodzie, powtarzałam sobie w głowie naszą rozmowę, ale to nie było to. Chodziło o coś, co powiedziałeś na stacji benzynowej.

- Hal - zaczął Ezra. Był zachrypnięty i odchrząknął, jakby mówienie sprawiało mu trudność. Przestał się opierać ramieniem o ścianę, założył ręce na piersi. - Hal...

- Powiedziałeś, że zginęła przed domem. Mówiłeś o Maud, Ezra. Nie o Maggie. I skąd to wiedziałeś, o tym domu?

- Nie wiem, o co...

- Och, na Boga. - Podniosła się i stanęła z nim twarzą w twarz, jej głowa ledwo sięgała mu do piersi, ale nagle Hal przestała się bać, była wściekła. Przypomniała sobie, jak mówił: „Jestem wściekły. Jestem ciągle wściekły”.

No cóż, ten mężczyzna był jej ojcem i ona też potrafiła być wściekła.

- Przestań udawać - rzuciła.

Mówiła cicho, ale głos przestał jej się trząść. *To* było to. *To* było to, w czym była dobra - czytanie ludzi, czytanie ich języka ciała. Wyczytywanie między wierszami prawdy, do której nie chcieli się przyznać, nawet przed sobą.

- Żadna z gazet nie podała, że to było przed domem, a nawet policja celowo nie ujawniła tego w oficjalnych sprawozdaniach, bo nie chciałam, żeby prasa wystawała mi pod mieszkaniem. Nie było cię tam. Nigdy nie byłeś w moich okolicach. Chyba że... jednak byłeś.

- Co ty wygadujesz? - odpowiedział, ale raczej mechanicznie, jakby już się domyślił, że przejrzała go na wylot i wiedziała, co ukrywał przez cały ten czas.

Bo Hal coś zobaczyła. *Coś* w oczach Ezry, jakiś błysk świadomości, który widywała już setki albo nawet tysiące razy. I on ją upewnił, że miała rację.

- Wiedziałaś - orzekła z całą pewnością. - Byłeś tam. *Co ty zrobiłeś?*

Przez długi, długi czas nic nie odpowiadał, po prostu stał plecami do drzwi, z rękoma założonymi na piersi. Jego twarz skrywała się w cieniu, światło księżyca wyeksponowało tylko jego brwi, zmarszczone w grymasie wściekłości, ale Hal się go nie bała. Potrafiła odczytać myśli tego człowieka. A on się bał. To ona zapędziła *jego* w kozi róg, nie odwrotnie.

- Ezra, jesteś moim... - To słowo ugrzęzło jej w gardle. - Jesteś moim *ojcem*. Nie uważasz, że mam prawo wiedzieć?

- Och, Hal - odezwał się i pokręcił głową, nagle już nie wściekły, tylko jakby bardzo smutny albo bardzo zmęczony. Nie była pewna. - Hal, dlaczego, do cholery, nie mogłaś tego po prostu zostawić?

- Ponieważ muszę wiedzieć. Mam prawo wiedzieć!

- Przepraszam - odparł cicho. - Bardzo... bardzo przepraszam.

I wtedy zrozumiała.

Rozdział 48

– Zabiłeś moją matkę. – Prawda uderzyła ją niczym skok w zimną wodę, pozbawiła ją tchu.

Poczuła, jak wpada w głęboką czerń pewności.

Zupełnie jakby wiedziała to od zawsze – a jednak ogarnął ją kompletny szok spowodowany usłyszeniem tego stwierdzenia wypowiedzianego jej własnym, cichym głosem bez wyrazu.

Z trudem chwytiała powietrze, jakby powoli tonęła, a potem nie była już w stanie się odezwać, tylko pokręciła głową – jednak nie z niedowierzania. Był to rodzaj desperackiego pragnienia, aby to *nie* była prawda.

Ale była. I ona wiedziała o tym dłużej, niż zdawała sobie sprawę.

Być może wiedziała o tym, odkąd przyjechała do tego domu.

Tylko po prostu nie mogła znieść, że taka była prawda.

– Maud chciała ci wszystko powiedzieć – wyjaśnił smutno. – Napisała do matki i jej to oświadczyła, stwierdziła, że masz prawo wiedzieć. Zamierzała ci to wyjawić, kiedy skończysz osiemnaście lat. A ja nie mogłem jej na to pozwolić. Nie mogłem dopuścić, żeby powiedziała ci prawdę.

– Zabiłeś ją. I zabiłeś Maggie.

– Nie chciałem. Boże, ja ją kiedyś *kochałem*, Hal, ale ona była... – Pokręcił głową, jakby nawet teraz próbował to zrozumieć. – To był wypadek, bo ona doprowadziła do tego, że byłem taki... taki *wściekły*. Hal, musisz to zrozumieć.

„Niech mówią, Hal. Pytania mogą sprawiać, że ludzie się zamykają – stosuj otwarte wypowiedzi, pokaż im, że wiesz już to, co w sobie ukrywają”.

– Rozumiem – odparła, chociaż te słowa były trudne do wymówienia, paliły ją w gardło. Przełknęła. – Musiałeś mieć jakiś powód.

- Ucieczka - mówił powoli, ze spuszczoną głową, jak gdyby mówił do siebie. - Wyjazd z Trepassen, to mogłem zrozumieć. Matka czyniła jej życie nieznośnym, a ja wyjechałem do szkoły, nie mogłem wiele zrobić. Ale potem wróciła i, Boże, była taka inna, taka *zimna*, taka surowa. Przyjechała do domu, to chyba było w lipcu albo sierpniu, kiedy skończyłem szkołę. Matki nie było i Maggie przyszła porozmawiać ze mną. Powiedziała... - Zaśmiał się krótkim, dławiącym śmiechem. - Powiedziała: „Nie będę owijać w bawełnę, Ed, masz obowiązek utrzymywać to dziecko”. Czyli... dasz wiarę? Co za... - Wyglądał, jakby dusił się na samo wspomnienie. - Co za *bezczerność*. Uciekła, zostawiła mnie, żebym się zastanawiał, gdzie ona się, do licha, podziewa, co takiego *zrobiła*, a potem pojawia się ni stąd, ni zowąd, nawet bez przeprosin, i żąda *pieniędzy*. Po tym wszystkim, kim dla siebie byliśmy, po wszystkim, co sam...

Opadł na łóżko i skrył twarz w dłoniach.

- O Boże - wymknęło się Hal, nim zdążyła się powstrzymać, a wtedy od razu usłyszała w głowie głos matki: „Nigdy nie pokazuj im, że jesteś zaskoczona, nic tak nie zamyka ludzi jak krytyka. Jesteś ich księdzem, Hal. To jest swego rodzaju konfesjonał. Bądź otwarta - a oni obdarzą cię prawdą”.

Sięgnęła dłonią do twarzy, jakby chciała się powstrzymać przed powiedzeniem więcej, i po prostu tam stała, patrząc na czubek jego głowy, chłodna i wstrząśnięta. Jakiś mały, odległy, praktyczny głosik w jej głowie wyszeptał: „Gdybyś miała przy sobie telefon, mogłabyś to nagrać”. Ale było za późno. Jej telefon leżał daleko, na strychu, nie było szans, by go wzięła, nie płosząc Ezry. A poza tym prawda była teraz ważniejsza. *Musiata* się dowiedzieć.

Znowu się odezwał, ostrym i zachrypłym głosem, głowę miał ciągle pochyloną, jakby ugięła się pod ciężarem tego wyznania.

- Poprosiłem ją, żebyśmy poszli na spacer. Pomyślałem, że jeśli wyjdziemy z domu, do miejsca ze szczęśliwymi wspomnieniami... - Urwał, a potem pokręcił głową. - Poszliśmy nad jezioro. Zawsze uwielbiała hangar na łodzie, ale kiedy tam poszliśmy, było zimno, wodę pokrywał lód, tak jakby wszystko się zmieniło. Gdy próbowałem ją pocałować, uderzyła mnie w twarz. Ona uderzyła *mnie*. - Jego głos był pełen niedowierzania. - I byłem wściekły, Hal. Byłem *taki* wściekły.

Objąłem dłońmi jej szyję i pocałowałem ją... Pocałowałem, a kiedy ją puściłem...

Urwał. Hal zrobiło się zimno; to było przerażające.

Tak dobrze potrafiła to sobie wyobrazić, rozbijanie się lodowatej wody o pomost i desperacką szarpaninę Maggie, jej stopy uderzające o śliskie deski...

A potem co? Jej ciało... ześlizgnęło się poprzez cienkie odłamki wody do zimnej, ciemnej wody... łódka, specjalnie przedziurawiona, przytrzymała ją i ukryła jej kości.

A potem cisza. Cisza przez ponad dwadzieścia lat.

– O mój Boże – szepnęła, skrywając twarz w dłoniach. – O mój Boże.

Podniosła wzrok i zobaczyła łzy w jego oczach.

– Przepraszam – powiedział tylko.

A potem wstał, wyciągnął ręce i przez chwilę, przez straszną chwilę Hal myślała, że ją też pocałuje.

Ale nie zrobił tego. A potem zdała sobie sprawę, co zamierzał.

Rozdział 49

– Ezra, nie. – Hal zaczęła się cofać, ale on znajdował się pomiędzy nią a drzwiami i mogła się przesunąć jedynie do tyłu, plecami w stronę drugich drzwi, tej ciemnej szczeliny po przeciwnej stronie pokoju. Czy to było wyjście? Czy ślepy zaułek? Nie mogła tego wiedzieć. – Proszę, nie musisz tego robić. Jesteś moim *ojcem*, nikomu nie powiem...

Ale on podchodził coraz bliżej i bliżej.

– Reszta się zorientuje, będą wiedzieli, że wróciłeś, zobaczą ślady samochodu. Pani Warren, ona cię usłyszy...

Jednak nawet w momencie wypowiedzenia tych słów wiedziała, że na nic się nie zdadzą. Jeśli pani Warren w ogóle gdzieś tu *była*, to wcześniej ukryła już jedno morderstwo dokonane przez swojego ukochanego chłopczyka.

Nie było sensu krzyczeć. Nikt by jej nie usłyszał. Ale mimo iż jej mózg tak twierdził, mięśnie wiedziały, że nie mogą zrobić nic innego, więc nabrała dużo powietrza, napełniła płuca i zaczęła krzyczeć:

– Pomocy! Niech mi ktoś pomoże, jestem w po...

I wtedy ją dopadł, jak kot mysz, dłonią zakrył jej usta i zdusił dźwięki.

Hal zacisnęła mocno zęby, poczuła w ustach krew, a jedną ręką zaczęła po omacku szukać czegoś na nocnym stoliku, czegokolwiek, czego mogłaby użyć jako broni. Lampy. Kubka. Nawet zdjęcia w ramce.

Zacisnęła palce i usłyszała brzęk tłuczonego szkła, a wtedy coś znalazło się w jej dłoni. Pomyślała że to lampa, i uderzyła go tym w tył głowy najmocniej, jak umiała, po czym usłyszała pęknięcie żarówki i trzask metalowego abażura.

Ezra puścił jej usta, ryknął z bólu i złapał ją za rękę, zmuszając do upuszczenia lampy, a ona znowu nabrała powietrza w płuca – ale tym

razem, nim zdołała krzyknąć, jego dłonie znalazły się na jej gardle i zaczęły je ścisnąć.

Po raz ostatni sięgnęła do nocnego stolika – a potem się poddała. Nie mogła. Potwornie bolało ją gardło pod wpływem zgniatającego je uścisku, a wszelkie odruchy zmuszały ją, by podnieść ręce i spróbować się z niego uwolnić.

Walka przestała być najważniejsza. Najważniejszy był oddech.

Hal podniosła ręce i wbiła paznokcie w knykcie Ezry, próbując poluznić jego palce na tyle, by zrobić jeden chrapliwy wdech, ale uścisk był niewiarygodnie silny i czuła, że się wycofuje, poddaje, jej widzenie zaczęło się rozpadać na czarne i czerwone plamy, a wycie w uszach było niczym zalewająca ciemność. Ból gardła był jak nóż, a przed oczami mignął jej obraz kobiety z opaską na oczach na Ósemce Mieczy, która utknęła uwięziona przez ostrza, ślepa, krwawiąca, w pułapce. A kiedy pokój zalała ciemność, Hal zdążyła pomyśleć: „Nie jestem tą kobietą. Ona nie jest moim przeznaczeniem”.

Wspomniała swoją matkę, to było takie szybkie. Zaledwie sekundy; jakie to dziwne, że tak szybko można zgasić życie...

Nadal kopała nogami, choć raczej odruchowo niż celowo, a w pofragmentowanym polu widzenia dojrzała twarz Ezry, jego usta wykrzywił żal, a po nosie spływały mu łzy.

– Przepraszam. – Usłyszała go poprzez huk w uszach. – Strasznie przepraszam, wcale nie chciałem tego zrobić...

Jej nogi teraz już się prawie nie ruszały. Chciała krzyknąć, błagać go o życie, ale nie była w stanie szeptać, a co dopiero mówić. Ucisk na tchawicę był tak mocny, że zabrakło jej już tchu.

„Wytrzymaj”.

Nie była pewna, czyj to głos. Maggie. Maud. Albo może to zawsze był jej własny – tylko jej własny.

„Wytrzymaj”.

Ale nie umiała. Jego palce ją dławiły i wszystko wokół zaczęło się od niej coraz bardziej oddalać.

Nie było sensu walczyć. Był zbyt silny.

Pozwoliła, by jej palce go puściły, zaprzestała prób poluzowania jego uścisku na gardle.

A wtedy musnęła dłonią coś na łóżku, coś, co w czasie szarpaniny spadło z nocnego stolika.

Zacisnęła na tym dłoń i niemal ostatkiem sił podniosła to, po czym uderzyła go tym w twarz.

Usłyszała brzęk, nim zdała sobie sprawę, co to było – pęknięta ramka ze zdjęciem – a potem zobaczyła rozpryskującą się krew, kiedy odłamki szkła zagłębiły się mocno w łuk nad jego oczodołem. Krzyknął z bólu i zabrał jedną dłoń z jej gardła, szukając nią kawałka szkła wystającego mu z brwi. Lejąca się krew osłepiała go. Przez chwilę Hal patrzyła na to z przerażeniem. Nie miała pojęcia, co zrobiła – czy to szkło weszło na tyle głęboko, by uszkodzić coś ważnego. Ale nie mogła się zatrzymać, by to sprawdzić.

Upuściła ramkę, zanurkowała palcami pod jego drugą ręką, a potem uniosła kolano i uderzyła go nim w krocze z całą siłą, jaką w sobie zebrała.

I wtedy ją puścił.

Chwiejąc się, chwytając powietrze, z oddechem rozdzierającym obolałe gardło, Hal ruszyła do drzwi na drugim końcu pokoju.

– O nie, nie waż się! – Jego głos był ochryłym wrzaskiem czystej wściekłości, ale nie miała czasu, by się do niego odwrócić, nawet gdyby chciała.

Kiedy rzuciła się na drzwi, ustąpiły pod jej ciężarem i zaczęła spadać. Objęła się o zimne schody, aż z trzaskiem zatrzymała się na dole.

Było tam niesamowicie ciemno. Głowa pulsowała Hal od starego siniaka w miejscu, gdzie uderzyła się wcześniej, a jej gardło rozdzierał ból po dławieniu przez Ezrę.

Ten upadek mógł ją zabić, pomyślała, gdyby nie to, że spadła na coś miękkiego i ustępującego pod naciskiem.

Dopiero gdy wyciągnęła dłoń, próbując wstać, i poczuła delikatne włosy pod dłonią, zdała sobie sprawę, co to takiego, a wtedy musiała zdusić skowyt, który próbował jej się wyrwać z obolałego gardła.

To była pani Warren. Gdy palce Hal krążyły po jej twarzy, okularach, otwartych ustach, poznała, że była martwa i zupełnie zimna.

Ale nie miała czasu, by dowiedzieć się czegoś więcej. Nad sobą słyszała, że Ezra miotał się zaciekle niczym zranione zwierzę, uderzając o meble, gdy zataczał się w stronę otwartych drzwi. Lada chwila mógł się znaleźć na dole, a wtedy zginęłaby – ranny czy nie, był dużo, dużo silniejszy od niej, a jego osłepione oko nie stanowiło zbyt wielkiej przeszkody w tej atramentowej ciemności.

Musiła być w jakiejś piwnicy pod domem. Jedyne pytanie brzmiało: czy było stąd inne wyjście?

Hal wyciągnęła przed siebie ręce i potykając się, ostrożnie zaczęła się przemieszczać w nieprzeniknionych ciemnościach, czując, jak pod stopami przesuwają się i ślizgają różne rzeczy – słyszała stukające o siebie butelki, poczuła ostry ból, kiedy uderzyła piszczelą o jakieś pudło.

Gdzieś tam, w ciemności, leżało ciało pani Warren, a kiedy promień szarego księżycowego światła przeciął ciemność, usłyszała ochryple sapanie i zrozumiała, że Ezra trafił do drzwi i teraz, utykając, schodził po kamiennych schodach.

– Hal! – zawołał, a jego głos poniósł się echem w taki sposób, że dziewczyna pomyślała, iż ta piwnica musi być olbrzymia, dużo większa, niż na początku myślała. – Hal, nie uciekaj ode mnie. Mogę to wyjaśnić.

Miała zbyt schrypnięte i obolałe gardło, by odpowiedzieć, nawet gdyby chciała – ale nie zamierzała zdradzać swojego położenia na dole. Zatrzymała się i przywarła plecami do ściany, nasłuchując jego ciężkiego oddechu. Wyglądało na to, że Ezra poszedł w złym kierunku, więc po cichu przesuwawała się wzdłuż ściany, wstrzymując oddech.

W tej dezorientującej ciemności całkowicie straciła orientację przestrzenną, ale wyglądało na to, że piwnica rozciąga się na dwie strony – naprzeciw Hal i na lewo. Ciało pani Warren oraz schody na górę znajdowały się na prawo. Ezra był chyba przed nią, zapuszczał się niżej pod dom, więc Hal kontynuowała swoje powolne, bolesne przesuwanie się wzdłuż ściany, czując na plecach wilgoć mokrych cegieł. Na dłoniach miała ciepłą krew i pomyślała, że musiała się zaciąć, kiedy uderzyła Ezrę ramką ze zdjęciem, chociaż nie pamiętała, by tak się stało.

– Hal! – Jego głos huknął, odbijając się echem pod sklepieniem. Rozległo się szorstkie zgrzytnięcie i w oddali, po prawej, Hal zobaczyła rozpalony w ciemności płomień oraz żółty blask zapalniczki, którą Ezra trzymał nad głową, patrząc badawczo w ciemność.

Chwilę przed tym, jak zgasił płomień, wydarzyły się dwie rzeczy.

Po pierwsze ją zobaczył – poznała to po tym, jak obrócił w jej stronę twarz przypominającą szkaradną maskę pierrota. Jedna połowa była pokryta białą skórą, a druga ciemną krwią, która w cieniu wyglądała na czarną.

Ale pod drugie Hal dostrzegła plan piwnicy – wyraźną ścieżkę pomiędzy rzędami zakurzonych butelek i podtrzymujących sklepienie

kolumn, która prowadziła do drzwi na drugim końcu pomieszczenia, wychodzących na ogród.

Na chwilę zastygła, oboje patrzyli na siebie w blasku zapalniczki.

A potem na twarzy Ezry pojawił się przerażający uśmiech. Odrzucił zapalniczkę i pobiegł.

Hal także ruszyła biegiem.

Pędziła na oślep, nie bardzo wiedziała, dokąd się dostanie.

Biegła, potykając się o wyrzucone butelki i pułapki na myszy, słysząc chrzęst małych szkieletów pod stopami oraz chłupot wody. Przewróciła się i podniosła, cały czas słysząc za sobą triumfalne sapanie Ezry, który znalazł tę piwnicę – to był jego dom, jego teren, a do tego pamiętała, jak mówił, że jako małe dziecko bawił się tu z Maud w chowanego.

To był jego dom.

Ale był na wpół oślepiiony, a Hal nie, a do tego miała przewagę i teraz widziała już słabe migotanie księżyca przebijające się przez pęknięcie w drzwiach do ogrodu przed nią, więc przyspieszyła i zaczęła się modlić – modliła się do bogów, w których nie wierzyła, oraz do mocy, które potępiała przez całe życie, modliła się o wybawienie.

Wtedy metalowa gałka drzwi znalazła się pod dłonią. Hal próbowała ją przekręcić, jej palce ślizgały się od krwi. Jednocześnie słyszała łomot jego stóp i zbliżające się coraz bardziej dyszenie...

W końcu drzwi ustąpiły, wyszła na księżycowe światło, biegła, biegła i biegła, w błogim blasku pierwszej kwadry księżyca – było niemal tak jasno, jak za dnia.

Stopy prowadziły ją w dół wzgórza, a kiedy znalazła się w jego połowie, wzdrygnęła się przestraszona, bo zauważyła, dokąd zmierza. Obejrzała się za siebie, ale było już za późno, wyszedł i ją zobaczył. Gdyby zawróciła w stronę domu, złapałby ją. Nie miała gdzie się podziać i może... może, powiedział jej cichy głosik w głowie, może właśnie tam miała trafić. Z powrotem tam, gdzie to się zaczęło i skończyło. Z powrotem do hangaru na łodzie.

Ezra był już prawie w połowie trawnika, jego stopy pozostawiały długie ślady w białym śniegu, podczas gdy Hal skryła się w małym zagajniku i zaczęła się powoli przedzierać przez jeżyny drapiące ją w dłonie. Nie miała w głowie żadnej myśli poza tą, że musi zachować jak największy dystans między sobą a Ezrą – ale może, gdyby zdołała jakoś okrążyć

jezioro i dostać się na drugą stronę, dotarłaby na drogę, złapała przejeżdżający samochód...

Wydostała się z jezyn – miała podrapane i krwawiące nogi – i znalazła się w plamie księżycowego światła na brzegu jeziora. Za sobą słyszała, jak Ezra zaczyna sobie torować drogę przez krzewy; szło mu szybciej niż jej. Ona zdążyła odgarnąć już najgorsze chaszczki – a on musiał tylko podążać jej śladami.

– Hal – wydyszał. – Hal, *proszę*.

W jego głosie było coś tak desperackiego, że przez chwilę miała ochotę odpowiedzieć: „Dobrze, poczekam. Poddaję się”. O Boże, była taka zmęczona...

Jezioro przed nią wyglądało jak czarna plama, upstrzona tu i ówdzie plackami bieli. Kiedy Ezra wynurzył się z zarośli, Hal wiedziała, że nie ma innego wyboru.

– Hal – wystękał. Był poturbowany, twarz miał ciemną od przysychającej krwi, rana nad okiem nadal była mokra i świeża. Jezyny podarły mu ubranie, ręce i nogi miał porozcinane. Hal spojrzała na siebie i pewnie by się roześmiała, gdyby nie była taka przerażona i wyczerpana.

– Przestań – powiedział. Wyciągnął ramiona. – Przestań uciekać. Proszę... proszę, po prostu przestań.

Chciała mu odpowiedzieć. Chciała na niego nakrzyczeć, zgromić go za to, co zrobił Maud, Maggie i pani Warren. Chciała mu wykrzyczeć, jakie nadzieje żywiła co do swojego ojca i co za to odkryła.

Ale zbyt bolało ją gardło. Podchodził do niej, stąpał ostrożnie krok za krokiem, z wyciągniętymi ramionami, jakby obiecującymi smutny uścisk, a ona mogła tylko pokręcić głową, z oczu po cichu popłynęły jej łzy, spłynęły po policzkach i objęła się ramionami tak, jak nigdy nie pozwoliłaby jemu.

– Hal, proszę – powtórzył, a ona się cofnęła na zmarzniętą powierzchnię jeziora.

Tafla trzasnęła, ale utrzymała ją, więc zrobiła kolejny krok, widząc, jak jego twarz zmienia się gwałtownie – z ostrożnie błagalnej miny w pełną niemocy i strachu wściekłość.

– Proszę, nie – zaryzykował. – To niebezpieczne.

To ty jesteś niebezpieczny, chciała mu powiedzieć. Tutaj, pod lodem, z moją matką, byłabym bezpieczniejsza niż kiedykolwiek z tobą.

Ale zdołała tylko pokręcić głową i iść do tyłu i do tyłu, z każdym krokiem spodziewając się, że usłyszy trzask pękającego lodu i poczuje, jak pochłaniają ją lodowate wody jeziora.

Za każdym razem lód skrzypiał i jęczał, ale się nie złamał.

– Hal, wracaj! – krzyknął. Po czym dodał, niemal ze śmiechem: – Chryste, co ty zamierzasz zrobić? Zostaniesz tam przez całą noc? Będziesz w końcu musiała wrócić.

A ona znowu zrobiła krok w tył. Była już prawie na wyspie. A stamtąd czekała ją jeszcze tylko krótka przeprawa na drugi brzeg i poza granicę posiadłości.

– Hal! – zawył, a ona zobaczyła nad sobą trzepot spłoszonych skrzydeł, bo przestraszone sroki obudziły się, uciekały, skrzecząc i fruując w kółko, rozrzucając na boki grudki śniegu spadającego na cichy zagajnik.

– Hal, wracaj tu *natychmiast*.

Ale tylko po raz trzeci i ostatni pokręciła głową – a on wszedł na lód.

Ten go utrzymał. Hal poczuła, że zalewa ją fala gorącego przerażenia, a potem ogromny chłód. Ezra spojrział na swoje stopy, potem na nią i uśmiechnął się, bo zdał sobie sprawę, co to oznaczało.

– Oż, ty – odezwał się i zaczął iść w jej stronę. – Oż, ty mała...

Ale nigdy nie dokończył.

Rozległo się rozdzierające, rozrywające trzaśnięcie i powierzchnia jeziora się poddała. A Ezra poleciał naprzód, po drodze uderzył głową o lód na brzegu pęknięcia i zsunął się pod ciemną powierzchnię.

– Ezra! – krzyknęła Hal. A przynajmniej próbowała, ale jej gardło wydawało tylko cichutkie dźwięki, jakiś skowyt, który nawet nie brzmiał jak imię. „Ezra”.

Na powierzchni wody na chwilę pojawiły się leniwe bąbelki... A potem już nic. Jezioro było nieruchome i ciche, nic się nie działo. Ezra przepadł.

Rozdział 50

– O, chyba mamy szczęście! – powiedziała pielęgniarka, rozsuwając zasłony przy łóżku Hal.

– Szczęście? – wychrypiała Hal. Bolała ją głowa, gardło miała tak obolałe, że ledwo mówiła.

– Goście. I piękny bukiet kwiatów. Pomóc ci włożyć szlafrok?

Hal pokręciła głową, zastanawiając się, kim mogą być ci goście. Pewnie znowu policja, chociaż czuła się, jakby opowiedziała o wydarzeniach w Trepassen niezliczoną ilość razy, na pewno więcej, niż jej bolące gardło było w stanie znieść. Ale czy policja przyniosłaby kwiaty?

Pielęgniarka wyszła i ruszyła korytarzem do innego pacjenta, więc Hal usiadła na łóżku, poprawiła sobie T-shirt, przeczesała włosy palcami i spróbowała się przygotować na tego, kto miał wejść między zasłonami do jej boksu.

Mimo wszystko nie była gotowa na te dwie osoby, które nerwowo nadeszły korytarzem. Abel i Mitzi. Abel niósł bukiet kwiatów niemal większy od niego samego, a Mitzi coś, co wyglądało na domowe ciasto.

– Cześć, Harriet – odezwał się z wahaniem Abel, a Hal widziała po jego gardle, jak przełyka z zakłopotania. – Mam nadzieję... mam nadzieję, że to w porządku, zrozumiałbym...

Urwał i wtedy podeszła Mitzi, jej różowa twarz miała jeszcze intensywniejszy odcień niż zwykle.

– Szczerze mówiąc, Harriet, oboje rozumiemy, że możesz nie mieć ochoty spotykać się z nikim z Trepassen, więc nie wahaj się powiedzieć, jeśli wolałabyś, byśmy sobie poszli. To jest z mojej strony bardzo samolubne. Tak się zdenerwowałam, kiedy się dowiedziałam! Harding jest w domu z dziećmi, a Abel uprzejmie zgodził się mnie podwieźć... Och, nie, Harriet, proszę, nie wstawaj.

Hal próbowała podnieść się z łóżka i postawiła drżące nogi na podłodze, a wtedy znalazła się w objęciach Mitzi, otulona uściskiem tak mocnym i ciasnym, że aż zabrakło jej tchu.

– Och, moja kochana – powtarzała w kółko Mitzi. – Ach, moja kochana, co za gehenna, co ja mam ci powiedzieć... Ten okrutny, przerażający człowiek... Nie potrafię nawet...

Urwała i usiadła, gwałtownie ocierając oczy rękawem swojego szalika od Hermès, a wtedy zbliżył się Abel.

Nie przytulił jej, a przynajmniej nie do końca, po prostu położył jej dłonie na ramionach i przytrzymał delikatnie, jakby trochę się bał, że coś jej się stanie, i patrzył na nią z takim smutkiem w swoich szarych oczach, że Hal poczuła, jak rośnie jej gula w gardle.

– Och, Harriet – powiedział. – Możesz nam wybaczyć?

– Wybaczyć wam? – próbowała powiedzieć Hal, ale ochryple gardło urywało jej słowa i musiała przełknąć, a potem spróbować znowu, by zdołała ją zrozumieć. – Co mam wam wybaczyć?

– Wszystko – odparł ciężko Abel. Usiadł naprzeciw wezglowia łóżka Hal, na małym twardym krzeselku, a Mitzi przycupnęła w nogach łóżka. – To, że pozwoliliśmy ci wejść na oślep w tę sytuację. To, że przez dwadzieścia lat przymykaliśmy oko. W głębi duszy wiedziałem, że coś było nie tak, wszyscy to czuliśmy. Ale on był taki czarujący, taki zabawny, kiedy chciał.

– Ale nikt z was nie wiedział? – wykrztusiła Hal. To było pytanie, nie stwierdzenie, a Abel pokręcił głową.

– Matka wiedziała. I... i wydaje mi się, że także pani Warren, jestem prawie pewien.

– Pani Warren? – Mitzi miała przerażoną minę. – Wiedziała i nic nie powiedziała?

– Ona go kochała – stwierdził po prostu Abel. – Podobnie jak matka, chyba na swój sposób. Wydaje mi się, że czuły... – Rozłożył ręce. – W końcu co się stało, to się nie odstanie. Nie mogły przywrócić Maggie życia. I może pomyślały... Przepraszam, Hal. – Nabrał powietrza. – Wydaje mi się, że mogły pomyśleć, że został... sprowokowany. Ponad miarę. Że to jakieś morderstwo w afekcie.

– Pani Warren wiedziała – odezwała się Hal. Bolało ją gardło, więc napiła się wody stojącej obok łóżka. – Dlatego ją zabił. Próbowała mnie ostrzec. Ale ja tego nie rozumiałam. Myślałam, że to była groźba. Myślałam, że próbowała mnie zrzucić ze schodów i odstraszyć, ale to był...

Urwała. Co mogła powiedzieć? Że to był Ezra? Że to zrobił jej ojciec, który skorzystał z okazji i zastawił pułapkę, żeby przestała grzebać w przeszłości?

- A teraz już jej nie ma - skończyła. Popadała w odrętwienie na myśl o bezcelowości tego wszystkiego. Maud, Maggie, nawet ona sama, to mogła zrozumieć. Nie potrafiła wybaczyć Ezrze tego, co zrobił, ale umiała to zrozumieć. Zabił z gniewu i jakiegoś rodzaju pokrętej miłości, a potem dla własnej ochrony, by powstrzymać ujawnienie prawdy. Ale pani Warren... Pomyślała o wszystkich pytaniach, które nadal w sobie nosiła - pytaniach, na które mogła odpowiedzieć tylko pani Warren - i chciała się rozplakać. Wracał do niej wyraz twarzy gospodyni tamtego pierwszego dnia - przypominający twarz dziecka, które obserwuje kota podkradającego się do stadka niczego niepodejrzewających gołębi i robi to ze swego rodzaju przerażonym podnieceniem, wyczekując zbliżającej się rzezi. Wtedy pomyślała, że to Hal była kotem. Teraz zrozumiała - tym kotem był Ezra. A pani Warren nie spodziewała się tego, co miało nastąpić - w przeciwnym wypadku na pewno nawet ona by coś powiedziała. Ale zobaczyła niebezpieczeństwo i nie zrobiła niczego, by mu zapobiec. Jediną osobą, którą próbowała ostrzec, była sama Hal.

„Wynoś się - jeśli ci życie miłe. Póki jeszcze możesz...”

- To była jedyna osoba, która знаła prawdę - powiedziała powoli Hal. - A on wiedział... wiedział, że chciała mnie ostrzec...

Pomyślała o tych wszystkich latach, policzyła ciała padające jak kostki domina po tym pierwszym napadzie wściekłości w hangarze na łodzie. Ostatnią kostką domina była sama Hal. Ale... ale ona nie upadła. Tylko on.

- Abel... Mitzi... - przerwała, szukając słów, aż w końcu jedynym zdaniem, które przyszło jej do głowy, była wytarta, odwieczna odpowiedź na niepojęte: - Przyjmijcie moje kondolencje.

- A ty nasze - odparła Mitzi. Na jej okrągłej, różowej, końskiej twarzy rysowała się jakaś mądrość, której Hal nigdy by się nie spodziewała po tym, jak się poznały. Nieskończone współczucie pod przykrywką samozadowolenia. - To był twój ojciec.

I to nie Hal wzdrygnęła się na te słowa, tylko Abel, który schował twarz w dłoniach, jakby nie mógł tego znieść. Hal aż miała ochotę wyciągnąć do niego rękę i powiedzieć mu, że to w porządku, że wszystko będzie w porządku. Kimkolwiek, *czymkolwiek* jest - był - jej ojciec, miała nie

jedną, ale dwie wyjątkowe matki, kobiety, które o nią walczyły i ją chroniły, tu miała szczęście.

Ale nie potrafiła znaleźć słów.

– Kiedy wydobrzejesz... – Mitzi poklepała kołdrę nad jej kolanami. – Będziemy musieli poprosić pana Treswicka, żeby przyjechał i znowu się z tobą spotkał.

– Pan Treswick?

– Wygląda na to... Cóż, pani Westaway chyba *wiedziała*, co robi, kiedy sporządzała ten testament.

– Treswick się temu przyjrzał – dodał Abel. – W świetle naszej nowej wiedzy jego sformułowanie jest dość jasne i jednoznaczne. Ten spadek jest przeznaczony dla ciebie, Hal. Zawsze był. Dom jest twój.

– Co?

Zaskoczyli ją tak, że to słowo wymknęło jej się niczym oskarżenie, a potem już nie potrafiła wymyślić, co jeszcze mogłaby dodać.

– Matka wiedziała, że byłaś jej wnuczką. Moim zdaniem to oczywiste. A jeśli chodzi o testament... Cóż, myślę, że chciała, byśmy wszyscy zaczęli zadawać pytania i kopać w przeszłości. Chyba o to jej chodziło w tamtym zakończeniu listu do Hardinga.

– *Après moi, le déluge* – powiedziała cicho Hal. I w końcu zrozumiała, co pani Westaway zapoczątkowała swoim testamentem. Owszem, stała z nim złośliwość, ale także tchórzostwo. Prawda była tak potworna, że babka nie potrafiła się z nią zmierzyć za życia. W związku z tym czekała, aż sama przestanie odczuwać ból, i zrzuciła tę katastrofę na żyjących.

Przez chwilę Hal wyobrażała sobie, jak musiała leżeć przykuta do łóżka, obsługiwana przez panią Warren, i jak planowała zbliżający się kataklizm. Czy zatarła ręce i podpisała ten testament pełna gorzkiej satysfakcji? Czy zrobiła to zmęczona i zrezygnowana, żałując tych, którzy pozostaną przy życiu?

Nigdy się tego nie dowiedzą.

– Zastanawia mnie – powiedział powoli Abel – dlaczego, do licha, Ezra nie chciał się zgodzić na to zrzeczenie się spadku, które zaproponowałaś. To byłoby dla niego idealne wyjście, uznanie, że *nie byłaś* wnuczką jego matki. Wydaje mi się, że ona musiała liczyć na to, że będziesz równie zachłanna i trudna w kontaktach jak my wszyscy. Nie spodziewała się, że możesz zrezygnować z tego spadku bez walki. Postąpiłaś bardziej szlachetnie, niż potrafiła to sobie wyobrazić, Hal.

– Nie postąpiłam szlachetnie – odparła Hal. Gardło jej zachrypło, jakby chciało ją powstrzymać przed tym wyznaniem, ale ciężko przełknęła i zmusiła się, by to wychrypieć: – Ja... ja wiedziałam, kiedy dostałam list od Treswicka, że zaszła pomyłka. Pozwoliłam wam myśleć, że zagubiłam się w tym podobnie jak wy, ale w istocie tak nie było. Przyjechałam tutaj... – Urwała. Czy da radę to zrobić? – Przyjechałam tutaj, żeby was wszystkich oszukać. Nie wiecie, nie możecie zrozumieć, jak to jest, żadne z was, tak się męczyć, nie wiedzieć nigdy, z czego opłaci się czynsz za kolejny miesiąc. Dla mnie byliście bogaci i wydawało mi się... – Znowu urwała, gniotąc w palcach pościel. – *Mnie* się wydawało, że w ten sposób los chce mi to wynagrodzić, że parę tysięcy w tę czy we w tę dla was nie będzie znaczyło nic, a dla mnie wszystko. Uciekałam przed lichwiarzem. – Jak mało ważne wydawało się to teraz, pan Smith i jego małe groźby, w porównaniu z tym, co przeżyła. – A potrzebowałam tylko kilkuset funtów, żeby wszystko wyrównać. Miałam nadzieję... miałam nadzieję, że odjadę stąd z małą sumą pieniędzy i zacznę od nowa. Dopiero kiedy was poznałam, zdałam sobie sprawę, jak się pomyliłam, a kiedy się dowiedziałem, że to nie jest mały spadek, tylko cała posiadłość, zrozumiałam, że mi się nie uda. Ale chyba wiem, dlaczego Ezra nie chciał się zgodzić na to, żebym się rzekła.

– Dlaczego? – spytał Abel, a w jego tonie pobrzmiwała ostrożność, jakby nie mógł już znieść zaskoczenia kolejnymi odkryciami. Wyglądał, jak pomyślała Hal, na wiele starszego niż w tym dniu, w którym pomachała mu na dzień dobry pod zegarem na dworcu w Penzance, ale smutek i zmarszczki na jego twarzy jakoś uwypuklały dobro w jego oczach, a ona zawstydzona się swoich podejrzeń i tego, że kiedykolwiek pomyślała, iż mógł za tym wszystkim stać biedny Edward.

– Myślę... Myślę, że martwił się, iż Harding sprzedałby dom, i obawiał się, co mogliby tam wtedy znaleźć. W jeziorze.

– Co masz na myśli, Harriet? – spytała Mitzi. Pochyliła się i położyła rękę na dłoni Hal. – Czy Ezra powiedział ci coś przed śmiercią?

– Myślę, że moja... – To słowo raniło, wbijało jej się głęboko w obolałe gardło. – Że moja m-mama wciąż tam jest, chyba pochowana w hangarze na łodzi, w jeziorze. Czy możecie poprosić... – Znowu przełknęła i odkaslnęła, długie mówienie obciążało jej gardło. – Czy możecie poprosić policję, żeby przeszukali wnętrze hangaru?

- O Boże - szepnął Abel. - O mój Boże. A matka żyła z tym przez dwadzieścia lat.

W małym boksie zapadła cisza. Wszyscy pograżyli się w swoich myślach, we własnych wspomnieniach, w swoim strachu.

Wtedy rozległ się grzechot kólek od zasłonek i na łóżko padły promienie niemal oślepiająco jasnego słońca. Między odsuniętymi zasłonami stała dziarska pielęgniarka sprzed chwili.

- Obawiam się, że godziny odwiedzin się skończyły, mamusiu i tatusiu - oznajmiła figlarnie. - Do widzenia, do jutra, bardzo proszę. A nasza młoda dama musi oszczędzać głos.

- Tylko... jeszcze tylko minuta - odpowiedział Abel. Zamilkł na chwilę, wstał, rozprostował sobie nogawki, a Hal zobaczyła, że mrugnął do niej z uśmiechem. - Przepraszam, Hal, to skandaliczne z naszej strony, że każemy ci tak długo rozmawiać, wiem, że to musi być dla ciebie bolesne. Jest jedna rzecz, którą muszę ci dać, zanim pójdziemy. - Miał przez chwilę zboląłą minę, kiedy sięgnął do kieszeni i wyjął z niej skserowaną kartkę. - Nie byłem pewien, czy ci to pokazywać, Harriet, ale... cóż... - Wyciągnął kartkę w jej stronę. - Oryginał przekazałem policji, ale znaleźliśmy to w rzeczach pani Warren. To... to jest list. Nie musisz go teraz czytać, ale... no cóż...

Hal przyjęła go zaskoczona.

- No, to bardzo pięknie - odezwała się pielęgniarka. - Ale teraz już pora, żeby nasza pacjentka odpoczęła.

- Przyjdę jeszcze jutro, kochanie - powiedziała Mitzi, pochyliła się i pocałowała Hal w policzek. - A tymczasem... wiem, jak karmią w tym szpitalu. - Poklepała blaszkę, którą postawiła na nocnym stoliku Hal. - Domowe ciasto z kawą i orzechami włoskimi, pomoże ci się trochę zaokrąglić.

- No, mamusiu - wtrąciła pielęgniarka. - To na razie zmykamy. A, i możecie jej przywieźć ubrania, kiedy przyjedziecie jutro. Doktor mówił, że jest gotowa do wypisu, więc moglibyście zabrać ją od razu do domu.

- Och - powiedziała Hal. Posmutniała na myśl o tym, że czeka ją długa podróż pociągiem do Brighton, do wyzębionego mieszkanka. - Ja... Mitzi nie jest moją mamą. Nie mogę, to znaczy ja nie... Ja mieszkam sama.

- Nie masz jakiejś przyjaciółki, która mogłaby przyjechać i cię odebrać? - spytała smutno pielęgniarka z nieco zaskoczoną miną.

– Jestem jej ciocią – wyjaśniła Mitzi, wstając i prostując się do swojego niewielkiego wzrostu. – Będziemy *przeszczęśliwi*, zabierając Harriet do siebie, póki nie będzie gotowa wrócić do swojego mieszkania. Nie! – Odwróciła się i jednym spojrzeniem uciszyła protesty, do których szykowała się Hal. – Nie chcę o tym więcej słyszeć, Harriet. Do widzenia, kochana, wrócimy jutro z jakimiś ubraniami. A w tym czasie masz zjeść to ciasto co do okruszka, bo inaczej będziesz miała do czynienia *ze mną*.

Hal patrzyła, jak odchodzą korytarzem, ramię w ramię. Uśmiechnęła się na przyjazne skinięcie dłoni, którym pożegnał ją Abel, kiedy skręcili na główny oddział, ale tak naprawdę z ulgą przyjęła to, że została sama ze swoimi myślami. Zamknęła oczy, czując, jak zalewa ją wielka fala zmęczenia. Ból gardła doskwierał jej dużo bardziej, niż przyznała przed Mitzi i Ablem, nawet bez przerażającego wachlarza możliwych powikłań, które poprzedniego dnia wymienił lekarz.

Zaczynały się od łagodnych – takich jak stałe uszkodzenie strun głosowych – a kończyły na najpoważniejszych: niewidocznym uszkodzeniu mózgu wynikającym z niedotlenienia albo wędrujących skrzepach z popękanych naczyń krwionośnych, które mogą spowodować zatory albo nawet śmierć wiele tygodni później. Jednak to bardzo rzadkie, zapewnił ją lekarz. Coś, czego należy być świadomym, ale nie trzeba się tym martwić i tak naprawdę Hal się nie martwiła – już nie.

Miała już przykryć się kołdrą i zamknąć oczy, kiedy coś jej zaszeleściło pod palcami i zdała sobie sprawę, że wciąż trzyma w ręku tamten papier. Abel go jej przekazał. Powoli go rozłożyła.

Była to pojedyncza strona pokryta odręcznym pismem z zawijasami, tak bardzo znanym Hal, że aż zabrakło jej tchu. To charakter pisma jej matki. Nie te okrągłe, nieforemne litery z dziennika – ale pismo, które dorastając, widziała na kartkach świątecznych i urodzinowych, na listach zakupów i korespondencji. Patrząc na nie teraz, zastanawiała się, jak kiedykolwiek mogła pomyśleć, że ta sama dłoń sporządziła wpisy w tamtym dzienniku. Miały jakieś cechy wspólne, pewne osobliwości, rodzaj powierzchownego podobieństwa, ale w piśmie z listu była taka energia i determinacja, że Hal poczuła bolesne ukłucie w sercu, kiedy je rozpoznała.

Mama.

Próbując się skupić na stronie, Hal zdała sobie sprawę, że do oczu napłynęły jej łzy. Czowała się, jakby niespodziewanie usłyszała głos matki – takiego zaskoczenia nigdy nie wywołał w niej dziennik.

Wściekle zamruwała i skupiła wzrok na liście.

8 maja 2013

Droga Matko!

Dziękuję Ci za list. I dziękuję także za czek, który do niego dotoczyłaś. Odłożyłam go na laptop na urodziny Harriet – chce w przyszłym roku pójść na studia, więc bardzo potrzebuje własnego.

Jednak nie piszę tego listu tylko po to, by Ci podziękować. Chcę Cię także przed czymś ostrzec.

Piszę, by Cię poinformować, iż postanowiłam powiedzieć Hal prawdę. W przyszłym tygodniu kończy osiemnaście lat i ma prawo poznać swoją historię, a ja nie mogę się już dłużej ukrywać za własnym tchórzostwem.

Szczerze mówiąc, zbyt długo się go bałam – tego, co mógł zrobić Maggie, kiedy byliśmy w Trepassen; tego, jak mógł nas powstrzymać przed ucieczką; tego, że mógł nas odnaleźć, oraz tego, co jej zrobił, gdy tego ostatniego razu nie wróciła. Ponieważ ja wiedziałam, matko. Zawsze wiedziałam. Maggie za nic w świecie nie porzuciłaby swojego nowo narodzonego dziecka bez słowa. Pojechała tam, by się z nim skonfrontować, zawalczyć o przyszłość, na jaką zasługiwała Hal – i nie wróciła.

Gorzko winiłam Cię za Twoje milczenie – a jednak popełniłam to samo przestępstwo. Mogłabym powiedzieć o moich podejrzeniach policji. Mogłabym ich poprosić, żeby przekopali ziemię, przeszukali jezioro lub piwnicę. Ale gdybym to zrobiła, a oni by niczego nie znaleźli, straciłabym prawo do opieki nad Hal na rzecz Ezry. A nie mogłam tego zrobić, Matko. Nie mogłam podjąć takiego ryzyka. Było już za późno, by ocalić Maggie prawdą – ale mogłam ocalić jej dziecko swoimi kłamstwami.

Tymczasem Hal zaraz skończy osiemnaście lat i nie mogę się już zastaniać żadnymi wymówkami. Mogę ją stracić tylko wtedy, jeśli ONA zdecyduje się ode mnie odciąć. Nie miałabym jej tego za złe – na Boga, okłamywałam ją przez tyle lat, chociaż powiedziałam sobie, że miałam dobrą motywację. Niewybaczalnie ją oszukałam – mam tylko nadzieję, że ona jednak będzie potrafiła mi wybaczyć.

Ja nigdy nie wybaczę Ci wielu rzeczy, Matko. Ale mimo wszystko wiernie dotrzymywałaś mojej tajemnicy przez te kilka ostatnich lat i poczułam, że powinnaś znać powody mojej decyzji. Nie wiem, co Hal zrobi z tą informacją –

decyzja należy do niej. Ale jest prawdopodobne, że przyjedzie i będzie szukać kontaktu z Tobą. W takim wypadku bądź dla niej dobra.

Twoja

Maud

Hal pozwoliła, by list spadł na pościel, poczuła, jak łzy napływają jej do oczu, i żałowała, że nie może cofnąć tych lat i przytulić się do matki.

Jak pani Warren natrafiła na ten list? Czy kiedykolwiek dotarł on do pani Westaway? Czy pani Warren go przechwyciła? Tak czy inaczej, ktoś powiedział Ezrze. I po raz drugi w życiu, ale nie ostatni, jej ojciec zabił niewinną osobę, żeby się ochronić.

Gdyby tylko, gdyby *tylko* jej matka nie wysłała tego listu. Wydawało się to niewiarygodnie naiwne – oddać tak dzielnie wywalczoną anonimowość, ostrzec matkę przed tym, co zamierzała zrobić.

Czy Maud nie doceniła Ezry? Czy może po prostu za bardzo zaufała pani Westaway? Korespondowały od jakiegoś czasu, to jasno wynikało z tego listu. Może z czasem zaczęła jej coraz bardziej ufać – pomyślała, że skoro jej matka utrzymała sekret do tej pory, może ją obdarzyć odrobinę większym zaufaniem, aż w końcu powierzyła jej tajemnicę, której pani Westaway nie mogła dochować.

Ale Hal nie była pewna. W próbach ostrzeżenia jej przez panią Warren było coś... jakies długo skrywane poczucie winy. Pomyślała o tamtym salonie, o oprawionych zdjęciach małego chłopca o wyglądzie cherubinka, którego pani Warren kochała przez tyle lat, oraz o mężczyźnie, w którego się zmienił.

Może właśnie ze względu na tego małego chłopca napisała list – ostrzegając Ezrę, by uważał i trzymał się z daleka.

A dopiero po fakcie zdała sobie sprawę, co zrobiła.

Hal nigdy nie pozna tego łańcucha zdarzeń. Wiedziała tylko, że ten list był pierwszym ogniwem szeregu zrad, które prowadziły do tamtego upalnego dnia, pisku hamulców samochodu oraz pokiereszowanego ciała matki na drodze przed jej własnym domem.

Zamknęła oczy, czując, jak łzy przeciskają jej się pomiędzy powiekami i spływają po bokach nosa, i żałowała, bardziej niż kiedykolwiek w życiu, że nie może wrócić, by powiedzieć matce, że nie ma sprawy. Nie ma czego wybaczać. Ufam ci. Kocham cię. Nie mogłaś nic zrobić, by to zmienić.

Niezależnie od tego, co mogłabym ci powiedzieć lub zrobić w złości, ostatecznie i tak bym do ciebie wróciła.

– Nie śpisz, kochana? – Myśli Hal przerwały słowa wypowiedziane z kornwalijskim akcentem, a kiedy otworzyła oczy, zobaczyła salową stojącą obok niej z wózcikiem z herbatą, białą porcelanową filiżanką w jednej dłoni i metalowym czajnikiem w drugiej. – Herbaty?

– Tak, poproszę – odpowiedziała. Ukradkiem otarła strużkę koło nosa i zamrugała, by pozbyć się pozostałych łez, kiedy kobieta nalewała jej napój.

– Oooch, domowe ciasto. Szczęściara z ciebie. Dam ci jeszcze jeden spodeczek – powiedziała kobieta, nałożyła Hal spory kawałek i postawiła na tacy przy łóżku.

Kiedy poszła, kierując się do następnej osoby, Hal ułamała kawałek ciasta i włożyła go do ust. Maślany krem rozpuścił jej się na języku, łagodząc ból gardła i przeganiając nieco gorzyc jej rozmyślań.

Nie mogła się rozwoździć nad tym, co by było gdyby, powinna ruszyć naprzód, w kierunku innej przyszłości.

List nadal leżał na jej kolanach, dokładnie go złożyła i położyła na szafce przy łóżku. Jej dłoń uderzyła wtedy o leżące tam metalowe pudełeczko po tytoniu Golden Virginia, otworzyła je spontanicznie, zamknęła oczy i przetasowała karty.

Zamknęła oczy – teraz mogłaby równie dobrze być w domu, w swojej maleńkiej budce na molu, gdzie dotykałaby delikatnych, wystrzępionych brzegów kart w dłoniach, czując, jak ich śliskie grzbiety nasuwają się na siebie, a każdy z tych ruchów zmienia możliwości, jakie rozdaje życie, zadaje inne pytania, odkrywa inne prawdy.

W końcu przerwała, trzymając karty zamknięte w dłoniach, a potem przełożyła kartoniki i otworzyła oczy.

Patrzyła na nią jedna karta, ułożona prosto – Hal uśmiechnęła się mimo neuronionych łez, które nadal wisały jej na rzęsach.

Był to Świat.

W jej talii Świat był kobietą w średnim wieku, z długimi ciemnymi włosami, patrzącą prosto na pytającego. Stała wyprostowana, jej nogi były rozstawione szeroko i pewnie, otaczał ją wieniec kwiatów. W rogach tej karty znajdowały się cztery symbole Koła Fortuny – wskazujące, że świat zawsze się kręci, podobnie jak koło, i niezależnie od tego, jak wiele ktoś może wędrować, zawsze skończy w tym miejscu, z którego wyruszył.

Kobieta się uśmiechała, choć był w niej cień smutku. W ramionach trzymała kulę ziemską w taki sposób, jakby tuliła dziecko.

Hal nie miała w głowie żadnego pytania, kiedy przekładała karty, a jednak dostała odpowiedź.

Wiedziała, co by powiedziała, gdyby wyjęła tę kartę dla kogoś w swoim kiosku.

Powiedziałyby: „Ta karta pokazuje, że dotarłeś do końca podróży, że ukończyłeś coś ważnego, że osiągnąłeś coś, co sobie zamierzyłeś. Świat się obrócił – cykl się zamknął – twoja wędrówka dobiega końca. Po drodze znosiłeś trudności i cierpienie, ale one tylko uczyniły cię silniejszym – pokazały ci coś, odkryły przed tobą prawdę o tobie samym oraz twoje miejsce w świecie.

Ponieważ to, w jaki sposób widzimy na tej karcie świat z góry, objęty ramionami kobiety, pokazuje, że w końcu możemy zobaczyć pełen obraz. Do tej pory podróżowałeś, widziałeś tylko część tego, co chciałeś zobaczyć – teraz widzisz cały system, świat, jego miejsce we wszechświecie oraz swoje miejsce w całym tym układzie.

Teraz już rozumiesz”.

I to była prawda. To wszystko była prawda. Ale to nie było to, co zobaczyła Hal, kiedy popatrzyła na tę kartę – a przynajmniej nie wszystko, co zobaczyła. Jako dziecko inaczej nazywała tę kartę. Nazywała ją mamą.

W tarocie nie było żadnej matki – najbardziej zbliżona do niej była Cesarzowa, której gęste, złote, kręcone włosy symbolizowały kobiecość i płodność. Ale kiedy Hal patrzyła na tę kartę, na tę ciemnowłosą, nieustraszoną kobietę trzymającą świat w ramionach, widziała twarz swojej matki. Widziała jej ciemne oczy, pełne mądrości, a także odrobinę cyniczne; widziała jej zręczne dłonie oraz smutek w jej uśmiechu, a także współczucie.

Widziała swoją matkę na karcie Świata, ponieważ jej matka *była* jej światem.

Jednak w rzeczywistości świat był bardziej obcy i skomplikowany, niż kiedykolwiek sobie wyobrażała jako dziecko – podobny do niej samej.

Nagle poczuła się niezmiernie zmęczona, niewiarygodnie zmęczona, więc odsunęła ciasto, schowała karty do pudełeczka, wszystkie poza tą, którą trzymała w ręku, i położyła się na boku, dotykając policzkiem chłodnej, białej poduszki, z kartami do tarota Maggie opartymi o szafkę, przyglądając się twarzy Maud.

Jej oczy się zamknęły i powoli zawładnął nią sen.

Kiedy tak leżała, zobaczyła wzory pod zamkniętymi powiekami – ogniste kształty, które najpierw wyglądały na fruwające iskry, potem zmieniły się w wirujące liście, aż w końcu stado ptaków jaśniejących na tle czerwono-czarnej ciemności. Pomyślała o srokach w domu Trepassen, które krążyły i skrzeczały na niebie, oraz o wierszyku, który Treswick zacytował tamtego pierwszego dnia, gdy jechali w stronę domu.

*Jedna sroczka smutek wróży,
Dwie radości pełne dni,
Trzy to dziewczę urodziwe,
Cztery – chłopiec ci się śni,
Pięć da srebra cały dzbanek,
Sześć przyniesie złota moc,
Siedem tajemnicę kryje
w najstraszniejszą ciemną noc.*

I pomyślała o tych wszystkich sekretach skrywanych przez lata – o Maggie wydzierającej kartki z dziennika, Maud okłamującej córkę, by zapewnić jej bezpieczeństwo, uchronić ją przed jej własnym ojcem. Pomyślała o sekretach skrywanych przez ojca chowającego w sobie wstyd, który w końcu zmienił się w truciznę nadającą kształt jego całemu życiu.

Pomyślała o pani Westaway i o pani Warren, które przez lata żyły ze straszliwą prawdą o tym, co uczynił ich ukochany chłopczyk, oraz o okropnościach czających się w pokrytej liśćmi ciemności hangaru na łodzie.

Usłyszała w uszach głos, tym razem własny, pewny i niezachrypnięty, niezmienny tym wszystkim, co się wydarzyło. „Wystarczy. Wystarczy tych tajemnic, Hal”.

Odkryła prawdę. I nic więcej się nie liczyło.

O autorce

Ruth Ware to numer jeden na światowych listach bestsellerów. Jej trzy pierwsze thrillery *In a Dark*, *Dark Wood*, *The Woman in Cabin 10* i *The Lying Game* okazały się hitami i widniały na listach bestsellerów na całym świecie, włącznie z „Sunday Times” i „New York Times”. Wykupiono prawa do ekranizacji (filmowych i telewizyjnych) wszystkich trzech książek, wydanych dotąd w ponad czterdziestu językach. Ruth mieszka z rodziną pod Brighton w Wielkiej Brytanii.

Więcej informacji na www.ruthware.com.

Spis treści

[Uwaga do czytelników](#)

[* * *](#)

[29 listopada 1994](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[1 grudnia 1994](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[4 grudnia 1994](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[5 grudnia 1994](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[6 grudnia 1994](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[8 grudnia 1994](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[11 grudnia 1994](#)

[Rozdział 26](#)
[13 grudnia 1994](#)
[Rozdział 27](#)
[Rozdział 28](#)
[Rozdział 29](#)
[Rozdział 30](#)
[Rozdział 31](#)
[Rozdział 32](#)
[Rozdział 33](#)
[Rozdział 34](#)
[Rozdział 35](#)
[Rozdział 36](#)
[Rozdział 37](#)
[Rozdział 38](#)
[Rozdział 39](#)
[Rozdział 40](#)
[Rozdział 41](#)
[Rozdział 42](#)
[Rozdział 43](#)
[Rozdział 44](#)
[Rozdział 45](#)
[Rozdział 46](#)
[Rozdział 47](#)
[Rozdział 48](#)
[Rozdział 49](#)
[Rozdział 50](#)
[O autorce](#)
[Spis treści](#)